



JAVIER GONZÁLEZ



WYSPA NA KRAŃCU CZASU



JAVIER GONZÁLEZ

WYSPA NA KRAŃCU CZASU

Navigatio

Z hiszpańskiego przełożyła

MAGDALENA BIEJAT

Alodii i moim dzieciom, Javierowi, Antonowi,

Joaquinowi i Alodii, poświęcam.

Miejsce, którego nigdy nie opuściłem,

i miejsce, do którego zawsze chciałem wrócić.

Zakłeta Wyspa Świętego Brendana jest

warta więcej niż dziesięć takich wysp

odnalezionych.

Miguel De Cervantes

Rozdział I

Cobisa, prowincja Toledo, 6 czerwca 2009 roku

Capita I. Navigatio Sancti Brendani abbatis. Mnich Odran wraca do klasztoru w

Conflert po ponad siedmioletniej nieobecności. Zawiadamia opata Brendanusa o swojej

niezwykłej podróży i prosi, żeby spotkał się z bratem Mernokiem na Rajskiej Wyspie.

Cobisa była jednym z tych spokojnych miasteczek w La Manczy, w których nigdy nic

się nie działo. Do czasu.

Bo kiedy już coś się wydarzyło, działo się wszystko naraz.

- Powinien pan pójść zobaczyć, co się stało w kościele, panie burmistrzu. - Sekretarz

wszedł do jego gabinetu, zastukawszy uprzednio we framugę drzwi.

Burmistrz Ramón Sánchez podniósł wzrok znad papierów zawierających projekty ulotek na święto miasta, do którego zostało ledwie kilka tygodni. Spojrzał zimno na swojego sekretarza. Był jedynym członkiem jego zespołu, który zwracał się do niego per pan, i jedynym, który był dość bezczelny, żeby wejść do jego gabinetu, nie czekając na zaproszenie. Pomyślał, że gdyby nie był tak cholernie skuteczny, wyleciałby przy okazji pierwszego kryzysu w samorządzie.

- Co się stało? - zapytał spokojnie. W końcu nie darmo był burmistrzem już trzecią kadencję, a raz zdobył to stanowisko w wyniku uzyskania absolutnej większości głosów, co zawsze trzyma człowieka w pionie przez te cztery lata.

- Wypadek w czasie robót w kościele, panie burmistrzu.

Ramón się skrzywił. Wypadek podczas prac miejskich nigdy nie oznaczał niczego dobrego, zawsze wiązał się z pytaniami opozycji o bezpieczeństwo, wykonawcę i inne bzdury.

- Opowiesz mi po drodze - powiedział, podnosząc się z krzesła.

* * *

Robotnicy skończyli oczyszczać teren, ostrożnie usuwając ostatnie cegły pokrywające ciało, które spoczywało w pustej przestrzeni podwójnej ściany odkrytej dzięki uderzeniu młota. Kiedy mężczyźni się odsunęli, Nuria Rubio, inspektor Dziedzictwa Dzielnicy Kastylii

- La Manczy, wdrapała się po rusztowaniach ze zręcznością trzydziestotrzylatki z doświadczeniem pracy na rozmaitych budowach.

Gdy dotarła do wyższego podestu umieszczonego na wysokości trzech metrów od ziemi, pochyliła się nad dziurą i skierowała latarkę w mrok spowijający nowo odkrytą

przestrzeń między ścianą kościoła a fałszywym murem.

Nie miała wątpliwości. To, co spoczywało na dnie otworu, było ciałem jakiegoś człowieka. Sądząc po habitcie, jakim było okryte, zapewne mnicha. Obok niego leżały trzy zawiniątka ze starych zakurzonych koców.

Mlasnęła językiem i wyłączyła latarkę, zanim zeszła po metalowym rusztowaniu. W najlepszym wypadku znalezisko sparaliżuje prace na kilka tygodni. I znów cały harmonogram szlag trafi. Wycierała kurz z rąk o zgrzebne ogrodniczki - jak radziły weteranki, „na budowę i wykopy archeologiczne nie idzie się w spódnicę” - kiedy usłyszała za plecami znajomy głos. Głos Ramona Sáncheza, burmistrza, który właśnie wszedł do kościoła w towarzystwie swojego sekretarza. Wyglądało na to, że o coś się spierają.

- Jeżeli nie ma rannych, to nie ma wypadku, Luis - tłumaczył cierpliwie burmistrz. -

Najwyżej „incydent”, ale na pewno nie wypadek. Jasna cholera, moglibyście się nauczyć odpowiedniej terminologii, można przy was dostać zawału.

Jego irytacja ulotniła się natychmiast na widok Nurii stojącej w otoczeniu robotników.

Podszedł do niej z szerokim uśmiechem.

- Inspektor Rubio, jakże się cieszę, że znów panią spotykam w naszym miasteczku.

- Przykro mi, że musiałam pana wezwać, panie burmistrzu. - Nuria uściśniła jego

dłoń. - Powinien pan jednak wiedzieć o tym, co znaleźliśmy.

- Najważniejsze, że nie było rannych wśród robotników. - Chciał się upewnić, czy ta informacja była zgodna z prawdą.

- Nie, nie. Ściana osunęła się częściowo i wszystko wpadło do wnęki. To się stało, gdy zaczynaliśmy renowację górnej części tej ściany - powiedziała, wskazując na pokryte gruzem rusztowanie. - Temu, co było w środku, nic już nie może zaszkodzić.

- Ludzkie ciało, jak się wydaje.

- Tak. Z tego, co udało mi się zobaczyć z rusztowania, to ciało osoby ubranej w habit.

Może mnicha. Będziemy mieć pewność, kiedy je wydobędziemy. Obok niego leżą trzy zawiniątka. Nie wiemy, co zawierają.

- Czy to mogą być ludzkie szczątki? - zaniepokoił się burmistrz.

- Są zbyt małe jak na całe ciała - uspokoiła go Nuria.

- Może to poćwiartowane zwłoki, panie burmistrzu - podsunął sekretarz.

Ramón odwrócił się do niego i spiorunował go wzrokiem.

- Luis, idź natychmiast do ratusza i czekaj tam na mnie, aż skończę rozmawiać z panią inspektor.

Sekretarz odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem wyszedł z kościoła. Nie należało kusić losu. Kiedy Ramón się upewnił, że Luis wyszedł, zwrócił się do Nurii.

- Cóż, wie pani, jak to jest w kościołach - próbował zbagatelizować sprawę. - Ciągłe się w nich znajduje szczątki księży...

- Nie powiedziałam, że to ksiądz. Powiedziałam, że to zakonnik - zaznaczyła Nuria. -

A znaleźliśmy go nie w grobie, ale zamurowanego w ścianie. To nie jest takie zwyczajne wydarzenie, panie burmistrzu.

- No tak. Zadzwoniliście na policję? I do prokuratury? - Ramón wolał opuścić grząski grunt i wrócić na teren, który znał najlepiej. - Trzeba zabrać stąd to ciało - zauważył.

- Słyszałam, jak pański sekretarz dzwonił do komendy w Arges. Zadzwonił też do prokuratury w Toledo. Może nie ma wyobraźni, ale jest skuteczny. - Nuria próbowała wesprzeć nieszczęsnego urzędnika.

- A ksiądz? Czy don Simón wie o tym wszystkim? - zapytał burmistrz. Ramón, mimo że był socjalistą i nie spowiadał się od czasu Pierwszej Komunii, utrzymywał zawsze doskonałe relacje z przedstawicielami kleru w miasteczku. Renowacja kościoła Świętych

Filipa i Jakuba Apostołów była właściwie jego osobistym projektem. Udało mu się uzyskać dotację mimo sprzeciwu Socjalistycznej Federacji w Toledo, która wolałaby zmodernizować kompleks sportowy.

- Don Simón był z nami, kiedy ściana się zawaliła - wyjaśniła Nuria. - Jest teraz w swoim gabinecie w zakrystii i rozmawia z arcybiskupstwem.

- Dobrze, wszystko wskazuje na to, że dzień będzie pełen wrażeń i że w Cobisie pojawi się sporo ludzi. - Wyjął z kieszeni spodni motorolę najnowszego typu i wystukał numer z pamięci. - Luis - połączył się z sekretarzem - niech straż miejska otoczy kościół, chcę mieć tu patrol przez cały dzień, nikt nie ma prawa przejść bez autoryzacji mojej, pani inspektor albo księdza. A przede wszystkim nie wpuszczać mi tu żadnego dziennikarza, dopóki nie przygotujemy oświadczenia. Odwołaj wszystkie spotkania z tego tygodnia i zwołaj na jutro posiedzenie rady. Zaraz będę w ratuszu, nie ruszaj się stamtąd. - I rozłączył się.

Ramón potarł ręce ze źle ukrywaną satysfakcją. Temu małemu sennemu miasteczku przyda się trochę zamieszania. Takie kryzysy wzmacniały go, wręcz odmładzały.

- Pani inspektor - powiedział, zwracając się do niej z szerokim uśmiechem - pozwoli pani, że się oddalę. Muszę wykonać parę telefonów i zwołać mały komitet, który zajmie się tym „incydentem”. Naturalnie, liczę na pani pomoc.

- Obawiam się, że to mój obowiązek, panie burmistrzu. - Ona również potrafiła uśmiechać się jak polityk.

* * *

To był długi i ciężki dzień, ale o północy burmistrzowi udało się wreszcie doprowadzić do porozumienia, które zadowoliło wszystkie strony.

Fałszywa ściana okazała się skarbnicą niespodzianek, z której wyłoniły się ciało mnicha i trzy zawiniątka o zaskakującej zawartości. Największe z nich zawierało drewnianą

rzeźbę przedstawiającą Matkę Boską Bolesną, patronkę miasteczka; figurę tę uznano za zaginioną w trakcie wojny domowej. Nie była wiele warta jako dzieło sztuki: wykonano ją pod koniec XIX wieku, a parafia otrzymała ją w darze od markizy de Sonseca, ówczesnej właścicielki ziemskiej. Na dowód autentyczności znaleziska don Simón wydobyl jego stare zdjęcia z archiwum parafialnego. Po ich zbadaniu przez powołaną naprędce komisję uznano, że rzeczywiście była to zaginiona rzeźba. Zdecydowano jednogłośnie, że figura pozostanie w kościele Świętych Filipa i Jakuba, na ołtarzu w kaplicy jej imienia, gdzie przebywała do nieszczęsnego roku 1936.

Jak się okazało, dzięki temu, że między dwiema ścianami wytworzył się suchy mikroklimat o stałej temperaturze, rzeźba nie ucierpiała na skutek zamurowania. Jej restauracją i oczyszczeniem mieli się zająć technicy Dziedzictwa Wojewódzkiego w odpowiednio przygotowanej sali miejscowej biblioteki. Według szacunków inspektor Rubio prace nad rzeźbą powinny się zakończyć wraz z końcem renowacji kościoła: w październiku lub listopadzie.

Otwarcie kościoła w jego pełnej krasie, po zakończeniu prac restauracyjnych, miało zostać uświetnione dzięki niespodziewanemu odnalezieniu zagubionego wizerunku patronki miasta, jak oznajmił burmistrz don Simónowi i sekretarzowi arcybiskupstwa. Obaj byli wyraźnie usatysfakcjonowani osiągniętym tego dnia porozumieniem.

Drugi pakunek zawierał książkę. W rzeczywistości był to rękopis zatytułowany *Navigatio Sancti Brendani abbatis*, czyli *Żegluga świętego Brendana opata*. Na jego ostatniej stronie widniała data: 555 rok po Chrystusie. Był w doskonałym stanie, co skłoniło panią inspektor do wyrażenia uzasadnionego przypuszczenia, że owo dzieło to falsyfikat. Sekretarz arcybiskupstwa, który znał się nieco na paleontologii, przyznał jej rację i stracił zainteresowanie manuskryptem. Zgodnie z zaleceniem Nurii Rubio postanowiono przesłać

książkę do Biblioteki Narodowej w Madrycie, gdzie można było sprawdzić jej autentyczność w tamtejszym laboratorium uchodzącym za najbardziej nowoczesne i rzetelne w Hiszpanii.

Niezależnie od rezultatu analizy laboratoryjnej *Navigatio* miało wrócić do miasteczka.

Ostateczną decyzję o miejscu jego wystawienia miały podjąć wspólnie parafia i ratusz.

Trzecie znalezisko okazało się nie mniej zaskakujące. Była to długa szklana ampułka zamknięta srebrnym korkiem, w której znajdowało się ogromne śnieżnobiałe ptasie pióro i coś, co wyglądało jak jasny włos. Kawałek papirusu opisywał po łacinie zawartość ampułki:

Pióro i włos anielski znalezione u wejścia do Grobu Świętego trzeciego dnia po zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu naszego Pana, Jezusa Chrystusa.

Tłumacząc napis, Nuria nie mogła powstrzymać uśmiechu. Nagle poczuła fascynację mnichem. Jeśli miał coś wspólnego z tymi trzema zawiniątkami, chciałaby móc go poznać, musiał mieć niezłą historię do opowiedzenia. W przypadku anielskiego pióra sekretarz arcybiskupstwa był niewzruszony. Rzekoma relikwia powinna trafić do Rzymu, do analizy, która zostanie przeprowadzona w laboratorium watykańskim. Dyskretnie. Mediom przekaże się informację o możliwości pojawienia się relikwii, ale bez żadnych szczegółów dotyczących jej natury.

- Kościół cierpi dość szykan ze strony swoich wrogów, żeby podawać im pretekst na tacy - oznajmił sekretarz przy żywym poparciu don Simóna. Nikt się nie sprzeciwił.

Ciało nieszczęsnego mnicha zostało wysłane do Instytutu Medycyny Sądowej w Madrycie, gdy tylko prokurator wyraził zgodę na usunięcie ciała i jego transport do stolicy, przewidując, że nie będzie łatwo przeprowadzić ani jego autopsji, ani identyfikacji.

Burmistrz próbował wydobyć jakieś informacje od lekarza sądowego, który dokonał pierwszych oględzin nieboszczyka *in situ*.

- Jak pan myśli, kiedy zmarł? Czy umarł śmiercią naturalną, czy wskutek ataku? -

zarzucił go pytaniami.

- Szklaną kulę zostawiam zawsze w laboratorium. Otrzyma pan informację w swoim czasie. - Była to jedyna niechętna odpowiedź, jaką uzyskał od lekarza.

Co za idiota z tego konowała, pomyślał Ramón. Nie rozumiał znaczenia jego pytań.

Nie były wynikiem niezdrowej ciekawości, burmistrz miał po prostu szósty zmysł, jeśli chodzi o wyczuwanie problemów, które miały dopiero nadejść.

- Dobrze, panie i panowie - powiedział, podnosząc głos, aby być słyszany mimo rozmów członków zaimprovizowanego sztabu kryzysowego. - Wygląda na to, że udało nam się dojść do koniecznego porozumienia, które zadowala wszystkie strony. Proponuję, żebyśmy podpisali protokół i ustalili termin konferencji prasowej, na której potrzeby ratusz z przyjemnością udostępni jutro audytorium biblioteki miejskiej.

Wszyscy się zgodzili. Podpisano protokół i ustalono, że następnego dnia o dziesiątej rano odbędzie się konferencja prasowa, podczas której członkowie komisji odpowiedzą na wszelkie pytania, jakie zechcą im zadać sympatyczni przedstawiciele mediów.

Ramón pożegnał się z obradującymi serdecznym uściskiem dłoni, w świetle fleszy fotografów i reflektorów kamer telewizyjnych.

Na twarzach wszystkich członków komisji odbijało się zmęczenie spowodowane zbyt długim dniem. Wszystkich poza burmistrzem będącym najwyraźniej w doskonałej formie - czytał właśnie krótki komunikat dotyczący jutrzejszej konferencji prasowej, na której, jak zapewniał, dziennikarze otrzymają obszerne relacje na temat ostatnich wydarzeń.

Schował kartkę do kieszeni marynarki i posłał dziennikarzom najlepszy ze swoich uśmiechów. Uśmiechał się szczerze. Jutro Cobisa, jego miasteczko, będzie na pierwszych stronach wszystkich gazet, a informacja o niej otworzy wszystkie dzienniki radiowe i telewizyjne.

O Cobisie będzie głośno w całym kraju w ciągu kilku najbliższych dni. O miasteczku, kościele Świętych Filipa i Jakuba, o mnichu, Matce Boskiej Bolesnej, tej dziwnej księżce i anielskim piórze. Co za szkoda, że do następnych wyborów zostały jeszcze trzy lata, pomyślał, machając po raz ostami do dziennikarzy i zamykając drzwi ratusza.

Rozdział II

Profesor Sebastian Cameron w Madrycie,

7 lipca 2009 roku

Capita II. N.S.B.a. Brendanus odbywa siedmiodniowy post, zwołuje mnichów i oznajmia im swoje postanowienie. Wyruszą na poszukiwanie Ziemi Obietnicy Świętych.

Strażniczka w Bibliotece Narodowej w Madrycie sprawdziła dowód tożsamości mężczyzny o wyglądzie obcokrajowca, którego legitymowała w wejściu. Sebastian Cameron Coe, przeczytała jego nazwisko. Anglik albo Amerykanin, pomyślała. Facet się uśmiechnął. Amerykanin, uznała, Anglicy nigdy nie próbują flirtować tak bezczelnie.

Spojrzała na zdjęcie widniejące w małej legitymacji, żeby sprawdzić, czy Sebastian Cameron Coe rzeczywiście był tym, który przed nią stał. Mężczyzna, nieco powyżej pięćdziesiątki, ubrany w bawełniane spodnie w kolorze khaki, nieskazitelnie białą koszulę, która podkreślała dyskretną opaleniznę, oraz granatową marynarkę, jakie latem noszą eleganci.

Zeuropeizowany Amerykanin, z tych, którzy często odwiedzają Stary Kontynent.

Całkiem przystojny, uznała, wyciągając z szuflady nalepki dla odwiedzających. Z namaszczeniem, nie spuszczać oczu z twarzy gościa, zaczęła odklejać żółtą naklejkę z napisem „czytelnia”, która pozwoli mu poruszać się swobodnie po bibliotece. Amerykanin zachował większą część czupryny, poprzetykanej siwizną i nadającej mu interesujący wygląd.

Miał ładne błękitne oczy, głębokie spojrzenie i umiał uśmiechać się do kobiet.

Nie był gruby, wyglądał na wysportowanego. Chętnie by z nim poflirtowała. Nie był też żonaty. Żonaci pachną jak żonaci. Poza tym nigdy nie robiła tego z facetem, który miał więcej niż trzydzieści pięć lat. Tylko że następnego dnia jechała do Grecji z Yoli i przyrzekła sobie, że nie będzie chodzić do łóżka na pierwszej randce. Szkoda, życie przypominało szybkie rozdanie kart. Z grymasem niezadowolenia podała mu naklejkę.

- Dziękuję - powiedział grzecznie gość, przyklejając ją na klapie marynarki. Miał ochotę poflirtować z dziewczyną, ale coś w jej oczach powiedziało mu, że magiczny moment minął i że podjęła już decyzję. Dobre i złe strony bycia pięćdziesięciolatkiem, pomyślał, polegają na tym, że jest się w stanie przewidzieć najbliższe dwie minuty polowania.

Sebastian Cameron wszedł po kamiennych schodach monumentalnego holu Biblioteki Narodowej i skierował się do Sali Kartograficznej.

Przyjemna temperatura klimatyzowanego pomieszczenia przywróciła mu dobry humor.

Dobrze było wrócić do Hiszpanii i do Madrytu. Zwłaszcza kiedy się było hispanistą o światowej sławie, jak on.

Z początku chciał odrzucić tę propozycję pracy. Wydawała mu się głupia, wręcz upokarzająca. Zrobił doktorat z historii Hiszpanii na Harvardzie i wykładał filologię hiszpańską w Bostonie, gdzie spędzał większą część roku. Miał nieodpartą ochotę, żeby odłożyć słuchawkę, kiedy ta dziewczyna zadzwoniła parę miesięcy temu. Nazywała się Kelly Lamar, a może Lamarca, i była przedstawicielką Disneya. Po wielu zwrotach typu „to byłby dla nas zaszczyt”, „pańska wspaniała kariera” oraz „pańska znajomość szesnastego wieku” złożyła mu propozycję: konsultant historyczny najbliższego sukcesu kasowego wytwórni, *Piratów z Karaibów 4*. Jego palec już wędrował do przycisku, który pozwoliłby zakończyć

rozmowę, kiedy uroczą przedstawicielka Disneya rzuciła sumę, na jaką miało opiewać jego honorarium: dwieście tysięcy dolarów. „Oczywiście nie licząc wydatków na podróż i diet”.

„Proszę dać mi parę dni do namysłu”, odparł, zanim jego mózg przestał pracować.

- Tato, nie możesz odrzucić tej propozycji. - Jego córka Barbara, dwadzieścia dwa lata, studentka ostatniego roku studiów prawniczych w Bostonie, zimna, pragmatyczna i błyskotliwa jak jej matka.

- Ale, Barby, kochanie, to filmowcy, nie chcę sobie rujnować reputacji piratami ubranymi jak na karnawał w Rio.

- Reputacja nie opłaci ci rachunków, tato. Twoi napuszeni koledzy zrobiliby wszystko, żeby pracować dla jednej z wytwórni. To dwieście tysięcy dolców, na miłość boską! Mógłbyś sobie kupić takie samo porsche, jakim jeździ dziekan! I jeszcze zostałyby ci kupa forsy na milion innych szaleństw!

Musiał przyznać, że porsche dziekana było ważkim argumentem. Argumentem powalającym i ostatecznym.

- Tato, masz pięćdziesiąt pięć lat, jesteś wdowcem i zamieniasz się w nudnego profesora uniwersyteckiego z nudnego miasta Boston. Przyjmij tę cholerną robotę, zabaw się raz w życiu - oświadczyła. - I nie nazywaj mnie Barby, wiesz, że tego nie znoszę. - Odłożyła słuchawkę.

Uśmiechnął się, wspominając rozmowę z córką, bębniąc w pochylony blat stołu palcami chronionymi cienkimi rękawiczkami z bawełny, zgodnie z wymogami czytelnicy w Sali Kartograficznej Biblioteki Narodowej w Madrycie.

Dobrze zrobił, przyjmując zlecenie Disneya. Właściwie wytwórnia opłaciła mu fantastyczne wakacje w Hiszpanii. Poprosił ich o dwa miesiące na badania, w lipcu i sierpniu, kiedy nie miał zajęć w Bostonie. Nie było najmniejszego problemu. Czekali na jego raport we

wrześniu.

Producenci wysłali mu obszerną dokumentację dotyczącą filmu. Miał scenariusz, szczegółowy *shooting* z kolorowymi zdjęciami każdego planu filmu, ilustracje przedstawiające wszystkie hiszpańskie galeony i pirackie statki, jakie pojawią się w scenach akcji, oraz projekty kostiumów dla głównych aktorów. Jako konsultant miał dopilnować, aby film nie był całkowitą bzdurą pod względem realiów historycznych. Hollywoodzcy krytycy byli szczególnie wrażliwi na kopniaki, jakie wielkie wytwórnie amerykańskie wymierzały zwykle historii w swoich filmach.

Pobieżna lektura scenariusza nie dawała powodów do obaw. Poza dialogami zupełnie nieprzystającymi do XVI wieku akcja rozwijała się z poszanowaniem realiów epoki, w której była umieszczona. Trójwymiarowe makiety statków powinny zostać nieco poprawione, a kostiumy należało zmienić kompletnie. Miał dość materiałów w bostońskim archiwum, żeby uporać się z pracą w kilka tygodni, bez potrzeby ruszania się z własnego gabinetu.

Nie mógł jednak oprzeć się pokusie wyjazdu do Hiszpanii, dla czystej przyjemności i żeby usprawiedliwić wysoką gażę. Poza tym w wytwórni byli zachwyceni, że prowadzi badania w kraju, który kiedyś panował nad karaibskimi morzami. Jego pobyt w Hiszpanii mógł tylko zwiększyć wiarygodność raportu, który miał dostarczyć we wrześniu.

Jednym słowem, wszyscy byli zadowoleni.

Jego uwagę przyciągnęła migająca na ekranie laptopa ikonka oznaczająca nowy e-mail. Sprawdził, kto był nadawcą. Nuria Rubio. Uśmiechnął się na widok jej nazwiska. Dwa tygodnie przed przyjazdem do Madrytu odkurzył stare adresy e-mailowe, żeby skontaktować się z hiszpańskimi przyjaciółmi i znajomymi. Dziesięć lat temu Nuria Rubio była jego studentką w Bostonie. Przyjechała do Stanów ze stypendium Fullbrighta i uczestniczyła w seminarium doktorskim o historii Imperium Hiszpańskiego, które prowadził Cameron. Była

młoda i inteligentna. Od początku przypadli sobie do gustu i wkrótce zostali przyjaciółmi. Na tyle, na ile rygorystyczne zasady bostońskiego uniwersytetu pozwalały czterdziestodwuletniemu profesorowi na przyjaźń z dwudziestotrzyletnią stypendystką. Od tamtego czasu byli w kontakcie, głównie dzięki Internetowi, który okazał się dużo lepszym medium niż staroświeckie listy. Nuria wróciła potem do Stanów, już po ślubie, i zatrzymała się na kilka dni w domu państwa Cameron. Między profesorem a studentką zawiązała się silna więź, wiedzieli o sobie wszystko.

Otworzył e-mail.

I've a pirate treasure and I want to show you.* przeczytał. W sekundę przyszło mu do głowy tysiąc nieprzyzwoitych odpowiedzi, które natychmiast odrzucił. Wystukał na klawiaturze krótką odpowiedź po hiszpańsku: *Nie wiedziałem, że w Toledo jest morze. To pewnie rzeczni piraci.*

- Pańskie mapy, profesorze Cameron - powiedział mężczyzna w białym kitlu cichym głosem, żeby nie przeszkadzać pozostałym czytelnikom, kładąc na stole trzy szesnastowieczne mapy morskie chronione plastikowymi pokrowcami.

Cameron podziękował zdawkowym uśmiechem. Na ekranie laptopa zamigłała odpowiedź. Ponownie otworzył pocztę elektroniczną.

Dziś o 13.05 w Bibliotece Narodowej w Madrycie. Mamy mało czasu. *Spojrzał na zegarek, 13.04. Uśmiechnął się ponownie i napisał: Jestem w Bibliotece Narodowej w Madrycie. Pospiesz się, bo się spóźnisz. Nie czekał długo na odpowiedź: Jestem za twoimi plecami.*

Odwrócił się i ujrzał głowę i czarujący uśmiech Nurii widoczne nad pokrywą laptopa, trzy rzędy za nim. Machała mu wesoło lewą ręką.

Wyszli z biblioteki i znaleźli schronienie wśród stolików stojących w cieniu stuletnich

platanów w ogródku na Castellanie. On zamówił wino, ona swoją ulubioną herbatę, earl greya z lodem.

- Dlaczego Toledo? - zapytał, nalewając sobie drugi kieliszek wina Rioja.

- Bo w Toledo dostałam pracę i dlatego, że wspaniale się tam mieszka - odparła, uśmiechając się szeroko.

- Pięknie wyglądasz - przyznał. - Masz romans?

- Jestem w ciąży. Drugi miesiąc. Wszystkie ciężarne wyglądają ładnie. To jak wewnętrzne światło. - Chyba się z nim droczyła.

- Boże drogi, rzeczywistość zawsze nas przytłacza - udał rozpacz. - Zazdroszczę twojemu mężowi.

- Ja też, zarabia dwa razy więcej niż ja i pracuje dwa razy mniej.

Roześmiali się.

- Nie próbuj mnie uwieść, CC, miałaś swoją okazję.

* Mam skarb piratów i chcę ci go pokazać.

- Córkó szatana, byłem żonaty, a ty właściwie nieletnia. - Uśmiechnął się. Podobało mu się, że Nuria nazywa go CC, używając starego przydomka z czasów uniwersyteckich, które wzięło się od jego podwójnego nazwiska. Dzięki temu czuł się młody.

- Zawsze byłeś prawdziwym bostońskim dżentelmenem - powiedziała, wznosząc toast swoją szklanką z earl greyem z lodem.

- Tak, mój bostoński dżentelmen prześladowuje mnie jak duch. Straszący damy.

- Nie wzbudzisz mojej litości, profesorze Cameronie Coe. Jesteś gotów, żeby wysłuchać mojej historii?

- Gotów. Nie mogę się doczekać. Musi być świetna.

- Nie zawiedziesz się - powiedziała, dopijając herbatę.

Kiedy Nuria skończyła opowiadać o tym, co wydarzyło się w kościele Świętych Filipa i Jakuba, Cameron dopił wino i poprosił o mocną kawę.

- Zakładam, że wszystko, co wydarzyło się w tym miasteczku siedem kilometrów od Toledo, jest prawdą. A robię to dlatego, że nie spróbowałaś wina, jesteś moją byłą studentką i jesteś mi winna szacunek.

- Nie widziałeś wiadomości w Internecie? Następnego dnia była konferencja prasowa, na którą przyszło tylu dziennikarzy, ilu na mecz Madryt - Barcelona. - Cameron spojrzał na nią pytająco. - Jak na finał Super Bowl - wyjaśniła Nuria, a profesor pokiwał ze zrozumieniem głową. - Mówiliśmy o trupie, o rzeźbie Matki Boskiej, o *Navigatio* i o rzekomej relikwii. Arcybiskupstwo wolało nie informować o szczegółach dotyczących anielskiego pióra i włosa. Wiadomość o manuskrypcie była na wszystkich forach uniwersyteckich. Na Boga, Sebastianie, *Navigatio* nie pojawia się codziennie, nawet jeśli jest sfalszowane.

- Dużo podróżowałem w ciągu ostatniego miesiąca. Nie mogłem się podłączyć do sieci - skłamał. - Wiesz, że nie mam czasu na czytanie gazet. Historycy czytają tylko stare dokumenty, rzeczywistość ich nie interesuje, dopóki nie stanie się historią. Tak czy inaczej, dlaczego mi o tym opowiadasz, moja droga? - zapytał, patrząc jej w oczy, podczas gdy mieszał łyżeczką swoją mocną kawę.

- Dlatego, że to najdziwniejsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przydarzyła. Dlatego, że uważam, iż nic nie dzieje się przypadkiem. I dlatego, że znam tylko jedną osobę na świecie, która może rozgryźć zależność między mumią mnicha, Matką Boską Bolesną, falsyfikatem *Navigatio Sancti Brendani abbatis* oraz piórem i włosem anioła.

- Przypuszczam, że twoim zdaniem tą osobą jestem ja - powiedział Cameron niemal

grobowym głosem.

- Bingo.

- Muszę przyznać, że wygląda znacznie ciekawiej niż moja obecna praca dla Disneya i jego *Piratów z Karaibów* numer enty. - Upił łyk kawy. - Mógłbym poświęcić kilka dni na badanie twojego składu z mumiami, matkami boskimi, falsyfikatami i piórami. Ale uprzedzam cię: jestem przekonany, że wyniki moich badań cię zawiodą.

- Zrobisz to? - Jej oczy rozblęły.

- Zrobiłbym, gdybym wiedział, od czego zacząć.

Nuria wyjęła z wypchanej torby notatnik i zaczęła pisać.

- Marta Larripa, dyrektorka Sekcji Konserwacji Ksiąg Dawnych w Bibliotece

Narodowej. To moja przyjaciółka, czeka na twój telefon pod ten numer. Ma *Navigatio*.

Alejandra Recasens, wicedyrektorka Wydziału Medycyny Sądowej. Jest niska, gruba i brzydka, ale mnie uwielbia, bo poznałam ją z jej ostatnim chłopakiem. Ma mumię.

Uprzedziłam ją, że się z nią skontaktujesz. Don Simón, proboszcz z Cobisy, pamiętasz? Ma rzeźbę Matki Boskiej i chętnie cię pozna. Anielskie pióro jest w Watykanie. - Nuria zamilkła.

- Nie masz znajomych w Rzymie, nigdy nie będziemy mogli rozwiązać zagadki.

Koniec pieśni - podsumował Cameron.

- W Rzymie jest twój brat, ambasador. Może otworzyć ci drzwi Watykanu.

- Jego misja kończy się w tym roku - odparł Cameron oschle. Nigdy nie mógł znieść swojego brata ani kobiet, które miały odpowiedź na wszystko i wyciągały je jak królika z kapelusza.

- W takim razie masz doskonały powód, żeby wybrać się do Rzymu przed końcem roku.

Zapomniał, że kobiety miały też zawsze ostatnie słowo.

Cameron zawiózł Nurię samochodem na stację [AVE*](#). Wytwórnia dała mu do dyspozycji potężne audi A6, żeby mógł się swobodnie przemieszczać.

- Daj mi znać, kiedy przyjedziesz do Cobisy. Zjesz u mnie w domu. „Zazdrośnik” chętnie się z tobą spotka - powiedziała, całując go na pożegnanie.

- Będę cywilizowanym gościem, przywiozę wam lokalne słodycze.

Pożegnali się przy odprawie. Po powrocie na parking Cameron z irytacją wyjął zza wycieraczki samochodu coś, co wyglądało na ulotkę reklamową. Już miał ją wrzucić do kosza, kiedy zauważył czerwone kółko zakreślone na kartce i uległ chwytowi

* Hiszpańska szybka kolej.

marketingowemu. Rozprostował kartkę. Było to ksero strony z dziennika „[ABC](#)”*. Ogłoszenia w dziale „Nieruchomości”. Przeczytał zakreślony na czerwono tekst: *Wynajmę zabytkowe mieszkanie w samym centrum. Tylko dla prawdziwych dżentelmenów. Oplata z góry. Kontakt (mieszkanie): Mariló Serrano.* Na końcu podano numer telefonu.

Rozbawiło go to. Było to dziwne ogłoszenie, które pojawiło się w dniu pełnym dziwnych historii. Schował je do kieszeni marynarki.

* ABC” - hiszpański dziennik prawnicowy.

Rozdział III

Navigatio

Capita III. N.S.B.a. Brendanus wybiera czternastu mnichów i wszyscy udają się na czterdziestodniowe modły w górach Galway. Poszczą i umartwiają się, aby przygotować ciała i wolę na wielką próbę, która ich czeka.

Biuro Marty Larripy znajdowało się na ostatnim piętrze Biblioteki Narodowej i stanowiło idealne miejsce do pracy. Miało wysoki sufit w stylu epoki, w której zostało

skonstruowane, i było dobrze oświetlone dzięki dużym oknom, a jego użytkowniczka zapełniła je roślinami, co jest typowe dla osób o zrównoważonym charakterze.

Poza tym mieszkanka biura częstowała swoich gości doskonałą kawą. Była to interesująca mieszanka kawy kolumbijskiej i tureckiej, którą Marta przygotowywała własnoręcznie na piecyku.

- To zabronione. Piecyk - wyjaśniła. - Kawa nadal jest dozwolona, chociaż w tym kraju pozwalają nam na coraz mniej słabości. Ten rząd chce koniecznie, żebyśmy skończyli jako doskonale zachowane trupy.

- Proszę się nie martwić. Cała Europa kopiuje to, co najgorsze w amerykańskim *way of life*, proszę nie myśleć, że tutejsi rządzący są bardziej pomysłowi niż cała reszta.

Od razu się polubili. Rozmawiali o sprawach nieistotnych i o polityce. O madryckim upale i zmianie klimatycznej. O urodzie budynku, w którym pracowała Marta, chociaż jej gość musiał przyznać, że każdy kamień liczący więcej niż sto lat jest w stanie zaskoczyć Amerykanina, i o ich wspólnej przyjaciółce Nurii.

- Poznali się państwo w Ameryce, prawda?

- Była stypendystką Fullbrighta. Jedną z najlepszych - przyznał z cieniem dumy.

- Proszę, a teraz spotkali się państwo w Hiszpanii, a pan najwyraźniej jest zainteresowany *Navigatio*, które znaleziono w maleńkim miasteczku pod Toledo.

- Tak naprawdę uważam się za przedstawiciela pani przyjaciółki - odpowiedział, dopijając kawę. - Muszę jednak przyznać, że ta sprawa mnie zaciekała. Wasze *Navigatio* stanowi zaskakujący element historii, która najwyraźniej jest zupełnie pozbawiona sensu. Co udało się pani ustalić w kwestii manuskryptu?

- To falsyfikat - odparła bez cienia wątpliwości.

- Nasza wspólna znajoma jest tego samego zdania. Obawiam się, że w tej sytuacji nie

mamy o czym rozmawiać. - Nawet tego żałował. Nie będzie miał czasu, żeby wypić kolejną filiżankę tej fantastycznej kawy.

- Książka ma nie więcej niż siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat. Na pewno nie tysiąc czterysta pięćdziesiąt trzy, na jakie wskazuje data z ostatniej strony.

- A więc zwykła kopia *Navigatio*.

- Właśnie tutaj zaczynają się problemy, profesorze Cameron. Nie jest zwykła i nie jest kopią.

- Pani uwaga każe mi się domyślać, że na horyzoncie majaczy przygoda - powiedział z zadowoleniem. - Chętnie wypiję jeszcze jedną filiżankę pani wyśmienitej kawy, żeby móc dalej pani słuchać.

Marta dobrze się bawiła w towarzystwie Amerykanina.

- Nie jest zwykła, bo ten, kto sfalszował dokument, bardzo się przyłożył do pracy - podjęła swoje wyjaśnienia, ostrożnie odstawiając na piecyk dzbanek, z którego nalała mu kawy. - I nie jest kopią - powiedziała, patrząc mu w oczy - bo w niczym nie przypomina żadnego znanego *Navigatio*.

- Proszę zacząć od początku.

Marta zwinnie usiadła na biurku naprzeciwko niego, krzyżując z wdziękiem nogi w obcisłych dżinsach. Podobały mu się jej sandały, opalone stopy i paznokcie pomalowane na kolor ciemnego wina. Podjął próbę skupienia się na powrót na temacie rozmowy.

- Zacznijmy od wyglądu księgi. Okładka jest zrobiona ze skóry dorosłego wołu, Angus Iris, najstarszej irlandzkiej rasy.

- Święty Brendanus czy Borondón, jak wy go nazywacie, był Irlandczykiem - przypomniał głośno Cameron. - Wszystkie okładki faksymiliów datowane na rok pięćsetny były wytwarzane ze skóry dorosłych zwierząt, co gwarantowało, że pozostaną sztywne i będą

chronić strony. To wzruszające, że fałszerz użył skóry irlandzkiego zwierzęcia.

Przypuszczam, że chciał, żeby księga uchodziła za jedną z pierwszych, w końcu pierwsze kopie *Navigatio* pojawiły się w Irlandii. Nasz uzurpator był drobiazgowy.

- Nawet pan sobie nie wyobraża do jakiego stopnia - przyznała Larripa. - Zamówiłam analizę skóry zwierzęcia. Należała do wołu czystej krwi, rzadkiego egzemplarza pierwotnej rasy. Poprosiłam irlandzkie Ministerstwo Rolnictwa o informację na temat jakiegokolwiek stada o takich cechach, które byłoby hodowane w ich kraju. Jeszcze mi nie odpowiedzieli.

- Jakich substancji chemicznych użyto, żeby ją postarzyć? - zapytał Cameron.

- To kolejna niespodzianka. Nie ma śladu substancji chemicznych. Dokumentu nie poddano żadnym procesom mającym go sztucznie postarzyć.

- A strony?

- Skóra cielęca, z bardzo młodego egzemplarza. Z Angus Iris, tak samo jak okładka, i równie czystego genetycznie. Wszystkie kartki zostały poddane obróbce rzemieślniczej, nasączone roztworem z wapna, dokładnie wytarte z sierści po obu stronach, wygładzone sproszkowanym pumeksem, pocięte, złożone i zszyte na sposób rzymski.

- Pismo?

- Rękopis, klasyczna łacina, styl kaligraficzny charakterystyczny dla epoki. To najszybsze pociągnięcia piórem, jakie widziałam w sfałszowanym piśmie. Ten człowiek pisał z wprawą mnicha z szóstego wieku. Wiemy nawet, że pisał piórem gęsim, dzięki mikroskopijnym cząsteczkom, które znaleźliśmy w zagłębieniach skóry.

- A więc atrament - zaryzykował Cameron przytłoczony nadmiarem doskonałości.

- To nie jest żaden chemicznie wyprodukowany atrament. - Konserwatorka pokręciła przecząco głową. - To mieszanka soli żelaza, galasu orzecha i olejków naturalnych.

Dokładnie taka, z jakiej produkowano atrament w Europie w szóstym wieku.

- A może popełniono błąd podczas datowania? - Profesor zaczął mieć wątpliwości.

- Trzy próby węglem czternaście, w trzech różnych laboratoriach. Nasze *Navigatio* ma nie więcej niż osiemdziesiąt lat. Musiało powstać między tysiąc dziewięćset trzydziestym a tysiąc dziewięćset czterdziestym rokiem. I to zakładając duży margines błędu.

- Jaka jest pani opinia?

- Zostało napisane między tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym a trzydziestym szóstym. Facet potrzebował na to prawie roku, co można stwierdzić po procesie schnięcia atramentu. Napisanie *Navigatio* zajęło fałszerzowi tyle samo czasu, ile potrzebowałby mnich w szóstym wieku na zapisanie podobnej liczby stron.

Zapadła cisza. Cameron potrzebował kilku sekund, żeby przyswoić sobie nadmiar niespójnych informacji. Dla swojego własnego dobra postanowił nie wyciągać na razie wniosków.

- Tysiąc dziewięćset trzydziesty szósty jest bardzo odległy od szóstego wieku - podsumował ze zdumieniem. - Sądząc po szczegółach, o których mi pani opowiada, muszę przyznać, że, jak mnie pani uprzedziła na początku, nie mamy do czynienia ze zwykłym fałszerstwem *Navigatio*.

- Powiedziałam panu również, że to nie jest kopia - przypomniała mu z olśniewającym uśmiechem.

- Jestem gotów na dalsze niespodzianki - powiedział, chociaż nie był tego wcale taki pewien.

- Pierwsze znane *Navigatio Sancti Brendani abbatis* pojawia się w ósmym wieku, dwieście lat po śmierci jego bohatera, świętego Borondóna, świętego Brendana czy Brendanusa, jak pan woli. Z czasem *Navigatio* stało się prawdziwym bestsellerem tamtej epoki. W dziesiątym wieku napisano trzy nowe wersje, czternaście w wieku jedenastym,

dwadzieścia dziewięć w wieku trzynastym, dziewiętnaście w czternastym i dwadzieścia osiem w piętnastym. Zna pan oryginalną strukturę tego dzieła?

- Dwadzieścia dziewięć *capita* zawierających opis podróży świętego Brendanusa i czternastu mnichów na wątlej *curragh** w poszukiwaniu *repromissionis sanctorum*, ziemskiego raju. - Cameron również przygotował się na to spotkanie. - *Navigatio* - ciągnął - łączy w sobie wiele tradycji, chociaż w tekście dominują elementy celtyckie, czasem zanieczyszczone wpływami wczesnego chrześcijaństwa, czasem nie. Można powiedzieć, że pod cienką warstwą wiary chrześcijańskiej opowieść ta opiera się na elementach pogańskich. W rezultacie mamy do czynienia raczej z opowieścią o przygodach głównego bohatera niż z narracją dotyczącą podróży duchowej.

Cameron upił łyk kawy, patrząc na Martę z rozbawieniem.

- Mam nadzieję, że udało mi się pani zaimponować.

- Rzeczywiście - przyznała. Zeskoczyła lekko z biurka, otworzyła jedną z obszernych szuflad i wyjęła z niej gruby dokument, który podała swojemu gościowi.

- To jest kopia *Navigatio* znalezionej w Cobisie. Kazałam je zeskanować i wydrukować. Chciałabym, żeby pan ją dokładnie przeczytał, i będę zaszczycona, jeśli zechce pan podzielić się ze mną swoimi uwagami.

- Może pani na mnie liczyć, zwłaszcza jeśli w naszym następnym spotkaniu weźmie udział pani kawa.

Marta odprowadziła go do wyjścia. Pożegnali się w obszernym holu przy wejściu do biblioteki, obok ogromnego pomnika Menéndeza Pelayo, w ciepłym świetle wieczornych promieni, które wpadały przez okrągłe okno umieszczone piętnaście metrów nad ich głowami.

- Chciałabym pana uprzedzić, że to *Navigatio* ma niewiele wspólnego z tymi, które

znaliśmy do tej pory.

* *Curragh* - tradycyjna łódź irlandzka, o której wspominają Pliniusz i Juliusz Cezar. Była budowana z

drewnianego szkieletu okrytego wołowymi skórami i uszczelnianego smołą lub tłuszczem zwierzęcym.

- Nie mogę się doczekać, kiedy je przeczytam. - Nie był tego wcale pewien, ale uznał, że powinien się jakoś odwdzińczyć swojej gospodyni.

- Musi pan wiedzieć o jeszcze jednym żarcie naszego fałszerza: opowieść jest podpisana przez jej autora, na ostatniej stronie. Podpis należy do człowieka o imieniu Mobi Broen Finn.

- Nie znam tego autora - przyznał Cameron.

- Mobi Broen Finn to irlandzkie imię świętego Brendana.

Rozdział IV

Mumia mnicha

Capita IV. N.S.B.a. Anioły pomagają Brendanusowi narysować plany

łodzi, *curragh*, która zostanie wybudowana w stocznjach Galway.

Cameron źle spał poprzedniej nocy. Z radością powitał powiew świeżego powietrza, nawet jeśli było to powietrze rozgrzane asfaltową ulicą Madrytu w samym środku lipca.

Spotkanie z Martą Larripą wywarło na nim większe wrażenie, niż mógł się tego

spodziewać. Będąc w biurze pani wicedyrektor Sekcji Konserwacji Ksiąg Dawnych w

Bibliotece Narodowej, czuł niepokój. Nie z powodu Marty, która była uroczą blondynką

pozostającą w doskonałej symbiozie ze swoimi dzinsami. Szkoda, że miała chłopaka, jak

wszystkie urocze blondynki świetnie wyglądające w dzinsach. Być może dlatego odrzuciła jego uprzejme zaproszenie na kolację.

Po spotkaniu z konserwatorką doszedł do dwóch wniosków. Po pierwsze, nie mógł jej

uwieść ani mieć z nią romansu. Po drugie, ta historia zaczynała go przyprawiać o zawroty głowy.

Profesor Cameron był szczególnie związany ze swoim żołądkiem. Kiedy ten chciał go ostrzec przed niebezpieczeństwem, kurczył się w charakterystyczny sposób. Nigdy go przy tym nie zawiódł. Był to rodzaj szóstego zmysłu. Poczul niepokój w żołądku, gdy tylko wyszedł z Biblioteki Narodowej. Schował kopię *Navigatio* do sejfów w pokoju hotelowym. Na razie nie miał zamiaru go czytać. Mimo że umierał z ciekawości. Pochłaniał go absurdalny wewnętrzny konflikt, ale postanowił, że nie podejmie lektury rękopisu dopóty, dopóki nie zdobędzie więcej informacji o pozostałych przedmiotach odnalezionych za fałszywą ścianą w kościele w Cobisie.

Szukanie nowych informacji było równoznaczne z odbyciem kolejnej wizyty, jaką wyznaczyła mu Nuria. Miał spotkanie z lekarką sądową, Alejandrą Recasens. „Niska, gruba i brzydka” - przypomniał sobie określenie swojej byłej uczennicy. Nawet się z tego cieszył, biorąc pod uwagę spadek formy w dziedzinie uwodzenia.

Wstukał adres do GPS swojego audi: cel pojawił się na mapie natychmiast. Instytut Medycyny Sądowej znajdował się w kampusie uniwersyteckim w Madrycie, w budynku należącym do Wydziału Medycyny. Aby dotrzeć do celu, musiał tylko podążać za instrukcjami kobiecego głosu zamkniętego w krzemowym mikroczipie. Piętnaście minut później Cameron zaparkował swoje okazałe audi na prywatnym parkingu instytutu, powiadomiwszy wcześniej strażnika, że ma spotkanie z doktor Recasens, wicedyrektorką tej instytucji.

Wprowadzono go do anonimowej poczekalni. Wydała mu się bardzo odpowiednia dla siedziby Instytutu Medycyny Sądowej. Była pozbawiona jakichkolwiek elementów dekoracyjnych, które mogłyby nawiązywać do uczuć czy emocji, zupełnie jak materiał, na

którym pracowali tutejsi pracownicy.

Właśnie przeglądał podniszczony egzemplarz starego numeru „Gali”, kiedy do sali weszła kobieta. Trzydzieści parę lat, brunetka, o imponującym wyglądzie. Miała piękny uśmiech i wspaniałe brązowe oczy obiecujące inteligentne dyskusje.

Cameron odniósł wrażenie, że przeczuwa w jej wzroku tygrysi skok.

Podskoczył jak oparzony, widząc, że wyciąga do niego rękę.

- Profesor Cameron, jak sądzę - powiedziała wesoło.

- Tak, czekam na spotkanie z panią doktor Recasens - odparł, przypatrując jej się uważnie. Jeszcze pięć sekund i to spojrzenie przekroczyłoby normy dobrego wychowania.

- Właśnie się pan ze mną spotyka. To ja jestem doktor Alejandra Recasens Trueba. -

Wyglądała na rozbawioną.

- Pani? - Nie mógł ukryć zdumienia.

Oczy pani doktor rozbłysły, a jej piękny uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- No tak. - Najwyraźniej zrozumiała przyczynę zmieszania gościa. - „Niska, gruba i brzydka”. To ulubiony opis mojej osoby, jakim posługuje się Nuria. Powinna poddać się psychoanalizie, za tym żartem na pewno kryje się jakiś dziecięcy uraz.

- Rzeczywiście, ma się nijak do pani wyglądu. - Jego spojrzenie przestało mieć cokolwiek wspólnego z dobrym wychowaniem.

- Jeśli puści pan moją rękę, będzie nam wygodniej iść do miejsca, gdzie chciałabym odbyć z panem rozmowę, profesorze Cameron. - Nadal uśmiechała się do niego bez skrępowania. Doktor Recasens musiała być przyzwyczajona do wywoływania dużego wrażenia na heteroseksualnych egzemplarzach płci przeciwnej.

- Proszę mi wybaczyć... - powiedział, puszczając jej rękę, jakby pod wpływem impulsu elektrycznego. - Nuria zawsze miała dziwne poczucie humoru. Nie spodziewałem

się...

- Proszę się nie przejmować. Pana określiła jako zgrzybiałego starca. Ten opis również ma niewiele wspólnego z pańskim wyglądem - próbowała go pocieszyć Alejandra.

- Jest pani bardzo miła, ale obawiam się, że opis mojej osoby był znacznie bliższy prawdy niż opis pani. - Pomyślał z zakłopotaniem, że zaraz zarumieni się jak pensjonarka. Przeklął naturę za utrzymywanie w ciele pięćdziesięcioletniego mężczyzny przyzwoitych poziomów testosteronu.

Pani doktor skrzyżowała z wdziękiem ramiona, co jeszcze podkreśliło jej figurę.

- Co pan powie na to, żebyśmy zamknęli etap prezentacji i komplementów i zabrali się do pracy?

- To świetny pomysł - odparł profesor. - Jestem strasznie spięty.

- Proszę za mną - powiedziała, obracając się z wdziękiem na pięcie i ruszając przed siebie.

- Idziemy do pani gabinetu? - zapytał, doganiając ją.

- Nie. Do laboratorium Antropologii Sądowej. Przygotowałam boks dla naszej trójki.

- Trójki? - zapytał profesor ze zdumieniem.

- Dla pana, mumii i dla mnie.

* * *

Przed wejściem do boksu musieli się przebrać: białe kitle, plastikowe ochraniacze na buty i włosy oraz maseczki. „To wysterylizowane pomieszczenie, zmumifikowane zwłoki są bardzo delikatne”, wyjaśniła pani doktor.

Boks był pomieszczeniem wybudowanym z paneli, obszernym, dobrze oświetlonym i sztucznie wentylowanym. Na aluminiowym blacie leżało nagie ciało mnicha.

- Znaleźli go w takim stanie? - zapytał Cameron.

- Nie. Był ubrany w habit zakonny i sandały. Rozebraliśmy go do autopsji. Nasz

braciszek okazał się prawdziwą skarbnicą niespodzianek.

- Co ma pani dokładnie na myśli? - Amerykanin zaczął odczuwać niejasne déjà vu.

- Mogę nagrać tę rozmowę? - zapytała Alejandra, wyjmując z kieszeni kitla mały

dyktafon i naciskając mikroskopijny przycisk oznaczony czerwonym kolorem.

Doktor Recasens zaczęła mówić do dyktafonu, zakładając milczącą zgodę towarzysza.

Podawała datę i godzinę nagrania. Przedstawiła również profesora Camerona z Uniwersytetu w

Bostonie jako świadka raportu. Wymieniła datę przyjęcia ciała do instytutu i określiła jego

pochozenie.

- Dobrze, teraz streszczę panu, panie Cameron, wszystko, co mi opowiedziało to ciało,

które będziemy nazywać „Cobisa jeden”.

Sebastian obserwował ją z uwagą.

- Mężczyzna, typ kaukaski, dwadzieścia osiem lat, około stu siedemdziesięciu

centymetrów wzrostu. W chwili śmierci miał niedowagę. Z analizy uzębienia, kości, mięśni i

jelit można wnioskować, że w ciągu całego życia cierpiał poważny głód i często nie dojadł.

Skolioza kręgosłupa i analiza skóry świadczą o wielu nocach i dniach przeżytych i

przespanych pod gołym niebem. Po wewnętrznej stronie lewego przedramienia znajduje się

tatuaż...

- Tatuaż? - przerwał jej Cameron.

- W rzeczywistości jest to raczej skaryfikacja - wyjaśniła Alejandra. - Małe nacięcia

skóry, w które wprowadzono mieszankę atramentu i popiołu. Linie tworzą coś w rodzaju

słów. Zrobiliśmy zdjęcia tej części ramienia, podretuszowałam je i przesłałam lingwistom.

Chce pan na nie spojrzeć?

Cameron przytaknął ruchem głowy. Pani doktor otworzyła stojącego za nią laptopa i

sprawnie odnalazła folder zawierający zdjęcia wytatuowanego przedramienia. Pokazała mu na ekranie rezultat ostatniego retuszu. Rzeczywiście, toporna skaryfikacja na pergaminowej skórze mnicha zamieniła się teraz w czyste linie. Zdawało się, że tworzą słowa i zdania w dziwnym języku.

- Aramejski - mruknął historyk, nie mogąc ukryć zdumienia.
- Zna pan aramejski? - Lekarka również wyglądała na zaskoczoną.
- Nie - przyznał - ale potrafię go rozpoznać na piśmie. To aramejski.
- Dobrze, jeśli to jest jakiś znany język, moi eksperci go przetłumaczą. - Pani doktor odzyskała swoją przytłaczającą pewność siebie. - Za kilka dni poznamy znaczenie tych słów.
- Mnich pełen niespodzianek - zauważył Amerykanin.
- W każdym razie to był na pewno ciekawy gość - przyznała Alejandra.
- Dlaczego został zmumifikowany? - Może to był jakiś trop.
- Fałszywa ściana w kościele stworzyła prawdziwy mikroklimat. W czasie siedemdziesięciu dwóch lat zamknięcia nieboszczyk przebywał w suchym otoczeniu o stałej temperaturze. Idealne warunki do mumifikacji ciała.
- A więc nie było żadnego procesu chemicznego.
- Zdecydowanie nie. To naturalna mumifikacja.
- Zginął wskutek zamurowania?
- Nie. Ci, którzy złożyli go za ścianą umieścili za nią trupa.

Profesor zrobił minę wyrażającą niedowierzanie i zdumienie.

- Nie umarł jednak śmiercią naturalną. Nasz mnich zginął na skutek obrażeń.

Burmistrz Cobisy był bardzo zainteresowany tym aspektem sprawy.

- Uważa, że po miasteczku kręcą się dziewięćdziesięcioletni mordercy?
- Nie sądzę. Ale martwią go protokoły przewidziane przez niedawno uchwaloną

Ustawę o pamięci historycznej. Nie jest zachwycony myślą, że w jego miasteczku pojawił się trup księdza rozstrzelanego przez republikanów w czasie wojny domowej. W zeszłym roku, w Alcalá de Henares, znaleziono rów pełen studentów seminarium, dewotek i czytelników „ABC”. Obawiano się nawet, że wśród szczątków znajdowało się ciało Andreu Nin*. Razem z moim zespołem robiłam autopsję tych ciał - powiedziała, patrząc mu w oczy - i nawet pan sobie nie wyobraża, jakie naciski wywierało na nas ówczesne ministerstwo**. Próba manipulowania historią jest zawsze ryzykowna, nigdy nie można całkiem wymazać tej części, która nam się nie podoba. Ale nie chcę pana zanudzać szczegółami naszej nieszczęsnej polityki narodowościowej. - Zakończyła swój komentarz grymasem zniechęcenia. Cameron nie przestawał jej obserwować i coś mu mówiło, że nie chciałby być w skórze ministra, kiedy rozmawiał z tą kobietą.

- Wspomniała pani o dwóch osobach - wrócił do głównego wątku.

- Tak - podjęła. - Wiemy, że dwie osoby umieściły ciało tam, gdzie je znaleźliśmy siedemdziesiąt dwa lata później. Zostawiły ślady swojego DNA na ubraniu i ciele naszego mnicha. Było to dwóch mężczyzn, nazwaliśmy ich „Cobisa dwa” i „Cobisa trzy”.

- Kiedy zginął?

- Około jedenastej w nocy, osiemnastego lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku.

- Jest pani bardzo pewna tej daty.

- Mamy tu jedno z najlepszych laboratoriów medycyny sądowej w Europie, profesorze Cameron - odparła, nie próbując ukryć dumy.

- W tym czasie w Hiszpanii zaczęło umierać wielu ludzi - zauważył Amerykanin. - Rzeczywiście został rozstrzelany?

- Proszę podejść - powiedziała, stając u szczytu stołu. - Widzi pan ten otwór pod

lewym ramieniem?

- Wystrzał? - zaryzykował Cameron.

- Tak się wydaje na pierwszy rzut oka. Wystrzał ułatwiłby nam pracę - przyznała. -

Ale nie, to nie wystrzał zakończył życie „Cobisy jeden”. To rana kłuta spowodowana bronią z żelaza. Był to prawdopodobnie cienki oszczep, o około piętnastu milimetrach średnicy,

* Andreu Nin - trockista i szef POUM, zatrzymany, torturowany i zamordowany przez komunistów w czasie jednego z najciemniejszych okresów „brudnej wojny wewnętrznej” prowadzonej przez władze Republiki.

** Chodzi prawdopodobnie o ministerstwo w rządzie prawicowej Partii Ludowej (Partido Popular).

bardzo ostrym czubku i obłym kształcie, który przeszył ciało na wylot. - Odwróciła się, żeby

z leżącej na pobliskim biurku teczki wyjąć wydruk z komputera, który następnie podała

profesorowi. - To jest trójwymiarowa rekonstrukcja przedmiotu, który zabił naszego

przyjaciela. Albo raczej część broni, która przeszła jego ciało, dwadzieścia osiem

centymetrów ostrego walca z żelaza. To był gwałtowny atak, czegokolwiek użyto, żeby wbić

to w ciało i następnie wyszarpnąć. Tak gwałtowny, że czubek broni uderzył w skałę o

wysokiej zawartości malachitu, którą ofiara musiała mieć za plecami. Znaleźliśmy ten minerał

w ranie, został tam, kiedy atakujący wyszarpnął broń.

Cameron słuchał wyjaśnień lekarki, przyglądając się jednocześnie rekonstrukcji

dziwnego przedmiotu, której wydruk trzymał w ręku.

- Strzała?

- Nigdy nie produkowano strzał z żelaznymi grotami, profesorze. Poza tym końcówka

nie jest zagięta. To była broń stworzona do tego, aby przeszyć ciało i szybko ją wyszarpnąć,

co widać po kształcie czubka: niemal wyprofilowany owal. To wyklucza również harpun.

- Lanca? - zasugerował.

- Nasz przemysł zbrojeniowy w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym nie był zbyt

zaawansowany, to prawda. Ale od dawna nie używaliśmy lanc w walce - odparła ze złośliwym uśmiechem. - Sądzę, że to raczej jakiś typ bagnetu. Nadal to sprawdzamy.

- Wspomniała pani, że to żelazo... - zauważył Cameron. - Że broń była z żelaza.

Wydawało mi się, że w dwudziestym wieku wszystkie bagnety były robione ze stali.

- Powiedziałam panu, że to sprawdzamy, profesorze.

Jednak po raz pierwszy w głosie lekarki dało się wyczuć cień niepewności.

- Mogę zatrzymać tę rekonstrukcję?

- Oczywiście. Jeśli wpadnie pan na inny pomysł, chętnie go poznam.

- A więc to go zabiło?

- Z całą pewnością to było przyczyną jego śmierci. Bagnet... - Zauważyła pytający

wzrok Camerona. - Czy cokolwiek to było - przyznała - spowodował brzydką ranę. Gdyby

otrzymał natychmiastową pomoc lekarską, mógłby przeżyć. Ale tak się nie stało. „Cobisa

jeden” cały czas się ruszał, prawdopodobnie próbował uciec przed swoim zabójcą i umarł od

upływu krwi, prawie dwie godziny po tym, jak został zaatakowany.

- Został zabity przez tych, którzy go zamurowali?

- To możliwe. Ale nigdy się tego nie dowiemy, jeśli nie przeprowadzimy analizy

narzędzia zbrodni i nie sprawdzimy, czy znajdujące się na nim odciski lub ślady DNA

zgadza się z tymi, które znaleźliśmy na ubraniu i ciele mnicha... A broń zaginęła

siedemdziesiąt dwa lata temu.

Cameron czytał w jej oczach, że sprawa jest zamknięta.

- Czy istnieje jakaś zależność między mnichem a przedmiotami znalezionymi za

fałszywą ścianą?

- Według raportu moich kolegów z kryminalistyki odciski palców „Cobisy jeden”

znajdują się na relikwii i na książce, które noszą również ślady palców „Cobisy dwa” i

„Cobisy trzy”. Na rzeźbie Matki Boskiej znaleźliśmy tylko ślady „Cobisy dwa” i „Cobisy trzy”.

- Czy kiedykolwiek się dowiemy, co się wydarzyło tamtej nocy w kościele Świętych Filipa i Jakuba? - W pytaniu Camerona brzmiał niemal żalony ton, kiedy patrzył na szczątki mnicha, jakby próbując odnaleźć niezauważoną dotąd poszlakę, która pozwoliłaby mu rozwiązać zagadkę.

- Mogę zaryzykować częściową rekonstrukcję wydarzeń, ale jest tylko częściowa i subiektywna - przyznała wicedyrektorka. Myślała o tym setki razy. - Sądzę, że mnich był opiekunem relikwii i rękopisu. Został zaatakowany daleko od kościoła, może dwie godziny drogi od miasta. Proszę pamiętać, że w tym czasie wykrwawiał się i dokonywał dużego wysiłku. Nie wiem, czy mężczyźni, którzy go pochowali, byli jego zabójcami, czy też samarytanami, którzy nie mogli go uratować, bo znaleźli go zbyt późno.

Cameron oparł dłoń o metalowy blat stołu. Drugą potarł czoło.

- Im więcej wiem o tej sprawie, tym bardziej jestem zagubiony. Nie mam instynktu Sherlocka Holmesa.

- Proszę tu nie odgrywać załamania nerwowego. Nie wygląda pan na kogoś, kto się poddaje przy pierwszej lepszej okazji.

Gdyby w przyszłości szukał pocieszenia, nie powinien pukać do drzwi Alejandry.

- A czy habit może nam podsunąć jakieś poszlaki? - Oparł się dwiema rękami o stół, jak ukarany bokser, który chwyta się lin, zanim wróci na środek ringu.

- Habit powoduje tylko dodatkowy ból głowy - przyznała lekarka. - Jest wykonany w tak prymitywny sposób, że mógłby być kopią dawnych habitów benedyktyńskich. Został zrobiony z wełny...

- Irlandzkiej owcy - przerwał jej Cameron.

- Skąd, u licha, pan to wie? - Jej twarz wyrażała zdumienie.
- Ja również mogę się zdobyć na częściową rekonstrukcję wydarzeń - odparł z rozbawieniem, dumą i nareszcie, triumfem.
- Tak, habit został wykonany z irlandzkiej wełny - przyznała. - Jego sandały - powiedziała, patrząc na niego spod oka - zostały wykonane ręcznie...
- Są zrobione ze skóry dorosłego irlandzkiego wołu. Angus Iris - zaryzykował, wiedząc, że ryzykuje niewiele.
- Zakładam, że potrafi pan to wyjaśnić. - Pani doktor znów skrzyżowała ramiona, przyglądając mu się z rozbawieniem i zaciekawieniem zarazem.
- Przyznaję, powinienem podzielić się z panią wynikami mojego śledztwa. Może da się pani zaprosić na kolację i ciąg dalszy tej rozmowy przy butelce dobrego wina?
- Od niedawna jestem w związku, profesorze Cameron. Spotykam się z cudownym Szwedem, którego zazdroszczą mi wszystkie przyjaciółki i w którym jestem chyba zakochana. Najlepiej będzie, jeśli umówimy się na obiad razem z nim.
- Zgodzę się więc na obiad, jako rekompensatę za moją porażkę. Czy ubranie mnicha dostarczyło nam jeszcze jakichś niespodzianek?
- Tak. I tym razem mnie pan nie ubiegnie. „Cobisa jeden” dużo podróżował. Na jego habicie znaleźliśmy ślady pyłku *Campanuli virginalis*.
- Nigdy nie byłem dobry z botaniki.
- *Campanula virginalis* zwany dzwoneczkiem Matki Boskiej to dziki kwiat rosnący jedynie w Izraelu. Kwitnie tylko wiosną. Proszę o tym pomyśleć przed obiadem - powiedziała z olśniewającym uśmiechem.

* * *

Uścisnęli sobie dłonie w obszernym holu Szkoły Medycznej, w której budynku

mieścił się Instytut Medycyny Sądowej.

- Proszę mi powiedzieć jedną rzecz, Alejandro. - Profesor nie mógł poskromić ciekawości. - Dlaczego jest pani wicedyrektorką, a nie dyrektorką? Jest pani przecież profesjonalistką i proszę tym razem nie traktować tego jak komplementu. To raczej diagnoza.

- Coś panu powiem, Sebastianie. Jestem kobietą, jestem ładna i nie jestem głupia. To kombinacja, która przeraża dziewięćdziesiąt dziewięć procent mężczyzn, łącznie z moim szefem. To niesprawiedliwe, ale dość pospolite.

- A kim jest pozostały procent mężczyzn, którzy się pani nie boją?

- Są Szwedami.

Kiedy wrócił na parking po swój samochód, zauważył, że zza wycieraczek sterczy ulotka reklamowa. Wystawa *Rzymski Madryt* w Muzeum Sztuki Naturalnej. Otworzył ulotkę z zaciekawieniem, kierując się w stronę kubła na śmieci, do którego chciał ją wrzucić.

Nagle uderzenie adrenaliny przyspieszyło jego puls, kiedy zobaczył kółko zakreślone czerwonym flamastrem, które zaznaczało jedną z sekcji wystawy: *Uzbrojenie legionów*.

Spojrzał na zegarek. Była dwunasta. Miał dość czasu, żeby pójść na wystawę i wrócić po doktor Recasens, by zabrać ją na obiad.

* * *

Oparł kartkę z wydrukiem trójwymiarowego modelu przedmiotu, który przyczynił się do śmierci mnicha, o szybę dużej witryny. Widniał za nią manekin rzymskiego legionisty naturalnej wielkości. Żołnierz stał w pozycji „spocznij” i był wyposażony we wszystko, co potrzebne do walki. Cameron porównał kilkakrotnie przedmiot z wydruku z bronią trzymaną w rękę przez legionistę. Nie miał cienia wątpliwości. Teraz wiedział już na pewno, czym zamordowano „Cobisę jeden”. Został zaatakowany rzymskim pilum*.

* Pilum - obok szabli (gladius) element podstawowego uzbrojenia rzymskiego legionisty. Używano

dwóch rodzajów pilum: lekkiego i ciężkiego. Czubki tych oszczepów miały obły kształt, co pozwalało wbić je

głęboko w ciało wroga i szybko wyszarpnąć broń.

Rozdział V

Matka Boska Bolesna

Capita V. N.S.B.a. Trzech nowych mnichów przybywa do opactwa. Proszą

Brendanusa, żeby udzielił im schronienia. Opat pozwala im zostać, chociaż już wyśnił ich nieszczęsny los.

Cameron dotarł z Madrytu do Toledo nowoczesną płatną autostradą łączącą oba miasta. Musiał przyznać, że Hiszpania zaskakiwała go za każdym razem, kiedy do niej wracał. Kraj rozwijał się w błyskawicznym tempie. Dla znawcy historii Hiszpanii, takiego jak on sam, jej rozwój był zaskakujący. Naród sięgnął dna w XIX wieku, kiedy stracił ostatnie pozostałości imperium na rzecz współobywateli Camerona. Kraj został wyniszczony przez wojnę domową w latach trzydziestych poprzedniego wieku. Hiszpania była odgradzona od świata przez dyktaturę, a teraz, nieco ponad pół wieku po tym, co wyglądało na początek jej końca, stała się nowoczesnym i dynamicznym krajem.

Hiszpańska sieć autostrad była nie tylko porównywalna z drogami niemieckimi czy włoskimi, ale też w większości bezpłatna. Lotniska rozwijały się i były wciąż unowocześniane, nowy terminal na madryckim Barajas mile go pod tym względem zaskoczył.

Tego ranka zastanawiał się nad wybraniem szybkiej kolei jadącej do Toledo, jednak odrzucił tę możliwość, nie chcąc męczyć Nurii czy brać taksówki z dworca do miasteczka Cobisa. W oczach przyjezdnych Hiszpania była młodym, rozwijającym się krajem. W oczach historyka stawała się symbolem przyspieszonego procesu odnowy, który innym narodom zająłby wieki, o ile wcześniej po prostu by nie zniknęły z powierzchni ziemi. Poczł ukłucie

zazdrości obleczone we flagę w gwiazdy i paski. Musiał przyznać, że pod pewnymi względami Stany Zjednoczone miały się gorzej niż jego odświeżona europejska gospodyni. Nuria nalegała, żeby wsiadł w AVE („w ciągu dwudziestu minut będziesz właściwie pod bramą miasta”), ale Cameron odrzucił jej propozycję. Po śmierci żony obiecał sobie, że nigdy więcej nie będzie zależny od innego osobnika płci przeciwnej. Ani emocjonalnie, ani w żaden inny sposób. „To oznaka braku pewności siebie wymieszanego z twoim tradycyjnym egoizmem”, uznała jego córka.

Być może jej diagnoza była słuszna.

Miał to w nosie.

Czuł się dobrze sam z sobą. Tak naprawdę był sam od bardzo dawna. Jego małżeństwo zdążyło umrzeć, jeszcze zanim umarła żona.

Audi Camerona sunęło z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę po doskonale wyprofilowanej nawierzchni autostrady. „Jeśli panele się nie świecą, to znaczy, że radary są nieaktywne, nie ma nawet policji na posterunku”, zdradził mu operator pobierający opłaty za autostradę. Za to właśnie kochał ten kraj, mogli udawać nowoczesnych i dynamicznych, ale w każdym z jego mieszkańców mieszkał anarchista gotów złamać zasady. Podejrzewał zresztą, że ta postawa była tajemnicą ich sukcesu.

Jadąc między rozległymi polami zboża czekającego na sianokosy, próbował sobie przypomnieć jakąś szczęśliwą chwilę ze swojego małżeństwa. Nie był w stanie, nie potrafił przywołać w pamięci twarzy Maggie. Postanowił nie robić sobie z tego powodu wyrzutów. Tak się sprawy ułożyły, nie można zmienić przeszłości. Próbował dodać sobie otuchy. Był jeszcze relatywnie młody, jak mawiali jego rówieśnicy w czasie rozmów przy piwie, nadal miał przed sobą parę intensywnych lat życia. Nie chciał zmarnować ani jednego dnia.

Dlatego oszołomienie, jakie poczuł podczas rozmowy z Nurią, która opowiadała mu o

znalezisku z kościoła w Cobisie, wydało mu się wręcz podniecające. W pewnym sensie miał wrażenie, że zaczyna zsuwać się powoli po stoku, którego końca nie widział. Nie próbował nawet go przeczuc, wiedział tylko, że nic nie może go powstrzymać.

Czuł jednocześnie, że ktoś nim manipuluje. Kto zostawiał mu wiadomości zatknięte za wycieraczki? Dokąd chciał go zaprowadzić? Co na niego czeka w tym mieszkaniu *tylko dla prawdziwych dżentelmenów*?

Znów poczuł łaskotanie w żołądku. Wiedział jednak, że jego potrzeba poznania prawdy blokuje wszystkie instynkty samozachowawcze.

Na razie opracował swój własny plan. Dzięki temu miał przynajmniej poczucie kontroli nad wydarzeniami. Nie obejrzy od razu tamtego mieszkania do wynajęcia. Nie będzie bezwolnie podążał za instrukcjami tego, kogo nazwał „dyrektorem”. Najpierw sprawdzi wszystkie znaleziska z kościoła w Cobisie. Posiadał już dostęp do *Navigatio*, chociaż nadal miał przed sobą jego lekturę. Złożył też wizytę mumii mnicha, która kryła niepokojące tajemnice. Już niedługo dowie się, czy rzeźba Matki Boskiej była elementem łamigłówki, czy też ten trop okaże się ślepy maulkiem. Zostało mu jeszcze „anielskie pióro”. Postanowił jednak, że wykona zadanie do końca. Następnego dnia z samego rana leciał do Rzymu. Przełamał już początkowy opór i zadzwonił do swojego brata Madoca.

- Cześć, Mac. Mówi Sebastian.

- Sebastian, dobry Boże, nie miałem od ciebie wiadomości od wieków. Co słyhać, braciszku? - Jego głos był jak zwykle doskonale modulowany, uprzejmy i uwodzicielski.

- Dobrze, wszystko gra. - Nie widział go chyba od pogrzebu Maggie, pięć lat temu. -

Słuchaj, Mac, muszę wybrać się do Rzymu. - Rozmowy z jego bratem zawsze takie były: bezpośrednie, bez niedomówień. - Nadal jesteś tam na placówce, prawda?

- Jasne, Sebastianie. To mój ostatni rok, masz szczęście. Kiedy zamierzasz

przyjechać?

- Będę na miejscu za dwa dni, w środę.

- Brzmi jak błyskawiczna podróż. Praca czy przyjemność?

- Praca, Mac. Masz kontakty w Watykanie? - Zawsze prosto z mostu.

- Nadal pracujesz jako historyk czy zostałeś szpiegiem? - Na drugim końcu linii

usłyszał szczerzy śmiech Madoca, brat sprawiał wrażenie, że zawsze jest w doskonałym nastroju.

- Zbieram informacje dotyczące kolekcji relikwii Filipa Drugiego do mojej następnej książki - skłamał. - Jestem w Hiszpanii i byłem już kilkakrotnie w Eskuriale. Chciałbym jednak przyjrzeć się osobiście protokołom z procesu autentykacji relikwii przez Watykan.

- Masz szczęście, Sebastianie. Jestem bliskim przyjacielem kardynała Grazzianniego. - Camerona zawsze zdumiewała łatwość, z jaką jego brat nawiązywał kontakty. Zapewne dlatego był dyplomatą. - Ten kardynał ma chyba wszystkie klucze do Watykanu. Jestem pewien, że to „twój człowiek”. A poza tym jest mi winien kilka drobnych przysług.

- To brzmi doskonale, Mac, widzimy się w środę w Rzymie. Muszę kończyć, prowadzę samochód - znów skłamał.

- Mónica i dziewczynki będą zachwycone, że wpadniesz. - Brat odłożył słuchawkę.

- „Za kilometr skręć w prawo” - oznajmił kobiecy głos systemu nawigacyjnego w jego audi, przerywając rozmyślenia profesora.

- Pójdiesz dziś ze mną na kolację? - zapytał urządzenie. Nie uzyskał odpowiedzi.

Pięć minut później był w Cobisie.

Zaparkował przed kościołem Świętych Filipa i Jakuba. Spojrzał na zegarek:

brakowało pięciu minut do dwunastej w południe, godziny spotkania z proboszczem don Simónem. Kiedy wysiadł z samochodu, uderzenie gorącego powietrza unicestwiło

mikroklimat stworzony przez klimatyzację w audi, którym cieszył się przez zaledwie trzydzieści minut podróży.

* * *

Don Simón, wraz z trzema kobietami w średnim wieku, stał przed ołtarzem Matki Boskiej Bolesnej. Światła wokół prezbiterium to zapalały się, to gasły, podczas gdy proboszcz i jego parafianki obserwowali z powagą próbę oświecenia.

Don Simón dostrzegł kątem oka gościa, który właśnie się do nich zbliżał, i wyszedł mu na spotkanie.

- Profesor Cameron, jak przypuszczam - powiedział, wyciągając ku niemu dłoń i uśmiechając się uprzejmie.

- Mam nadzieję, że doszedł ksiądz do tego wniosku, bo nie spodziewał się ksiądz innej wizyty o tej porze. Nie chciałbym, żeby zdradzał mnie wygląd amerykańskiego turysty - odparł Cameron, pochylając się nieznacznie, żeby pocałować pierścień księdza w odruchu będącym pozostałością surowego katolickiego wychowania.

- Coś takiego. - Jego odruch nie przeszedł niezauważony. - Amerykanin i katolik. Jeśli w dodatku okaże się, że jest pan żonaty i heteroseksualny, będzie pan prawdziwym prowokatorem.

- Jestem wdowcem, nigdy nie głosowałem na Busha, gwarantem mojej heteroseksualności jest najnudniejsza pod słońcem edukacja, a mężem byłem przeciętnym - przyznał otwarcie jednym tchem. - Mam nadzieję, że nie rozczarowałem księdza zbytnio.

- Mówi pan doskonale po hiszpańsku - zauważył kapłan, ignorując prowokację. - Gdzie się pan nauczył tego języka?

- Można powiedzieć, że wychowałem się w ramionach Hiszpanki. Córki republikańskiego profesora żyjącego na emigracji w Bostonie. Była moją opiekunką od czasu,

gdy skończyłem cztery lata. Myślę, że najpierw nauczyłem się hiszpańskiego, a dopiero później angielskiego.

- To bardzo interesujące. Zaraz skończy pan swoją historię. Przygotowałem nam zaciszny kącik w zakrystii - powiedział, zniżając głos tak, żeby kobiety nie mogły go usłyszeć.

- Ależ nie trzeba było - odparł Cameron, przyglądając się rzeźbie. - Czy to jest ta rzeźba Matki Boskiej, którą znaleziono za ścianą?

- Ach, tak - odparł proboszcz, odwracając się w stronę ołtarza. - Dwa dni temu technicy zakończyli jej restaurację i czyszczenie, znacznie wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Dziś rano przywieźli ją do kościoła. Właśnie robiliśmy próbę oświetlenia. Proszę za mną. Podeszli do stojącego w kaplicy ołtarza i do grupki kobiet, które nie spuszczały ich z oka, zapominając o iluminacji.

- Drogie panie - oznajmił ksiądz - przedstawiam wam profesora Camerona z Uniwersytetu w Bostonie. Już o nim opowiadałem i zdaje się, że pani Nuria Rubio również coś wspomniała. Profesorze, to pani Marta, pani Maria i pani Sofia, trzy damy z koła różańcowego, moje prawe ręce w parafii.

Cameron pozdrowił wszystkie uśmiechem i skinieniem głowy.

- Nie jest pan wcale taki stary - zauważyła jedna z kobiet.

- Tak, Nuria mówiła, że jest pan zupełnie zramolały - powiedziała druga z okrutną szczerością.

- Przemawiała przez nią stara uraza. - Cameron odchrząknął. - Pani Rubio nigdy nie pogodziła się do końca z konsekwencjami tamtego strasznego wypadku w Bostonie.

Obawiam się, że sposób, w jaki mnie zawsze opisuje, jest rodzajem nieświadomionej zemsty.

Kobiety patrzyły na niego szeroko otwartymi oczami, nie mogąc się doczekać

dalszego ciągu historii. Cameron nie miał zamiaru sprawiać im zawodu.

- Jak panie zapewne wiedzą, pani inspektor Rubio była moją studentką podczas roku, który spędziła w Bostonie. - Wszystkie trzy kiwnęły głowami. - Nuria na pewno nie wspomniała o tym, że potrąciłem ją kiedyś na wydziałowym parkingu w czasie wykonywania dość nieszczęśliwego manewru moim starym i ciężkim cadillakiem. - Kobiety zaprzeczyły ruchem głowy. - Straciła wtedy lewą nogę. - Jedna z kobiet podniosła dłoń do ust, tłumiąc zduszony krzyk. - Od tamtej pory nosi protezę. To fantastyczna proteza, prototyp, który opracowaliśmy w laboratorium ortopedycznym Wydziału Medycyny w Bostonie, zaprojektowany specjalnie dla niej.

Urwał, żeby sprawdzić, jakie wrażenie jego opowieść wywarła na kobietach. Zgodnie z jego oczekiwaniami było niesamowite.

- Wiem, że Nuria mi wybaczyła, bo nadal jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Ale, jak już wspomniałem, jej małą zemstą jest opisywanie mnie jako starego ramola. Nigdy nie miałem jej tego za złe - przyznał, przybierając szlachetny wyraz twarzy, pełen niemal anielskiej dobroci.

Kobiety wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

- Drogie panie - przerwał im proboszcz - chcielibyśmy z profesorem Cameronem zostać na chwilę sami, żeby porozmawiać o rzeźbie i innych sprawach. Jeśli panie pozwolą...

Kobiety odeszły zwartą grupą w kierunku drzwi. Rozmawiały między sobą głośnym szeptem.

- Tak, widać, że trochę kuleje, nie chciałam o tym mówić przez delikatność - usłyszał Cameron, który nie mógł powstrzymać szerokiego uśmiechu zadowolenia.

Don Simón westchnął głęboko, kiedy kobiety wyszły z kościoła.

- Wiedział pan, że pani inspektor przenosi się do Cobisy w przyszłym miesiącu?

Pańska historia wywoła lawinę plotek w miasteczku. Jeśli pan chce, mogę pana wypowiedzieć przed wyjazdem.

- Spowiedź by mi się przydała - przyznał Amerykanin. - Pomyślę o tym w czasie lunchu.

* * *

Don Simón stanął na wysokości zadania, przygotowując przekąskę. W zakrystii czekały na nich półmiski pełne doskonałego sera, szynki iberyjskiej i smakowitych, nadal ciepłych krokietów. Do tego ksiądz zaserwował świetne wino Rioja.

- Rzeźba nie ma większej wartości artystycznej - zgodził się proboszcz, kiedy już zaspokoili pierwszy głód. - Ma znaczenie sentymentalne dla miasteczka, wzmożone teraz jej tajemniczym zaginięciem i nie mniej tajemniczym ponownym pojawieniem się w towarzystwie zagadkowych kompanów. - Pogryzł krokiet. - Opowiem panu wszystko, co wiem o rzeźbie, pod warunkiem, że pan zrobi to samo. Słyszałem, że badał pan sprawę - przyparł Camerona do muru.

- Jak widzę, dyskrecja nie należy do cnót mojej dawnej studentki.

- Proszę jej o to nie winić. Gdyby mi wszystkiego nie opowiedziała, nie jadłby pan dziś ze mną krokietów - przyznał don Simón.

- Proszę mówić, proszę księdza. Obiecuję, że odwdzięczę się tym samym.

Zanim ksiądz zaczął opowiadać, wytarł sobie dokładnie ręce serwetką.

- Według parafialnego archiwum rzeźba została wykonana na polecenie markizy de Sonseca w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym roku przez filipińskiego rzeźbiarza. Stąd biorą się jej orientalne rysy, które mógł pan zauważyć, przyglądając się jej w kościele. Markizowie de Sonseca mieszkali wtedy na Manili. Markiz był praktycznie właścicielem kompanii

tytoniowej na Filipinach i jednym z najbardziej wpływowych ludzi w kolonii. Markiza, doña Elvira, była bardzo pobożna. Miała na terenie posiadłości prywatną kaplicę, jak to było w zwyczaju katolickich rodzin arystokratycznych. Nasza Matka Boska Bolesna miała wtedy inne imię. Nazywała się Matka Boska Filipińska Nieustającej Pomocy.

- Skąd ta zmiana imienia? - zainteresował się Cameron, który uznał, że nawet najdrobniejsze sprawy należało traktować w tej historii ze śmiertelną powagą.

- Wzięło się to z wydarzenia, które, jeśli mi pan pozwoli na porównanie, waha się między tragedią a farsą. Już tłumaczę - dodał ksiądz, widząc zaciekawienie malujące się na twarzy gościa. - Markiz, poza tym, że był milionerem, między wierszami teraźniejszości potrafił wyczytać, co mu szykuje przyszłość. Pewnie dlatego zawsze był milionerem. Słusznie przewidział, że kolonia nie ma przed sobą długiego życia. Hiszpańskiego życia, ma się rozumieć. Sprzedał więc wszystkie swoje akcje, przedsiębiorstwa i majątki na wyspach, nadal po niezłej cenie, i wrócił do Hiszpanii w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim*. Wracali do metropolii na statku parowym „Magellan”. Podobno rejs był pełen przygód i niebezpieczeństw. Kilkakrotnie statek omal nie utonął w czasie gwałtownych burz. Doña Elvira spędzała całe dni i noce zamknięta w swojej kabine pierwszej klasy, modląc się do Matki Boskiej Filipińskiej Nieustającej Pomocy. Podróż okazała się dla niej tak bolesna i była tak głęboko przekonana o tym, że uratowała się tylko dzięki wstawiennictwu tej Matki Boskiej, iż postanowiła ochrzcić ją imieniem „Matka Boska Bolesna”, na pamiątkę tamtej strasznej podróży. Markiz kupił wielki majątek w Toledo i wybudował stary pałac Sisle, kilka kilometrów od miasteczka. Markizie spodobała się Cobisa, wspierała ją więc działalnością dobroczynną, rozbudowała kościół, który był wtedy skromną kapliczką, i przekazała Matkę Boską Bolesną w darze do nowej kaplicy. Rzeźba pozostała w niej do tamtej nocy osiemnastego lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku. To wszystko, co wiem na

ten temat.

Cameron dotrzymał słowa. Nie wdając się w szczegóły, opowiedział o swoich odkryciach dotyczących *Navigatio* i ciała mnicha. Pomiął informację o pilum, ograniczając się do wyjaśnienia, że mnich zginął od „ataku bronią białą”.

- Moim zdaniem ten mnich był przebierańcem, profesorze Cameron. - Proboszcz chciał się podzielić swoją opinią na temat tak złowrogiej historii. - A wnioskuję to z przedmiotów, jakie miał przy sobie. Fałszywe *Navigatio* i rzekome pióro anioła, tak samo fałszywe jak książka. Na pewno wszystko zostało skradzione, albo i gorzej.

- A więc podejrzewa ksiądz, że zmarły nie był nawet prawdziwym mnichem - podsumował Amerykanin.

- Naturalnie. Jestem przekonany, że tamtej nocy w kościele doszło do spotkania złodziei. W owych czasach napadano na kościoły, tak jak dziś rabuje się domki letniskowe. Ci ludzie pokłócili się o łup, a bójka zakończyła się dla jednego z nich bardzo źle. Zamurowali go razem z przedmiotami, które chcieli ukraść, myśląc, że odzyskają je później. Jeśli tego nie zrobili, to znaczy, że nie mogli. Mam nadzieję, że wojna zabrała z sobą do piekła tych dwóch morderców.

Wypił duży łyk wina i ugryzł kroieta, patrząc uważnie na swojego amerykańskiego

* W 1898 roku, wraz z utratą Kuby i Filipin, hiszpańskie imperium upadło po czterystu latach istnienia.

gościa.

- Tak - dorzucił. - Właśnie to zdarzyło się w nocy osiemnastego lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku.

- Dlaczego przebrali zmarłego za mnicha? - Cameron nie miał zamiaru pominąć luk w rozumowaniu księdza.

- Na wypadek gdyby zostali nakryci, zanim uda im się zamurować zmarłego. W

trzydziestym szóstym zabicie kogoś, kto nosił habit, nie było tak źle widziane przez władze.

Zresztą władze wybiły sporo księży w ciągu pierwszych miesięcy wojny, jak pan z pewnością dobrze wie z racji pańskiego zawodu - odparł proboszcz ze swadą.

- Co ksiądz wie o piórze anioła? - Pytanie zabrzmiało niemal żałośnie.

- Nadal badają je w Rzymie. Nie miałem żadnych wiadomości z arcybiskupstwa. A między nami mówiąc, nie spodziewam się usłyszeć nic więcej o tej bujdzie.

Cameron pożegnał się z księdzem w drzwiach kościoła. Umówili się, że będą się o wszystkim informować.

Profesor jechał do Madrytu z dziwnym, nieprzyjemnym uczuciem pustki. A jeśli wszystko potoczyło się tak brutalnie i zwyczajnie, jak to opisał proboszcz? Musiał przyznać mimo woli, że hipoteza księdza była prawdopodobna i spójna. Być może tajemnica istniała tylko w jego wyobraźni. Poczul się nagle przygnębiony jak dziecko, któremu odebrano ulubioną zabawkę.

Zadzwoił z samochodu do Nurii i wymówił się od obiadu, tłumacząc, że następnego dnia leci z samego rana do Rzymu. Była to marna wymówka.

W rzeczywistości nie miał ochoty na obiad w niczyim towarzystwie.

Rozdział VI

Anielskie pióro

Capita VI. N.S.B.a. Curragh żegluję ku letniemu przesileniu. Dopływają do Wyspy Opuszczonego Zamku. Jeden z pielgrzymujących mnichów bawi się z etiopskim diabełkiem, co prowadzi go do kradzieży złotego kielicha.

Pilot Ignacio Ayuso oznajmił przez głośniki samolotu, że airbus A-310 linii lotniczych Iberia podchodzi do lądowania na lotnisku Fiumicino. Cameron zaczął się wybudzać z lekkiej drzemki, w jaką zapadł w czasie lotu, dzięki natrętnemu pulsowaniu alarmu nakazującego mu

zapiąć pasy, zanim samolot zejdzie do lądowania. Zawsze spał w czasie podróży samolotem.

Nie znosił latać, sen był więc dobrowolnym poddaniem się losowi.

Oparł głowę o okno, gdy airbus przechylał się na lewy bok podczas schodzenia na Fiumicino. Z tej wysokości mógł obserwować chaotyczną tkankę Rzymu. Dzień był piękny i jasny, typowy dla rzymskiego lata. Refleksy słońca na tafli morza zmusiły go do odsunięcia się od okna i zmruczenia oczu.

Próbując się czymś zająć, otworzył dziennik „El Pais”, który podała mu na początku podróży uprzejma stewardesa. Nie lubił lądowań.

* * *

Nowoczesny airbus prześlizgnął się po płycie lotniska do wyznaczonego miejsca i zatrzymał się przed terminalem B. Cameron był pełen podziwu dla zdolności kapitana lotu, słuchając, jak recytował on tekst standardowego pożegnania podróżnych. Młody pilot - musiał być młody, sądząc po głosie - wydawał mu się bardzo miły, dopóki nie poinformował pasażerów, jaka temperatura panuje w Rzymie. W południe miała dojść do około czterdziestu stopni. Cameron nie chciał wiedzieć, jaka była wilgotność w mieście Kaliguli, leżącym tak blisko Morza Śródziemnego.

Teraz zrozumiał, że zamienił madryckie piekło na rzymski piec.

Zgodnie z instrukcjami pchał swój wózek bagażowy przez terminal B dla pasażerów Schengen, kierując się ku wyjściu. Tam wpadł prosto na mężczyznę ostrzyżonego na modłę wojskową i ubranego w granatowy garnitur z wpiętym w klapę znaczkiem w kolorach amerykańskiej flagi.

Mássimo Lanza, bo tak nazywał się szofer, którego przydzieliła Cameronowi ambasada, rozpoznał go dzięki zdjęciu paszportowemu profesora, które szybko schował do kieszeni marynarki.

- *Signore* Sebastian Cameron? - zapytał, stając na drodze Amerykanina.

- Tak, to ja - odparł profesor sucho.

Lanza uśmiechnął się szeroko i uściśnął mocno jego dłoń, podtrzymując lewą ręką przedramię Camerona. Sebastian uznał, że szofer wiele razy musiał widzieć, jak jego szef używa tego gestu, i że powtarza go teraz mechanicznie.

Pawłowi byłoby zachwycony, mogąc go poznać, gdyby kierowca był owczarkiem niemieckim.

- Nazywam się Mássimo Lanza, jestem kierowcą w ambasadzie - przedstawił się, pokazując profesorowi zafoliowaną legitymację opatrzoną stemplem ambasady Stanów Zjednoczonych. - Proszę sprawdzić moją tożsamość, zanim pan ze mną pójdzie. To wymóg bezpieczeństwa.

Cameron rzucił okiem na legitymację, którą pokazał mu kierowca.

- Wygląda pan lepiej na żywo. Zdjęcie nie jest tak korzystne.

- Och, *grazie, professore*, moja dziewczyna mówi to samo - odparł Lanza z uśmiechem.

Cameron od razu polubił krzepkiego kierowcę. Był bezpośredni i wesoły, charakteryzowała go ta pewność siebie, jaką daje młodość i trening odebrany u zawodowych zabójców ze służb specjalnych.

Wsiadając do kuloodpornego mercedesa 500 SEK, Cameron spojrzął na zegarek:

10.37. Samolot przyleciał z ponad półgodzinnym opóźnieniem spowodowanym zamknięciem jednego pasa startowego w Madrycie.

- Jestem umówiony w Watykanie piętnaście po jedenastej. Myśli pan, że zdążymy? - zapytał, nie łudząc się, że odpowiedź będzie pozytywna.

- *Professore, io so romano** - odparł kierowca. Tak naprawdę chciał powiedzieć, że

prowadzi jak prawdziwy rzymianin. I że profesor na pewno będzie na czas, a nawet zdąży napić się cappuccino przed wejściem do Watykanu.

Cameron mógł się o tym przekonać, kiedy Massimo pędził swoim mercedesem ponad sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę wśród samochodów jadących autostradą Rzym - Fiumicino. Zręcznie kluczył między wrogami, którzy stawali mu na drodze, bo tak właśnie

* Profesorze, jestem rzymianinem.

rzymianie postrzegali ruch drogowy - jak codzienną bitwę. Piętnaście minut później zatrzymał się przed drzwiami Bazyliki Świętego Piotra.

Lanza otworzył przed Cameronem drzwi.

- Dziękuję, Massimo. Teraz wiem, dlaczego Michael Schumacher przeszedł na emeryturę, pewnie jechał w pana samochodzie - powiedział, próbując poprawić węzeł krawata i rozprostować lekką lnianą marynarkę.

- *Grazie, professore* - odparł Lanza dumny, że doceniono jego zdolności. - Ambasador kazał mi nalegać, aby przyjął pan zaproszenie spędzenia nocy w jego domu. Jeśli pan go nie przyjmie, zawiozę pańskie rzeczy do hotelu.

- Proszę przekazać ambasadorowi moje wyrazy wdzięczności, ale zatrzymam się w hotelu. I proszę tym razem prowadzić wolniej, chciałbym móc znaleźć szczoteczkę do zębów w walizce. - Mówiąc to, Cameron przeglądał się w przyciemnianej szybie mercedesa. Nie wyglądał tak źle, jak na człowieka, który przed chwilą pozostawał pod wpływem pięciu G siły ciężenia.

- Odbiorę pana o trzynastej, żeby zdążył pan na obiad z ambasadorem.

- Proszę się mną nie przejmować, wezwę taksówkę. - Miał już dość ciągłej obsesji jego brata, żeby mieć go zawsze pod kontrolą.

- To nie będzie możliwe, proszę pana. Nie pozwalają na to wymogi bezpieczeństwa

ambasady - odparł szofer grzecznie, lecz stanowczo.

Cameron zmierzył go wrogim spojrzeniem od stóp do głów. Miał ochotę posłać go do wszystkich diabłów, i to po włosku, żeby nie było wątpliwości. Wspomnienie błysku beretty kierowcy widocznej spod marynarki, kiedy siadał na przednim siedzeniu, kazało mu się opanować.

- Dobrze - odpowiedział pojednawczym tonem, wzdychając lekko - zastosujemy się w takim razie do wymogów bezpieczeństwa ambasady. Będę tu czekał o trzynastej, jak na grzecznego chłopca przystało. Proszę się nie spóźnić, Mássimo, nie chcę zostać porwany przez oddział mudżahedinów, kiedy będę karmił gołębie.

- Proszę się nie martwić, *signore*. - Lanza uśmiechnął się i wsiadł z powrotem do mercedesa.

* * *

Kapitan Gwardii Szwajcarskiej zaprowadził Camerona, w towarzystwie postawnego halabardzisty, na najwyższe piętro Wieży Wiatrów, na którym mieścił się gabinet wszechmocnego kardynała Raffaele Grazzianniego, prefekta tajnych archiwów Watykanu. Sekretarz kardynała wprowadził go do przylegającej do gabinetu niewielkiej sali i poinformował szeptem, że za dziesięć minut zostanie przyjęty przez Jego Eminencję. Przeglądając zaoferowany mu przez sekretarza egzemplarz „Osservatore Romano”, Cameron znów mierzył się z bratem. Musiał przyznać wbrew sobie, że Madoc go uwielbia, choć on nie potrafił odwdziżyć mu się tym samym.

Madoc był jedynym bratem Sebastiana, w dodatku młodszym. Jednak zawsze upierał się, żeby go chronić. Być może tu należało szukać początków ich konfliktu, Mac ciągle bowiem próbował (i udawało mu się to) uzurpować sobie rolę, która w rzeczywistości należała do Sebastiana. Profesor musiał jednak przyznać, że jego brat był bliski ideału.

Właściwie stanowił synonim ideału. Młodszy z braci Cameron już w liceum był świetnym uczniem. Wyróżniał się zarówno w nauce, jak i w sporcie. Na Harvardzie jego niepospolite zdolności jeszcze się udoskonaliły. Uważano go za jednego z najbardziej obiecujących studentów prawa, a w czasie trzech ostatnich lat studiów był najlepszym *quarter-back* drużyny uniwersyteckiej.

Flirtował nawet z drużyną Rams - złożono mu ofertę, którą każdy dziewiętnastoletni chłopak by podpisał, nawet gdyby w kontrakcie drobnym drukiem zapisano, że przez rok będzie musiał walczyć w pojedynkę z całym siłami Wietnamu. Ale zrezygnował z rugby. Mac chciał być adwokatem.

Był najlepszy na roku. Wyglądało na to, że Mac urodził się pod znakiem jedyńki.

Dostał pracę w modnej kancelarii w Nowym Jorku, Benson & Bellami, która właśnie uratowała od śmierci na krześle elektrycznym czarnego gwiazdora futbolu amerykańskiego oskarżonego o zamordowanie własnej żony. Przeciwno temu człowiekowi, którego nazwiska Sebastian już nie pamiętał, zgromadzono więcej dowodów, niż mógłby przedstawić naród żydowski przeciwko Hitlerowi.

Ale Madoc spędził ostatni rok studiów na stażu w kancelarii i po kryjomu przygotował linię obrony rzeźnika w kasku i naramiennikach. Uznał, że był to „interesujący przypadek”, jak wyjaśnił w sali konferencyjnej zdumionemu Jamesowi Bellami, któremu miał czelność wysłać e-mailem „propozycję obrony beznadziejnego przypadku”. Konstrukcja wniosku obrony była tak błyskotliwa, innowacyjna i niszczycielska, że sędzia nie miał innego wyjścia, jak uznać wbrew samemu sobie niewinność czarnoskórego napastnika. Cztery miesiące później został ponownie zatrzymany za zgwałcenie i uduszenie prostytutki na West Endzie. Do tego czasu Mac pracował już jako adwokat w kancelarii. Bellami przywłaszczył sobie medal i nabył fabrykę odznaczeń. Tym razem młodszy Cameron nie chciał się podjąć

obrony sportowca. „Każdy zasługuje na drugą szansę. Jeśli potrzebuje trzeciej, to znaczy, że nie jest w stanie nauczyć się niczego”, odparł Madoc, kiedy Sebastian zapytał go w czasie rodzinnego obiadu, zabarwionego pewnym napięciem, dlaczego nie chce po raz kolejny wypuścić tego skurwysyna na ulicę.

Został partnerem kancelarii po dwóch latach. Prawdziwy rekord. Życie uśmiechało się do niego, dziewczęta ze sztucznym biustem i kolczykami w pępku uśmiechały się do niego, dyrektorzy banków i sprzedawcy niemieckich samochodów również się do niego uśmiechali.

Wyglądało na to, że los położył przed młodszym z braci Cameron czek in blanco... Wtedy Madoc znów zaskoczył Sebastiana. Zrezygnował ze wszystkiego dla służby na rzecz państwa. Ktoś zaraził go pasją do polityki, prawdopodobnie był to któryś z jego wpływowych przyjaciół. Chciał zostać ambasadorem Stanów Zjednoczonych. Wrócił więc na studia i zrobił dyplom z dyplomacji w zaledwie półtora roku.

- CC. - Sebastian doskonale pamiętał jego euforyczny telefon. - Dostałem pierwszą placówkę. Jadę do Bogoty, jako sekretarz handlowy przy ambasadzie. Co ty na to, braciszku, czy to nie fantastyczne?

- Mac, moim zdaniem fantastyczne jest to, że po tylu latach i chociaż jesteś moim rodzonym bratem, nie potrafię cię zrozumieć. - Sebastian był, jak zwykle, zgryźliwy.

- Co?

- Jesteś jedynym człowiekiem, jakiego znam, który dwa razy zrezygnował z bycia milionerem. Masz trzydzieści lat, do diabła, gdybyś został z Rams, kiedy miałeś dziewiętnaście lat, właśnie przechodziłbyś na emeryturę i spędzał czas na lekturze katalogów Ferrari. Gdybyś został w kancelarii Benson and Bellami, grałbyś...

- Benson, Bellami and Cameron - poprawił go Madoc.

- ...grałbyś teraz w golfa na Barbadosie - ciągnął, powstrzymując rosnący gniew -

podczas gdy w Nowym Jorku banda świeżo upieczonych absolwentów harowała dla Ciebie w śniegu czternaście godzin dziennie, żeby przygotować Twoją następną sprawę.

Zapadła cisza. Sebastian słyszał tylko szum na linii.

- Mónica jest zachwycona, uważa, że Kolumbia to świetne miejsce, żeby założyć rodzinę. - Dobry humor jego brata był nie do ruszenia.

- Mac, wystarczy chyba jeden urzędnik w rodzinie, ty jesteś zwycięzcą, pamiętasz? - Nie znosił, kiedy do wszystkiego mieszał Monicę. Może to była tylko zazdrość.

- Obaj jesteśmy zwycięzcami, Sebastianie - zabrzmiał łagodny głos Maca. - Bo obaj robimy to, co chcemy i do czego nadajemy się najlepiej. - Chętnie by go pobił, gdyby stał przed nim. - Jak tylko rozgościmy się w Bogocie, musisz przyjechać z Maggie w odwiedziny. Kolumbia to fascynujący kraj.

Nie pojechał odwiedzić go w Kolumbii ani w Berlinie w dziewięćdziesiątym ósmym.

Mac powiedział: „Musisz przyjechać teraz do Berlina, tutaj zaczną się zmiany na skalę światową”. Nie pojechał też do Karaczi w Pakistanie, jego ostatniej placówki przed przyjazdem do Rzymu w 2001 roku.

* * *

Sekretarz kardynała wyrwał go ze wspomnień.

- Może pan już wejść - oznajmił. - Jego Eminencja przyjmie pana.

Cameron z trudem podniósł się z miękkiej kanapy stojącej w poczekalni i wszedł do gabinetu swojego gospodarza.

* * *

- Straciłem ślad naszego celu, proszę pana.

- Nic nie szkodzi. To znaczy, że wszedł do gabinetu Grazianniego - odparł głos po drugiej stronie linii. W tle rozbrzmiał niedający się z niczym pomylić dźwięk uderzenia kija w

piłeczkę golfową.

* * *

Kardynał stał przodem do ogromnego okna, z którego rozpościerał się wspaniały widok Rzymu. Odwrócił się, słysząc kroki gościa na dębowej podłodze gabinetu.

- *Professore* Cameron. - Podszedł do niego z uprzejmym uśmiechem, podając mu dłoń ozdobioną okazałym pierścieniem kardynalskim.

- Eminencjo - przywitał się Cameron zgodnie z katolickim protokołem.

- Ogromnie się cieszę, że mogę poznać brata naszego *carissimo amico*. - Przez chwilę zatrzymał w dłoniach rękę Sebastiana. - Jestem do pańskiej dyspozycji.

Grazianni mówił doskonałą angielszczyzną. Cameron uznał, że mógł być nieco od niego starszy, ale na pewno nie przekroczył jeszcze sześćdziesiątki. Był słusznej postury, a jego wzrost pozwalał mu z godnością bagatelizować nadwagę. Włosy miał nadal gęste, krótkie i skromnie zaczesane, o śnieżnobiałej barwie. Całości dopełniały zdrowa, choć dyskretna opalenizna i oczy w kolorze niemal przezroczystego błękitu, z błyskiem ciętej inteligencji. Cameron czuł się tak, jakby stał przed obliczem rzymskiego patrycjusza.

- Usiądźmy tutaj - powiedział kardynał, wskazując profesorowi niewielki owalny stół, wokół którego stały trzy wygodne fotele. - Poproszę o kawę dla pana. Słyszałem, że jest pan smakoszem, a kawa, którą przygotowuje Pancho, nasz kucharz, jest naprawdę wyjątkowa. - Pochylił się ku niemu. - Pancho jest Kolumbijczykiem - wyjaśnił niemal poufnym tonem, jakby uchylał rąbka tajemnicy.

- Serdecznie dziękuję za kawę. To narkotyk, od którego wciąż nie potrafię odwyknąć.

Gabinet Jego Eminencji ma widok godny pozazdroszczenia - przyznał, patrząc na okno, które pozwalało podziwiać niemal całe miasto i przez które wpadało światło rzymskiego popołudnia, oświetlając obszerne pomieszczenie, gdzie teraz siedzieli.

- To prawda. Wieża Wiatrów, w której się obecnie znajdujemy, została zbudowana na potrzeby badań astronomicznych. W tej sali mieściło się obserwatorium. Powinien pan zobaczyć, jak to wygląda w nocy. Mimo światła miasta niebo Rzymu nadal wygląda wspaniale.

- Domyślałem się, że to nie był problem w szesnastym wieku, kiedy Moscherino zaprojektował i wybudował wieżę.

- *Bravo, professore*, widzę, że jest pan człowiekiem wykształconym. Albo przygotowanym na to spotkanie. - Cameron poczuł na sobie przenikliwe spojrzenie. Sekretarz zapukał dwukrotnie do drzwi, zanim wszedł do gabinetu i postawił na niewielkim stoliku komplet do kawy oraz doskonałe ciastka.

- *Grazie, Lucca* - podziękował kardynał. - *Non passa alcuna chiamata me fino a che abbiamo ricininto la riunione**.

Sekretarz wyszedł z gabinetu równie bezszelestnie, jak do niego wszedł.

- A więc pisze pan książkę o Filipie Drugim i jego kolekcji relikwii - zaczął Grazianni, nalewając profesorowi pierwszą filiżankę gęstej, parującej kawy. - Monografia, jak przypuszczam. Temat kolekcji hiszpańskiego króla jest rzeczywiście fascynujący. Byłem w Eskuriale trzy lata temu, przy okazji mojej ostatniej podróży do Hiszpanii. Nadal jestem pod wrażeniem dwóch ołtarzy, jakie kazał postawić obok ołtarza głównego. - Przymknął oczy i gestykułował, jakby próbując objąć rękami ich kształty. - Jak pan zapewne wie, kazał je wznieść, żeby umieścić w nich najcenniejsze egzemplarze ze swojej kolekcji. Pamiętam doskonale tych osiemdziesiąt srebrnych relikwiarzy. Mówiące popiersia Juana de Arfe** są zachwycające.

Cameron wypił kawę, obserwując swojego rozmówcę, i zdecydował, że nie będzie kłamał. Był przekonany, że Grazianni potrzebował tyle samo czasu na zdemaskowanie go,

ile jemu zajmowało wyłapanie studentów, którzy mieli zamiar ściągnąć na egzaminie. Nie więcej niż trzydzieści sekund. W końcu wykonywali podobny zawód. Obaj obserwowali swoje trzódki i o nie dbali.

- Prawdę mówiąc, kolekcja relikwii Filipa Drugiego nie jest właściwym powodem

* Nie łącz rozmów, dopóki nie skończymy spotkania.

** Filip II zgromadził kolekcję liczącą ponad osiemdziesiąt relikwii i będącą obecnie największą kolekcją tego rodzaju na świecie. Juan de Arfe stworzył dwadzieścia dwie rzeźby ze srebra przedstawiające

głowy świętych, zwane „mówiącymi popiersiami”, w stylu charakterystycznym dla epoki. Ten rodzaj rzeźby

pozwała stwierdzić obserwując, jaka relikwia znajduje się wewnątrz niej, niezależnie od tego, pod jakim

kątem na nią patrzą.

mojej wizyty, Eminencjo - powiedział, odstawiając ostrożnie filiżankę.

Zapadła cisza.

- I uważa pan, że mogę mu pomóc mimo to? - Spojrzenie kardynała było teraz

lodowato zimne, w przeciwieństwie do jego serdecznego uśmiechu sprzed paru chwil.

- To zależy tylko od Eminencji. - Postawienie wszystkiego na jedną kartę zawsze było jakimś wyjściem.

- Proszę mówić jaśniej, *professore*. - Mimo wszystko zachowywał się swobodnie, lata *romanita* były wspaniałym treningiem ukrywania uczuć.

- Czy zna Eminencja sprawę anielskiego pióra odnalezionego w podwójnej ścianie pewnego hiszpańskiego kościoła? - Cameron postanowił nie kusić dłużej losu. Albo wyzwać go na pojedynek.

Grazzianni nie zareagował od razu. Obserwował gościa, zastanawiając się nad odpowiedzią i delektując się kawą.

- Coś mi się obilo o uszy. Chętnie zobaczyłbym ciało mnicha i pozostałe przedmioty znalezione razem z rzekomą relikwią. Nie jestem zachwycony sposobem działania naszego arcybiskupstwa w Toledo - odparł wreszcie. Cameron zyskał teraz pewność, że kardynał był osobiście odpowiedzialny za sprawę.

- Chciałbym poznać wszystkie informacje, jakich Eminencja mógłby mi udzielić na temat domniemanej relikwii. - Czuł się jak lord Cardigan szarżujący na czele sześcuset: niemal widział lufy armat, ale już nie było odwrotu.

- Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę z tego, iż nadal pozostaje pan w tym gabinecie tylko dzięki doskonałym relacjom, jakie łączą mnie z pańskim bratem.

Znów zapadła niezręczna cisza. Cameron domyślał się, że Grazianni właśnie się wahał, czy odpalić działa i zakończyć spotkanie. Coś w jego spojrzeniu sprawiło, że Cameron poczuł, iż ma jeszcze jedną małą szansę.

- Madoc Cameron jest świetnym negocjatorem - podjął kardynał. - Zobaczmy, z jakiej mąki jest pan, *professore*.

Historyk wiedział, że gra się rozpoczęła i że to on pierwszy musi wyłożyć karty na stół.

Opowiedział o wszystkim, czego się do tej pory dowiedział, a kardynał słuchał go uważnie, przerywając tylko wtedy, kiedy chciał coś skomentować lub dopytać o coś, co Cameron próbował pominąć. Kiedy profesor wreszcie skończył relacjonować wyniki swojego śledztwa, kardynał na chwilę zamilkł.

- To niezwykła historia - przyznał, opierając się w fotelu i krzyżując dłonie na brzuchu.

- Czy relikwia może nam pomóc ją wyjaśnić? - zapytał Cameron.

- Obawiam się, że rzekoma relikwia komplikuje jeszcze bardziej historię, którą mi pan

właśnie opowiedział.

- Czy również jest fałszywa?

- Nie jest łatwo odpowiedzieć na to pytanie - przyznał kardynał. - Być może nie uda się to nigdy.

- Eminencja z pewnością ma jednak jakieś zdanie na ten temat... - Nie miał zamiaru dać się zbyć tak łatwo.

- Opowiem panu to, co wiem. Być może później powiem panu, co myślę. - Jego spojrzenie mówiło dobitnie, że nie jest przyzwyczajony do tego, aby wywierano na nim presję. - Przeanalizowaliśmy całą relikwię. Mamy naczynie, szklany pojemnik ze srebrnym korkiem. Mamy też jego zawartość, kawałek papirusu z inskrypcją, pióro i włos.

- Czy mogę nalać sobie drugą filiżankę kawy? - zapytał Cameron, nie mogąc opanować swojego uzależnienia od kofeiny. Kardynał ruchem ręki wyraził pozwolenie.

- Z analizy naczynia wynika, że kiedyś przechowywano w nim aloes i mirrę. Pojemnik i pozostałości tej mieszanki nie mają więcej niż osiemdziesiąt lat.

- Mirra i aloes? - zdziwił się Cameron.

Kardynał odchrząknął.

- Mirra i aloes są stosowane od ponad, dwóch tysięcy lat w medycynie, profesorze. Ta mieszanka ma właściwości antyseptyczne, bakteriobójcze, przeciwzapalne i wspomaga gojenie się ran.

Purpurat zamilkł na parę chwil. Wolał nie informować swojego gościa o tym, że w czasach starożytnych mirra i aloes były używane również do mycia, preparowania i perfumowania ciał zmarłych przed pochówkiem. Nie uznał także za konieczne, by powiadomić go, że święty całun był całkowicie przesiąknięty tą mieszanką. Albo że znaleziono ślady mirry i aloesu w starych grobach chrześcijańskich na Bliskim Wschodzie.

- Datowanie papirusu i łaciński napis są jeszcze młodsze - podjął Grazzianni. -

Właściwie zgadzają się z datą zamurowania. Mówimy o roku tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym, siedemdziesiąt dwa lata temu.

- Atrament?

- Wykonany metodą rzemieślniczą, podobnie jak w wypadku *Navigatio*. Proszę pamiętać, że obiecał mi pan wysłać kopię kilku stron tego dokumentu. Wystarczy, żeby przeprowadzić analizę grafologiczną rękopisu, dzięki czemu będziemy mogli ustalić, czy osoba, która sfałszowała *Navigatio*, jest również autorem inskrypcji na papirusie.

- To będzie pierwsza rzecz, jaką zrobię po powrocie do Madrytu - przyrzekł Cameron.

- A pióro?

Kardynał westchnął ciężko i rozsiadł się w fotelu. Na chwilę utkwiał wzrok w suficie, jakby w poszukiwaniu odpowiedzi lub znaku. Wyprostował się i wbił w Camerona błękitne oczy.

- To, co teraz panu opowiem, *professore*, jest ściśle tajne. To tajemnica stanu, bo Watykan jest jednak państwem, choć niedużym. - I bardzo potężnym, mimo że zajmuje powierzchnię zaledwie 440 metrów kwadratowych, pomyślał Amerykanin. - Mój gabinet - ciągnął kardynał - jest wyposażony we wszelkiego rodzaju sprzęt antyszpiegowski, który został uruchomiony, jak tylko przekroczył pan próg pokoju. A więc ta rozmowa pozostanie tylko między nami. Nigdy nie przyznam, że brałem w niej udział. Nie wiem, co uda się ustalić na temat rzekomej relikwii i czy pewnego dnia uzyska *autenticae**. W tej chwili jej akta znajdują się w rękach Ojca Świętego. Decyzja należy wyłącznie do niego. Proszę pamiętać o naszej umowie, panie Cameron, informacja za informacją.

- Praca z Eminencją w jednej drużynie to prawdziwa przyjemność. - Amerykanin nie kłamał, Grazzianni był wielkim sprzymierzeńcem na tym etapie gry.

- Z jakiegoś powodu postanowiłem panu zaufać. Być może dlatego, że wiem, iż ta rozmowa pozostanie między nami. I nikt w nią nie uwierzy poza tymi ścianami.

* * *

- Czy to na pewno nie jest pomyłka? - zapytał raz jeszcze kardynał Grazzianni po przeczytaniu wniosków zebranych na ostatniej stronie dokumentu, który właśnie przestudiował w obecności ojca Giovannezzę.

- Nie ma tu żadnej pomyłki, Eminencjo - odparł młody ksiądz bez wahania.

Carlo Giovannezza, szef Laboratorium Badań i Autentykacji Tajnego Archiwum Watykańskiego, opanował stres, który paraliżował go przez pierwsze minuty spotkania z Grazziannim. Teraz był spokojny i pewny siebie. Jego zespół dobrze wykonał swoje zadanie. Miał tylko dwadzieścia siedem lat, zaledwie rok temu został kapłanem, ale nadal był jednym z najbardziej obiecujących biologów na świecie. On o tym wiedział. Kardynał również.

- A więc podpisałby się ksiądz pod każdym wnioskiem? - chciał się upewnić kardynał.

- Mój podpis znajduje się na ostatniej stronie raportu - odparł ksiądz niemal wyzywająco.

* *Autenticae* - certyfikat stwierdzający autentyczność domniemanej relikwii, który może zostać wydany

tylko przez Watykan.

- Chciałbym się dowiedzieć, jakie są osobiste wnioski księdza, księżę Giovannezza. -

Grazzianni nie omieszkał przypomnieć mu, gdzie jest jego miejsce w hierarchii.

- Pióro to lotka drugiego rzędu, początkowo wzięliśmy je za pióro kondora...

- Myślałem, że kondory są czarne - przerwał mu kardynał - a to pióro jest białe jak śnieg.

- To prawda, kondor andyjski* ma ciemniejsze upierzenie, prawie czarne. Kondor z Gór Skalistych, nieco mniejszy od andyjskiego, jest beżowy - uściślił Giovannezza. -

Najpierw sądziliśmy, że to może być kondor albinos, jakaś nieznana mutacja, albo że ktoś po prostu przefarbował pióro.

- I?

- Kolor jest naturalny. A pióro nie należało do kondora.

- Skąd ta pewność?

Dyrektor zauważył, że Grazzianni jest głęboko zirytowany rezultatami analizy i badań przeprowadzonych w jego laboratorium. Inaczej nie domagałby się jego obecności w gabinecie z samego rana.

- Zmierzyliśmy i zbadaliśmy pióro - podjął - i stwierdziliśmy, że ta lotka przewyższa dwukrotnie rozmiarem pióra największego znanego nam ptaka na świecie. Po przeanalizowaniu struktury pióra pod mikroskopem elektronicznym odkryliśmy, że mamy do czynienia z piórem jedynym w swoim rodzaju, którego nie potrafimy sklasyfikować. Jego dudka jest znacznie grubsza, bardziej odporna, elastyczna i lżejsza niż dudka w piórze kondora. To samo dotyczy chorągiewek po obu stronach stosiny. Poddaliśmy pióro działaniu powietrza, jest idealnie aerodynamiczne, powiedziałbym nawet, że inteligentne.

- Nie mam dziś nastroju do rozwiązywania zagadek, proszę księdza - odparł kardynał oschle.

- Spróbuję to wyjaśnić. Budowa samego pióra jest wyjątkowa, jak już wspomniałem, w niczym nie przypomina piór znanych nam ptaków. Na chorągiewkach nie znaleźliśmy resztek łożu, jakby ptak, do którego by miało należeć, nie posiadał gruczołu kuprowego*.

Jednak w czasie symulacji lotu odkryliśmy, że pod wpływem naporu powietrza chorągiewki wytwarzają mikrowibracje zdolne stworzyć poduszkę powietrzną chroniącą pióro przed deszczem.

Grazzianni otworzył raport na zaznaczonej przez siebie stronie.

* Kondor andyjski jest największym i najcięższym latającym ptakiem świata. Niektóre egzemplarze osiągają długość 1,2 metra, mierząc od głowy do ogona, a rozpiętość ich skrzydeł może sięgać 3,3 metra.

Dorosły samiec osiąga wagę 15 kilogramów.

** Gruczoł kuprowy - gruczoł wytwarzający tłustą wydzielinę, którą ptaki rozprowadzają dziobem na piórach, żeby chronić je przed wilgocią.

- Co to za dziwny dźwięk, który odkryliście w tunelu powietrznym?

Dyrektor przełknął ślinę.

- Nagraliśmy dźwięki wydawane przez pióro, Eminencjo. Wibracje wywoływane przez chorągiewki nie tylko chronią pióro przed wilgocią, ale również wytwarzają niezwykle dźwięk. - Umilkł, ale pytające spojrzenie kardynała kazało mu dokończyć wyjaśnienia. -

Brzmi jak nuta, Eminencjo. Pokusiłbym się o stwierdzenie, że gdybyśmy mieli całe skrzydło...

- Nie mamy całego skrzydła, Giovannezza - przerwał mu kardynał - a w archiwum, któremu przewodniczę, panuje zwyczaj, że niczego się nigdy nie zakłada. Pracujemy tylko z pewnikami i faktami, które da się sprawdzić.

Podniósł się ciężko z fotela i podszedł do okna, odwracając się plecami do dyrektora laboratorium. Panorama Rzymu była wspaniała tego dnia. Ten widok zawsze wpływał kojąco na jego nastrój.

- Jakiego rozmiaru miał ptak, do którego należało nasze pióro? - zapytał, patrząc na kopułę Bazyliki Świętego Piotra.

- Zgodnie z komputerową symulacją rozpiętość jego skrzydeł wyniosłaby około czterech metrów, Eminencjo.

Grazzianni pamiętał, że w raporcie, który właśnie przestudiował, wspomniano, iż skrzydła kondora, najpotężniejszego ptaka na ziemi, miały rozpiętość 3,3 metra. Odczekał

chwile, zanim zadał kolejne pytanie.

- Jaki ciężar byłyby w stanie unieść skrzydła tego rozmiaru?

- Jeśli pozostałe pióra miały kształt i aerodynamikę podobne do tych w lotce, którą dysponujemy, takie skrzydła mogłyby bez problemu unieść człowieka ważącego osiemdziesiąt kilogramów.

Między mężczyznami znów zaległa cisza.

- Ksiądz jest naukowcem, człowiekiem nauki - powiedział wreszcie kardynał, który nadal stał odwrócony plecami do ojca Giovannezy. - Dlaczego wstąpił ksiądz do seminarium?

- Z powodu takich rzeczy, Eminencjo - odparł ksiądz bez cienia wahania.

Grazzianni uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu dni, a jego twarz się rozpozodziła, podczas gdy podziwiał widok Rzymu z okna swojego gabinetu.

* * *

Cameron poczuł, że zapada się na kilka centymetrów w swój fotel. Kardynał również zauważył efekt, jaki na Amerykaninie wywarły jego słowa.

- Teraz, jak już panu wspomniałem, wszystko jest w rękach Ojca Świętego. On podejmie ostateczną decyzję - powiedział lakonicznie.

- Zdaniem Eminencji pióro może zostać ogłoszone relikwią?

Grazzianni westchnął ciężko, krzyżując ramiona.

- Ludzie już dawno temu porzucili stan niewinności, profesorze Cameron - powiedział tytułem wstępu. - Wie pan, że obecnie przechowuje się na świecie ponad sześćdziesiąt palców świętego Jana Chrzciciela, rozproszonych po dziesiątkach kościołów i klasztorów? Albo że czci się trzy napletki Chrystusa, po jednym w Antwerpii, Hildesheimie i Santiago de Compostela? W Watykanie przechowujemy soczewicę i chleb, które zostały po Ostatniej

Wieczerzy. Dziś po południu może się pan przejść do kościoła San Marcelo, gdzie znajdzie pan pieluszkę Dzieciątka Jezus. Ja sam miałem w ręku butelkę, która jakoby zawiera kichnięcie Ducha Świętego i którą czci się w San Trontino.

- Kościół nie musi się tego wstydzić - przerwał mu Cameron, trochę zirytowany słodko-kwaśnym tonem wywodu kardynała. - Relikwie miały w swoim czasie istotne znaczenie dla chrześcijaństwa.

- Użył pan odpowiedniego czasu gramatycznego. Przeszłego. Relikwie spełniły swoją funkcję w przeszłości. „Przedmioty wystawione na potrzeby kultu, których przeznaczeniem jest wzmacniać wiarę Ludu Bożego”. Tak to ujęliśmy na ostatnim synodzie, jak sędzę. - Urwał i uśmiechnął się, jakby wspominał minione, dobre czasy. - Wtedy ludzie chcieli wierzyć, *professore*. Dziś wiara traci na popularności. - Spojrzał mu w oczy. - Dziś nikt nie wierzy w anioły.

Mężczyźni zamilkli. Cameron pomyślał, że być może Grazzianni ma rację, być może relikwia z anielskiego pióra nie miała racji bytu w świecie, w którym przyszło im żyć.

- A włos? - zapytał nagle. Prawie o nim zapomniał. Chciał wiedzieć, czy istnieje szansa powiązania go z piórem.

- Z analizy włosa wynika, że należał do mężczyzny. Miał około dwudziestu jeden lat, był wyjątkowo zdrowy i silny. Właściciel tego włosa nigdy nie palił, nie pił alkoholu, jego dieta była wolna od metali ciężkich i oksydantów... Modelowy chłopak. Jednak jego kariotyp przyniósł kolejną niespodziankę: dwudziesty pierwszy chromosom występuje potrójnie. Cameron zrobił zdziwioną minę.

- Lekarze nazywają to trisomią dwadzieścia jeden - wyjaśnił kardynał. - Zespół Downa. Młodzieniec, który stracił ten włos, cierpiał na zespół Downa.

- Czy istnieje jakieś powiązanie między włosiem i piórem?

Grazzianni uśmiechnął się z aprobatą.

- Wygląda na to, że panu zależy na znalezieniu cudu bardziej niż samemu Kościołowi, *professore* Cameron. Pańska troska dobrze o panu świadczy jako chrześcijaninie. Ale proszę pamiętać, że mamy tylko ptasie pióro. Pióra są przedmiotami martwymi - uściślił. - Kiedy już urosną, nie dostają nic od ciała, poza punktem zaczepienia.

- Pióro nieznanego ptaka - mruknął Cameron.

- Na to mogę się zgodzić - przyznał purpurat, któremu nie umknął komentarz profesora. - Ale jednak ptaka - zakończył.

Ktoś zapukał dwukrotnie do drzwi gabinetu, jakby dawał umówiony sygnał.

Grazzianni spojrzął na zegarek.

- Pańska wizyta dobiegła końca - oznajmił. - Może mi pan wierzyć lub nie, ale mam mnóstwo zajęć. - Podniósł się z fotela, dając do zrozumienia, że spotkanie jest zakończone. - Odprowadzę pana do wyjścia - dodał uprzejmie.

* * *

Wyszli z Biblioteki Watykańskiej, w której mieści się archiwum, przez budynek Muzeum Watykańskiego. Po drodze Grazzianni zapytał Camerona o jego zdanie na temat kondycji katolicyzmu w Stanach Zjednoczonych. Cameron wyjaśnił, jak zwykł to robić zawsze, kiedy rozmawiał z przedstawicielami kleru, że uważa siebie samego za miernego chrześcijanina. Dodał, że poza mniejszością irlandzką raczej nie znalazłoby się w jego kraju przyzwoitego katolika.

- Powinien pan częściej się modlić, panie Cameron, od razu pozbyłby się pan tej powłoczki mało wiarygodnego cynizmu, którym się pan chełpi - napomniał go kardynał.

- Staram się, Eminencjo.

- Lepiej niech pan przestanie się starać i po prostu to zrobi. Modlitwa jest najlepszą

pożywką dla wiary. I dla zdrowego rozsądku - podsumował kardynał ostro.

Amerykanin przysiągł sobie, że w przyszłości zmieni swój sposób mówienia do kleru.

Rozmawiali też o polityce, kryzysie ekonomicznym i zmianie klimatu - przydatnych kwestiach, kiedy brakuje tematów do rozmowy.

Grazzianni pożegnał swojego gościa, stojąc na wspaniałych schodach zaprojektowanych przez Giuseppe Momo.

- Są niezwykle - zauważył Amerykanin, podziwiając oryginalny kształt spiralnych schodów stworzonych przez włoskiego architekta.

- Przyznaję, nie wyglądają źle, mimo że są takie nowe - zgodził się kardynał.

- Obróbka balustrady jest arcydziełem. - Cameron miał słabość do architektury.

- Artysta chciał przedstawić pnącze, rośliny i kwiaty... jak sądzę.

Cameron nagle doznał objawienia. Utkwił wzrok w kamiennych kwiatkach wyrzeźbionych na schodach. I zadał pytanie:

- Czy na piórze anioła znaleziono ślady pyłku kwiatowego? - Dwaj młodzi księża, którzy właśnie wchodzili na schody, spojrzeli na niego uważnie. Cameron prawie wykrzyczał swoje pytanie.

- Słucham? - Grazzianni wbił wzrok w księży, którzy natychmiast poszli dalej.

- Na piórze anioła znaleziono ślady pyłku kwiatowego, prawda?

Przez chwilę, która zdawała się wiecznością, mężczyźni patrzyli na siebie uważnie w milczeniu, jak kamienie, które ich otaczały.

- Za wiele dziś powiedziałem - oznajmił w końcu kardynał. - I chciałbym panu przypomnieć, że już wyszliśmy z mojego gabinetu. - Podał mu rękę na pożegnanie. - Jeśli mogę panu coś poradzić, proszę zajrzeć do kościoła Świętego Ignacego, obejrzyć freski Andrei Pazzo i pomodlić się przed głównym ołtarzem. Jest ozdobiony najpiękniejszymi

motywami kwiatowymi w całym Rzymie. Mam nadzieję, że spędzi pan miły dzień w naszym mieście, proszę pozdrowić ode mnie brata i powiedzieć mu, że wyrównaliśmy rachunki.

Arrivederci.

* * *

Cameron wyszedł na ulicę. Szedł w kierunku miejsca, gdzie umówił się z Lanżą, kiedy zobaczył wyłaniającego się zza rogu czarnego mercedesa, który zatrzymał się obok niego. Profesor wszedł do samochodu, zanim kierowca zdążył wysiąść, żeby otworzyć przed nim drzwi.

- Do Świętego Ignacego. Może pan pędzić, jeśli to konieczne - pozwolił.

- Nie ma takiej potrzeby, *signore*. Restauracja, w której ambasador zarezerwował stół, znajduje się bardzo blisko Świętego Ignacego. Jeśli planuje pan krótkie zwiedzanie, nie będzie problemu z czasem.

- Mam nadzieję, że będzie krótkie. - Przynajmniej tego się spodziewał.

Kiedy Sebastian dotarł na miejsce, przebył wielkimi krokami nawę główną świątyni.

Nie posłuchał rady kardynała i nie spojrzał ani razu na sklepienie kościoła, jak to uczyniła grupa japońskich turystów. Nie mógł więc podziwiać wspaniałego fresku Andrei Pazzo.

Ukląkł w pierwszej ławce przed ołtarzem głównym i zobaczył piękne żółte kwiaty, którymi go ozdobiono. Poczł głęboki spokój. Jakby nagle wszystko zrozumiał, nie rozumiejąc nic.

- *Sono bei, verita*?*

* Piękne, prawda?

Cameron drgnął, nie zauważył, że podszedł do niego stary ksiądz, który patrzył na niego teraz wilgotnymi oczami i uśmiechał się uprzejmie.

- Ma ksiądz na myśli kwiaty?

- Tak. Kwiaty. Są piękne. Matka Boska uwielbia te kwiaty - odparł, patrząc na ołtarz.

- Co to za kwiaty, proszę księdza? - zapytał, chociaż chyba znał odpowiedź.

- *Campanulas virginalis*, dzwoneczki Matki Boskiej. Rosną tylko w Ziemi Świętej, w Jerozolimie. Przywożą je nam co roku dzięki kardynałowi Grazzianniemu. To dar dla Matki Boskiej ze Świętego Ignacego. Są wspaniałe, prawda?

* * *

Restauracja nazywała się Da Patricia e Roberto del Pianeta Terra i mieściła się przy via Arco del Monte, w dzielnicy Campo di Fiori. Jak oznajmił Cameronowi jego brat, była „najzabawniejsza, najnowocześniejsza i najbardziej trendy. I serwowała najlepszą tradycyjną kuchnię włoską w Rzymie”. Znając upodobania Maca, mógł spokojnie założyć, że była też najdroższa w całym Wiecznym Mieście.

Siedzieli więc we dwóch naprzeciwko siebie i jeszcze nie zdążyli się pokłócić. Ich rodzice byliby zachwyceni tą sceną.

Starszy z Cameronów musiał przyznać, że jego brat wygląda doskonale. Schudł od czasu ich ostatniego spotkania. Minęło już pięć lat, mógł więc schudnąć i utyć kilka razy, pewnie ma cały tyłek w rozstępach, pomyślał złośliwie Sebastian. Dyskretna opalenizna nadawała Macowi zdrowy wygląd, włosy miał mokre.

- Masz jeszcze wilgotne włosy. - Sebastian nie mógł się powstrzymać. - Jeśli Mónica się dowie, że masz romans w Rzymie, twoje małżeństwo będzie żerem dla lwów, jak dawni chrześcijanie w cyrku.

Madoc roześmiał się głośno. I szczerze. Najwyraźniej cieszył się z towarzystwa brata.

- Sebastianie, Sebastianie. Zawsze czujny. Właśnie skończyłem grać w golfa i wziąłem prysznic w klubie. Ale nie mów o tym Monice, to by zrujnowało moją reputację. Jest przekonana, że pracuję czternaście godzin dziennie.

- Panowie podjęli już decyzję? - Przy ich stole pojawił się kelner. Jego ciemne włosy były kręcone i pokryte żelem. Całości dopełniały gęste brwi, podkreślone na końcach wąsy i idealne uzębienie.

- Oddaj się w moje ręce, bracie, a długo nie zapomnisz tego obiadu. - Mac właściwie wydał mu rozkaz, otwierając wielką kartę dań, z kelnerem stojącym za jego plecami. -

Zacniemy od zamówienia domowego *antipasto* na spółkę. Mario, proszę nam nie żałować ośmiorniczek, anchois, karczochów i czarnych oliwek - zwrócił się do kelnera, który skrzętnie zapisywał zamówienie. - Spróbujemy też porcji *supli*. - Podniósł wzrok, żeby spojrzeć na brata. - To rodzaj krokietów ze smażonego ryżu nadziewanych mozzarellą, których nigdy nie zamawiam, kiedy spotykam się z Grazziannim, żeby nie przedłużać jego pobytu w czyścicu - wyjaśnił, puszczając do brata oko.

- *Code a la vaccianara* na drugie danie, *signore*? - zaproponował kelner.

- Naturalnie. Mój brat nie może wyjechać z Rzymu, nie spróbował waszej specjalności. Byczy ogon w sosie pomidorowym. Patricia i Roberto, właściciele tej restauracji, twierdzą, że przez to traci się odpust, ale warto zaryzykować. - Brat rozczulił Sebastiana, wyglądało na to, że naprawdę się cieszy ze spotkania, właściwie był w euforii. - I zostaw sobie miejsce na deser, CC, musisz spróbować kawałek *Costra di Ricotta*. To król tutejszych deserów, sernik nadziewany ricottą, marsalą i cytryną.

- Do tego chianti i bruschetta*? - proponował kelner bez litości.

- Tak, tak, Mario. Brawo, butelka tego doskonałego chianti i odrobina chleba.

Łakomstwo to ostatni grzech, jaki został takim starym gladiatorom jak mój brat i ja - odparł Mac, łapiąc Sebastiana za rękę i ściskając ją mocno.

Cameron pomyślał, że to za sprawą magii Rzymu on również szczerze się uśmiecha.

W innych okolicznościach zwymiotowałby wskutek nadmiaru okazywanej mu przez brata

czułości.

- Wyglądasz świetnie, Sebastianie - powiedział Mac, wyjmując z kieszeni komórkę i kładąc ją na stole. - Masz przy sobie telefon? - zapytał.

- Tak. Jestem starym ramolem, ale mam komórkę.

- Pokaż - poprosił Mac.

Sebastian podał mu telefon. Jego własna potulność kompletnie go zaskoczyła. Jeszcze niczego nie wypił. Jakiś narkotyk w aerozolu wpuszczony do klimatyzacji? Madoc przywołał gestem kelnera, który podszedł do nich jak tresowany piesek.

- Schowaj je, Mario. Oddasz nam przy wyjściu. Nie chcę, żeby cokolwiek przerwało mój obiad z bratem.

Kelner zabrał oba telefony z uśmiechem i lekkim ukłonem.

- Mac, to jest idiotyczne, wystarczyłoby je wyłączyć...

- Do diabła z inwazyjną technologią - odparł zapalczywie Mac. - Nic nie przerwie naszego spotkania. - Wzniósł toast kieliszkiem chianti, które właśnie im podano.

* Bruschetta - podgrzana kromka chleba z czosnkiem, oliwą z oliwek i świeżym pomidorem.

Obiad upłynął w miłej atmosferze. Sebastian przypomniał sobie później, że nawet dwukrotnie się roześmiał. Jego brat się zmienił. Musiał przyznać, że stał się wspaniałym rozmówcą, dowcipnym i ujmującym. A może zawsze był taki? Nie przypominał sobie, żeby poświęcił Madocowi tyle uwagi od czasu jego operacji na wyrostek, kiedy miał siedem lat. A zainteresował się nim wtedy tylko dlatego, że spodziewał się odziedziczyć po nim rower i kij baseballowy.

W trakcie obiadu poczuł nawet przez chwilę ukłucie w gardle, na wysokości jabłka Adama, a oczy mu zwilgotniały. Zakrył kieliszek dłonią, kiedy kelner podszedł, żeby napełnić go po raz kolejny. Nie mógł zapobiec temu, że jego brat zapłacił rachunek. Ani temu, że

Patricia i Roberto, urocze małżeństwo, do którego należał lokal, przysiedli się do nich, żeby napić się doskonałej kawy i grappy, która przyczyniła się do całkowitego znieczulenia neuronów w mózgu Sebastiana.

Musiał również zgodzić się na wspólną kolację z Madokiem, Mónica i dziewczynkami u nich w domu, kiedy jechał już do hotelu na tylnym siedzeniu pancernego mercedesa.

„Muszę się przespać, jeśli chcesz, żebym zachowywał się jak człowiek w trakcie kolacji, Mac”.

Rzucił się na łóżko, nie zdejmując butów. Miał dziwne sny pełne mnichów, aniołów i żółtych kwiatów.

* * *

Następnego dnia Máximo Lanza zawiózł go na terminal lotów międzynarodowych na Fiumicino. Pożegnał się z nim tak samo, jak się przywitał, ściskając jego prawą dłoń, a lewą przytrzymując przedramię. Gest kierowcy znów rozśmieszył Camerona. Być może dlatego, że nie zauważył miniaturowego nadajnika GPS, który Lanza zdjął z jego marynarki, a który przyczepił do niej dwadzieścia cztery godziny wcześniej, używając tego samego gestu przy powitaniu.

* * *

Telefon Sebastiana zadzwonił, kiedy stewardesa wręczała mu kartę pokładową.

Cameron uśmiechnął się dwa razy: raz do pięknej Włoszki, a drugi raz do wyświetlacza telefonu, gdy zobaczył na nim numer doktor Recasens.

- Proszę się przyznać, nie może pani beze mnie żyć. Nie musi się pani wstydić, wywołuję takie uzależnienie w znanych mi kobietach - powiedział zamiast powitania.
- Mam tłumaczenie tatuażu mnicha - przerwała mu ostro, ale Cameron wyczuł w jej głosie zdenerwowanie.

- Jestem gotów na prawie wszystko, proszę mówić. - Alejandrę trudno będzie złamać.

- Miał pan rację, to aramejski - powiedziała. - Bardzo stara wersja aramejskiego. Ale moim ekspertom udało się go przetłumaczyć. - W jej głosie znów zabrzmiały zadowolenie i pewność siebie.

- Wykształcony człowiek, mnich, gotów do poświęceń, żeby uwiarygodnić swoje oszustwa - przyznał Cameron. - A czego dotyczy wiadomość, którą schował pod ramieniem? Matczynej miłości? Bożego miłosierdzia? Coś w tym stylu?

- Obawiam się, że to nie jest konwencjonalne hasło, moim zdaniem jest dość niepokojące. - Zrobiła wystudiowaną pauzę, ona również potrafiła budować napięcie, jeśli chciała. - Tłumaczenie wytatuowanego zdania brzmi tak: „Koniec świata, piąty potop, z głowy diabła, dwakroć tysiąc trzynaście”.

Cameron zamilkł. Gdyby potrzebował jeszcze jednego elementu w tej skomplikowanej łamigłówce, znaczenie tatuażu byłoby idealnym zwieńczeniem zabawy.

- Właśnie wsiadam do samolotu na lotnisku Fiumicino. Chciałbym porozmawiać z panią o tym ostatnim odkryciu, kiedy dotrę do Madrytu - zaproponował.

- Ja jestem tylko lekarzem sądowym, to pan tu prowadzi dochodzenie. Dobrej podróży. - Odłożyła słuchawkę.

* * *

Historyk wsiadł do samolotu dwadzieścia minut później. Usiadł w szerokim fotelu klasy biznes i zasnął jeszcze przed startem. Tym razem nic mu się nie śniło. Środki uspokajające mają do zaoferowania tylko puste sny.

Rozdział VII

Tamtej nocy 1936 roku

w kościele Świętych Filipa i Jakuba

Capita VII. N.S.B.a. Egzorcyzm i śmierć mnicha złodzieja, kuszono i owładniętego przez Szatana. Podróżnicy grzebią go na wyspie i tak spełnia się jeden z proroczych snów Brendanusa.

- Ktoś zostawił to dla pana w recepcji, panie Cameron. - Recepcjonistka z hotelu Pałace wręczyła mu plastikową kopertę z logo typem firmy kurierskiej MRW, zaadresowaną na jego nazwisko.

- Dziękuję - powiedział, biorąc paczkę do wolnej ręki. Przed chwilą udaremnił boyowi próbę odebrania mu wózka z bagażami. - Kiedy przyszła?

- Wczoraj, gdy był pan w Rzymie. - Dziewczyna była miła i miała piękny uśmiech.

Cameron zważył kopertę w ręku. Miał wrażenie, że w środku jest cienkie pudełko.

Domyślał się, że przyszło z wytwórni. Poprosił ich o zdjęcia lub nagranie miejsc, w których kręcili film. Poczł wyrzuty sumienia. Uśmiechnął się do recepcjonistki i ruszył w kierunku wind, pchając swój wózek po grubej wykładzinie pokrywającej podłogę holu hotelowego.

Wszedł do pokoju i zdjął buty. Poczł ulgę połączoną z wrażeniem powrotu do domu, choć w tym wypadku hotel był tylko namiastką. Zadzwoił jego telefon komórkowy.

- Detektywie Cameron? - Przyjazny i kpiący głos Alejandry. Była chyba znacznie bardziej swobodna niż poprzedniego dnia.

- Pani doktor, jakże się cieszę, że znów panią słyszę. Przez chwilę się obawiałem, że już więcej się pani do mnie nie odezwie, choćby świat miał się walić.

- Proszę wybaczyć, wczoraj nie byłam dla pana zbyt miła. Miałam okropny dzień w pracy, którego kulminacją było tłumaczenie schizofrenicznego przesłania. - Rzeczywiście, dziś wydawała się znacznie miłsza.

- Proszę się nie martwić, pani głos jest zawsze muzyką dla mych uszu, niezależnie od pani nastroju. Ja też nie przywiązuję większej wagi do tatuażu tego mnicha - skłamał w obu

zdaniach. - Facet musiał być jednym z tych oświeconych szaleńców, którzy są zdolni do samookaleczenia, żeby tylko zostawić po sobie jakieś apokaliptyczne przesłanie. Nie powinniśmy się tym przejmować - podsumował z fałszywą pewnością siebie.

- Jasne. Mam wyniki analizy grafologicznej wiadomości od czerwonego flamastra, o którą mnie pan prosił.

- Proszę mi tylko nie mówić, że to Batman próbował się ze mną skontaktować.

Usłyszał jej śmiech. On również się roześmiał, jednocześnie rozpoczął niemą walkę z zafoliowaną kopertą od MRW, próbując ją otworzyć.

- Kserokopia ogłoszeń drobnych z „ABC” i ulotka o wystawie *Rzymski Madryt* zostały zakreślone tym samym flamastrem - poinformowała go Alejandra. Cameron otworzył wreszcie paczkę, z której wyjął kolejną, mniejszą kopertę, tym razem zaklejoną. - W obu wypadkach - ciągnęła doktor Recasens - flamastra użyła ta sama osoba, na dziewięćdziesiąt osiem procent mężczyzna.

Cameron wyjął z koperty pudełko na DVD. Na okładce ktoś napisał: *Mamy mało czasu*. Użył do tego czerwonego flamastra.

- Czy mogłaby pani wyrwać się dziś z pracy, żeby obejrzeć ze mną film? - zapytał profesor, sprawdzając, czy w pudełku jest płyta. - Obawiam się, że mamy zaproszenie od naszego przyjaciela z czerwonym flamastrem.

* * *

- Kiedy dostał pan tę paczkę? - zapytała Alejandra, siedząc ze skrzyżowanymi nogami przed telewizorem, na podwójnym łóżku w apartamencie Camerona. Aparat DVD był podłączony, a na ekranie nie było widać nic.

- Dali mi ją w recepcji dziś rano. Dostarczono ją, kiedy przebywałem w Rzymie - odparł, wycierając głowę ręcznikiem po kąpieli, której zażył parę minut przed przyjściem

pani doktor.

- Nie widział jej pan jeszcze?

- Nie, chciałem iść na premierę z panią.

- Jak panu poszło w Rzymie?

- Opowiem pani przy obiedzie. Zaczynamy seans? - zapytał, siadając obok niej w przyzwoitej odległości i trzymając w dłoni pilota od wideo.

- Tak jest - odparła z uśmiechem.

Cameron nacisnął guzik pilota. Na ekranie ukazała się postać bardzo starego mężczyzny. Siedział na wózku inwalidzkim, patrząc prosto do kamery. Do prawego ramienia miał podłączoną kroplówkę, a pod brodą wisiała maska tlenowa. Był ubrany w wygodny jedwabny szlafrok, spod którego wystawała jakby piżama. Pomieszczenie nie wyglądało na szpitalne. Nagranie zostało wykonane w niepokojąco statyczny sposób, plan był źle oświetlony, widocznie autor był amatorem. Kamera stała pewnie na statywie. W lewym dolnym rogu ekranu wyświetlała się data, 20 maja 2007 roku. Nagranie powstało nieco ponad rok wcześniej.

- „Nazywam się Germinal Sánchez Saavedra - mówił z trudem, odchrząknął kilkakrotnie, żeby oczyścić gardło. - Byłem w kościele Świętych Filipa i Jakuba w nocy osiemnastego lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku”.

* * *

Między kamiennymi ścianami kościoła rozbrzmiewało echo wciąż odległej burzy. Starszy z mężczyzn mieszał kielnią tężejącą masę z piasku i cementu. Germinal, jego młody pomocnik, kończył znosić cegły, z których miała powstać nowa ściana. Pocił się obficie, nie wiedział, czy z wysiłku, czy ze strachu, czy z obu powodów. Spojrzał kątem oka na zawiniętą w koc rzeźbę Matki Boskiej. Położyli ją już we wnęce, którą mieli zasłonić

dodatkową ścianą: wszystko było gotowe.

Uśmiechnął się do siebie. Na początku plan księdza wcale mu się nie podobał. Mimo że - jako wzorowy członek Falangi - nie był tchórzem, замуrowanie figury Matki Boskiej wydawało mu się wręcz świętokradztwem. Później zrozumiał jednak, że tylko w ten sposób mogli chronić patronkę miasta. Dwa miesiące wcześniej burmistrz zabronił publicznego odprawiania mszy w związku z próbą podpalenia kościoła. „Żeby uniknąć większych nieszczęść”, jak tłumaczył z przerażeniem proboszczowi. W gruncie rzeczy burmistrz był poczciwym człowiekiem, należał do Republikańskiej Lewicy i czuł, że sytuacja go przerosła. Germinal musiał teraz przyznać, że udzielenie pomocy księdzu Nicolásowi było dobrym pomysłem. Ukrycie rzeźby patronki okazało się słuszne. Nie można pozwolić, żeby czerwoni porąbali ją na kawałki, pomyślał.

- Gotowe - powiedział cicho don Nicolás, kiedy uznał, że zaprawa związała się dostatecznie. - Możemy zacząć w każdej chwili, Germinalu.

W tym samym momencie drzwi kościoła drgnęły, jakby miały się złamać pod potężnym uderzeniem, którego echo rozbrzmiało w ciszy nocy między murami świątyni. Germinal poczuł, że serce podchodzi mu do gardła, ale miał dość przytomności umysłu, żeby sięgnąć prawą ręką do paska, zza którego wyjął krótką astrę, ukrytą do tej pory między koszulą a spodniami. Jeśli po nich przyszli, on i ksiądz na pewno zabiorą kilku z sobą. Don Nicolás wyglądał na bardziej opanowanego, w końcu był kapłanem wojskowym w Afryce. Germinalowi przyszło też do głowy, że księża byli lepiej przygotowani do roli męczenników i zwykle znosili cierpienia z godnością.

Kapłan, który nie spuszczał drzwi z oka, gestem ręki dał pomocnikowi do zrozumienia, że ma przygotować broń. Kładąc palec wskazujący na ustach, kazał mu być cicho. Minęło kilka sekund, które zdawały się wiecznością. Ksiądz i młody falangista czekali

na kolejne uderzenie w drzwi, które wyrwie z nich zamek i otworzy drogę zgrai uzbrojonych mężczyzn.

Nic się nie wydarzyło.

Poza murami kościoła rozbrzmiewało tylko echo zbliżającej się burzy. Germinal spojrzał nerwowo w stronę zakrystii. Może okrążali budynek z zamiarem dostania się do niego znacznie kruchszymi tylnymi drzwiami.

Jednak nic nie zmąciło ciszy panującej we wnętrzu kościoła. Ani tej okrywającej ulicę. Minuty upływały.

- Zobaczę, co się stało za drzwiami. Schowaj się w konfesjonale - rozkazał ksiądz.

Chłopak wszedł po cichu do konfesjonału. Wyjął pistolet i odciągnął cyngiel.

- Germinalu! - zawołał go nagle don Nicolás, który na chwilę porzucił wszelką ostrożność i krzyczał do niego od drzwi. - Chodź, tu jest ranny człowiek!

Na progu leżał zwinięty w kłębek, ubrany jak mnich mężczyzna. Był oszołomiony i cicho pojękiwał. We dwóch wnieśli zakonnik do kościoła. Podczas gdy Germinal zamykał drzwi do świątyni, don Nicolás ułożył rannego na starym kocu, przy głównym ołtarzu.

Następnie poprosił chłopaka, by zapalił gromnice, żeby móc przyjrzeć się ranie.

- Musiał upaść na drzwi, stąd to uderzenie - uznał Germinal.

Ksiądz ostrożnie rozsunął habit nieznanego. Mnich miał pod obojczykiem paskudną ranę. Don Nicolás uznał, że zadano ją bronią palną, mężczyzna stracił wiele krwi. Pod wpływem dotyku mnich otworzył oczy i skrzywił się z bólu.

- *Aqua... Aqua...* - wyszeptał błagalnie.

- Bracie, bracie, słyszysz mnie? - Ksiądz próbował zapobiec jego ponownemu omdleniu.

- *Aqua* - poprosił mnich ponownie.

Germinal przyniósł szklankę wody z maleńkiej umywalki znajdującej się w zakrystii.

Mężczyzna opróżnił ją kilkoma haustami, a rana znów zaczęła krwawić. Wtedy don Nicolás, który w Afryce udzielił ostatniego namaszczenia wielu żołnierzom, zrozumiał, że ten człowiek umrze.

- Kto cię zaatakował? - zapytał go.

Mężczyzna nie odpowiedział, jego oczy się zamykały.

- *Quis te agredit*?* - zapytał ksiądz ponownie, tym razem po łacinie. Obawiał się, że zabójcami mogli być zwykli bandyci albo milicjanci, równie dla nich groźni, którzy szukają teraz mnicha, żeby go dobić.

Ranny otworzył oczy, spojrzał na nich niewidzącym wzrokiem, jakby przestraszony.

- *Custodiate librum angelique pennam*** - powiedział wśród jęków, ściskając silnie niepozorne zawiniątko z wywróconej skóry. - *Debeo est me revertare in caelum. Insula venturi saeculi****

- Co on mówi? - zapytał Germinal z niepokojem.

- *Qui impetum lecerum te hinc prope sunt? Eum secutus sunt****?* - Don Nicolás martwił się teraz o życie swoje i swojego pomocnika, bo nieszczęsnemu mnichowi niewiele mógł już pomóc.

Zakonnik utkwiał oczy w ozdobionym drewnianymi płaskorzeźbami suficie kościoła.

Nagle jego twarz się rozjaśniła, a na ustach pojawił się uśmiech.

- *Domine...* - szepnął, a oczy zasnuły się mgłą. Zawiniątko, uwolnione z uścisku jego rąk, upadło na podłogę. Proboszcz udzielił mu szybko namaszczenia i delikatnie zamknął mu powieki. Twarz mnicha była pełna spokoju.

- Złap go za nogi - rozkazał ksiądz Germinalowi, pochylając się nad zmarłym.

- Co on mówił i co z nim teraz zrobimy? - Chłopak miał poczucie, że wszystko szło

nie tak, jak powinno.

- Bredził w gorączce, wtedy mówi się różne rzeczy. - Ksiądz miał doświadczenie w tych sprawach. - Włożyliśmy go we wnękę w ścianie - oświadczył.

Złożyli ciało mnicha obok tobołka kryjącego figurę Matki Boskiej Bolesnej.

- Nie mógł trafić w lepsze towarzystwo - uznał ksiądz.

Germinal pomyślał, że don Nicolás ma rację. Nie mogli zrobić wiele więcej dla tego nieszczęśnika poza złożeniem go w poświęconym miejscu, obok patronki miasta. Kiedy wszystko się skończy, wyciągną go stamtąd i pogrzebią, jak Pan Bóg przykazał. Choć mnich nie mógł się skarżyć na pochówek: chłopak zapamiętał ze szkoły, że w kościele chowano tylko królów, szlachtę, kardynałów i biskupów. Zakonnik dostąpił szybkiego awansu.

Zajrzeli do tobołka mnicha, który Germinal zostawił sobie na pamiątkę. Wewnątrz znajdowała się książka, o której mówił umierający. Don Nicolás przeczytał tytuł napisany po

* * Kto cię zaatakował?

* ** Chronicie książkę i pióro anioła.

* *** Muszę wrócić do raj. Do Wyspy Końca Czasu.

**** Czy ci, którzy cię zaatakowali, są w okolicy? Szli za tobą?

łacinie: *Navigatio Sancti Brendani abbatis*. Nie znał się zbytnio na tym, ale wyglądała na starą i na pewno była pisana ręcznie. Wygrzebał, z pamięci wspomnienia z seminarium duchownego w Teruel. *Navigatio* było rękopisem napisanym przez mnichów, uznał. On sam zawsze wolał świętego Jana od Krzyża. Nie potrafił przypomnieć sobie nic więcej. W każdym razie była to księga religijna napisana po łacinie. Doskonała przepustka do wylądowania w rowie z ciałem nafaszerowanym ołowiem, jeśli zatrzyma ich jakaś grupa milicji.

Podał rękopis młodemu falangiście, prosząc go, żeby owinał książkę w koc i złożył ją

obok ciała prawowitego właściciela. Lub przynajmniej powiernika. Podczas gdy jego pomocnik owijał pieczęlowicie manuskrypt, ksiądz oglądał szklaną ampułkę i jej intrygującą zawartość: pióro i coś, co wyglądało na jasny włos, oraz notatkę po łacinie. „Pióro i włos anioła znalezione obok Grobu Świętego Jezusa Chrystusa trzeciego dnia po zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu”, przetłumaczył zdanie napisane na czymś przypominającym papirus.

Próbował sobie przypomnieć, jaki klasztor znajdował się nieopodal Cobisy. Ten mnich musiał z pewnością uciec z jakiegoś nieodległego klasztoru, zabierając z sobą relikwie, żeby je chronić.

- A to, ojcze? Co robimy z pojemnikiem i piórem? - zapytał Germinal ze zdenerwowaniem. Musieli przed świtem wykonać jeszcze dużo pracy, a mnich i jego bagaż tylko ich opóźniał.

- Połóż koło mnicha - odparł ksiądz lakonicznie, powstrzymując się od skomentowania zachowania pomocnika. Dałby sobie rękę uciąć, żeby móc zachować anielskie pióro, ale oznaczałoby to ściągnięcie na siebie tego samego niebezpieczeństwa, co w wypadku książki. Zresztą mnich prosił ich przed śmiercią, żeby strzegli książki i relikwii. A w tej chwili nie przychodziła mu do głowy lepsza kryjówka.

O szóstej rano skończyli budować i cementować ścianę. Zasłonili ją przygotowanymi wcześniej bordowymi zasłonami, które ukryły ją przed oczami postronnych.

Za grubymi zasłonami ściana mogła powoli schnąć i tężeć. W ciągu kilku dni stanie się nieodłączną częścią kościoła.

Figura Matki Boskiej, książka, pióro i mnich będą za nią bezpieczni, dopóki nie nastaną spokojniejsze czasy, sprzyjające wydobyciu ich z zamknięcia.

Burza nieuchronnie zbliżała się do Cobisy. Wspólnicy uprzątnęli dokładnie ślady

swojej pracy i plamy krwi, pozostawiając kościół w stanie sprzed tej niespokojnej nocy. Byli wycieńczeni, ale udało im się dopiąć swego: uchronili rzeźbę patronki przed furją ikonoklastów, która ostatnimi czasy wciąż rosła. Być może, pomyślał don Nicolás, pucz wojskowy, o którym wiadomości dotarły do niego tego ranka, sprawi, że wszystko wróci na swoje miejsce i że oszaleli politycy odzyskają rozsądek. Nie mógł jednak być pewien, czy te przewidywania były słuszne.

- Powinniśmy już iść, don Nicolásie - zauważył chłopak, wrywając go z ponurych rozmyślań.

- Tak. Powinniśmy iść. Do Toledo jest szmat drogi - odpowiedział ksiądz, sprawdzając po raz ostami, czy nie zostawili po sobie żadnych śladów.

Germinal przewiesił sobie wesoło torbę mnicha przez ramię. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, następnego dnia dołączy w Madrycie do swojej centurii, gotowy do wkroczenia do akcji.

Zgasili ostatnie gromnice, które świeciły im przy pracy. Stojąc w drzwiach, ksiądz przekręcił wyłącznik, gasząc mdłe światło żarówek na ołtarzu głównym. Odsunął zasuwkę i wraz z Germinalem wszedł w mrok kończącej się już nocy. Kiedy przechodzili przez próg, światło błyskawicy rozjaśniło rynek, a potem rozbrzmiał suchy i dudniący huk. I wtedy, naprzeciwko nich, wśród kolumn kościelnego portyku, na tle mlecznego światła błyskawicy, zarysowała się ciemna, potężna postać mnicha.

Don Nicolás zamarł wobec nagłego pojawienia się zakonnika, a Germinal niemal upadł, kiedy cofnął się o krok i potknął o próg kościoła.

- Gdzie jest mnich? - zapytał olbrzym ochryłym, głębokim głosem.

* * *

Alejandra i Cameron siedzieli w przyjaznym cieniu rzucanym przez parasol w Cafe de

Oriente znajdujące się przy placu o tej samej nazwie, naprzeciwko Pałacu Królewskiego.

Ona zamówiła lemoniadę, on kawę z lodem. Pani doktor zaczęła czytać raport, który wyświetliła na ekranie swojego laptopa.

- Germinal Sánchez Saavedra, falangista z pierwszego naboru, w trzydziestym szóstym roku miał rzeczywiście szesnaście lat. Był jednym z obrońców Alkazaru, więc jego opowieść o nocy spędzonej w Cobisie może się obronić. Wiedział pan, że ojciec chłopaka był anarchista?

- Najwyraźniej z chłopaka był taki sam buntownik jak z ojca. To ma sens - przyznał Amerykanin, miażdżąc zębami kawałek lodu.

- Uszedł z życiem z oblężenia toledońskiej Akademii Artyleryjskiej. Tak samo jak don Nicolás Carrera Olmedo. Dowiedzieliśmy się, że był proboszczem parafii w Cobisie od trzydziestego pierwszego do trzydziestego szóstego roku. Również brał udział w obronie Alkazaru, co czyni opowieść Germinala bardziej prawdopodobną.

- Co się działo później z naszą niecodzienną parą?

- Pierwsze miesiące wojny spędzili razem. Ich losy rozdzieliły się ostatecznie wkrótce potem. Według moich informacji, w pierwszej bitwie o Teruel... - Alejandra się zawahała. Cameron spojrział na nią zza okularów przeciwsłonecznych i zmarszczył brwi.

- Były dwie bitwy pod Teruel. Za pierwszym razem miasto zdobyli republikanie, za drugim, kilka tygodni później, odbili je narodowcy - wyjaśnił Alejandrze. - Powinniście odświeżyć sobie swoją historię. Głównie po to, żeby się już nie powtórzyła.

- Dziękuję bardzo, panie historyku - odparła sucho. - Mogę kontynuować?

- Przepraszam, czasem daję się ponieść mojemu żalosnemu szwedzkiemu poczuciu humoru.

Zauważył lodowate spojrzenie, jakie Alejandra rzuciła mu znad okularów. Być może

nie powinien znów kusić losu. Uspokoił się, upijając łyk kawy.

- Obaj, ksiądz i falangista, zaciągnęli się do armii generała Franco po wyzwoleniu

Alkazaru - podjęła pani doktor. - Don Nicolás został mianowany kapelanem wojskowym

Pięćdziesiątej Drugiej Dywizji stacjonującej w Teruel, a Germinal zdobył gwiazdkę

podoficera za zasługi na polu bitwy. Los zetknął ich z sobą ponownie w Teruel, pod

dowództwem pułkownika Dominga Reya D'Harcourt, który został gubernatorem wojskowym

miasta z nadania rządu w Burgos.

- Nasi przyjaciele mieli niezdrową skłonność do oblężeń.

- Tak - przyznała Alejandra - ale oblężenie Teruel skończyło się dla nich gorzej niż

obrona Alkazaru. Nieliczne siły pułkownika D'Harcourta nie były w stanie odeprzeć

zmasowanego ataku wojsk Republiki. Pięćdziesiąta Druga Dywizja została wycięta w pień.

Ksiądz zginął na szafcu w seminarium. Wiedział pan, że właśnie tam kształcił się na

duchownego? - zapytała, podnosząc wzrok znad ekranu komputera.

- Życie jest pełne paradoksów i cykli, które wracają do swojego początku - odparł

Cameron, podnosząc rękę, żeby przywołać kelnera. Nadszedł czas na drugą kawę z lodem.

- Z Germinalem nie poszło im tak łatwo, opierał się razem z ostatnimi obrońcami

Teruel na szafcu w klasztorze Świętej Klary. Tam dostał się do niewoli. Wypuszczono go

dopiero wtedy, kiedy Franco wkroczył do Barcelony, właściwie pod koniec wojny. Dwa lata

później wystąpił z wojska. Dostał pracę w Ministerstwie Skarbu... a jego ślad urywa się na

początku lat osiemdziesiątych.

- Jak to?

- W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku, w wieku sześćdziesięciu dwóch

lat, przeszedł na wcześniejszą emeryturę i nagle został milionerem. Stał się magiem giełdy i

królem spekulacji na rynku nieruchomości, mając prawie osiemdziesiąt lat. W tamtych

czasach obracał się w kręgach bliskich władzy. Do tego stopnia, że kiedy moi chłopcy szukali informacji i porównywali różne tropy, zadzwonili do nich z CIS-u*. Sprawa Germinala jest nadal ściśle tajna, co pan na to?

- Przy okazji tej całej historii zaczynam tracić zdolność dziwienia się czemukolwiek - przyznał historyk. - A może ktoś to zmontował? Może nagranie zostało zmanipulowane czy coś w tym stylu?

- Moi technicy zapewnili mnie, że to nagranie oryginalne. Data wyświetlona w rogu jest prawdziwa, nie ma śladu manipulacji.

- Skąd pewność, że Germinal, którego widać na nagraniu, to prawdziwy Germinal? Alejandra wystukała coś na klawiaturze komputera i odwróciła go, pokazując ekran Cameronowi.

- Zdjęcie po prawej przedstawia Germinala w trzydziestym dziewiątym roku, dostaliśmy je dzięki uprzejmości Archiwum Ministerstwa Obrony Narodowej. Cameron przyjrzał się pełnej życia twarzy chłopaka w mundurze, dziewiętnastoletniego podporucznika.

- Teraz zobaczy pan serię siedmiu zdjęć - podjęła lekarka. - Twarz naszego świadka została postarzona za pomocą programu komputerowego opracowanego przez mój instytut. Każde zdjęcie przedstawia symulację twarzy Germinala starszego o kolejne dziesięć lat. - Zdjęcia przechodziły jedno w drugie. Cameron patrzył, jak młoda twarz żołnierza tężeje, dojrzewa, traci włosy i wreszcie więdnie. - Moi technicy nie znali filmu, który obejrzelśmy, nie wiedzieli więc, jak powinien wyglądać nasz kolega w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat. Ma pan przed sobą zdjęcie przedstawiające Germinala w wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat?

Cameron kiwnął głową.

- Proszę nacisnąć tabulator - poprosiła.

Obok zdjęcia z symulacją pojawiła się stop-klatka z filmu, który obejrzeli tydzień wcześniej w hotelowym pokoju. Zbliżenie twarzy starego Germinala. Były identyczne.

- Niezwykłe - zgodził się Cameron niemal szeptem, ze wzrokiem utkwionym w ekran.

- Ustaliliśmy, że Germinal Sánchez Saavedra umarł pod koniec lipca dwa tysiące siódmego roku, zaledwie miesiąc po nagraniu swojego oświadczenia.

- Jak umarł? - Być może to była ostatnia poszlaka.

* Centro de Investigaciones Sociológicas (hiszp.) - Centrum Badań Socjologicznych.

- Niewydolność oddechowa i załamanie funkcji życiowych. Śmierć naturalna. Nasz tajemniczy świadek umarł ze starości.

- Może powinniśmy zgłosić się z tą sprawą na policję - zauważył Cameron.

- Policja zajmuje się nią od momentu, kiedy określiłam przyczynę śmierci mnicha jako „ranę kłutą powstałą w wyniku ataku bronią białą”. Wszystkie przypadki nagłej śmierci muszą być zgłoszone policji.

- Doszli do jakiegoś wniosku, który nam nie przyszedł do głowy?

- Nie. Nie udało się zidentyfikować odcisków palców mumii. Znaleźliśmy rodziny trzech duchownych, którzy zaginęli bez śladu w trzydziestym szóstym roku i mogli być mniej więcej w tym samym wieku, co nasz mnich. Jednak ich DNA nie zgadza się z DNA zakonnika. Ustaliliśmy za to, że odciski palców Germinala Sáncheza Saavedry są takie same jak te pozostawione przez „Cobisę trzy”. Gość był na miejscu tamtej nocy.

- A jeśli kłamie? Jeśli całe jego wyznanie jest stekiem bzdur?

- Nasi eksperci przeanalizowali nagranie setki razy. Z jego mowy ciała i ruchów gałki ocznej można wywnioskować, że nie kłamie.

- Dlaczego nie opowiedział o wszystkim wcześniej?

- Może bał się, że zostanie oskarżony o zbrodnię, której nie popełnił. - Lekarka

wzruszyła ramionami. - Myślę, że nigdy się nie dowiemy.

Zamilkli.

- Wiem tylko, że nic nie wiem - sparafrazował Cameron greckiego filozofa.

- Moim zdaniem jesteśmy w lepszej sytuacji niż wcześniej - powiedziała Alejandra z uśmiechem. - Udało nam się zidentyfikować dwie z trzech osób, które były tamtej nocy w Cobisie. Wiemy, co się wydarzyło w kościele. Wiemy też, że na końcu pojawia się drugi mnich, który szuka tego pierwszego.

- Z tym pani optymizmem doskonale się pani nadaje do założenia wielodzietnej rodziny. Zamienia pani problemy w możliwości. - Wypił kolejny łyk kawy. - Myśli pani, że policja może ustalić coś więcej? - Próbował desperacko znaleźć kierunek, w którym można by pójść.

- Właściwie sprawa została zamknięta, Sebastianie - przyznała Alejandra. - Nigdy się nie dowiemy, kto zaatakował mnicha ani dlaczego to zrobił. Prawdopodobnie nigdy nie poznamy tożsamości żadnego z zakonników uwikłanych w tę historię - urwała. Cameron odniósł wrażenie, że patrzy na niego uważnie zza ciemnych okularów. - Chyba że...

- Chyba że co? - przerwał jej niecierpliwie.

- Że pański przyjaciel, tajemniczy człowiek z czerwonym flamastrem, zechce nadal podsuwać panu poszlaki.

- Myśli pani, że to on jest zabójcą? - Od kilku dni rozważał tę możliwość.

- Zabójca, o ile jeszcze żyje, może mieć dziewięćdziesiąt lat. Linia namalowana flamastrem została zakreślona przez kogoś młodszego.

- Myśli pani, że skontaktuje się ze mną ponownie?

- Moja kobieca intuicja podpowiada mi, że tak będzie. - Uśmiechnęła się. - A jakie są

pańskie plany, profesorze Cameron?

- Dziś po południu chciałem porwać i poćwiartować pewnego obywatela Szwecji.

Alternatywny plan polega na wybraniu się jutro do mieszkania „dla prawdziwych dżentelmenów”, które jakiś czas temu podsunął mi facet od czerwonego flamastra. Co pani na to?

- Myślę, że jest pan bardzo uparty - odparła, nie przestając się uśmiechać. - Na razie uważam, że plan alternatywny jest znacznie ciekawszy. - Cameron pożałował, że ciemne okulary Alejandry ukrywają jej spojrzenie.

Rozdział VIII

Mieszkanie pana Viriata

Capita VIII. N.S.B.a. Zagubieni na morzu. Młodzieniec pełen światła zaopatruje łódź i daje im wskazówki do dalszej podróży.

Obudził go szum wody pod prysznicem. Wydawało mu się, że dziewczyna nuci jakąś piosenkę. Odwrócił się na bok i spojrzał na swój zegarek leżący na stoliku nocnym. Dziewięta trzydzieści rano. Ma jeszcze czas. Był umówiony z panną Mariló na jedenastą. Miał obejrzeć mieszkanie „tylko dla prawdziwych dżentelmenów”. Zamknął oczy, może uda mu się znów zasnąć.

Ktoś zapukał do drzwi pokoju.

A jednak nie będzie już spał.

- Kotku, zamówiłam dla nas śniadanie. - Dziewczyna pod prysznicem miała czuły słuch. - Możesz otworzyć drzwi?

Cameron włożył spodnie od piżamy, otworzył drzwi i zajął się wózkiem ze śniadaniem, nie pozwalając kelnerowi wejść do pokoju. Dał mu pięćdziesiąt euro napiwku.

Należało być hojnym, skoro los był hojny. Uśmiechnęli się do siebie, kiedy Cameron zamykał

drzwi. Pobiegnął do kasy pancерnej ukrytej w szafie. Gdy popijał viagrę sokiem z pomarańczy, usłyszał, że szum wody pod prysznicem ustał.

Kelly Lamar, zwana też Lamarca, wyszła wspaniale naga z łazienki. Chwilę później wycierała się w pościel na jego łóżku.

* * *

Cameron zostawił samochód na parkingu znajdującym się nieopodal adresu podanego w wycinku z gazety. Odnalazł dom bez trudu. Była to *corrala*^{*}, jeden ze starych madryckich budynków typowych dla czasów Habsburgów, w którym życie domu i jego mieszkańców koncentrowało się wokół dużego patio. Stanowiła zagubione ogniwo architektoniczne łączące współczesność z Madrytem, który zniknął dawno temu.

Spodobała mu się. Miał wrażenie, że on również podobał się tej kamienicy.

* *Corrala* (hiszp.) - typ budynku mieszkalnego, w którym do mieszkań wchodzi się z otwartych galerii umieszczonych wzdłuż zewnętrznych ścian budynku.

Panna Mariló czekała na niego w drzwiach wejściowych.

- Panna Mariló, jak sądzę.

- Pani. Jestem mężatką i matką trojga dzieci, dwojga, które doprowadzają mnie do szału, jak mój mąż, i jednego, który zostanie piłkarzem. Pan nie jest żonaty, prawda?

- Nie, tak naprawdę jestem...

- Widać, za dużo się pan uśmiecha jak na żonatego.

Polubił Mariló od razu. Domyślał się, że trudno będzie prowadzić z nią sensowną konwersację, ale i tak ją polubił.

- Moja wizytówka - powiedziała, wywijając nią jak sztyletem. - Lubię załatwiać sprawy tak, jak trzeba.

Cameron wziął wizytówkę, jakby chciał ją rozbroić, i przeczytał: „Mariló Serrano.

Pośrednictwo nieruchomości. Dekoratorka. Prezes wspólnoty mieszkaniowej”.

- Musi pan wiedzieć, że rozmawiam z panem tylko dlatego, iż rzeczywiście wygląda mi pan na profesora uniwersytetu, jak mi pan powiedział przez telefon. A jeśli się teraz panu lepiej przyjrzyć, sprawia pan wrażenie dżentelmena. Nie przyjmujemy byle kogo do naszej wspólnoty. - Patrzyła na niego uważnie. - Niech się pan nie obraża, jak będę się na pana gapić, jestem krótkowidzem.

Cameron próbował przejąć inicjatywę. Zwrócił uwagę na stary żelazny krzyż przymocowany do ściany na wysokości pasa dorosłego mężczyzny.

- Czy był tu kiedyś klasztor? - zapytał, wskazując na krzyż.

- Pyta pan z powodu krzyża? To dlatego, że tutaj sikał Francisco de Quevedo - odparła.

- Słucham?

- To taka legenda. Ten dom jest ich pełen. No ale pan jest Amerykaninem, więc pewnie słabo się pan zna na legendach. Opowiem panu o niej w czasie oglądania domu, co też trochę trwa. Dom jest całkowicie odrestaurowany, został odnowiony dwa lata temu - wyjaśniła mu wszechstronna agentka nieruchomości, kiedy wchodzili schodami prowadzącymi na pierwsze piętro. - Z nakazu burmistrza budynek został opróżniony i zapełniony na nowo. Mamy tu burmistrza, który co cztery lata wyburza Madryt i buduje go na nowo. Ze względu na wybory. W Nowym Jorku jest tak samo?

- Ja mieszkam w Bostonie.

- No tak. W Nowym Jorku też są *corrals*?

Poza tym, że była ładna, Mariló wydała mu się również nieprzewidywalna, zupełnie jak *corrala*. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ta kobieta należy do wyposażenia domu.

Czasami domy i ich mieszkańcy są nierozdzielni, razem tworzą jedną całość.

Cameron obserwował skutki remontu. Przeprowadzono go w przemyślany sposób.

Fundamenty musiały zostać zastąpione wielkimi blokami z betonu, po usunięciu starej zaprawy murarskiej. Dawne drewniane belki stropowe, przegniłe i zniszczone po ponad czterystu latach podtrzymywania *corrals*, zostały zastąpione stalową konstrukcją.

Uwzględniono oryginalny styl architektoniczny budynku, ale mieszkania zostały odnowione z użyciem nowych materiałów i substancji izolacyjnych, o których nawet się nie śniło mieszkańcom z epoki, w której Quevedo sikał na ulicy.

Przez masywne drewniane drzwi weszli wprost na patio *corrals*. Cameron zobaczył na nim spektakl światła i życia. Na czterech piętrach o biało otynkowanych ścianach znajdowały się rzędy okien i drzwi pomalowanych na zielono i wychodzących na otwarte, prowadzące do mieszkań korytarze. Drewniane balustrady pełne były rozmaitych donic i doniczek, w których rosły najróżniejsze rośliny, geranium, jaśmin i petunie. Na niektórych z rozwieszonych nad patio sznurów zwisało pranie. Pachniało kwiatami, czystymi ubraniami i życiem.

Mariló zatrzymała się gwałtownie przed jednym z mieszkań, oznaczonym kafelkami z liczbą czternaście.

- A to jest mieszkanie pana Viriata - powiedziała, otwierając pancerne drzwi pokryte drewnem i pomalowane na butelkowy kolor, jak wszystkie drewniane elementy od strony patia. Stylem imitowały oryginalny wystrój starych *corrals*.

Mieszkanie było duże i jasne, jego okna wychodziły i na ulicę, i na patio. Miało dwie duże sypialnie, obszerny salon i małą, ale dobrze urządzoną kuchnię.

- Z tym krzyżem to było tak, że w szesnastym wieku naprzeciwko stała Tawerna pod Lwem, w której Quevedo przesiadywał z kolegami do późnej nocy. W tamtych czasach ludzie byli brudasami i kiedy nad ranem zamykano tawerny, mężczyźni opróżniali pęcherze pod ścianami. Madryt cuchnął uryną. I wtedy ówczesny burmistrz wpadł na pomysł umieszczenia

na budynkach żelaznych krzyży, jak ten, który mamy przy wejściu, licząc na to, że obecność świętego symbolu powstrzyma pijaków od sikania na domy. I sztuczka zadziałała we wszystkich domach oprócz naszego. Co noc pod krzyżem pojawiała się plama moczu. Podobno oburzony burmistrz napisał obok krzyża węgielkiem taką wiadomość: „Nie sika się tam, gdzie jest krzyż”. Następnego dnia wielka plama znów się pojawiła, a obok napis: „Nie umieszcza się krzyży tam, gdzie się sika. Francisco de Quevedo”. Jak się panu podoba?

- Wspaniała opowieść. - Próbował ją zapamiętać, żeby opowiedzieć o niej na następnej konferencji.

- Chodziło mi o mieszkanie. Ma prawie sto metrów kwadratowych. Pan Viriato był zamożny i połączył dwa mieszkania. Zarobił kupę pieniędzy na sosie do *patatas bravas**, ale o tym opowiem panu kiedy indziej, dzisiaj gram w debła.

- Wszystkie pokoje wyglądałyby na większe, gdyby nie były tak zagracone -
odpowiedział Cameron.

Mieszkanie było pełne najdziwniejszych przedmiotów. Wśród nich znajdowały się zbroje i broń z różnych epok, stare książki, popiersia Napoleona i Juliusza Cezara, Cameron zauważył nawet coś, co wyglądało na wypchanego ptaka dodo. W salonie zwisało ze ściany siodło francuskiego dragona w towarzystwie kwadratowego obrazu imitującego styl Velázquez. Mieszkanie pana Viriata było dziwnym połączeniem muzeum, magazynu antykwariusza i zbiorów kolekcjonera rekwizytów filmowych.

- Pan Viriato dużo podróżował i lubił przywozić pamiątki z podróży. Proszę spojrzeć, te kolczyki przywiózł mi z Egiptu - powiedziała z kokieterią i dumą, pokazując Cameronowi lewe ucho, z którego zwisał złoty kolczyk imitujący styl pierwszej dynastii, kupiony najpewniej na pierwszym lepszym stoisku dla turystów w Kairze.

- Mężczyzna o doskonałym guście - rzucił.

- Prawdziwy dżentelmen. Takich już nie ma. Albo raczej nie było, bo biedak od roku

wącha kwiatki od spodu.

- Umarł?

Zamiast odpowiedzi Mariló wskazała oprawiony w ramkę wycinek z gazety wiszący na ścianie obwieszony obrazkami. *Zawalenie się domu w wyniku wybuchu gazu*, głosił nagłówek. Zdjęcie przedstawiało gruzy budynku.

- To musiało być straszne - przyznał Cameron.

- Na szczęście dopiero co otworzyli bar. W środku byli tylko pan Viriato i pracownik firmy gazowej, który odkręcał dopływ gazu. Facet zapalił skręta. No i niech mi teraz nie mówią, że narkotyki nie zabijają. Budynek został opróżniony na czas remontu. Był bardzo stary. Wspomniałam panu, że pan Viriato miał bar?

Wtedy je zobaczył. Stało na półce. Lekko przekrzywione zdjęcie. Przedstawiało dwóch stojących obok siebie zakonników uśmiechających się do obiektywu. Cameron wziął ramkę do ręki.

- Pan Viriato to ten po prawej - wyjaśniła Mariló, której uwadze nie umknął gest Camerona. - W przebraniu mnicha. Miał dziwne pomysły.

- A ten drugi? - Stali na ciemnym piasku, za nimi widać było sitowie. Mężczyzna w

* *Patatas bravas* (hiszp.) - popularna przekąska składająca się z pokrojonych ziemniaków polanych ostrym sosem pomidorowym.

habicie stojący obok pana Viriata miał na ramieniu sakwę ze skóry.

- Skąd ja mam wiedzieć? Pewnie jakiś turysta, z którym się zaprzyjaźnił. Tak to jest z karnawałem, łatwo poznać nowych przyjaciół. On był bardzo towarzyski, od razu nawiązywał znajomości.

- Ile liczy sobie pani za wynajem?

* * *

Tego samego dnia przeniósł się do mieszkania, które należało do pana Viriata Restrepo, wynalazcy sosu do *patatas bravas*. Musiał opłacić roczny czynsz z góry. Mimo to kosztowało go to mniej niż wynajmowanie przez następnych pięć tygodni pokoju w hotelu Pałace. Pięć tygodni, tyle czasu dzieliło go od powrotu do Bostonu i zakończenia pracy w Hiszpanii.

Dlatego poczuł niepokój, kiedy w hotelowym holu spotkał Kelly Lamar, zwaną też Lamarca. Poczuł niepokój, bo Kelly była wspaniałą blondynką, dwukrotnie rozwiedzioną i tak liberalną jak sama *Marsylianka*, jak mu udowodniła kilka godzin później. Oraz dlatego, że przypomniła mu, po co właściwie przyjechał do Madrytu.

„Praca posuwa się pełną parą, jak najszybsze pirackie żaglowce, które polowały na hiszpańskie galeony na Karaibach”, zapewnił ją bezwstydnie w czasie kolacji, którą jedli w Landó. Przy deserze przedstawicielka Disneya zdjęła wysadzane kamieniami sandały i zajęła się badaniem ud historyka.

Przy kawie, podczas gdy wspaniała bitwa na stopy rozwijała się pod stolikiem w najlepsze, zaproponował jej przeprowadzkę z hotelu do *corrali*. Mieszkanie mieściło się w prawdziwej kamienicy z czasów hiszpańskiego Złotego Wieku, okresu, w którym rozwijała się fabuła filmu. Praca w takim miejscu na pewno wpłynie na jakość jego raportu.

Menedżerkę przekonała cena. Zmiana oznaczała oszczędność dla wytwórni, a Cameron był jedynym punktem budżetu, na którym można było jeszcze oszczędzić. W centrali przedstawi to jako sukces.

Wreszcie Kelly wróciła do Los Angeles z przekonaniem, że warto było pojechać do Hiszpanii, żeby sprawdzić postępy w pracy historyka. Obiecała mu nawet, że wróci pod koniec sierpnia, tym razem na dwa lub trzy dni, żeby zaakceptować „prace końcowe”. Użyła liczby mnogiej.

Cameron położył się na szerokim łóżku w sypialni pana Viriata. Zaplótł ręce za karkiem i zapatrzył się w sufit. W rzeczywistości nie wiedział, od czego zacząć, chociaż był pewien, że ten dom okaże się nowym źródłem informacji. I nową zagadką.

Zadzwoniła komórka.

Prawie się ucieszył, nieważne, kto dzwonił.

Telefon oznaczał chwilę odpoczynku od rozmyślań.

- Halo?

- Dzień dobry - powiedział głos kobiety, bardzo młodej kobiety. - Dzwonię w sprawie pokoju do wynajęcia.

- Słucham?

- Tak. Ktoś zostawił w skrzynce pocztowej mieszkania, w którym mieszkam z trzema innymi dziewczynami, wiadomość adresowaną do mnie. *Wynajmę mieszkanie studentce historii, czyste i tanie.* Czy to pan jest czysty i tani?

- Proszę pani, to jakaś pomyłka, nie wynajmuję żadnego mieszkania. - Znudzona studentka, której zebrało się na żarty. Wszystkie były takie same. Rozłączył się.

Wziął do ręki zdjęcie zakonników, które przeniósł z półki w salonie na swój stolik nocny. Znów zaczął je uważnie oglądać. Nagle odstawił je z powrotem. Włączył swoją nokię i znalazł w pośpiechu ostatnie połączenie. Na szczęście numer nie był zastrzeżony.

Usłyszał w słuchawce głos dziewczyny. Poznała jego numer.

- Proszę, czyżby pożałował pan swojego zachowania?

- Co pani studiuje? - zapytał.

- Jestem studentką historii, mówiłam już panu. Tak naprawdę skończyłam w zeszłym roku, piszę teraz pracę.

- Skąd ma pani mój telefon?

- Czy pan mnie w ogóle słuchał? Ktoś zostawił wiadomość w naszej skrzynce. -

Dziewczyna zaczynała się irytować.

- Jak brzmiała ta wiadomość? - Zdziwił się własną obcesowością.

- Niech pan posłucha jeśli panu przeszkadzam... - Dziewczyna przestraszyła się i chciała odłożyć słuchawkę.

- Nie, nie przeszkadza mi pani. Przepraszam. - Spróbował poskromić ciekawość, nadał głosowi bardziej uprzejmy ton. - Niedawno wynająłem to mieszkanie i zdziwił mnie pani telefon, to wszystko. Nie byłem zbyt uprzejmy, wypyując panią w ten sposób. Jestem zainteresowany wynajęciem pokoju studentce historii. - Jego głos brzmiał już całkiem spokojnie.

- Mnie również zaskoczyła ta wiadomość w skrzynce. - Dziewczyna odzyskała pewność siebie. - Wygląda, jakby ktoś ją napisał specjalnie dla mnie. - Prawie usłyszał przez telefon, jak się uśmiecha.

- Była wydrukowana?

- Mam ją w kieszeni. - Usłyszał dźwięk jakby rozprostowywanej kartki papieru. - Jest napisana odręcznie. Czerwonym flamastrem.

Serce Camerona zaczęło pompować krew jak szalone.

- Jest pan tam jeszcze?

- Przepraszam. - Oprzytomniał. - Czasem tracę zasięg. Mogę zadać pani ostatnie pytanie?

- Pod warunkiem, że obniży mi pan czynsz. - Dziewczyna wydawała się sympatyczna. I inteligentna.

- Pewnie trudno będzie pani w to uwierzyć, ale jestem profesorem historii Hiszpanii z Bostonu, specjalizuję się w hiszpańskim Złotym Wieku. Czego dotyczy pani praca?

- Pan sobie żartuje?

- Nigdy w życiu nie mówiłem tak poważnie, proszę pani. - W jego głosie brzmiała szczerłość.

Dziewczyna zamilkła na chwilę. Cameron zaczął się niepokoić.

- W takim razie mógłby mi pan nawet pomóc. - Jej głos zabrzmiał na powrót wesoło i pewnie. - Opracowuję historię Wyspy Świętego Brendana*. Zna pan historię świętego Brendana?

* Wyspa Świętego Brendana - fantastyczna wyspa, według legendy położona na zachód od wysp La Palma i El Hierro, należących do archipelagu Wysp Kanaryjskich.

Rozdział IX

Lola, studentka historii

Capita IX. N.S.B.a. Wyspa Olbrzymich Owiec. Mnisi są wycieńczeni, Brendanus pozwala im odpoczywać do Wielkiej Soboty.

- Podoba się pani? - zapytał Cameron, oprowadziwszy dziewczynę po mieszkaniu.

- Jest genialne - odparła zwięźle w sposób charakterystyczny dla młodzieży na całym świecie. - Ma w sobie coś ze schizofrenicznego muzeum, ale czuć tutaj dobre wibracje - rozwinęła myśl.

- To prawda, jest specyficzne - przyznał Cameron.

- Ale nie wiem, czy mnie na nie stać - zauważyła dziewczyna i cień smutku pojawił się w jej pięknych zielonych oczach.

- Jestem pewien, że uda nam się osiągnąć rozsądny kompromis. - Nie chciał, żeby mu się wymknęła, przynajmniej dopóki się nie dowie, dlaczego, zdaniem człowieka z czerwonym flamastrem, powinni się poznać. Poza tym istniały praktyczne powody, dla których warto było nawiązać współpracę. - Jeśli obieca mi pani, że będzie gotować dla nas w tygodniu, nie

będzie pani musiała płacić za pokój. Ja się zajmę utrzymaniem porządku, zatrudniłem już sprzątaczkę. - Od czterech tygodni jadł śniadania, obiady i kolacje w restauracjach. Jego żołądek potrzebował natychmiastowej odmiany.

- Dlaczego zakłada pan, że umiem gotować? - zapytała Lola, mrużąc oczy.

- Wspomniała pani, że przez całe studia mieszka pani w wynajętym mieszkaniu z koleżankami. Przypuszczam, że wymieniacie się domowymi obowiązkami. Musiała pani liczyć podstaw kuchni potrzebnych do przeżycia. Nie mam większych wymagań.

Dziewczyna przez kilka sekund przyglądała mu się w milczeniu.

- Nie mam zamiaru iść z panem do łóżka - powiedziała poważnie.

- Nawet mi nie przyszło do głowy, żeby to pani proponować, jeśli to nie będzie absolutnie konieczne - odparł równie poważnie.

- Mój chłopak zna karate - dorzuciła. - No dobra, tak naprawdę chodzi czasami do siłowni i jeździ na rowerze - przyznała. - I nie wiem, czy będziemy razem...

- Może go pani zapraszać na obiad, kolację i śniadanie, kiedy tylko pani zechce.

Znów przyjrzała mu się od stóp do głów wielkimi zielonymi oczami.

- Nie jest pan wariatem, zboczeńcem albo kimś w tym guście?

- Jeśli chodzi o pierwsze dwie rzeczy, nie, co do trzeciej, nie mogę pani przysiąc.

Lola uśmiechnęła się po raz pierwszy w czasie tego spotkania. To nie była zła propozycja. Od czterech lat płaciła za wynajem, sprzątała i gotowała dla czterech osób. Teraz będzie musiała gotować tylko dla siebie i profesora. Wystarczyło dorzucić dodatkową garść makaronu do garnka. Takie okazje nie nadarzają się codziennie.

- Zostanę na miesiąc. Na próbę. Nie jestem pewna, czy będzie panu smakować moja kuchnia.

* * *

Lola skończyła urządzać swój pokój. Był największy i najjaśniejszy ze wszystkich pokoi, jakie wynajmowała, odkąd podjęła studia w Madrycie. Na wypełnionym już książkami regale postawiła zdjęcie swojej rodziny, rodziców i czterech braci. Zdjęcie Carlosa, najmłodszego z rodzeństwa, umieściła przy łóżku, jak zwykle. Lubiła patrzeć na niego po przebudzeniu.

Uśmiechnęła się radośnie. Już się zadomowiła w nowym mieszkaniu. Było idealnym miejscem na skończenie pracy. Bez hałasów, kłótni, w prawdziwej *corrali* z XVI wieku. Marzenie każdego historyka. A do tego cena. Zupełnie gratis! Może uda jej się zgromadzić jakieś oszczędności. A nawet zrezygnować z pracy w barze Santi w niektóre weekendy. Na wszelki wypadek wolała się nie szczypać, gdyby to był jednak sen.

Ktoś zapukał cicho do drzwi.

- Proszę.

Cameron wsunął nieśmiało głowę między drzwi a framugę. Spodobało jej się to, profesor wyglądał na godnego zaufania.

- Skończyła pani?

- Tak, tak. Wszystko gra - odparła z olśniewającym uśmiechem.

- Mam nadzieję, że jest pani wygodnie. - Podobał mu się porządek i kobiecy akcent, jaki Lola wprowadziła w tym pokoju.

- Dobry Boże, przecież ta sypialnia jest większa niż którykolwiek salon z mieszkań, jakie zdarzało mi się wynajmować w Madrycie - odpowiedziała, uśmiechając się, z rękami wspartymi na biodrach i przyglądając się ścianom pokoju. Nie kłamała.

- Pomyślałem, że zaproszę panią na obiad, żeby uczcić naszą umowę. Potem, jeśli pani zechce, możemy zrobić zakupy i wypełnić spiżarnię i lodówkę. Co pani na to?

- Brzmi świetnie. - Kolejny szeroki uśmiech.

Cameron spojrział na zdjęcie stojące na szafie.

- To pewnie pani rodzina - powiedział, wskazując ramkę.

- Tak. To moi rodzice i czterej bracia. Robimy sobie wspólne zdjęcie co roku w wakacje. Moja matka mówi, że zdjęcia są po to, żeby nie zapomniała, jak rośniemy. -

Zamilkła na chwilę. - Czasem ciężko jest mieszkać poza domem.

- Jesteście dużą rodziną. - Poczł ukłucie zazdrości. Zawsze chciał mieć dużo dzieci, ale Maggie nie była zainteresowana kolejnymi dziećmi po „eksperymentach” z Barbarą. Jego wzrok przyciągnął stolik nocny.

- To Carlitos*, mój młodszy brat. - Loli nie uniknęło jego spojrzenie. Wzięła ramkę i podała ją Cameronowi. - Jest ładny, prawda?

Cameron odniósł wrażenie, że ma przed sobą najbardziej dumną na świecie siostrę, szczęśliwą, że może pokazać zdjęcie brata. Wziął fotografię do ręki i przyjrzał się jej uważnie. Carlitos miał pewnie siedem lat. Jasne proste włosy opadały mu zabawnie na czoło.

Skośne jasne oczy, o nieco wypukłych powiekach, patrzyły z ufnością w obiektyw. Miał szczery uśmiech, wyglądał przy tym, jakby przygryzał zębami koniuszek języka. Ze zdjęcia biła miłość. Carlitos miał wszystkie cechy dziecka z zespołem Downa.

- To mój ulubiony brat. Mama mówi, że jest aniołem.

Cameron spojrział na nią uważnie.

- Co takiego? - zapytał.

- Mama uważa, że kiedy Bóg chce uszczęśliwić jakąś rodzinę, przysyła jej takiego anioła jak Carlitos. - Ona również patrzyła na Camerona, który miał wrażenie, że jej oczy zwilgotniały. - Myślę, że ma rację. Carlitos potrafi wydobyć z każdego to, co jest w nim najlepsze. Jest jak spoiwo, które trzyma moją rodzinę razem. Proszę spojrzeć, na tym zdjęciu miał dziesięć lat, teraz ma osiemnaście i zaczyna pracę w Iberii. Mama mówi, że nie ma

lepszey pracy dla anioła, będzie spędzał cały dzień, latając.

Cameron wciąż na nią patrzył. Znow poczuł skurcz w gardle, oczy go piekły.

Mimowolnie przypomniał sobie podróż do Rzymu i restaurację, w której jadł obiad z bratem.

I gabinet kardynała Grazzianniego, w którym rozmawiał o piórach i włosach aniołów. Znow poczuł niepokój, który ścisnął mu żołądek, ale tym razem wiedział, że to dobry znak, a to napełniło go spokojem i ufnością.

- Nawet pani nie wie, ile jest racji w słowach pani mamy - powiedział, oddając zdjęcie Carlosa, jej anioła.

* Carlitos (hiszp.) - zdrobnienie od imienia Carlos.

Rozdział X

Praca magisterska Loli (część pierwsza)

Capita X. N.S.B.a. Po wielu dniach żeglugi mnisi cumują u brzegów opuszczonej wyspy, którą nazywają Jaskoniuszem. Rozpalają ogień pod garnkiem, żeby przygotować posiłek. Ziemia zaczyna drżeć i odkrywają, że wyspa jest w rzeczywistości ogromną rybą.

Trzymał w ręku brudnopis pracy magisterskiej Loli. Był to gruby, liczący sześćset stron plik zatytułowany *Święty Brendan. Prawdziwa historia ulotnej wyspy.*

- Dlaczego akurat święty Brendan? - zapytał ją przy obiedzie, który zjedli w pełnym kwiatów ogródku restauracji Sacha.

- Bo to najbardziej fascynująca historia, jaką kiedykolwiek usłyszałam - odparła z błyskiem w oku tak charakterystycznym dla osób, które mogą opowiedzieć o swoim koniku.

Cameron miał niewielkie pojęcie o legendarnej wyspie. Nigdy nie badał jej historii.

Był zbyt pragmatyczny, żeby zwracać uwagę na legendy.

Przeczytał wstęp do pracy Loli i musiał przyznać, że tajemnicza wyspa zaczęła go

fascynować.

- Wiedział pan, że jest to najlepiej udokumentowana legenda na świecie? -

Przypomniał sobie słowa dziewczyny.

Teraz już wiedział. Dzięki ogromowi informacji, jakie Lola zebrała w ciągu ostatnich miesięcy. Monografia liczyła dwadzieścia dziewięć rozdziałów i zaczynała się od pierwszych dotyczących wyspy zapisów, zebranych w czasie podróży po Wyspach Szczęśliwych przez fenicjańskiego żeglarza, Hannona z Kartaginy, żyjącego w VI wieku przed Chrystusem. Pracę wieńczyły wnioski autorki, oparte na najnowszej próbie udokumentowania istnienia wyspy: niepokojących fotografiach wykonanych przez Manuela Rodrigueza de Quinto, które 10 sierpnia 1958 roku opublikował dziennik „ABC”.

Cameron musiał zgodzić się z Lolą, że legenda o Wyspie Świętego Brendana była doskonale udokumentowana.

Sam nie wiedział, od czego zacząć lekturę opasłej pracy. Wybrał na chybił trafił rozdział, którego tytuł uznał za gwarancję prawdziwości zawartych w nich informacji: *Narodowe Archiwum Sądu Królewskiego na Kanarach zawierające relację z zeznania marynarza Antona Carrasco z portugalskiej karaweli „Santisima Trinidad” [*](#), który twierdzi, że przybił do Wyspy Świętego Brendana.*

Cameron uznał, że lektura tej relacji będzie dobrym sposobem na spędzenie popołudnia.

W LOCHACH PORTU LA PALMY (1 KWIETNIA 1570 ROKU)

Więzień podniósł do ust cynowy dzbanek i opróżnił go długimi, głośnymi haustami.

Wytarł usta prawym rękawem koszuli, która utraciła dawną barwę na rzecz koloru błota, i spojrzał na przesłuchujących go ludzi.

Dużo znamienitych osobistości zebrało się w tym brudnym, wilgotnym i ciasnym

lochu, żeby wysłuchać zeznania zwykłego marynarza z portugalskiego statku, pomyślał Anton Carrasco, bo tak nazywał się jeniec. Statki z Portugalii i innych krajów zawijały codziennie do La Palmy, nie było w tym nic niezwykłego. Ale karawela, która przyплыnęła z Wyspy Świętego Brendana, to już zupełnie inna historia.

Carrasco uznał, że to jedyny powód, jakiemu zawdzięczał tak licznych gości. Było wśród nich dwóch siepaczy, skryba don Juan Marquez, główny sędzia wyspy don Alfredo Sauquillo, don Fernando Villalobos, *regidor*** La Palmy, i doktor Hernan Perez de Grado, namiestnik Sądu Królewskiego na Kanarach. Mógł być też inny powód, uznał Carrasco. Taki mianowicie, że statek zawinął do portu bez kapitana i jednego członka załogi. Ale wiedział dobrze, że podobne sprawy załatwiano torturami i stryczkiem, bez takiej defilady możnych. Carrasco domyślał się, że ci ludzie chcieli usłyszeć jego opowieść o wyspie, a w tym celu musiał być cały i zdrowy. Na torturach każdy w końcu wyśpiewa byle co, jak mu kat zagra. Więzień odstawił dzban na stół, pobrzękując kajdanami.

- Bardzo czysta i świeża ta woda - zauważył Carrasco. - Dziękuję za nią waszmościom, chociaż wolałbym kwartę dobrego wina z mojej ojczyzny - przyznał.

- Jeśli sprawa zakończy się stryczkiem - odparł namiestnik - jak sobie życzy nasz sędzia najwyższy, Rada Miejska poczęstuje was winem, jak to ma w zwyczaju. Jeśli odwrotnie, dzięki waszemu zeznaniu i rozsądkowi przekonacie nas, że jesteście niewinni zarzutów, które wam odczytano, ratując szyję i honor, ja sam obiecuję zaprosić was na kwartę wina z Kanarów, które będą ziemią, gdzie narodzicie się ponownie. A więc nie ma strachu, bo

* Santísima Trinidad (port.) - Święta Trójca.

** *Regidor* (hiszp.) - członek Rady Miejskiej.

jak widać, bez względu na rozwój wypadków na końcu tej historii jest wino.

Carrasco spojrział z urazą na sędziego, który z namaszczeniem odczytał mu zarzuty.

Nie były błahe, bo dotyczyły zabójstwa kapitana i chłopca okrętowego statku „Santisima Trinitade” dokonanego przez jego załogę. Ponieważ reszta załogi uciekła, gdy tylko wpłynęli do portu, do osądzenia został tylko on. A Carrasco wiedział dobrze, że pozostanie sam na sam ze sprawiedliwością bez dobrego alibi oznaczało tyle samo, co zostanie na końcu w kartach bez króli. Musiał rozgrywać tę grę z wyczuciem, zwłaszcza że toczyła się o wysoką stawkę, a jedynym królem, jakim dysponował, była prawda, która w Hiszpanii nigdy nie miała dużej wartości ani w sądach, ani w grze.

Mimo wszystko był opanowany i gotów do rozpoczęcia rozgrywki, w końcu był starym żołnierzem i skoro nie stchórzył przed szarżą francuskiej kawalerii, nie straci wigoru przez trzy metry sznurka.

- Na czym skończyłem? - zapytał marynarz ze spokojem.

- Statek tonął - wycedził sędzia, który źle znosił spokój więźnia.

- Tak - przypomniał sobie marynarz. - Byłem pod pokładem z innymi marynarzami, gdzie próbowaliśmy umocować ładunek, zanim jakaś fala zatopi nas pod stertą pakunków. Właśnie uwiązałem beczki ze smołą, kiedy usłyszałem trzask głównego masztu. Nie wiem, czy waszmościowie znają się na sprawach żeglugi, ale kiedy na statku pęka główny maszt, sprawy zaczynają się toczyć „bardzo źle, od złego do jeszcze gorszego”, jak mawiał mój kompan Curro Chińczyk, który nadal by tak mówił, gdyby jeszcze żył. Ale kiedy pakują ci dwa łokcie ostrza w pierś w kłótni przy kartach, nagle tracisz ochotę do gadania. A jeśli pchnięcie jest dobre, a to, które dostał mój druh, choć źle się skończyło, należało do najlepszych, ochota do gadania opuszcza cię na zawsze.

Wspomnienie śmierci przyjaciela sprawiło, że Carrasco umilkł i stracił rezon.

Wszystko szło mu jak najgorzej, odkąd porzucił *Tercio**.

- Zbaczacie z tematu, Carrasco. Nie mamy całego dnia - przypomniał mu sucho

sędzia.

Carrasco spojrział na niego spode łba. Ten sukinsyn wyglądał na takiego, który kopał w taboret, zanim zdążyłeś odmówić do końca *Ojcze nasz*.

- Zostaw, zostaw, Sauquillo - wtrącił namiestnik, o którym więzień miał najlepsze zdanie, jako że był doktorem i dzięki odebranych naukom musiał mieć więcej oleju w głowie niż pozostali. - Mówiłem, że interesuje mnie wszystko. Nawet ozdobniki.

* *Tercio* (hiszp.) - jednostka wojskowa wchodząca w skład hiszpańskiego wojska za czasów Imperium.

Tercios były pierwszymi oddziałami zawodowymi, w których skład wchodził ochotnicy żyjący z wojaczki.

Więzień zebrał się w sobie, pokrzepiony dobrym traktowaniem ze strony najważniejszego ze śledczych.

- Jak już waszmościom mówiłem, kiedy usłyszałem trzask masztu, wyskoczyłem na pokład. Bo na statku, który stracił maszt, ładownia jest miejscem, gdzie toną tylko szczury.

*

Na pokładzie działy się dantejskie sceny. Wiatr wył wśród takielunku, a zimny, drobny deszcz smagał twarze ludzi.

- Hiszpanie! - krzyknął do niego Pedro Velo, kapitan statku będącego na najlepszej drodze do zostania wrakiem. - Weź siekierę i przetnij liny, inaczej wszyscy odwiedzimy Neptuna!

Był to rozsądny rozkaz. Główny maszt pękł u podstawy, rozsypując wokół drzazgi, i teraz jego połowa zwisała z pokładu przez bakburtę, zanurzona wraz z żaglem w morzu. Maszt i żagiel tonęły powoli, przymocowane do okrętu płataniną lin i takielunku, nieubłaganie przechylając statek na lewą stronę.

Albo uwolnimy się od niego, albo pójdziemy na dno razem z nim, pomyślał Carrasco,

tnąc zapalczywie, podobnie jak jego towarzysze, wszystko to, co łączyło ich z masztem i jego ozdobami.

Statek przechylał się niebezpiecznie na bakburtę, liny napinały się coraz bardziej, a kiedy je odrąbywali, odskakiwały z suchym trzaskiem, jak bicze. Każda fala przetaczała się przez nachylony pokład i napełniała wodą ładownię.

Statek trzeszczał i niemalże skarżył się jak zranione zwierzę. Żaden statek nie miałby ochoty tonąć, one też się boją, pomyślał Carrasco.

Hiszpan ciął i modlił się z większym zapałem niż apostoł, podobnie jak pozostali marynarze. Jest wiele prawdy w powiedzeniu, że morze zrobiło dla religii więcej niż wszyscy papieże rzymscy razem wzięci.

Musieli dobrze się modlić, a może jeszcze lepiej cięli albo Neptun nie chciał ich przyjąć tego dnia, bo udało im się pozbyć wszystkich lin. Maszt i żagiel utonęły z hukiem w morskich głębinach, razem z płataniną kabestanów i sznurów, kłębiących się teraz w morzu jak węże na głowie Meduzy.

Statek odzyskał równowagę dokładnie w momencie, gdy nadeszła, rycząc, najsilniejsza fala, która posłałaby wszystkich do diabła, gdyby nie udało im się pozbyć masztu i ożaglowania. Załoga zawyła z radości, przekrzykując burzę, bo wygrali pierwsze rozdanie i oszukali zły los. Na razie nadal mieli karty w ręku.

Carrasco podniósł siekiere w triumfalnym geście w kierunku kapitana, który odpowiedział mu tym samym, szeroko się uśmiechając. Poczul się dużo lepiej. Radość ze zwycięstwa nie trwała jednak długo, krócej niż radość w domu biedaka, bo kapitan nagle zniknął. Zniknął statek, zniknął nawet pokład, na którym stał Carrasco.

- Chmura mgły! - krzyknął ktoś.

Hiszpan w życiu nie widział takiej mgły. Była tak gęsta, że nie mógł dostrzec nawet

własnych dłoni.

- Utrzymać kurs! - usłyszał rozkaz kapitana.

Znów rozkaz był słuszny. Im bardziej zagłębiali się w chmurę, tym spokojniejsze stawało się morze. A „Santisima Trinidad” nie nadawała się do dalszej walki.

Morze uspokoiło się nagle, jakby wylano na nie oliwę, a wiatr zamienił się w lekką bryzę.

Załoga rzuciła się do porządkowania pokładu, który wyglądał jak po tureckiej napaści, cały pokryty fragmentami głównego masztu.

Mgła rozwiewała się powoli, więc kapitan kazał podnieść to, co zostało z żagli, mając nadzieję, że fok wystarczy, aby złapać pomyślne wiatry i popłynąć na wschód, ku La Palmie.

Żeglowali w obłoku, marynarze i statek, przez kilka godzin. Otaczała ich nienaturalna cisza, nie słychać było nawet chlupotania wody o burty. Nagle mgła rozjaśniła się i znikła równie nagle, jak się pojawiła. Jakby ktoś podniósł kurtynę w teatrze. Wtedy przed oczami marynarzy z „Santisima Trinidad” wyrosła wyspa.

*

- Kotwica w dół! - rozkazał kapitan po sprawdzeniu dna sondą.

Marynarze, wszyscy na pokładzie, patrzyli na spokojną, piękną plażę, przy której cumowali. Wzdłuż tego brzegu mogłoby się zmieścić czternaście statków, i to znacznie większych niż ich karawela.

Zatoka miała kształt półksiężyca, a na jej środku widniało ujście rzeki albo klifu, trzeba było to sprawdzić po zejściu na ląd. Piasek był czarny, jakby pochodzenia wulkanicznego, często spotykany na wszystkich Wyspach Kanaryjskich. Na roślinność, jaką mogli dostrzec, składały się wysokie trzciny rosnące na brzegu i piękne, mocne drzewa widoczne w głębi.

Okolica wyglądała na dziką i surową, w tle majaczyły dwie wielkie skały, czy może raczej góry, oddzielone głęboką doliną.

Marynarze próbowali zgadnąć, co to za wyspa. Jedni mówili, że przybili do La Palmy, inni, że do El Hierro, jeszcze inni twierdzili, że trafili na La Gomerę. Wnioskując z kursu, jaki obrali przed burzą, musiała to być jedna z nich. Nie było innej możliwości.

Carrasco zauważył kątem oka, że kapitan wciąż kręci się za jego plecami i za pomocą lunety przeczesuje wybrzeże raz i drugi, jakby szukając wskazówki, która pozwoliłaby im wreszcie zidentyfikować wyspę.

Od czasu do czasu do kapitana podchodził pilot, Roque Hernandez. Obaj pochylali się nad aż trzema mapami nawigacyjnymi. Rozmawiali o czymś, ale Roque co chwila kręcił przecząco głową.

Antón Carrasco był dobrym obserwatorem, a „obserwacja”, jak mawiał, była najbardziej przydatną nauką. Wielokrotnie jego celne spostrzeżenia ratowały mu skórę.

Po przeanalizowaniu sytuacji domyślił się bez trudu, że kapitan Pedro Velo nie był spokojny. Carrasco nie znał się na kompasach ani sekstantach, ale umiał czytać w duszy ludzi, kiedy stali przed ważnym wyborem.

Kapitan dobrze znał swój zawód, co udowodnił na morzu, gdzie poznaje się, czy człowiek należy do tych, którzy idą na dno, czy do tych, którzy utrzymują się na powierzchni.

Coś mu mówiło, że to nie były ani La Palma, ani La Gomera, ani El Hierro. Może to nawet nie była wyspa.

Pedro Velo schował w końcu lunetę do sakwy i rozkazał spuścić szalupę. Poleciał przygotować również broń, armatkę z forkasztelu i falkonet z dziobu, a potem naładować je wszelkim żelastwem, na wypadek gdyby na plaży doszło do incydentu. Wywołał nazwiska czterech marynarzy, którzy mieli popłynąć z nim na ląd. Kazał im dobrze się uzbroić,

zarówno w broń palną, jak i sieczną, a pilotowi w pióro i papier, żeby mógł zdać sprawę ze wszystkiego, co się wydarzy.

Carrasco ucieszył się, kiedy usłyszał swoje nazwisko wśród czterech uczestników zwiadu, w końcu był najslabszym marynarzem spośród jedenastu członków załogi i najlepiej czuł się na łądzie. Chociaż podejrzewał, że wybór zawdzięczał nie tyle sympatii kapitana, ile umiejętności posługiwania się szpadą. Velo dobrze wiedział, że Hiszpan był żołnierzem w *Tercio Viejo* na Sycylii. I to jednym z najlepszych.

Kil łodzi zapadł się łagodnie w drobny piasek plaży. Pedro Velo wyskoczył pierwszy na brzeg, jakby niecierpliwie pragnął objąć wyspę w posiadanie. Postąpił kilka kroków naprzód, wyjął z pochwy starą szablę i wbił ją w piasek.

- Biorę tę ziemię w posiadanie w imieniu katolickiego króla Hiszpanii, Filipa

Drugiego - powiedział poważnie, wręcz uroczyście.

- Dlaczego w imieniu króla Hiszpanii? Jesteśmy Portugalczykami! - zaprotestował Barbosa z oburzeniem.

Hiszpan oparł dyskretnie prawą rękę na rękojeści broni. Praca w wojsku nauczyła go wiele o buntach i rebeliach. Kapitan odwrócił się spokojnie do Barbosy i spojrzał na niego, zastanawiając się, czy odpowiedzieć, czy też lepiej wypalić mu dwukrotnie w twarz z dwóch francuskich pistoletów do abordażu, które nosił skrzyżowane na szarfie. Wreszcie postanowił oszczędzać proch, na wypadek gdyby mieli go jeszcze potrzebować.

- Zajmuję tę ziemię w imieniu Hiszpanii - odparł, patrząc Barbosie prosto w oczy - ponieważ jej król płaci znacznie lepiej za odkryte ziemie niż król Portugalii. A my mamy zarabiać pieniądze, a nie bronić ojczyzny - zakończył, plując na piasek.

Barbosa wzruszył ramionami, jakby zgadzał się z rozumowaniem kapitana, które w sumie nie było pozbawione logiki, zwłaszcza jeśli chodzi o skutek.

- Ale w takim razie nie jesteśmy na La Palmie, kapitanie? - zapytał inny żeglarz,

Mendes, który był większym realistą i przeczuwał, że los bywa złośliwy.

- To niemożliwe - zapewnił go Velo. - Burza zaskoczyła nas w momencie, kiedy ustaliłem kurs. Byliśmy wiele mil morskich od La Palmy czy La Gomery. Te wyspy leżą dużo bardziej na wschód od naszej obecnej pozycji.

Kapitan rozejrzał się wokół, wdychając lekką morską bryzę. Teraz nawet powietrze, którym oddychali, było jego. Słyszał historie o pogańskich tubylcach, którzy nie przepadali za konkwistadorami. Żeby się uspokoić, dotknął kolby jednego ze swoich pistoletów i spojrzał na Carrasco, który, jak się zdawało, również miał nerwy napięte jak postronki.

- Ta wyspa jest nasza - powiedział wreszcie buńczucznie. I uśmiechnął się radośnie.

*

- Bóg mi świadkiem, że nie chcę się ponownie sprzeciwiać Waszej Ekscelencji -

Villalobos podjął kolejną próbę sprowadzenia rozmowy na rozsądny poziom - ale święty Brendan to tylko legenda.

- Być może - zgodził się namiestnik. - Droga na zachód do Indii również była bajką.

Marynarskie opowieści, pamiętacie? - Villalobos zmarszczył brwi na wspomnienie sławy wizjonera, jaka towarzyszyła Krzysztofowi Kolumbowi niemal do końca życia. -

Błogosławiona legenda, która uczyni nas bogatymi.

Villalobos spojrzał z niepokojem na don Hernana. O co mu tak naprawdę chodziło?

Jego zdaniem nie było o czym mówić. Załoga z „Santisima Trinidad” pozbyła się kapitana i majtkę na pełnym morzu. Powody zabójstwa były nieistotne.

Mógł nawet uznać, że nieszczęsny Carrasco nie brał udziału w zbrodni. Jednak był jedynym załogantem, którego udało im się złapać. Namiestnik popełniał niebezpieczny błąd, jeśli rozważał możliwość oszczędzenia podejrzanego.

Faktem było to, że od 27 marca w porcie stał zaaresztowany portugalski statek, bez kapitana i majtki. Faktem było, że następnego dnia po wpłynięciu do portu jego załoga została wezwana przez sąd w celu odebrania zeznań i skonfiskowania dziennika pokładowego. Oraz że załoga ta zniknęła bez śladu, prawdopodobnie jej członkowie zaciągnęli się w nocy na pierwszy lepszy portugalski statek i już zdążyli dobić do portu na Maderze, w Afryce albo nawet w Portugalii.

To były trudne czasy dla Kanarów, żyjących w ciągłym zagrożeniu od piratów i korsarzy berberyjskich ze wschodu oraz piratów i korsarzy angielskich, holenderskich i innych nacji wrogich Hiszpanii od zachodu.

To nie był dobry moment na okazanie słabości. Zbrodni takiej, jak ta popełniona na „Santisima Trinidadzie”, nie można puścić płazem, choćby poleciała głowa niewinnego. Zgadzał się z sędzią, który podzielił się z nim swoją opinią przed przesłuchaniem jedyne go podejrzanego, będącego jednocześnie jedynym zatrzymanym. „Powieszenie to widowisko zawsze dobrze przyjmowane przez lud. Uczy szacunku dla władzy i daje przykład młodym”. Nie wspominając o korzyściach z egzekucji, jeśli wieść o niej dotrze do uszu piratów grasujących na tych morzach. Byłaby to wiadomość mówiąca: na La Palmie rządzi prawo.

- Wiecie, że Wyspa Świętego Brendana pojawia się na pierwszych znanych mapach? -

Don Hernan wyrwał go z rozmyślań. - Jacques Vitry narysował wyspę na swoim *mapamundi* ponad dwieście lat temu. Francuz Robert d'Auxerre opisał ją w swoim *Imago mundi* w tysiąc dwieście sześćdziesiątym piątym roku. Pojawia się również w *Planisferze* autorstwa Hereforda w końcu trzynastego wieku. Na niemieckiej planisferze z Ebstorf opatrzone ją zastanawiającym komentarzem: *Zagubiona wyspa. Święty Brendan ją odkrył, ale nikt jej odtąd nie odnalazł*. Wzmiankę o niej można znaleźć w liście Piciana. Wyspa znajduje się na

mapach Genuńczyka Beccariego i pochodzącego z Majorki Dulcerta. Także na mapie Weimera czy na późniejszej mapie brata Muro, z tysiąc czterysta pięćdziesiątego siódmego roku. Zgodzicie się chyba - powiedział, zamykając teczkę, z której wyczytał wszystkie informacje - że legenda o Wyspie Świętego Brendana jest świetnie udokumentowana. Villalobos zmarszczył czoło. Nie będzie łatwo założyć zatrzymanemu żołnierzowi krawat ze sznurka, mimo nagłego końca przesłuchania.

- Zebraliście sporo informacji na temat tej wyspy - musiał przyznać.

- Tak samo jak na temat rozszerzenia portu, o co mnie prosiliście po przyjeździe na Kanary. Jak wiecie, mam zamiar zaakceptować i autoryzować plany rozbudowy. Te plany zwiększą zasięg waszej jurysdykcji i waszą władzę. A ja zbiorę dzięki temu należne mi opłaty. Zwykłem dokładnie zbierać informacje, jeśli czuję gdzieś pieniądze. A jeśli znajdziemy tę przeklętą wyspę, razem z nią znajdziemy masę pieniędzy.

Jakby szukając potwierdzenia swoich słów, wsunął rękę do kieszeni surduta i dotknął dwóch srebrnych monet zarekwirowanych więźniowi. Były to dwa doskonałe falsyfikaty rzymskich sestercji z epoki Tyberiusza.

*

Kapitan kazał im narąbać zielonych gałęzi, żeby zrobić z nich na plaży ognisko, z którego gęsty biały dym będzie sygnałem ich przybycia.

- Jeśli wyspa jest zamieszkała, chcę, żeby nas zobaczyli, bo robienie tubylcom niespodzianek kończy się często nieprzyjemnie.

Carrasco uznał, że kapitan postępuje słusznie, miał już dość buńczucznych i źle kończących mężczyzn w stylu jego druha Curro Chińczyka. Kapitan kazał im czekać na plaży, dopóki ogień nie wygaśnie. „Gdyby pojawili się tubylcy, lepiej, żeby się nie zorientowali, że chcemy ich podbić. Co prawda chcemy, ale niech się tego nie domyślą”.

Antón Carrasco wykorzystał czas oczekiwania, żeby położyć się na ciemnym piasku i zdrzemnąć trochę, podobnie jak uczynili jego towarzysze, wycieńczeni podróżą. Tylko kapitan nie zaznał odpoczynku. Jak przystało na dobrego konkwistadora, zachował czujność przez cały czas. Chodził od jednego końca plaży do drugiego, nie spuszczać lądu z oka. Raz szedł, założywszy ręce na plecy, z opuszczoną głową i poważną miną, jakby przeczuwając doniosłość przyszłych wydarzeń. Innym razem zatrzymywał się i podpierał zawadiacko dłońmi pod boki, na wypadek gdyby obserwował go jakiś tubylec.

Carrasco uśmiechnął się pod nosem. Czuł szacunek dla Portugalczyka. W końcu uratował mu skórę. Za pewną cenę. Ale wywiązał się z umowy. Hiszpan musiał przyznać, robiąc rachunek sumienia, że ostatnio szło mu w życiu nie najlepiej.

Zakończył z honorami swoją służbę w Sycylijskim *Tercio*, miesiąc po bitwie pod [Jemgum1](#), w sierpniu sześćdziesiątego ósmego. Po czternastu latach służby wojskowej i walkach w całej Europie, włącznie z oboma wybrzeżami Morza Śródziemnego, chrześcijańskim i mauretańskim. Zakończył służbę z niewieloma bliznami jak na kogoś, kto nie umie trzymać języka na wodzy, i ze stopniem chorążego. A to nie było co, jeśli się wstąpiło do piechoty w wieku czternastu lat, i to bez dobrego pochodzenia. Nawet jego dowódca namawiał go, żeby został. „Jesteście krok od kapitana, Carrasco - przypomniał sobie słowa oficera. - Zostańcie na jeszcze jedną bitwę i macie awans, przysięgam na Krzyż Świętego Jakuba, który noszę na piersi”. Teraz, leżąc na plaży na bezimiennej wyspie i

1 Druga bitwa pod Jemgum (21 lipca 1568 roku) - jedna z bitew stoczonych w ramach wojny osiemdziesięcioletniej, w czasie której Niderlandy walczyły o wyzwolenie spod hiszpańskiego panowania.

Podczas bitwy wojska księcia de Alby rozbiły wojska holenderskie dowodzone przez Luisa de Nassau.

wspominając ostatnie przygody, pomyślał, że zlekceważył rady pułkownika w złą godzinę.

Splunął na ziemię, odpędzając ponure myśli. W życiu trzeba ryzykować, do diaska, a on już rzucił kośćmi. Wrócił do Hiszpanii z *miles gloriosus*, jak wszyscy towarzysze, którzy wracali w jednym kawałku i nie nawozili pól maków będących w swoim czasie polami bitwy. W Hiszpanii wybrał Sewillę, najważniejsze miasto najważniejszego państwa na świecie. Sewilla była jednocześnie bramą do Ameryki i do Europy. Pomyślał, że właśnie w tym mieście mógł znaleźć wszystko to, co warto było przeżyć, zarobić i wypić. W Sewilli był szczęśliwy, przynajmniej przez kilka miesięcy, dopóki miał pełną kiesę. Wydał w końcu wszystko na dziwki i na najlepsze stoły, te do jedzenia i te do gry. W końcu taki jest los żołnierskiej kiesy od czasów Aleksandra zwanego Wielkim. W trakcie tej wspaniałej dekadencji poznał Curro Chińczyka. Nie było w Sewilli lepszego gracza w karty. Gdyby posługiwał się bronią z równą wprawą, z jaką grał, dochrapałby się generała. Oczywiście pod warunkiem, że tamtego dnia w Lizbonie ocaliłby życie. W ciągu kilku miesięcy spędzonych razem nad rzeką Guadalquivir byli nierozłączni. Niestety, kto wygrywa przy stole do gry, zwłaszcza jeśli karty są znaczone, zaciąga dług u wymiaru sprawiedliwości. Jego druh nie chciał mieć nic wspólnego z facetami z rapierami, „bo znajomość z nimi kończy się znajomością z sądem. A ci zawsze znajdą cię winnym tego, co zrobiłeś, i tego, czego nie zrobiłeś. I na koniec wyślą do gnojowiska dla ludzi, które zwą więzieniem”. A on już zebrał pokaźną kolekcję kar. Takich na papierze, których musiał mieć kilka ryz, i takich z kamienia, z zakratowanymi oknami. Miał okazję wskrobać swoje imię na niejednej ścianie. I zawsze miał takie pieskie szczęście, że lądował po tej stronie, która nie wychodziła na ulicę. Postanowili więc zmienić otoczenie, zanim ubiegną ich siepacze. Korzystając z nieuwagi właścicieli, wzięli sobie dwa dobre konie i wyjechali cwałem z Sewilli. Po trzech dniach byli w Lizbonie.

- Zobaczysz, bracie, jak nam tu będzie dobrze. Tu jest tak ładnie jak w Sewilli,

Portugalczycy fatalnie grają w karty i mają grube kiesy dzięki handlowi czarnymi.

Curro podchodził do sprawy z optymizmem, jak zwykle. Tego samego dnia sprzedali pożyczone konie i za zdobyte pieniądze sprezentowali sobie porządny obiad z dorsza obficie podlany winem, bo i jedno, i drugie Portugalczycy mieli przednie.

*

- Kontynuujmy. Z jakiego powodu oskarżony zaciągnął się na pokład „Santisima Trinidadę”? - zapytał sucho sędzia, podczas gdy skryba po raz kolejny prosił pomocnika o więcej atramentu.

Carrasco odchrząknął głośno, żeby oczyścić gardło i zebrać myśli. Miał zamiar opowiedzieć tylko o tym, o czym mógł opowiedzieć.

- Jak mówiłem waszmościom, mój współnik, niech spoczywa w spokoju, i ja, do usług, byliśmy w Lizbonie w interesach.

- Oczywiście - mruknął z przekąsem Villalobos, uśmiechając się złowieszczo.

Carrasco zignorował jego komentarz.

- Ale choćbyśmy byli najuczciwsi, a Chińczyk i ja tacy jesteśmy, to znaczy mój druh był - poprawił się. - Jak mówiłem, nie ma ludzi bez skazy, od kiedy Bóg wygnał z raju pierwszych rodziców. Mój druh i ja mieliśmy swoje wady: lubiliśmy karty.

- Przysięgam na Lucyfera! - wybuchnął sędzia, uderzając pięścią w stół. - Nigdy nie prowadziłem takiego przesłuchania, z podobnym kanalią!

- Trzymacie mnie w niepewności - wtrącił się Hernan, zwracając się do Carrasco - a sędziego wyprowadzacie z równowagi. Kontynuujcie i wyjaśnijcie nam, jakie były konsekwencje waszej słabostki. Tym razem bez przerw - powiedział, patrząc zimno na Sauquillo.

- Byliśmy wytrawnymi graczami - podjął Carrasco jak gdyby nigdy nic. - Nasza

wirtuozeria w kartach była niezwykła. Mój wspólnik rozpuścił w Lizbonie wieści, że do miasta przybyły z Sewilli dwie pary najlepszych rąk i że tej samej nocy wzywamy każdego, kto chce się nauczyć czegoś o kartach, na lekcje w O Degollada, jak się nazywała szulernia, w której zamierzaliśmy udzielać porad i rozdawać dyplomy. Jak zapewne waszmościowie wiedzą, choćby tylko ze słyszenia, przed grą trzeba podgrzać atmosferę. Przechwałki przyciągają graczy, jak ogień świecy przyciąga ćmy. Tamtej nocy udaliśmy się do wspomnianej spelunki, lokalu o świetnej renomie w lizbońskim porcie, który podobał mi się szczególnie ze względu na kotary i kretony, jakimi był przybrany. Do tego wyposażono go w lampy oliwne grube jak uda perszeronów, które dawały mnóstwo światła. A jak wiadomo, światło świec jest przychylnie dziwkom, których w tym przybytku nie brakowało, bo ukrywa zmarszczki i poprawia jakość pudru. Przy stołach grano w *martinete*, czyli portugalską grę podobną do naszego mariaża, którą znaliśmy z moim druhem tak dobrze jak oczko.

Carrasco urwał, żeby napić się wody z dzbana i złapać oddech.

- Zaczęliśmy ogrywać - podjął - dwóch kapitanów żeglugi, którzy uważali się za niepokonanych, a wytrzymali tylko tyle, ile pozwoliliśmy im wytrzymać, żeby rozgrzać publiczność. Bo partia, którą chcieliśmy zagrać, już weszła do szynku. Dwóch wypacykowanych fircyków, z których jeden wyglądał na twardziela, a drugi na słabeusza, dopiero rozpoznawało teren. Te przystojniaczki musiały być wysoko postawione i zamożne, bo przyszły w towarzystwie wynajętej straży w postaci dość postawnego blondyna. Na początku myślałem, że to Niemiec, bo widać było, że nawykł do broni. Od razu uznałem, że był żołnierzem, jeden wojak natychmiast rozpozna drugiego i kiedy spojrzeliśmy na siebie, zrozumieliśmy się błyskawicznie. Wspomniałem waszmościom, że przez czternaście lat służyłem w *Tercio Viejo* z Sycylii? Wołali na nas „zakrystianie” [*](#), bo rozdawaliśmy ostatnie namaszczenie na prawo i lewo.

- Jeśli pozwolicie, nie będziemy się teraz zajmować waszą służbą wojskową, wróćmy do kart, które, jak mniemam, pozwolą nam lepiej zrozumieć waszą historię - odpowiedział z rozbawieniem namiestnik, podczas gdy sędzia zaciskał oparte na stole pięści, aż zbieleły mu kłykcie.

- Wracam więc do kart, żeby zacząć drugie rozdanie tamtej nocy. Tym razem graliśmy przeciwko dwóm handlarzom bydłem. Chociaż moim zdaniem skłamacz, jak dla mnie wyglądali na handlarzy niewolników. Obstawiali wyżej niż marynarze i rozgrzali nam porządnie atmosferę. Mój druh był we wspaniałej formie, grał na krawędzi powodzenia, przegrywał bitwy, żeby wygrywać wojny.

Jeden z przystojniaczków, ten, który udawał twardego, nie spuszczał z nas oka.

Szelma patrzył na nas i zapamiętywał błędy i sztuczki. Dało się wyczuć, że grę ma we krwi.

Kiedy skończyliśmy partię z handlarzami, fircyk był już pewien, że nas pokona, a taki właśnie mieliśmy cel. Przyłączyli się weseli jak szczygiełki do drużyny i usiedli od razu na krzesłach, które jeszcze były ciepłe od pośladek „kupców”.

„Z radością rozegramy z waszmościami ostatnią partię tej nocy, ale tutaj gra toczy się bez żelaza”, powiedział Curro z uśmiechem, rozchylając kamizelkę i pokazując, że nie był uzbrojony.

Fircyki odpięły broń. Ten, który wyglądał na bardziej zniewieściałego, wręczył ochroniarzowi bogato zdobiony rapier, jakby robiony tylko do ozdoby. Ten, który wyglądał na twardszego, odłożył znacznie prostszą baskijską szpadę.

„Wyglądacie, jakbyście szli na wojnę, a nie grać w karty”, zauważył Hiszpan na widok broni.

„Z Hiszpanami nigdy nie wiadomo”, odparł Portugalczyk obraźliwie.

Myślę, że ta odpowiedź dotknęła mojego druha do żywego, bo kiedy my, Hiszpanie,

jesteśmy w kraju, codziennie opluwamy Koronę i wycieramy sobie gęby gronostajem

królowej, ale kiedy za granicą obrażają Hiszpanię, to dla nas gorzej, niż jakby szargali imię matki.

* Wiele *Tercios* miało swoje przydomki: żołnierzy z *Tercio* z Sycylii zwano „zakrystianami”, z *Tercio* z

Bobadilli - „pszczelarzami”, z *Tercio* z Iniguez - „kapusiami”, z *Tercio* z Queralt - „papugami” itd.

- Tego ostatniego nie zapisujcie, skrybo - rozkazał don Hernan.

- W rezultacie Curro dał z siebie wszystko tamtej nocy. Najpierw rozgrzał

Portugalczyka do czerwoności, pozwalając mu wchodzić do gry i wychodzić z niej, jak chciał. Zbierał wygraną i gratulacje.

Jednak o północy mistrz przestał się z nim cackać. Rozdanie po rozdaniu rozbijał mu

lewe, rozbijał rozdania i wykradał najlepsze karty. Bez litości. Chińczyk bawił się

upokarzaniem gołąbeczków. Ja jednak nie mogłem się tym cieszyć tak samo jak on. Coś mi

nie pasowało. Jak już waszmościom mówiłem, obserwancja zawsze była moją mocną stroną.

Zawadiaka miał coraz podlejszą minę i coś mi mówiło, że z humorem też było nietęgo. Po

godzinie Portugalczykom nie został ani jeden grosz i ten od ozdobnego rapiera wstał z za

stołu.

„Mam już dość kart, jak na jedną noc. Idziesz ze mną, Hernando?”

„Zostaję. Chcę zagrać ostatnie rozdanie”, powiedział jego towarzysz, nawet na niego

nie patrząc, bo wpatrywał się akurat w Curro Chińczyka.

„Obawiam się, panie, że nie da rady. Wasza sakwa już nic więcej z siebie nie wypluje,

jak się zdaje”, odparł Hiszpan złośliwie.

Portugalczyk pochylił się, a ja zacząłem lękać się najgorszego - ciągnął Carrasco. -

Niepostrzeżenie włożyłem ręce pod blat stołu z zamiarem wywrócenia go, jeśli piękniś zrobi

coś podejrzanego, i utorowania sobie pięściami drogi na zewnątrz. Tak jak zwykle kończy się

grę w karty, kiedy ten, kto przegrywa, nie potrafi odejść z honorem i wdzięcznością za naukę.

W tym momencie ten Hernando podniósł się i położył na stole srebrną ostrogę, którą odpiął sobie od buta. Była to najpiękniej wykonana ostroga, jaką widziałem w życiu. A widziałem w życiu sporo srebrnych ostróg, nie darmo pracowałem lancą wśród francuskiej kawalerii.

Ja również wstałem.

„Z bólem opuszczam stół waszmości, bo ta gra nie jest jak miłość, nie przyjmuje trójkątów”.

Ani awanturnik, ani mój druh nie zwrócili na mnie uwagi. Obaj byli już porządnie zacierzewieni i tylko między nimi pozostały stół, karty, ostroga i góra pieniędzy, od której uwolniliśmy Portugalczyków. Zagrali jeszcze jedno rozdanie i to było najlepsze rozdanie, jakie zagrano w O Degollada. Wszyscy bywalcy lokalu otoczyli stół.

Ja, jak gdyby nigdy nic, stanąłem ramię przy ramieniu z blondynem. Ostatnie, czego wtedy potrzebowałem, to Niemiec za plecami.

Jak się należało spodziewać, piękniś przegrał ostrogę. Ludzie, jak należało się spodziewać, zaczęli szeptać. A ktoś nawet się roześmiał.

Widziałem, jak kark Portugalczyka przybiera kolor szkarłatu.

„Została wam jeszcze jedna ostroga, panie, jeśli chcecie nadal grać”, rzucił wyzwanie Hiszpan.

Portugalczyk patrzył na niego zaczerwienionymi oczami. Przez chwilę jakby się wahał. Jednak opuścił rękę do buta, nie spuszczać z oczu przeciwnika. Był bardzo szybki. Z buta nie wyjął ostrogi, lecz sztylet długi na trzy piędzi, i rzuciwszy się na stół, wbił go w pierś Curro zwanego Chińczykiem.

„Ze mnie nie śmieje się żaden Hiszpan, sukinsynu...”.

*

Carrasco nie dał mu dokończyć, bo wbił mu w szyję nóż myśliwski, jak bykowi na korridzie. On też potrafił ukryć broń, na wszelki wypadek. Ułamek sekundy wcześniej powalił strażnika, podstawiając mu nogę i zręcznie uderzając łokciem. Rzucił się na Portugalczyka, stojącego nadal nad blatem z wyciągniętą ręką i trzymającego sztylet, który właśnie wbił w ciało Curro po rękojeść.

Sztylet Carrasca wszedł ze strasznym, wilgotnym chrzęstem w plecy fircyka, a Hiszpan już szykował się do drugiego aktu, który zaczynał wyglądać znacznie gorzej niż pierwszy. Stał plecami do ściany i czekał na atak najemnika. Blond olbrzym już wstał i również był szybki. W prawej ręce trzymał szpadę, w lewej sztylet. Carrasco zrozumiał wtedy, że to koniec. Że w tej lizbońskiej speluncie kończy się zabawa. Przygotował się na śmierć w walce. Spojrzał w oczy agresora, spodziewając się znaleźć puste i zimne spojrzenie, które charakteryzuje ludzi skoncentrowanych tylko na zabiciu drugiego człowieka. Najemnik ruszał się płynnie, musiał być dobrym żołnierzem, zanim zaczął wynajmować swoją szpadę.

- Gdzie służyliście? - zaskoczył go pytaniem blondyn. Mówił po hiszpańsku z szorstkim akcentem.

- Chorąży Antón Carrasco, z pierwszej kompanii arkebuzerów z *Tercio Viejo* z Sycylii, pod dowództwem don Juliana Romero de Ibarroli, niech Bóg go strzeże. Istniały mechaniczne odpowiedzi, których żaden żołnierz nie zapomina.

- Jestem „zakrystianem”. I przysięgam na rogatego pana, że wkrótce zrozumiecie, skąd się bierze mój przydomek.

Wielkolud patrzył na niego uważnie, gotowy do walki, zachowując odległość i kalkulując następny krok, żeby wreszcie uderzyć.

- Byliście pod Jemgum? - zapytał znowu.

- Oczywiście, brałem udział w bitwie pod Jemgum, położyłem w niej setki

Holendrów, na brzegu rzeki Ems. Po co tyle gadania? - odpowiedział wyzywająco Carrasco. -

Albo gadka, albo bitka, ale nigdy obie rzeczy naraz, panie woźny.

- Ja również byłem pod Jemgum - odparł blondyn spokojnie, odparowując cios sztyletem.

- Jesteście Holendrem? W takim razie boleję, że udało wam się ujść z życiem. Na szczęście mogę jeszcze naprawić błąd.

- Walonem. Sierżant Frans Hogenberg, z regimentu z Hierges, pod dowództwem Gilleśa de Belaymont. Tamtego dnia nad Ems wasze *Tercio* ocaliło mi życie.

Jasna cholera, pomyślał Carrasco. Blondyn nie był Niemcem, ale cholernym

katolickim Walonem z regimentu z Hierges, który pod Jemgum walczył z Hiszpanami ramie

w ramię. Tak jak w innych bitwach. Carrasco nie mógł wyjść ze zdumienia. Teraz sobie

przypominał. Walonowie wysforowali się mocno do przodu i zostali sami z Holendrami,

którzy zdołali ich okrążyć. Walonowie byli przyparci do rzeki i bronili się jak osaczone

szczury. Nasi towarzysze w walce i w prawdziwej wierze uznali, że zwycięstwo jest ich, i

lekceważąc znaki i chorągwie hiszpańskich oficerów, wyłamali się z linii, żeby wbić się

klinem w masę czekających Holendrów. Płacili za to słono, bo buntownicy cięli ich silnie. Jak

to bywa, kuzyni chętniej się biją między sobą niż niespokrewnieni.

Na to wkroczyło *Tercio Viejo* z Sycylii, piękniejsze niż święty Ludwik albo, jak

napisał we wspomnieniach Pierre de Bordielle: *aroganczy jak książęta i tak postawni, że*

wszyscy wyglądali na kapitanów. Starszy sierżant dostrzegł, że Walonowie są w tarapatach, i

zaczął posuwać się z całym oddziałem, dwiema kompaniami arkebuzerów i dwiema

oszczepników, w kierunku lewej flanki Holendrów.

Dotarłszy na miejsce, cztery kompanie stanęły w szyku, z oszczepnikami w centrum i

arkebuzerami po bokach. Buntownicy nie zareagowali na obecność Hiszpanów, tak byli zajęci

młóceniem Walonów.

Idiaquez, starszy sierżant, podjechał konno aż do centrum przepięknie uformowanego oddziału, jakby chciał sprawdzić szyk. Zatrzymał konia przed grupą kapitanów.

- Wygląda na to, że nie przyjdą - poinformował ich, widząc, że wrogie oddziały nie ruszały się z miejsca.

- Są zajęci sobą, sierżancie - odpowiedział najbardziej doświadczony kapitan.

- Chyba trzeba ich odwiedzić, zanim wytluką nam wszystkich Walonów - stwierdził sierżant. - W dwóch rzędach, z arkebuzerami w środku. Na długość trzech lanc* i uderzamy w sam środek - rozkazał wreszcie.

* Trzy lance - około piętnastu metrów przepisowej odległości, w jakiej powinien znajdować się przeciwnik, żeby *Tercio* zaczęło walkę.

Dowodzący przekazali rozkazy niżej. Arkebuzerzy ustawili się między oszczepnikami, ich arkebuzy i muszkiety dymiły. Nad oddziałem rozbrzmiały uderzenia bębna i tysiąc hiszpańskich piechurów ruszyło jak jeden mąż w kierunku wroga. Szli w absolutnej ciszy, jak nakazywało królewskie rozporządzenie, słysząc tylko dźwięk tysiąca par butów deptających niderlandzką ziemię i stukot oszczepu o oszczep, bo szyk był zwarty.

Oddział szedł ku centrum bitwy, naprzeciw wrogowi o pięciokrotnej przewadze liczebnej, „im więcej, tym lepiej”, jak się mówiło, bo *Tercio* zawsze miało w pogardzie rachunki. Kiedy zbliżyli się do przeciwnika na trzydzieści kroków, rozbrzmiało ostatnie uderzenie bębna. Holendrzy zorientowali się, co się dzieje, i ustawili się w szyku.

Arkebuzerzy wystąpili naprzód i wbili w ziemię widełki. Na okrzyk „Święty Jakub!” rozbrzmiał suchy wystrzał z pięciuset luf. Wśród chmury białego dymu i drażniącego zapachu siarki zobaczyli, jak upada pierwszy szereg holenderskich oddziałów. Potem zaczęła się rzeź.

Tamtego dnia dziesięć tysięcy kalwinistów nie wróciło do domu.

Carrasco nigdy nie zapomni owego ranka. Ani uścisków walońskich druhów wdzięcznych za uratowanie im skóry. Żołnierskie sprawy.

Wrócił do terażniejszości, w której stał z plecami przy ścianie w tawernie O Degollada. Poczł przygnębienie. Nie dlatego, że to była jego ostatnia walka, był na to gotowy, ale dlatego, że miał go poszatkować dawny towarzysz broni. Życie płata najdziwniejsze figle, pomyślał.

Patrzyli na siebie jeszcze przez kilka sekund. Aż w końcu Walon cofnął się i schował miecz do pochwy.

- Idźcie wolno, panie** żołnierzu - powiedział ze spokojem, jakby zamawiał kufel piwa. - Portugalczyk nie płacił tyle, żeby warto było rozharatać druha z *Tercio*. Poza tym, chociaż dobrze radzę sobie z bronią, mam dziś zły dzień. Jeszcze waszmość mnie bardziej pokaleczysz.

Jak gdyby nigdy nic wciągnął rękawice, zawiązał kamizelkę i założył kapelusz o szerokim rondzie ozdobionym piórem. Skłoniwszy lekko głowę na pożegnanie, powiedział mu cicho, głosem starego kompana:

- Hiszpania!

- Hiszpania! - odparł Carrasco.

„Hiszpania” i „Święty Jakub”, dwa stare zawołania bojowe *Tercios*.

** W *Tercios* do każdego żołnierza zwracano się, używając tytułu „don” lub „pan”, niezależnie od jego stopnia i pozycji społecznej.

*

- I tak zakończył się epizod gry w karty w Lizbonie. Tam też został mój druha, Curro Chińczyk, zwycięzca rozgrywki, o której na pewno wciąż się mówi w mieście, ale z dwoma

piędziami portugalskiego sztyletu między plecami i piersią - zakończył Carrasco.

*

- Przypaliłam spaghetti - powiedziała Lola z nieszczęśliwą miną, wpadając jak tornado do jego pokoju.

Cameron podniósł wzrok znad pracy. Zniknęło pole bitwy pod Jemgum, wielkie białe flagi z krzyżem świętego Andrzeja poplamione krwią żołnierzy *Tercios*, tawerna w Lizbonie, Antón Carrasco i waloński wiarus.

Zaprawiony w małżeńskich bojach Amerykanin wiedział doskonale, że zdania

„Przypaliłam spaghetti” oraz „Pralka się zepsuła” oznaczają dwie kosmiczne katastrofy dla każdej kobiety.

A on nadal był wrażliwy na pewne sprawy.

Zjedli w jednej z ulubionych restauracji Camerona, El Caciquito*, mieszczącej się przy ulicy Padre Damian. Jej ocieniony ogródek był doskonałym schronieniem przed szalejącym w stolicy latem.

Lokal serwował kuchnię włoską i szwedzką bez udziwnień. Karta dań była krótka, ale skomponowana zgodnie z prawdą.

Na pierwsze danie zamówili po porcji świetnego *gazpacho*, pomidorowy chłodnik, za którym Cameron zawsze tęsknił, kiedy w Bostonie zaczynało się lato. Na drugie on zamówił lasagne z mięsem, jedną z najlepszych potraw, jakich próbował w Madrycie, a ona wybrała bez większego wahania specjalność zakładu - hamburgera.

Żeby zdobyć sobie zaufanie podopiecznej, historyk zapewnił Lolę, że młodzi

właściciele restauracji podkradali mięso na hamburgery swojemu ojcu, właścicielowi El Cacique, w którym serwowano najlepszą argentyńską wołowinę. El Cacique sąsiedował z El Caciquito i to w nim dorastali młodzi właściciele, obsługując stałych klientów pod bacznym

okiem swojego ojca i nauczyciela.

Dramat spaghetti stracił znaczenie. Cameron był zadowolony ze swojego refleksu i przekonującego wystąpienia.

- Jest przepyszny. Na pewno nie chce pan spróbować? - zapytała dziewczyna, grzebiąc frytki pod górą keczupu.

- Chętnie bym go spróbował, ale wiem, że to mi ostatecznie zrujnuje reputację na

* *Caciquito* (hiszp.) - zdrobnienie od *cacique* - kacyk.

basenie. Utopię swój apetyt w *tinto de verano**, dziękuję - odparł Cameron.

Kiedy podano im kawę, Lola wstała, żeby przywitać się z parą przyjaciół, którzy właśnie usiedli w ogródku.

Cameron wykorzystał okazję, by przejrzeć gazetę, której jeszcze nie zdążył przeczytać.

Zwrócił uwagę na krótką informację zamieszczoną na stronach z wiadomościami ze świata: *Wzrasta liczba urodzeń dzieci z zespołem Downa*. Wydarł ją i schował w kieszeni marynarki. Pomyślał, że chętnie o tym opowie doktor Recasens.

* *Tinto de verano* (hiszp.) - czerwone wino zmieszane z lemoniadą, podawane z lodem.

Rozdział XI

Praca magisterska Loli (część druga)

Capita XI. N.S.B.a. Kiedy łódź pielgrzymów zaczyna tonąć, docierają do Wyspy Ptaków. Śpiewają psalmy, żeby podziękować Bogu. Przyłącza się do nich chór aniołów, które później pomogą im naprawić *curragh*.

Tej samej nocy Cameron wrócił do ciemnych lochów portu La Palmy. Nie mógł się już doczekać, kiedy znowu odda się lekturze.

*

- I po tamtym „incydencie” w lizbońskiej tawernie zaciągnęliście się na „Santisima Trinitade” - podsumował sędzia w nadziei, że uda mu się skrócić opowieść więźnia.

- Następnego dnia - przytaknął oskarżony. - Mogę prosić o coś do picia? Może być woda.

Sauquillo westchnął i podał mu dzban.

- Dlaczego wybraliście statek handlarzy niewolników? - zapytał don Hernan.

- Nie wiedziałem, że to byli handlarze niewolników, ekscelencjo - odparł Carrasco bez cienia zakłopotania. - Chociaż gdybym o tym wiedział, też bym nie grymasił.

Zostawiłem za sobą świeżego trupa, i to ważnego, sądząc po liczbie stróżów prawa, którzy zajęli port.

*

Kapitan Pedro Velo patrzył, jak mężczyzna wchodzi po trapie. Zsunięty aż do brwi kapelusz zasłaniał mu pół twarzy. Łotrzyk wyglądał na kogoś ściganego przez prawo. Miał szczęście, że dwaj strażnicy stojący w odległości pięćdziesięciu metrów od statku byli zajęci flirtowaniem z dziewczyną niosącą koszyk sardynek.

- Pokój z tobą, admirale - zsalutował Carrasco kapitanowi, patrząc ukradkiem ponad jego ramionami.

- Macie szczęście, że strażnicy podobają mi się mniej niż Hiszpanie - odparł, przyglądając mu się uważnie i oceniając, jakie głupstwo był gotów popełnić. - Wejdźcie do mojej kajuty, zanim rzucą się na was strażnicy. Zaraz skończą im się tematy do rozmowy z dziewczyną od sardynek.

Carrasco poszedł za marynarzem. Kiedy weszli do kajuty, kapitan zamknął drzwi na klucz. Zaprosił gościa, żeby usiadł, a sam zajął miejsce naprzeciw niego. Kajuta przypominała chlew, unosił się w niej kwaśny zapach, jakby długo jej nie wietrzono,

królowały tam chaos, rozkład i brud. Obaj mężczyźni czuli się jednak swobodnie: żołnierzowi ten obrazek wydawał się czymś zwyczajnym, od dawna był przyzwyczajony do takich warunków, dla Velo brud był środowiskiem naturalnym.

- Czujcie się jak u siebie w domu - powiedział uprzejmie kapitan. - Jesteście na pokładzie... - zawahał się i sięgnął po jedną z ksiąg leżących w stosie na szafce. Wyglądała na najmniej używaną. Po jej przewertowaniu podjął: - Właśnie. Dziś nazywamy się „Santisima Trinitade”. Nie mieliśmy czasu namalować nazwy na burcie. Jestem kapitanem tej karaweli. Nazywam się Pedro Velo i żeby nie owijać w bawełnę, powiem, że wyczułem w was pilną potrzebę opuszczenia Lizbony. Czy błędzę w swej diagnozie? - zapytał, patrząc gościowi w oczy.

- Trafiliście w sedno, kapitanie - przyznał Carrasco.

- Być może dziś szczęście się do was uśmiechnie. Za chwilę będziemy odpływać, mam pewne braki w załodze i nic nie stoi na przeszkodzie, żebym przyjął na pokład...

- Służyłem na galerach króla Hiszpanii, ale zawsze jako żołnierz - wyjaśnił Carrasco. - Odciski na rękach mam od trzymania szpady, lancy i arkebuz, nie od wiosłowania z galernikami.

- Zawsze chciałem mieć na pokładzie wojskowego doradcę. Tak, statek bez doradcy wojskowego to w dzisiejszych czasach statek niekompletny.

- Ile mnie to będzie kosztować, kapitanie? Pytam, bo zdaje się, że obaj raczej się spieszymy.

- Połowę tego, co macie w sakwie. Tej, którą nosicie w kieszeni, i tej schowanej w bucie. Radzę, żebyście oszczędzili sobie rachunków. Jeśli wyrzucę was z mojego statku i wpadniecie w łapy strażników, stracie znacznie więcej. Powiedzcie mi raz jeszcze, czy błędzę w swej diagnozie.

- Jesteście wielkim znawcą ludzkiej natury, kapitanie.

- Tak - zgodził się Velo. - Zwłaszcza jeśli natura mojego rozmówcy jest podobna do mojej.

*

- W głębi duszy kapitan nie był złym człowiekiem i na swój sposób dochowywał raz danego słowa - ciągnął Carrasco swoją opowieść. - Wziął ode mnie uzgodnioną sumę, która była raczej małą fortuną, ale nigdy nie próbował zabrać mi reszty pieniędzy. A mogę zapewnić waszmościów, że nie byłoby to trudne z taką załogą, jaka służyła na tym statku.

- Jak się naprawdę nazywał wasz statek? - zainteresował się Villalobos.

- Nie wiem. Musiał mieć tyle nazw, ile tras morskich w dziennikach okrętowych.

Kiedy tylko straciliśmy Lizbonę z oczu, kapitan kazał wyrzucić do morza cały ładunek, jaki wieźliśmy w ładowni. Zadeklarowaliśmy go jako bawełnę, ale w rzeczywistości była to tania pasza dla zwierząt jucznych. Velo wyznał mi tej samej nocy, że musiał mieć puste ładownie, bo „Santisima Trinidad” nie płynęła na Maderę, jak głosiła oficjalna wersja. Naszym celem był Zielony Przylądek. Mieliśmy stamtąd zabrać niewolników, których potem sprzedalibyśmy w Lizbonie. No, nie do końca w Lizbonie - przyznał. - Mieliśmy wysadzić czarnych na plaży nieopodal miasta, żeby uniknąć opłat portowych. Kapitan handlował w drugim obiegu. Jak waszmościowie widzą, dno dna.

- Zamierzaliście wrócić do Lizbony na tym samym statku? - zapytał Sauquillo, mając nadzieję, że doda coś jeszcze do przewinień więźnia.

- Nie. Velo powiedział mi, że na Cabo Verde założymy nowy dziennik okrętowy.

Pozwolił mi nawet wybrać nową nazwę dla statku. Miałem go nazwać „Virgen de Atocha”^{**}, na cześć Matki Boskiej, którą zawsze czciłem.

- To naprawdę wzruszające, Carrasco. Wróćmy do wyspy, błagam - poprosił

namiestnik sądu.

- Nie podoba mi się ta wyspa - mruknął za plecami Carrasco pilot „Santisima

Trinidad”, Roque Hernandez, wyzwolony niewolnik. Właśnie wyrąbywali sobie ścieżkę wśród zarośli porastających deltę rzeki.

- Lepiej być tutaj niż na dnie morza, Roque - odparł Hiszpan bez przekonania.

- Słyszałem żeglarskie opowieści, panie Carrasco, ta wyspa to na pewno Wyspa Świętego Brendana.

- Świętego Brendana? Nigdy o czymś takim nie słyszałem - skłamał Carrasco, próbując odgonić chmurę komarów, których było pełno w zaroślach.

- Nie słyszeliście nigdy o Wyspie Świętego Brendana, bo jesteście bardziej przywiązani do lądu niż zające. Każdy marynarz, który kiedykolwiek żegłował po tych wodach, wie, że Wyspa Świętego Brendana jest zaklęta. To jest zaklęta wyspa.

- Co masz na myśli, Roque?

- Ta wyspa pojawia się i znika, panie Carrasco. Wyspy są jak ludzie, jeśli pojawiają się i znikają, to znaczy, że mają coś do ukrycia.

* Matka Boska z Atochy (obecnie dzielnica Madrytu).

- Zamknijcie się tam z tyłu! - krzyknął Velo idący na czele ich niewielkiej ekspedycji.

- Tubylcy mogą nas usłyszeć!

Wreszcie wyszli z zarośli. Przed nimi wznosiły się dwie potężne skały, młodsze siostry gór, oddzielone od siebie długim wąwozem, którym płynęła rzeka. Ekspedycja posuwała się wzdłuż lewego brzegu.

Miejsce było piękne, u ich stóp rozpościerała się zielona łąka otoczona potężnymi drzewami. W gałęziach śpiewały ptaki i szumiał lekki, świeży wietrzyk. Po raz pierwszy od bardzo dawna Carrasco poczuł głęboki spokój, inny niż ten dobrze mu znany, który czuł w

przeddzień bitwy.

A jeśli to nie była zaklęta wyspa, ale raj? Raj również ukrywał się przed ludźmi.

Zwłaszcza przed takimi jak on, obciążonymi wszystkimi znanymi grzechami. O jego kompanach nie wspominając.

- Hiszpanie! - krzyknął kapitan, odrywając go od przyjemnych rozmyślań. Carrasco podbiegł do niego natychmiast, pamiętał jeszcze dyscyplinę z *Tercio*, a dowódca był w końcu dowódcą.

- Na rozkaz, kapitanie.

- Co proponujecie? Nie wiem, czy na tej pozycji jesteśmy dobrze chronieni przed ewentualnym atakiem.

*

Oskarżony ciągnął swoją opowieść.

- Kapitan kazał całej załodze zejść na ląd, jako „oddziałowi konkwistadorów”, jak mówił. Niewielki był z nas oddział, bo w sumie liczył jedenastu ludzi. Polecił też przynieść z karaweli dwie puste beczki na skarby. Albo na słodką wodę, gdyby nic lepszego nie udało nam się znaleźć. Wzięliśmy także z sobą kufer z błyskotkami, którymi mieliśmy obdarować czarnych Berberów. Oni przywiązują wagę do takich szczegółów, chociaż potem nie odpuszczają ani szeląga przy zawieraniu umowy. Według Vela błyskotki miały nam posłużyć do handlu z tubylcami. Kapitan słyszał sporo historii o Ameryce i o bogactwach, jakie zdobywali konkwistadorzy w zamian za szklane paciorki, biżuterię i lusterka. Chociaż Portugalczyk był gotów wykorzystać wszystkie możliwości, jakie dawała dyplomacja, brał również pod uwagę rozwiązanie siłowe. Na wypadek gdyby Indianie nie chcieli wymieniać swojego złota na nasze paciorki i zrobili się marudni, a potem agresywni. A jak wiadomo, nerwowe rozmowy prowadzą do nerwowych ruchów. Dlatego kapitan kazał znieść na ląd całe

uzbrojenie: lance i rohatyny, muszkiety oraz wszelkie żelastwo. Jeśli waszmościowie tego nie wiedzą, wyjaśnię, że statki handlarzy niewolników są uzbrojone jak berberyjscy piraci. Na wypadek gdyby czarni wpadli na pomysł urządzenia buntu na pełnym morzu. Nie byłby to pierwszy raz. Tak czy inaczej, nie brakowało nam niczego. No, może oprócz księdza do chrystianizacji dzikusów.

Carrasco urwał, jakby próbując uporządkować wspomnienia.

- Przyznaję - podjął, wzruszając ramionami - iż zacząłem podejrzewać, że Roque miał rację. Że to rzeczywiście była zaklęta wyspa i że wszyscy oszalejemy. Kapitan już zaczął bredzić, skoro uważał się za Cortesa we własnej osobie podbijającego Meksyk.

- Zmierzyliście wyspę? - Don Hernan był najwyraźniej bardziej zainteresowany szczegółami prawdziwych wydarzeń niż rojeniami portugalskiego kapitana.

- Nie była mniejsza od tej, na której się teraz znajdujemy. Tak mnie zapewnił Roque.

Wszystko zostało zanotowane w dzienniku pokładowym.

- To nie jest mała wyspa - myślał na głos don Hernan Perez de Grado, a oczy błyszczały mu z radości.

- Nie, panie, nie jest mała - zgodził się Carrasco niemal z dumą. - Jest większa niż La Palma i dwukrotnie przewyższa rozmiarem El Hierro. Przysięgam na rogatego pana, że odkryliśmy dobrą wyspę dla Hiszpanii i chrześcijaństwa.

- Jasne. I co jeszcze odkryliście w czasie swojej magicznej podróży, Carrasco? - dopytywał się Villalobos.

- Co proponujecie? - powtórzył pytanie kapitan Velo. - To wy jesteście żołnierzem, powinniście wiedzieć, jaki teren nadaje się najlepiej na pole bitwy.

- Trzeba by iść dalej, aż do podnóża skały, i tam rozbić obóz. Tak żebyśmy mieli tyły chronione zboczem góry - odparł Carrasco, głównie po to, aby go uspokoić, a nie żeby

uczynić zadość sztuce taktyki.

Roque wysforował się przed oddział. Być może chciał być sam ze swoimi lękami albo dotrzeć jak najszybciej na miejsce, które uważał za bezpieczne. Szedł szeroką plażą nad brzegiem rzeki, kiedy nagle stanął jak wryty na piasku i patrząc na ziemię, ze zdumieniem złapał się za głowę. Carrasco podbiegł do niego.

- Co się stało, Roque?

- Spójrzcie! - wykrzyknął, wskazując drżącą ręką ziemię. - Widzicie teraz, że miałem rację? Jesteśmy na Wyspie Świętego Brendana i żaden z nas nie wróci stąd żywy! - Pilot był przerażony.

Hiszpan pochylił się, żeby sprawdzić, co tak przestraszyło jego kompana. Zobaczył ślady ludzkich stóp, doskonale odcisnięte i zachowane. Jednak były dwukrotnie większe niż ślady jakiegokolwiek znanego mu człowieka.

Pozostali członkowie oddziału zebrali się wokół nich. Przybiegli czym prędzej, widząc, że dzieje się coś niezwykłego.

- Ślady olbrzymów! - krzyknął Roque. - Jesteśmy na zaklętej wyspie! Um...!

Nie dane mu było dokończyć, bo kapitan spoliczkował go dwukrotnie, otwartymi dłońmi - tak najlepiej wymierza się policzki. Carrasco uznał, że Velo zachował się rozsądnie: dwa policzki wymierzone w porę mogą naprostować dojrzewające dziecko i uspokoić dorosłego marynarza.

Pilot zamilkł, jakby już był martwy. Był tak blady, że gdyby go ukłuć, nie pojawiłaby się krew. Nie chciał też znów dostać po twarzy: żaden mężczyzna tego nie lubi, zwłaszcza że policzek bardzo upokarza. Velo odzyskał panowanie nad sobą i stanął, pochylony, obok Carrasco, który na czworakach oglądał gigantyczne ślady.

- Są spreparowane, kapitanie - oświadczył Carrasco cicho, ale zdecydowanie.

- Jesteście pewni, Carrasco? - dopytywał się kapitan niecierpliwie.

- Zanim zostałem arkebuzerem w wojsku, byłem zwiadowcą. Nawet waszmość nie wie, co potrafi wymyślić nieprzyjaciel, zwłaszcza jeśli nie wierzy w Boga, żeby zmylić dobrego chrześcijanina. Wszystkie są takie same - powiedział, wskazując ślady palcem. - Nacisk był identyczny na całej powierzchni. Zrobiono je za pomocą formy - zakończył.

Żołnierz i kapitan wstali, otrzepując piasek z kolan.

- Są spreparowane - powiedział głośno kapitan do pozostałych towarzyszy, czekających niecierpliwie na werdykt. - Prymitywne oszustwo tubylców mające nas przestraszyć i utrzymać z dala od ich skarbów. Nie ma się czego obawiać.

Zdaniem Carrasco, nowiny wcale nie wyglądały na dobre. Choć na wyspie nie było olbrzymów, to jednak ktoś na niej mieszkał. A ten, kto chce wystraszyć przybyłych, nie życzy sobie odwiedzin. Mimo to należało teraz wzmocnić animusz oddziału i nie poddawać się strachowi.

- Markizie - zwrócił się wesoło Hiszpan do stolarza pokładowego - jeśli pożyczycie mi swoje narzędzia, jutro zapelnę plażę śladami wilków olbrzymów.

Niektórzy marynarze roześmiali się z żartu Carrasco, w końcu śmiech podnosi na duchu.

- Idziemy dalej, mamy jeszcze dużo do zrobienia na naszej wyspie, zanim zapadnie zmrok. - Kapitan poklepał Carrasco kilka razy po ramieniu. W ten sposób mu dziękował.

Marynarze wyglądali na podniesionych na duchu i podjęli marsz wśród żartów z pilota. Ktoś zaczął nawet śpiewać. Ponieważ byli Portugalczykami, stary chorąży nie martwił się tym zbytnio, co prawda w przypadku Hiszpanów śpiew oznaczał kłopoty, ale ten przesąd nie stosował się do innej nacji. Velo podszedł do niego.

- Będziecie musieli mi wyświadczyć przysługę, kiedy dotrzemy do stóp skały,

Carrasco.

- Możecie na mnie liczyć, kapitanie.

- Chciałbym, żebyście na nią weszli i sprawdzili, jak duża jest ta wyspa. Roque pójdzie z wami, ma busolę i instrumenty do mierzenia. Musimy sporządzić dokumentację.

Dla króla Hiszpanii, rzecz jasna.

- W takim razie zrobimy pomiary - zapewnił go Carrasco.

Velo kiwnął głową z zadowoleniem.

- Ile czasu zostaniemy na wyspie, jeśli mogę spytać? - To ważne pytanie zaskoczyło kapitana.

- Muszę się nad tym zastanowić - przyznał. - Odpowiem wam dziś wieczorem, Carrasco, kiedy zajdzie słońce.

Hiszpan splunął na piasek, nie z braku szacunku, ale żeby odegnąć zły omen.

- A kiedy zajdzie słońce na tej wyspie? - Spojrzał na błękitne niebo. - Na tym niebie nie widać słońca od dwóch godzin, kapitanie. Jest światło, ale nie ma słońca.

Velo zatrzymał się i spojrzał mu głęboko w oczy.

- To pewnie *panza de burro**, która zasłania słońce, Carrasco - powiedział. Z wysiłku jego twarz była pokryta kroplami potu, w gęstej brodzie błyszczały kryształki soli, wspomnienie sztormu. W oczach miał ten niezwykły błysk, jaki spotyka się u ludzi, którzy wiedzą, że za chwilę zrealizują swoje marzenie, po całym życiu pełnym niepowodzeń.

Pozbawione słońca niebo nie było wystarczającym powodem, żeby się wycofać.

- To pewnie *panza de burro*, kapitanie - odpowiedział wreszcie Carrasco.

Jedenastoosobowy oddział ciągle szedł wzdłuż lewego brzegu rzeki, kierując się ku dwóm górom i leżącej między nimi dolinie.

Carrasco starał się zapamiętać wszystko, co mijali. Wrył sobie w pamięci szczegóły

bujnej roślinności. Widział dużo drzewa na opał, pola porośnięte makami, malwami, komosami i innymi typowymi dla Kanarów roślinami. Wokół rosło też mnóstwo sosen i innych drzew, których nie znał, uznał więc, że są tropikalne. Nie brakowało również ptaków śpiewających. Dostrzegł także mewy, czaple, *cagairas* i dzierzby. Nagle usłyszeli

porykiwanie krów i postanowili poruszać się z większą ostrożnością, bo tam, gdzie jest trzoda, zwykle znajdują się pasterze. Carrasco ustawił ich w półksiężyc, zgodnie z taktyką

* *Panza de burro* (hiszp.) - dosł. brzuch osła, zjawisko meteorologiczne typowe dla Wysp Kanaryjskich.

Polega na tworzeniu się skupisk chmur, które stanowią rodzaj tarczy słonecznej, obniżając temperaturę panującą

na Wyspach.

zwaną *encamisada**, stosowaną przez hiszpańskie wojska w Niderlandach. Skoro nadawała się do walki z luteranami, powinna się również sprawdzić w razie potyczki z pastuchami.

Podeszli ostrożnie do miejsca, z którego dochodziły dźwięki, z bronią gotową do ataku. Szli dziarsko, z odwagą, bo - chociaż nie byli żołnierzami - morze dało im dobrą szkołę. Weszli na polanę, na której pasło się co najmniej dwadzieścioro bydła. Były łagodne jak pieski dam do towarzystwa, nie okazały strachu, kiedy do nich podeszli, a nawet pozwoliły się dotknąć. Krowy były białe, czarne, brązowe i kolorowe. Jakby nieobecny pasterz skompletował sobie całą ich kolekcję. Zwierzęta nie zostały oznakowane.

Postanowili zabrać jedno cielę na statek, ale odłożyli to przedsięwzięcie do momentu, kiedy będą opuszczać wyspę.

Wtem zawołał ich marynarz Andreu, który oddalił się od oddziału w poszukiwaniu pozostałych krów. Wskazywał na drzewo, przy którego pniu stał krzyż. Był to piękny krzyż, o wysokości półtora metra i ramionach długości pół metra. U jego stóp stał zapieczętowany garnek z gliny, podobny do tych, których kobiety używają do gotowania gulaszu. Znaleźli też osmalone kamienie ułożone w koła, jak do rozpalenia ognia. Sądząc po resztkach owoców

morza, niedawno odbyła się tu prawdziwa uczta.

Pedro Velo wyszedł z milczącego kręgu marynarzy i włożył rękę do garnka. Wyjął z niego zapisany kawałek pergaminu, jednak nie znał języka, w jakim zostawiono wiadomość. Oddał pergamin bosmanowi. Barbosa był najstarszym członkiem załogi, a ponieważ był seminarzystą, znał łacinę.

- Co tu jest napisane? - zapytał kapitan.

Barbosa przyjrzał się literom. Uśmiechnął się, rozpoznawszy język, który przypominał mu młodość i czasy spędzone w Bretanii.

- To francuska mowa - oświadczył z namaszczaniem.

Na te słowa marynarze zareagowali szeptami, klątwami rzucanymi na francuskiego króla, na żabojadów, kurwę, która ich wszystkich wydała na świat, oraz przeklinaniem wyżej wymienionych do siódmego pokolenia wstecz.

- Cisza! - krzyknął kapitan. Kiedy pod jego wściekłym spojrzeniem chór zamilkł, zwrócił się na nowo do Barbosy, którego ponaglił skinieniem głowy, mówiąc jednocześnie do jednego z towarzyszy: - Andreu, roznieć ogień.

Stary żeglarz przetłumaczył dokument, jak potrafił. Zawierał on informację, że inny statek, „Indomitable”, pływający pod francuską banderą, zawinął na wyspę po złamaniu

* *Encamisada* (hiszp.) - rodzaj taktyki wojskowej polegającej na niespodziewanym ataku w nocy lub o świcie.

głównego masztu w takich samych jak Portugalczycy okolicznościach. Że według ich obliczeń pozostali na wyspie tylko jeden dzień i opuszczali ją z ciężkim sercem, bo była dla nich jak raj. Jednak w centrum wyspy rozszalała się potężna wichura. Silne porywy wiatru groziły zniszczeniem statku i uwięzieniem załogi, samej na nieznanym lądzie, bo nie znaleźli tu osad ani ludzi. Podpis kapitana był nieczytelny, a data wskazywała na dwunastego maja

roku Pańskiego 1560.

Andreu podpalił trochę suchych gałęzi w miejscu pozostawionym po poprzednich ogniskach. Francuski dokument znalazł koniec w płomieniach.

Ta scena przypomniała Carrasco wojsko. Dokładnie rzecz biorąc, plądrowanie Antwerpii, podczas którego hiszpańska furia wybuchła ze zdwojoną siłą, jako że od miesiący żołnierzom nie wypłacano żołdu. Na jednym z placów palili bibliotekę buntownika Wilhelma Orańskiego. Wśród dymów, książek wrzucanych do ognia i żarzących się skrawków papieru usłyszał ochryply głos porucznika wołającego: „Pamiętajcie, panowie żołnierze, że czasami równie łatwo jest zmienić historię, jak spalić bibliotekę. Dziś nie płoną tylko książki, znika również pamięć”.

Tego dnia Wyspa Świętego Brendana przestała należeć do Francuzów.

Velo rozbił gliniany garnek o ziemię, a wśród jego resztek znalazł trzydzieści srebrnych monet. Zatrzymał dziesięć dla siebie, a pozostałe rozdał załodze.

- Od tej pory - powiedział, próbując zachować uroczysty ton - wszystkie bogactwa, jakie znajdziemy na tej ziemi, będziemy dzielić w ten sposób. A ja już się rozliczę z królem Hiszpanii Filipem. Od tej chwili jesteśmy jego wiernymi wasalami.

Pozostali konkwistadorzy musieli uznać podział zdobyczy za sprawiedliwy, bo nikt nie zaoponował. Nikomu też nie przeszkadzała nagła utrata ojczyzny, bo skoro nie mieli pewności co do własnych ojców, nie mogli być pewni kraju pochodzenia.

Oddział podjął marsz w kierunku skał. Po drodze spotkali stada owiec i kóz, których naliczyli ponad dwieście sztuk. One również nie zostały oznakowane i nie było przy nich śladu pasterzy. Mężczyźni zatrzymali się przed lasem wawrzynowym, który rósł u wejścia do doliny.

Kapitan postanowił dać ludziom odpocząć i przygotować jedzenie z trojga koźląt,

które z sobą zabrali. Po długim marszu głód skręcał wszystkim kiszki. Mimo to panował wśród nich jak najlepszy nastrój, uważali się za konkwistadorów ziemi obiecanej, pełnej żyznych pastwisk, wody, stad zdolnych wyżywić całą armię i drzew uginających się pod ciężarem owoców.

Nie mogło być na świecie lepszego miejsca od tej wyspy. I cała należała do nich, prawem zdobywców, i to bez przelania jednej kropli krwi, nie licząc trojga koźlątek. Co prawda niektórzy już się zorientowali, że na niebie nie widać słońca, ale dla pozostałych to nie był powód do niepokoju. Korzyści znacznie przewyższały niedogodności. Carrasco i pilot nie mieli czasu na odpoczynek, sjęstę zamienili na wspinaczkę, z sekstansami, busolami i dziennikiem pokładowym, żeby dokonać pomiarów, jakich zażądał kapitan. Ze szczytu rozciągał się wspaniały widok. U ich stóp roztaczała się cała wyspa, która była rzeczywiście piękna. Widać było łańcuch górski, lasy, niektóre częściowo zasłonięte mgłą, rozległe rzeki i wodospady. Czekał, aż Roque zrobi konieczne pomiary, Carrasco usiadł na kamieniu. Nagle zobaczył inskrypcję na skale. Wyglądała jak wyryte jedno pod drugim trzy imiona: Mernoc, Odran i Mobi Broen Finn.

- Jest większa niż La Palma - oznajmił pilot za jego plecami.

Carrasco porzucił rozważania nad inskrypcją i wziął od towarzysza lunetę, żeby przyjrzeć się wyspie. Jednak to znalezisko, razem z innymi odkryciami tego dnia, bardzo go niepokoiło. Jak to możliwe, żeby wyspa takiej wielkości i leżąca tak blisko Kanarów nie była powszechnie znana? Gdzie się ukrywali jej mieszkańcy?

- Zrobione - oznajmił Roque, zapisując ostatnią notatkę w dzienniku pokładowym. -

Wyspa zmierzona i zważona. Możemy wracać.

Zaczęli schodzić do obozu. Pilot, gnany chęcią jak najszybszego dotarcia na miejsce, wyprzedził Carrasco. Szedł tak szybko, że Hiszpan obawiał się, iż się przewróci. Wkrótce

zostawił go daleko w tyle. Carrasco miał właśnie ominąć skałę, kiedy wpadł nagle na największą niespodziankę swojego życia, przebraną za mnicha i wielką jak góra.

- Na Boga! - krzyknął, sięgając po broń.

- Nie zaklinajcie się przy zakonniku - odparł mnich, pokazując wnętrze dłoni w geście poddania.

- Zdołaliście napędzić mi niezłego stracha, bracie.

- Który to rok? - zapytał mnich.

- Jesteście tu tak długo, że straciliście rachubę?

- Powiedzcie mi, który to rok - naciskał mnich. - Nie mamy wiele czasu.

- Tysiąc pięćset sześćdziesiąty dziewiąty.

- Tysiąc pięćset sześćdziesiąty dziewiąty - powtórzył, jakby próbował zapamiętać tę datę. - A więc przyплылиście na wyspę statkiem - stwierdził.

- Jakżeby inaczej? - Carrasco zaczął podejrzewać, że pustelnik oszalał, zbyt długo przebywając samotnie na wyspie.

- Musicie wrócić na statek i jak najszybciej opuścić wyspę.

- Ale kim jesteście i co tu robicie? - Carrasco również miał parę pytań.

- Nie ma czasu! Zaraz rozpęta się burza! Opuśćcie wyspę! - Powiedziawszy to, mnich odwrócił się i skoczył w gąszcz.

Carrasco nie próbował za nim biec. Był tak zaskoczony, że nie potrafił nawet rozstrzygnąć, czy naprawdę widział mnicha, czy też doznał halucynacji.

Prawdziwy był jednak grzmot, który rozbrzmiał nad jego głową i który spowodował, że Carrasco pochylił się instynktownie. Kiedy się wyprostował, spojrzął w niebo, szukając przyczyny hałasu. Zobaczył szybko gromadzące się chmury, którym towarzyszyła coraz silniejsza wichura. Drogę, jaka została mu jeszcze do pokonania, przebiegł wielkimi susami.

Jego towarzysze zebrali się wokół roznów, na których piekli koźlątko, i paleniska zgaszonego przez podmuchy wiatru. Wyglądali na przerażonych. To, co przypominało raj, czasami niebezpiecznie zbliżało się do piekła.

Velo był zdruzgotany.

- Musimy wracać na statek, kapitanie! - krzyknął Carrasco, próbując przebić się przez wycie wiatru. Przypomnił sobie ostrzeżenie mnicha.

- Na statek! - krzyknął za jego plecami ktoś, kto uznał jego pomysł za rozsądny.

Rzeczywiście nie było alternatywy.

Odwrót odbywał się w godnym pożałowania bałaganie, konkwistadorzy uciekali, zostawiając na pastwę żywiołu beczki z wodą, kufer z lancami, oszczepami, halabardami i muszkietami oraz wszystko to, co utrudniało bieg. Bo gnali, jakby gonił ich sam diabeł. Albo coś jeszcze gorszego.

Dobiegli do plaży, kiedy niebo było już czarne, rozświetlane błyskawicami i rozbrzmiewające suchymi uderzeniami piorunów. Wichura zamieniała się w huragan.

„Santisima Trinidad” kołysała się na wietrze, jakby miała zaraz zerwać się z kotwicy.

Konkwistadorzy, którzy zamienili się w grupkę przerażonych rozbitków, wpadli do szalupy. Kiedy zanurzyli wiosła w wodzie, Carrasco zauważył, że brakuje kapitana.

Stał na plaży, szeroko rozstawiwszy nogi, opierając się wicherze, i patrzył na nich niewidzącym wzrokiem.

- Na pokład, kapitanie, musimy odpływać!

Carrasco mógłby przysiąc, że wtedy Pedro Velo na niego spojrział. Z miną szaleńca lub kogoś, kto w życiu nie myślał tak trzeźwo jak teraz. W tak skrajnych przypadkach nigdy nie można mieć pewności.

- Nie mogę, Carrasco! To moja wyspa! - odkrzyknął. Następnie odwrócił się na pięcie

i pobiegł w głąb lądu.

Carrasco chciał wyskoczyć z łodzi i ruszyć po kapitana. Był to nawyk, jaki został mu z wojska, w którym nigdy nie zostawia się dowodzącego na pastwę losu. Zwłaszcza jeśli oficer był dobry, a Velo zły nie był na pewno. Jednak pierwsze uderzenie wiosł o wodę zachwiało nim i zważyło go na dno łódki. Wkrótce dobili do burty statku. Wdrapanie się na pokład zajęło im mniej niż jedną zdrowaśkę.

Nie musieli podnosić kotwicy, bo łańcuch już pękł. Karawela zakołysała się gwałtownie i wtedy zobaczyli za sobą ścianę mgły, która pochłonięła ich w ciągu kilku sekund. Wiatr wiał w kierunku chmury, odpychając ich od wyspy, jakby odprawiając ich i uznając wizytę za zakończoną.

Znów przez pół dnia walczyli z wiatrem w gęstej mgle, aż wiatr ucichł, morze uspokoiło się, a okrywająca ich mgła zniknęła, zostawiając tafłę morza płaską jak talerz. Nad ich głowami znów pojawiło się niebo i słońce.

Jednak wyspy już nie było.

*

- Wszystko, co teraz waszmościom opowiedziałem, naprawdę się wydarzyło, kiedy byliśmy na Wyspie Świętego Brendana czy też jakkolwiek się ona zwie - powiedział Carrasco, kończąc opowieść.

Zaległa cisza przerywana tylko skrzypieniem pióra skryby Marqueza, który zapisywał ostatnie słowa więźnia.

- Nie wróciliście po kapitana? Zostawiliście go na pastwę losu na bezludnej wyspie? - zapytał sędzia, upewniając się co do występków oskarżonego, któremu chciał zapewnić stryczek.

- Mówiłem już, że kapitan sam zdecydował o swoim losie, został na wyspie z własnej

woli. Oczywiście, szukaliśmy go. Jego i Pereiry, którego również zgubiliśmy, kiedy rozszalała się burza.

- Ach tak - powiedział sędzia z satysfakcją, uśmiechając się złowieszczo. - Nie wystarczyło wam zamordowanie swojego kapitana, musieliście również zgładzić waszego chłopca okrętowego - oskarżył żołnierza.

Carrasco miał mocne nerwy, co udowodnił w czasie czternastu lat służby wojskowej, rzadko ocierając się o areszty i lochy. Ale wszystko miało swoje granice, a sędzia od samego początku chciał go wykończyć, nie ukrywając specjalnie swoich intencji. Dawnego chorążego nie przeraziłoby wcale to, że ktoś chce go rozliczyć ze wszystkich trupów, jakie miał na koncie, ale nie pozwoliłby nawet samemu księciu Albie, żeby dodał mu cokolwiek do rachunku.

Carrasco domyślał się, że stryżek czeka go i tak, postanowił więc, że zostawi szefowi siepaczy taką pamiątkę, której mu nie usunie najlepszy cyrulik, jakiego mają w mieście.

Atak był nagły i gwałtowny, a siła uderzenia ogromna. Carrasco podskoczył jak sprężyna, kalkulując długość swoich kajdan, i uderzył głową w twarz sędziego wyspy La Palma. Złamał mu nos, rozbił górną wargę i zniszczył pół twarzy.

- Niech waszmość obraża sobie swoją matkę. - Splunął, podczas gdy Sauquillo leżał bez ruchu na ziemi, a z nosa i ust lała mu się krew. - Jeśli pan skryba sobie życzy, może to spisać jako podsumowanie mojego zeznania - dodał, patrząc na sekretarza, który ani drgnął.

Jeden ze strażników chciał zasztyletować Carrasco na miejscu, ale don Hernan powstrzymał go ruchem ręki.

- Możemy uznać przesłuchanie za zakończone - powiedział spokojnie, podnosząc głos tylko tyle, ile było trzeba, żeby go usłyszano. - Zabierzcie sędziego do cyrulika. I uważajcie, żeby znów się nie potknął.

Villalobos podniósł brew ze zdumieniem, ale nie skomentował.

Słowa don Hernana były ostatnimi, które zapisał skryba don Juan Márquez, przygotowując sprawozdanie do podpisu namiestnika Sądu Królewskiego na Kanarach, don Hernana Pereza de Grado. Márquez zakończył raport zwyczajowym sformułowaniem: „Tym kończy się opis wyspy, którą więzień nazywa Wyspą Świętego Brendana, nie zgodnie z moim życzeniem, nie po to, by siebie wywyższać. Oby wybaczone mi błędy. Na La Palmie, pierwszego dnia maja tysiąc pięćset siedemdziesiątego roku”.

Rozdział XII

Podróż Brendana (Część pierwsza)

Capita XII. N.S.B.a. Przez trzy miesiące żeglują, nie widząc lądu. Przybijają do wyspy, na której żyje Wspólnota Ailbeusa. Pustelnicy pokazują im czyste i mętne źródło i zapalają świece, które nigdy nie gasną.

Lektura rozdziału pracy Loli, w którym opisywała „relację z Wyspy Świętego Brendana”, poruszyła Camerona. Wiedział, że każdy nowy trop, dowód czy informacja prowadzą go ku coraz bardziej skomplikowanej zagadce.

Nie miał już żadnych wątpliwości co do znaczenia wyspy w tej przeklętej łamigłówce. Jednak na czym mogła polegać rola wyspy, która nawet nie istniała? Która była jedynie legendą?

Jego umysł, wyćwiczony przez lata w racjonalnym myśleniu, nie potrafił swobodnie błądzić po fantastycznych terytoriach.

W ciągu dwóch wyczerpujących dni przeczytał brudnopis pracy magisterskiej młodej historyczki. Zrobił notatki i zestawiał informacje. Musiał przyznać, że Lola wykonała doskonałą robotę. Umiała przy tym zachować bezstronność i ograniczyć się do zaprezentowania wyników badań, co historykom nie zawsze się udawało.

Lola miała rację. Legenda o Wyspie Świętego Brendana była jednym z najlepiej udokumentowanych mitów na świecie. Podobał mu się cytat, który rozpoczynał jej pracę: *Zaklęta Wyspa Świętego Brendana jest warta więcej niż dziesięć takich wysp odnalezionych.* Być może Cervantes miał rację. Być może ludzie chcieli zawsze, bezskutecznie, znaleźć odpowiedź na wszystkie marzenia, fantazje i lęki, nie zdając sobie przy tym sprawy, że rozwiązanie zagadki równało się jej zniszczeniu. A pozbywając się tajemnicy, pozbywamy się magii, bez której życie staje się puste.

Cameron przejrzał notatki, czując się jak odkrywca zagubiony w sercu dżungli w poszukiwaniu ścieżki, która pozwoli mu podjąć podróż. Wyspa pojawiała się i znikwała w ciągu stuleci. Jednak istniał pewien wspólny mianownik w relacjach żeglarzy, którzy twierdzili, że znaleźli Rajską Wyspę. Była to powtarzająca się sekwencja zdarzeń: nieprzenikniona mgła, która zakrywa morze, przybicie do brzegu w dramatycznych okolicznościach, przyjemne przeżycia w rajskim otoczeniu, problemy z mierzeniem czasu pobytu na wyspie, burza, która zmusza przybyłych do jej opuszczenia, ponowne pojawienie się mgły i zniknięcie wyspy.

Cameron zainteresowały zwłaszcza powtarzające się w kilku kronikach nieścisłości związane z upływem czasu.

W relacji z zeznań na temat losów karaweli pojawił się niezrozumiały błąd. Według dziennika pokładowego z „Santisima Trinidad”, statek dopłynął do portu w La Palmie 27 marca 1569 roku, co zgadzało się z datą jego wypłynięcia na morze 20 marca tego samego roku. A jednak władze portowe w La Palmie odnotowały, że karawela wpłynęła do portu również 27 marca, ale 1570 roku. Albo „Santisima Trinidad” zaginęła na rok, albo do jej dziennika pokładowego wkradł się błąd, albo ktoś go sfalszował. Przy czym Cameron nie widział powodu, dla którego ktokolwiek miałby fałszować datę.

W rozdziale dotyczącym fantastycznej podróży świętego Brendana, jaką odbył w szóstym wieku, również pojawiają się istotne nieścisłości związane z upływem czasu.

Irlandzki święty uważał, że jego podróż po Makaronezji trwała kilka miesięcy. Jednak kiedy wrócił do klasztoru w Conflert, odkrył ze smutkiem, że najstarsi mnisi zmarli, a od jego wypłynięcia minęło piętnaście lat.

Mimo że Cameron zwykł wątpić w rzetelność faktów podawanych przez średniowieczne kroniki, ta powtarzalność motywu czasu nie umknęła jego uwadze.

Zajrzał na powrót do notatek. Według danych zebranych przez Lolę, na wyspę dotarło siedem ekspedycji.

Listę szczęśliwych żeglarzy otwierał Fenicjanin Hannon z Kartaginy, który przybił do wyspy w szóstym wieku przed Chrystusem. Sto lat przed naszą erą odnalazł ją narzucony przez Rzym marionetkowy król, Juba II z Mauretanii. Jego ekspedycje miały służyć eskortowaniu transportu więźniów zsyłanych na wyspę Capraria*, służącą za ciężkie więzienie. Jednak burza zmusiła ich do zmiany kursu, w wyniku czego dopłynęli na Wyspę Świętego Brendana, zwaną wtedy Aprositus czy „Nieosiągalna”, według relacji Ptolemeusza.

W 555 roku naszej ery na Rajskiej Wyspie wylądował opat Brendanus z Conflert, od którego imienia pochodzi jej nazwa. Lola twierdziła, że została odkryta wcześniej przez inną wyprawę irlandzkich zakonników, dowodzoną przez mistyków Mernoca i Odrana. Zdaniem autorki pracy, to ci mnisi przetarli szlaki Brendanowi.

* Capraria albo Wyspa Kozia - tak Rzymianie nazwali wyspę El Hierro, która pełniła funkcję ciężkiego

więzienia dla najtrudniejszych jeńców z kolonii.

W 1525 roku na wyspę dotarł niezidentyfikowany statek portugalski.

W roku 1554 pojawiają się informacje o jakimś Ceballosie, który, poszukiwany przez wymiar sprawiedliwości, znalazł się na wyspie. Lola dowodziła, że Ceballos był w

rzeczywistości zastępcą pirata Hawkinsa. Cameron musiał przyznać, że dziewczyna nie wysuwała żadnej tezy, nie mając rzetelnych podstaw. Angielski pirat miał posiadłość na Kanarach i uchodził za przykładnego obywatela. Łupił Karaiby, a wyspy służyły mu za doskonałą przykrywkę i bazę wypadową. Hawkins twierdził, że wielokrotnie dobijał do Wyspy Świętego Brendana, omijając jej niebezpieczne prądy morskie. Z kolei w 1560 roku pływający pod banderą francuską „Indomitable” pozostawił ślady swojej bytności na wyspie w postaci krzyża, listu i srebrnych monet.

Cztery lata później, w 1564 roku, pojawia się zeznanie kapitana Marcosa Verde, który, wracając z Afryki po zdobyciu Penón de Velez, „odnalazł wyspę, której nie było na mapie. Przybił do niej i wszedł w głąb lądu wraz ze swoimi ludźmi podzielonymi na dwie grupy, aż stracili się z oczu. Jednak ponieważ zapadał zmrok, postanowili wrócić na statek, w samą porę, by umknąć przed nawałnicą która zerwała łańcuchy kotwic i odepchnęła statek na pełne morze. Więcej nie zobaczyli wyspy”.

W 1604 roku wyspę próbowali odnaleźć Gaspar Perez de Acosta i brat Lorenzo de Pinedo, którzy twierdzili, że zobaczyli „na zachodzie masę chmur, ale zapadł zmierzch i następnego dnia na tym miejscu nie było nic”. Kolejny raz wyspa wymknęła się odkrywcom. Najbardziej wyczerpującą relacją dotyczącą wyspy jest ta odnosząca się do odysei portugalskiego kapitana Pedra Velo i jego ludzi, zapisana w aktach Sądu Królewskiego na Kanarach w 1570 roku.

Dwa rozdziały pracy Loli mówiły o nieudanych wyprawach w poszukiwaniu wyspy, jak ta podjęta przez berberyjskiego żeglarza Bena Farrouckha w dziesiątym wieku. Lub ekspedycja Fernanda de Troi i Francisca de Alvareza w 1526 roku, zachęconych rzekomym odnalezieniem wyspy przez portugalski statek rok wcześniej.

Historyczka nie omieszkała wspomnieć o dwóch wyprawach podjętych w wyniku

przesłuchania marynarza Antona Carrasco z „Santísima Trinidad”. 3 kwietnia 1570 roku namiestnik don Hernan Perez de Grado wynajął statek, który pod jego dowództwem wyruszył na poszukiwanie tajemniczej wyspy. Wyprawa zakończyła się fiaskiem. Kilka tygodni później taką samą próbę podjął „wspólnik” don Hernana, don Fernando Villalobos, jednak rezultaty jego przedsięwzięcia były podobne.

W późniejszych latach podjęto jeszcze dwie próby odnalezienia wyspy. W 1721 roku z wyprawą wyruszył namiestnik Wysp Kanaryjskich, don Juan de Mur y Aguirre, który był gotów użyć siły, żeby objąć wyspę w posiadanie, ale wrócił bez jednego strzału i nie natrafiwszy na żaden ślad legendy.

Szczegółowa monografia autorstwa Loli zawierała nawet oficjalnie odnotowane wzmianki o znalezieniu atolu, jak te zarejestrowane przez kronikarza Viere y Clavijo w 1714 roku. Jedna dotyczyła wyprawy pod wodzą pułkownika Roberta Rivasa płynącego na „Aguila Dorada”, druga - handlowego statku „La Sambumbia” pod dowództwem kapitana Francisca Patricio.

* * *

Mózg Camerona rozsadzały dziesiątki pytań, na które nie było odpowiedzi. Być może dlatego postanowił przeczytać wreszcie kopię *Navigatio*, którą dostał od Marty Larripy. Zaopatrzył się w gruby słownik łaciński i duży dzbanek z kawą przygotowany przez Lolę i otworzył rękopis na pierwszej stronie. Dzięki informacjom przekazanym mu przez Grazianniego wiedział już, że autor książki i ten, kto opisał pióro anioła, nie byli tą samą osobą.

*

Pierwszego dnia kwietnia 555 roku zdawało się, że niebo chce wraz z nocą runąć na irlandzkie hrabstwo Galway. W ciągu ostatnich trzech dni deszcz lał nieprzerwanie, a teraz

gwałtowna burza była ukoronowaniem jednej z najgorszych nawałnic w sezonie.

Opat Brendanus słyszał echo burzy dobiegające do jego celi. Był spokojny, kamienne mury klasztoru były przygotowane, żeby odeprzeć tę wichurę i każdą następną, jaką Szatan zechce na niego wysłać. Klasztor w Conflert zbudowano tak, aby trwał na posterunku aż do dnia sądu.

Straszliwy grzmot sprawił, że opat podskoczył. Przeżegnał się w nadziei, że dobry Bóg nie wybrał jednak nocy pierwszego kwietnia 555 roku na dzień Sądu Ostatecznego. Próbował skupić się ponownie na modlitwie i udałooby mu się to, gdyby nie odgłos stóp nowicjusza biegnącego korytarzem prowadzącym do celi opata.

Zacisnął pięści i skrzywił się ze złością. W jego klasztorze nie biegało się korytarzami, ale niektórzy nowicjusze mieli umysły zatwardziałe jak skały w kamieniołomach Galway. Odrzucił tę myśl i uśmiechnął się do siebie. Nawet granit miał w sobie zamkniętą wartość. Gdyby tak nie było, jak mógłby powstać klasztor tak wspaniały jak Conflert? On był kamieniarzem, a jego nowicjusze blokami skalnymi: potrzeba cierpliwości, zręczności i miłości, żeby nadać im kształt.

Grillo wpadł do celi jak wysłannik szalejącej na zewnątrz burzy. Grillo, jego ulubiony uczeń. Najtwardsza skała w jego kamieniołomie.

- Opacie! - krzyknął, otwierając szeroko oczy. - Musicie zejść do refektarza! Brat

Odran wrócił!

*

Brendanus wszedł do refektarza w towarzystwie nowicjusza. Rzeczywiście, siedział w nim Odran, zajęty w tej chwili pałaszowaniem gorącej kaszy przygotowanej przez brata Kevina, kucharza w Conflert.

Kuchcik uśmiechał się głupkowato. Był podwójnie szczęśliwy. Odran, najbardziej

kochany i charyzmatyczny mnich z opactwa, wrócił, a podróże najwyraźniej nie odebrały mu apetytu.

- Na wszystkich świętych w niebiosach! - wykrzyknął Brendanus. - Wróciłeś!

Odran podniósł głowę znad miski, odgarnął lewą ręką zasłaniające mu twarz włosy, przeplecione teraz pasmami siwizny, i spojrzał na opata.

- Mobi, niech mnie wszyscy diabli! - odparł z uśmiechem, wypluwając część kaszy na gęstą brodę i patrząc uważnie na opata Conflert. Podniósł się, demonstrując w pełnej krasie swoje metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Odran Olbrzym. W dwóch susach był już przy Brendanusie i ścisnął go tak mocno, że opatowi trzeszczały zębra. - Uściskaj mnie, kuzynie! - powiedział, nie wypuszczając go z objęć, jakby Brendanus miał jakikolwiek wybór. -

Myślałeś, że zaginałem, a oto jestem! - ciągnął z radością niedźwiedzia, który znalazł plaster miodu, parafrazując przypowieść o synu marnotrawnym. Złożył na policzkach opata dwa głośne pocałunki, zostawiając wraz z nimi tłuste ślady kaszy.

Odran Olbrzym wreszcie puścił Brendanusa. Odsunął się i zaczął mu się przyglądać z uśmiechem, lustrując go od stóp do głów. Nagle zmarszczył brwi.

- Zestarzałeś się, kuzynie.

- Odranie - powiedział Brendanus poufnym tonem, podchodząc krok bliżej. - Tu, w Conflert, jestem twoim bratem. I twoim przełożonym - podkreślił. - Nie nazywaj mnie Mobi, mam na imię Brendanus - dorzucił, zaciskając zęby.

- Jak długo mnie nie było, kuzynie? - zapytał Odran, drapiąc się po splątanej czuprynie.

- Siedem lat. Zapewne masz mi wiele do opowiedzenia. Co ci się stało w oko? -

zapytał nagle z niepokojem. Teraz, kiedy brat Kevin zapalił świece w refektarzu, zauważył czarną opaskę przecinającą czoło Odrana i zasłaniającą mu prawe oko.

- Ach, opaska - powiedział mnich, dotykając twarzy. - To obietnica, którą miałem spełnić, jeśli wrócę do Irlandii.

Odsłonił zupełnie zdrowe oko. Kolejne dziwactwo Odrana, pomyślał opat.

- Siedem lat... - mruknął, jakby próbując zrozumieć coś, co się nie zgadzało.

- Usiądźmy - zaproponował Brendanus. - Kiedy przyjechałeś? - Mimo szalejącej na zewnątrz ulewy jego habit był zupełnie suchy.

Zakonnicy usiedli przy długim stole naprzeciwko siebie, uważnie obserwowani przez kucharza i nowicjusza.

- Przed chwilą. - Nadal był zatopiony w myślach. - Siedem lat... - powtórzył.

- A gdzie jest Mernoc? - Odran i Mernoc, wraz z jedenastoma zakonnikami, opuścili

Conflert siedem lat wcześniej, aby udać się w podróż ewangelizacyjną, zgodnie z obyczajem irlandzkich mnichów.

- Och, Mernoc i chłopcy mają się dobrze. - Olbrym spojrzał na opata. - Produkują nowych chrześcijan bez wytchnienia. - Uśmiechnął się. - Tak, kuzynie, nasz Mernoc zamienił

się w maszynę do produkcji nowych wyznawców. Wiedziałaś, że barbarzyńcy uwielbiają

rytuał chrztu? - Spojrzał na kucharza. - Kevinie z Glendelough, przeklęty cudzołózczo, który

uciekłeś do zakonu przed swoimi trzema żonami! Przynieś nam dzban dobrego wina, tego,

które chowasz pod łóżkiem, a nie tego kwasidła, które dajesz opatowi do mszy! - Wybuchnął

głośnym śmiechem. Kevin również się śmiał, idąc po wino. Brendanus pokręcił głową z

rezygnacją, nic nie było w stanie zmienić Odrana. Olbrym znów spojrzał na opata.

- Cieszę się, że cię widzę, kuzynie. Czasem myślałem, że już nigdy nie zobaczę domu.

- Jego słowa brzmiały szczerze.

- Ale dlaczego ani razu się z nami nie skontaktowaliście? Gdzie się podziewaliście przez te wszystkie lata?

Przez chwilę Odran patrzył na niego w milczeniu, po czym powiedział, nie przestając się uśmiechać:

- Byliśmy w raju, Mobi. Byliśmy w raju.

Rozdział XIII

Podróż Brendana (Część druga)

Capita XIII. N.S.B.a. Pływają po morzu aż do Wielkiego Postu. Przybijają do wyspy ze Źródłem Usypiającej Wody. Kąpią się i piją wodę ze źródła, po czym na trzy dni zapadają w głęboki sen.

Grill był pomysłem Alejandry. „Jest niedziela, czwarty sierpnia, te nieliczne restauracje, które są jeszcze otwarte w Madrycie, dziś na pewno będą zamknięte. Moi rodzice pojechali na plażę, a ja mam klucze do ich domku w górach. Chętnie posłucham twojej historii na brzegu sadzawki, jak mawia mój chłopak. I przywieź z sobą Lolę, z przyjemnością ją poznam i w ten sposób będziemy w parach”.

Lola uznała, że plan łączący grilla z basenem brzmi świetnie. „Chłopak Alejandry jest striptizerem, na pewno ci się spodoba”, dodał Cameron, żeby jeszcze ją zachęcić. Nie było jednak takiej potrzeby, Lola przyznała sobie tylko tydzień wakacji, pod koniec sierpnia, żeby skończyć pracę magisterską. Każda okazja do wyrwania się z Madrytu, choćby na kilka kilometrów, jawiła jej się jako ekscytująca, wręcz egzotyczna przygoda.

- Grill z basenem, fantastycznie! - odpowiedziała, kiedy przedstawił jej propozycję.

Dwudziestotrzyletni ludzie zwykli wyrażać swoje uczucia w niewielu słowach, jak przystało na członków kultury telefonii komórkowej. Ich życie opierało się na kryteriach wydajności.

Tego dnia Cameron poznał Gunnara Larssona, chłopaka Alejandry, którego ona nazywała zdrobniale „Gus”. Gunnar zwany Gusem mówił doskonale po hiszpańsku, z lekkim akcentem południowym, nabytym w czasie długiego pobytu w Argentynie, w centrali

Deutsche Banku w Buenos Aires.

Mimo wszystko Cameron polubił Gusa. Wyglądał na typowego przedstawiciela środowiska bankowców, ale na pierwszy rzut oka widać było także, że to po prostu równy gość.

Pożałował żartu, jakim poczęstował Lolę przed wyjazdem, kiedy chłopak zdjął koszulkę. Gdyby nie pracował w banku, Gus mógłby spokojnie zarabiać na życie jako striptizer.

- A niech to szlag - mruknęła Lola pod nosem. - Z tego Szweda jest niezłe ciacho.

Cameron musiał przyznać, że Gus był chodzącym atlasem anatomicznym w obcisłych slipach. Gdyby Fidiasz teraz się z nimi kąpał, plułby na jedną z grubych granitowych kolumn podtrzymujących ocieniającą basen pergolę. Nic dziwnego, że chłopak był przedmiotem zazdrości wszystkich koleżanek pani doktor.

Lola i Gunnar od razu się polubili.

Młoda krew przyciąga jeszcze młodszą. Zabrali się razem do przygotowywania mięsa na grill, śmiejąc się i żartując wesoło w kuchni.

Alejandra otworzyła dwie butelki zimnego piwa i usiadła na brzegu basenu obok Camerona. Wyglądała wspaniale w krótkim pareo i bikini, na którego włożenie tylko nieliczne kobiety mogłyby sobie pozwolić. Cameron pomyślał, że wiele kobiet przeżywało po trzydziestce wspaniałe renesans, rodzaj cudownej dojrzałości.

Musiał się pilnować, żeby w trakcie rozmowy patrzeć tylko na jej twarz.

- I co myślisz?

- Bardzo okazały i dekadentki, a basen jest wspaniały. Widać, że jesteś dziewczyną z dobrego domu.

- Gus.

- Jest inteligentny, dobrze zbudowany i przystojny, bez dwóch zdań. Podpiszę moją kapitulację bez ujmy na honorze. Był godnym mnie przeciwnikiem, wręcz wspaniałym. Alejandra uśmiechnęła się do niego. I pocałowała go w policzek.

Cameron nie mógł się powstrzymać i zerknął na swojego wspaniałego przeciwnika, który właśnie wdrapywał się na słupek basenu w odruchu niemal dzieciennego ekshibicjonizmu. Jego uwagę zwróciły tatuaże na silnych ramionach chłopaka. Nie były tak wysmakowane jak te, które teraz robili sobie młodzi ludzie. Ta niedoskonałość dodawała mu dzikości, upodabniając do młodego wikinga. Jeśli reinkarnacja rzeczywiście istniała, Gunnar musiał być w innym życiu wojownikiem Północy, jednym z tych, którzy pustoszyli na swoich drakkarach wybrzeża Europy.

Historyk poczuł nagle niepokój. Przypomniał sobie tatuaż mnicha i jego intrygującą treść.

Wypił duży łyk piwa, żeby odgonić ponure myśli. Pomyślał, że Odyn zrobiłby to samo.

* * *

Grill udał się znakomicie. Właściwie, wskutek przejęcia rusztu przez Gusa, zjedli coś zbliżonego do argentyńskiego steku. Ich gospodyni przygotowała kawę. Lola i Gunnar byli pochłonięci pasjonującą rozmową o Buenos Aires, które młoda historyczka również miała okazję poznać, a Alejandra i Cameron wykorzystali sposobność, żeby omówić *Navigatio* z Cobisy.

Profesor opowiedział już o zaskakujących szczegółach powrotu Odrana do Conflert.

- Tak naprawdę Odran przyjechał po Brendana. Mernoc wraz z pozostałymi mnichami

był już zadomowiony na wyspie Achinet*, jak nazywali Teneryfę Guanczowie - wyjaśnił. -

Najwyraźniej pozostawali w doskonałych stosunkach z lokalnym wodzem, Tinerfe Wielkim,

który był wdzięczny mnichom za cudowne wyleczenie jego córki, księżniczki Tegeste.

Ponadto, według relacji Odrana, udało im się przeprowadzić dość udaną chrystianizację, rodziny Guanczów zwracały się do nich z prośbą o chrzest. Wyglądało na to, że wszystko idzie świetnie, jednak Mernoc wolał mieć Brendanusa przy sobie.

- Nie rozumiem po co - powiedziała Alejandra, podając mu pierwszą filiżankę parującej kawy.

- Mernoc był mistykiem. Jestem przekonany, że łączyła go z opatem szczególna więź.

- Cameron urwał. Sam był zdziwiony ogromnym wpływem, jaki wywarł na niego ten tekst.

Zmusił się do większego obiektywizmu. - Mernoc nie tylko chciał „szerzyć prawdziwą wiarę”, jak wszyscy irlandzcy zakonnicy w tamtych czasach. Jego podróż miała bardziej pragmatyczny wymiar, a zarazem jej cel był ulotny i niemożliwy. Chciał znaleźć Ziemię Obietnicy Świętych, ziemski raj.

- Czasy średniowiecza obfitowały w szaleńców. Szukali Graala, złotego runa albo źródeł wiecznej młodości - stwierdziła Alejandra.

- Nie mogę się z tobą nie zgodzić. Ale Mernoc był bardzo dobrze poinformowany.

Jego podróż z Irlandii na Wyspy Kanaryjskie dowodziła, że takich umiejętności nawigacyjnych nie powstydziliby się żaden doświadczony żeglarz. Wydawałoby się, że doskonale znał drogę, a mogę cię zapewnić, że w szóstym wieku Wyspy Szczęśliwe nie były ani często odwiedzane, ani dobrze znane.

- Skąd więc wiedział, któredy płynąć, twoim zdaniem?

- Autor rękopisu twierdzi, że Mernoc rozmawiał z aniołem. - Upił łyk kawy.

- Coś takiego, kolejna wizyta aniołów w naszej opowieści.

- Odran miał przekazać tę wiadomość od swojego przybranego syna Brendanusowi, przybranemu ojcu.

- Czy w tym klasztorze wszyscy byli spokrewnieni?

* Chenech albo Achinet - oryginalna nazwa Teneryfy. Aborygeni zamieszkujący pobliską La Palmę

znali ją pod nazwą Tene-Ife (dosł. „biała góra”). Rzymianie nazwali ją Nivaria, czyli „wyspa śniegu”, z powodu

ośnieżonych szczytów góry Teide.

- W pierwszych zakonach pokrewieństwo między mnichami było częstym zjawiskiem.

Opactwa były niewielkie i rzadko mogły liczyć na przychyłność otoczenia. Pojawiła się więc

konieczność, żeby zakonników łączyło obopólne zaufanie, które przekładało się na poczucie

bezpieczeństwa dla wszystkich. Znasz jakąś instytucję, która jest w stanie zapewnić jej

członkom większe bezpieczeństwo i wzbudzić w nich większe zaufanie niż rodzina, moja

droga?

- Mów dalej, Sebastianie, nie dam się sprowokować. - Ona również napiła się kawy.

- Faktem jest, że opowieść Odrana o podróży Mernoca zrobiła na opacie Conflert tak

duże wrażenie, iż następnego dnia zaproponował piętnastu swoim uczniom udział w

wyprawie mającej na celu odnalezienie Ziemi Obietnicy. Przez czterdzieści dni

przygotowywali się do podróży w spartańskich warunkach, poszcząc co trzy dni. Brendanus

kazał najlepszej stoczni wybudować solidną *curragh*. Zgromadzili zapasy na czterdzieści dni

zeglugi oraz dodatkowe skóry do pokrycia łodzi. Brendanus kazał również zabrać święte

księgi, żeby nauczać na ich podstawie nowych wiernych, oraz płachty pergaminu i narzędzia

potrzebne do spisania wielkiej kroniki tej podróży. Kiedy prace nad statkiem zostały

ukończone, ochrzcili łódź imieniem, które na pewno jest ci skądinąd znane. *Curragh*

otrzymała nazwę Trójcy Świętej. Co ty na to?

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- To wszystko ma na ciebie większy wpływ, niż chcesz przyznać, Sebastianie -

powiedziała Alejandra z powagą. - Rozmawiamy o sfalszowanym rękopisie, napisanym nieco

ponad siedemdziesiąt lat temu, a nie o średniowiecznej kronice.

Cameron poprawił się w hamaku. Alejandra sprowadziła go brutalnie na ziemię. Była to dziwna umiejętność, jaką wykazywały wszystkie kobiety, z którymi się zadawał.

- Pewne dane wskazują na to, że rękopis z Cobisy jest współczesną kopią oryginalnego manuskryptu, od wieków utrzymywanego w tajemnicy. - Jego umiejętność improwizacji zaskakiwała nawet jego samego. - Jeśli pozwolisz mi dokończyć, być może zgodzisz się z moimi wnioskami.

Alejandra powstrzymała się od wygłoszenia kolejnego złośliwego komentarza. Mimo woli polubiła tego nieprzewidywalnego Amerykanina. Zresztą stanowczość, z jaką odparł jej wątpliwości, sprawiła, że przestała być taka pewna swego.

- Dobrze, opowiedz mi w takim razie, jak twoi dziwaczeni mnisi przepłynęli przez Atlantyk w łodzi wyłożonej krowimi skórami.

- *Curragh* to rodzaj morskiej łodzi, ale rzeczywiście żadnej nigdy nie udało się przetrwać podróży przez Atlantyk, nawet w lecie. Brendanus, Odran i spółka wyruszyli trasą wyznaczoną przez Mernoca. Cały czas mieli brzeg w zasięgu wzroku.

Cameron szczegółowo opisał Alejandrze, w jaki sposób zakonnicy przeprawili się z Irlandii do Brytanii, skąd następnie dopłynęli przez kanał La Manche do wybrzeży Francji. Posuwali się na południe wzdłuż bretońskiego brzegu, przemierzając Zatokę Biskajską i powtarzając marszrutę ku Finisterre. Od przylądka płynęli dalej na południe, ciągle wzdłuż linii brzegowej.

Wkrótce minęli Gibraltar i zobaczyli brzeg afrykański, wzdłuż którego płynęli aż do przylądka Ras Budźdur. Stamtąd skierowali się na południowy zachód, w stronę nieodległej już wyspy Chenech, dziś zwanej Teneryfą.

- Dopłynęli na miejsce dokładnie pierwszego sierpnia pięćset pięćdziesiątego piątego roku, przybili do lądu w miejscu znanym jako Hocico de Perro, na południowym zachodzie wyspy.

- Do rajy? - zapytała z niedowierzaniem Alejandra.

- Była to wspaniała wyspa o przyjaznym klimacie. Ale nie była rajskim ogrodem.

Przynajmniej nie tym, którego szukał Mernoc.

*

Guanczów było wielu, prawdopodobnie około pięciuset ludzi. Szli przystrojeni w najlepsze ozdoby, które mimo to nie były niczym więcej, jak tylko zgrzebnymi opaskami biodrowymi z owczych i koźlich skór. Niektórzy ozdobili włosy, uszy i szyję kwiatami i kolorowymi piórami. Prawie każdy miał na twarzy rysunek namalowany turkusową farbą. Ich *mencey** był otoczony członkami dworu, którzy mieli na sobie najwięcej ozdób i chronili się przed słońcem pod parasolem z kwiatów i piór, niesionym przez dwóch wysokich, jasnowłosych mężczyzn.

Brendanusowi zdawało się, że niektórzy z nich, najbardziej postawni, są uzbrojeni w prymitywne lance. Było ich jednak niewiele i należeli do straży przybocznej króla.

Opat jako pierwszy wysiadł z łodzi, co wywołało jazgot piszczałek i bębnow.

Guanczowie krzyczeli i klaskali radośnie. Mernoc wraz z towarzyszami już szli w ich kierunku z uśmiechem.

Członkowie obu grup uścisnęli się na plaży, wśród hałasu okrzyków, tamburynów i muzyki Guanczów.

Brendanus nie mógł ukryć łez świadczących o tym, ile dla niego znaczy spotkanie z najmilszym z uczniów.

* *Mencey* - tytuł przysługujący królowi Guanczów na Teneryfie.

Mencey podszedł wraz z eskortą do dwóch wciąż obejmujących się mężczyzn, którzy nadal nie powiedzieli ani słowa. Człowiek, który wyglądał na królewskiego kamerlinga, rozpoczął w chrapliwym języku Guanczów coś, co było zapewne mową powitalną.

Mernoc odsunął się od swojego mistrza i zaczął tłumaczyć.

- *Mencey* Tinerfe Wielki, król i władca Achinet, syn króla Sunty, który zjednoczył wyspę, ojciec dziewięciorga książąt, jego dzieci, Bentinerfe, Aceymo, Atguaxoña, Benebaro, Tegueste, Rumen, Chinicanairo, Cocanaimo i Atbitocazpe, wita was w imieniu swoim i swojego ludu. - Brendanus zauważył kątem oka, że książęta pozdrawiali go lekkim ukłonem, kiedy padało ich imię. - Składa dzięki Jezusowi, którego wy nazywacie Bogiem bogów, że przywiódł was bezpiecznie na ten kraniec świata.

- Powiedz mu - zwrócił się Brendanus do Mernoca - że moich mnichów i mnie cieszy to ciepłe powitanie, ich gościnność i ich błogosławieństwa. Przywiozłem podarki dla króla, czy to odpowiedni moment? - dodał szeptem.

- Nie, nie. Poczekaj do zmierzchu. Na uczcie powitalnej. Oni tu lubią przestrzegać protokołu.

Tinerfe patrzył na nich ze zdziwieniem, nie rozumiejąc języka.

Mernoc zauważył, że mężczyzna czuje się nieswojo, i czym prędzej przetłumaczył mu słowa opata.

Król uśmiechnął się radośnie i szczerze. Odwrócił się i odszedł wraz ze swoją liczną świtą. Pierwszy akt można było uznać za zakończony.

- Czy tutaj jestem *mencey*? - zapytał Brendanus Mernoca z rozbawieniem, patrząc, jak dwór królewski opuszcza plażę.

- Cóż, jesteś opatem Conflert, więc możesz się uważać za *mencey*. Poza tym królowie lubią rozmawiać z królami, wszystko jedno w jakiej części świata sprawują swoją władzę -

odparł Mernoc z uśmiechem, nie spuszczać z oka świty wodza Guanczów. - Chyba

przypadłeś im do gustu - powiedział wreszcie.

- „Bóg bogów”. - Brendanus spojrział na Mernoca. Cytując fragment mowy powitalnej

Tinerfe, już się nie uśmiechał. - Chciałbym wiedzieć, jak uczysz tych barbarzyńców Słowa Bożego.

Poczuł, jak ktoś klepie go mocno po plecach. To był Odran, który podszedł do nich i usłyszał ostatnią część rozmowy.

- Nie można wiedzieć wszystkiego, kuzynie - rzucił ironicznie.

- Nauczam tu prawdziwego Słowa Bożego, Brendanusie - odparł Mernoc spokojnie. -

Na tyle, na ile są w stanie je zrozumieć. To, co słyszę, kiedy Chrystus lub jego aniołowie do mnie przemawiają.

Brendanus chciał mu się sprzeciwić, ale widok poważnej miny jego mnicha podróżnika kazał mu zrezygnować.

Przypomniawszy sobie, kiedy był bardzo młody, miał czternaście lat i prowadził za rękę

Mernoca liczącego sobie wtedy zaledwie lat siedem przed chrzcielnicę w maleńkim kościele

w Gartan. Tam czekał na nich opat, czcigodny Adoman, który był podobno uczniem samego

świętego Patryka, żeby zanurzyć małego Mernoca w wodzie nowego życia. Brendanus

pamiętał, jak poprosił Matkę Boską, z całą mocą potężnej i czystej wiary czternastoletniego

chłopca, żeby przyjęła jego syna chrzestnego Mernoca pod swój płaszcz i pod swoją opiekę.

Już wtedy Mernoc był niezwykłym dzieckiem. Mówiono o nim, że zapadał w długie

milczenie, niemal trans, że śpiew ptaków wzruszał go do łez i że potrafił rozmawiać z

drzewami. W tej sytuacji tylko Bóg i krzyż mogły go chronić. Mimo młodego wieku

Brendanus nie był głupcem i wiedział, że w jego katolickiej, ale również zacofanej Irlandii

kamienowano albo palono żywcem za tak niewielkie przewinienia jak rozmawianie z

jałowcem albo przystrojenie się naszymi z kruczycami piór.

Tak więc Brendanus ofiarował żarliwie Bogu tego rudego, piegowatego chłopca w dniu jego chrztu. Żeby uczynił z niego i jego niezwykłych zdolności narzędzie do wypełniania Jego boskiej woli na ziemi.

Opat z Conflert pomyślał teraz, że lepiej uważać, czego się pragnie i o co się żarliwie prosi. Bo czasem to się spełnia.

- Bracie Mernocu, powinniśmy pokazać opatowi nasz „klasztór” i wypakować nasze bagaże - powiedział Odran, wytrącając Brendanusa z zamyślenia.

- Kłasztór? - zapytał opat z radosnym zdziwieniem.

- Cóż, nie jest to Conflert, ale to nasz kłasztór w Adeje, najlepszy na wyspie Achinet, a nawet, ośmielę się twierdzić, w całej Makaronezji* - odpowiedział Odran, nie próbując ukryć dumy.

*

Podczas gdy mnisi szli ścieżką z otoczków w głąb lądu, Brendanus zauważył, że, poza Mernokiem, wszyscy mnisi mieszkający na wyspie noszą habity z koziej skóry.

- Co się stało z ubiorem, jaki nakazuje nasza reguła? Dlaczego tylko ty nosisz wełniany habit? - zapytał Mernoca, który szedł obok niego.

- Stare habity zniszczyły się w ciągu siedmiu lat. Tutaj nie ma krosien, na których

* Makaronezja - w starożytności nazywano tak grupę wysp, w której skład wchodziły Azory, Madera,

Wyspy Kanaryjskie i Wyspy Zielonego Przylądka. Nazwa oznacza dosł. Wyspy Szczęśliwe, z gr. *makaro*

(szczęśliwy).

można robić wełnę. Przystosowaliśmy się do tego, co wyspa może nam dać.

Brendanus miał zadać jeszcze jedno pytanie, kiedy grupa zatrzymała się na polanie gęstego lasu, który właśnie przemierzali. Przed nimi wznosiło się wspaniałe zbocze ze skały

wulkanicznej, wycięte w kształt półksiężycy.

- Nasz „klasztor” jest teraz twój - powiedział łagodnie Mernoc.

Brendanus upuścił torbę, którą niósł do tej pory na ramieniu, i poszedł kilka kroków naprzód, zdumiony wspaniałym widokiem masy lawy zastygłej w samym środku dżungli.

Zobaczył ścianę z pięcioma jaskiniami, które były kiedyś kominami wulkanów.

Wejścia do jaskiń były z sobą połączone prostymi schodami i drewnianymi pomostami, które ciągnęły się wzdłuż kamiennej ściany. Na środku polany stał krzyż zbity z dwóch pni drzewa laurowego.

Przed nim postawiono dwa rzędy ławek zasłoniętych przed słońcem przez toporny daszek wykonany z plecionych włókien palmowych.

Mernoc podszedł do opata.

- Podoba ci się? - zapytał.

- To wszystko, co udało wam się zrobić w ciągu siedmiu lat? To jest wasze dzieło? -

Brendanus próbował powstrzymać wybuch wściekłości. - Przypląnąłeś tu z Irlandii, żeby przebrać swoich zakonników za dzikich i żeby żyli w jaskiniach jak zwierzęta?

Mernoc milczał. Patrzył na urwisko nieobecny wzrokiem, z poważnym wyrazem twarzy.

- Przybywamy z cywilizacji, Mernocu. - Opat stanął naprzeciw niego. - Przynosimy prawdziwą wiarę, wiarę nowego człowieka, wiarę postępu. Tę wiarę, która pozwoli wznieść wielkie miasta, podobne do rzymskich. Wiarę, która stworzy sprawiedliwy świat dzięki rozkwitowi nowej ery. Jak chcesz, żeby ci barbarzyńcy uwierzyli w naszego Boga, jeśli nie pokażemy im, że jesteśmy od nich lepsi?

- Wcale nie sądzę, że jesteśmy od nich lepsi - odpowiedział Mernoc, patrząc mu uważnie w oczy.

- Mernocu, Mernocu - rzekł Brendanus, czerwieniąc się i podnosząc palec

wskazujący. - Słońce musiało osłabić ci umysł. Twoje wątpliwości ocierają się o bluźnierstwo. Jak możemy być podobni do tej bandy dzikusów, którzy ledwie zasłaniają przyrodzenie źle wyprawionymi skórami i żyją niczym niedźwiedzie w jaskiniach? My, irlandzcy chrześcijanie!

Znów poczuł na ramieniu dłoń Odrana.

- Kuzynie, uspokój się, wszystko...

Uwolnił się gwałtownie od dotyku olbrzyma.

- Nie jestem twoim kuzynem, przeklęty bękarcie! - Był oszalały z gniewu. - Jestem twoim opatem! A to...!

Olbrzym powalił go na ziemię jednym ciosem. A wyspa, korony drzew i śpiew ptaków pogrążyły się w ciemności.

*

Kiedy czarna zasłona się rozwiła i Brendanus otworzył oczy, zobaczył nad głową kamienne sklepienie jaskini. Leżał na wypchanym wełną sienniku, przy wejściu do jednej z grot. Wypę oświetlało wspaniałe popołudniowe słońce.

- Dobrze się czujecie? - usłyszał głos Grilla.

Odwrócił się w stronę, z której dobiegł głos. Nowicjusz siedział obok niego.

- Nie. - Dotknął obolałego podbródka. - Myślałem, że to był tylko zły sen i że znów jestem w Conflert - odpowiedział sucho.

- Brat Odran mówi, że bardzo żałuje, iż was uderzył, i chce was przeprosić w ramach spowiedzi.

Poczuł ukłucie wstydu, przypomniawszy sobie, jak go obraził. Nie mógł bardziej urazić Odrana. I nie mógł się bardziej upokorzyć.

- Straciłem panowanie nad sobą. Jeśli o mnie chodzi, nie ma o czym mówić - skłamał.

- Brat Odran powiedział również, że uderzy was jeszcze raz, jeśli znów będziecie na niego krzyczeć.

Opat chciał się uśmiechnąć, ale powstrzymał go ból w obitej szczęce. Grillo zmarszczył czoło i zamilkł, jakby próbując uporządkować wszystkie wiadomości, żeby o niczym nie zapomnieć.

- Czy Odran zawsze taki był? - zapytał ze szczerą ciekawością.

- Powinieneś go zobaczyć w czasie bitwy pod Lough Gartun, kiedy walczył z klanem Uí Nelly'ego, tego dnia dowiedziałem się, że jesteśmy kuzynami - skłamał częściowo i zaczął się zastanawiać, któremu bratu powinien się wypowiadać.

- Również brat Mernoc ze mną rozmawiał. Ufa, że Odran nie wyrządził wam zbyt wielkiej krzywdy. Mówi, że za kilka dni pozeglujemy dalej. Tym razem na zachód, na poszukiwanie prawdziwej Ziemi Obietnicy Świętych. I że wtedy wszystko zrozumiecie.

- Mam zrozumieć tę anarchię, tę bzdurę, którą oni nazywają misją? Domyślam się, że słyszałeś moje krzyki. Straciłem panowanie nad sobą, to prawda, i wstydzę się tego, ale mówiłem, co myślę. Jak mamy zdobyć umysły i dusze barbarzyńców, jeśli nie pokażemy im, że jesteśmy od nich lepsi? Czy tak trudno jest to zrozumieć, Grillo? - powiedział, przykładając do brody okład z roztworu z ziół, który podał mu wiemy nowicjusz.

- Ja was rozumiem, ojcie - odparł chłopak. - Myślę, że brat Mernoc to widzi, bo powiedział mi, że moim przeznaczeniem jest bycie kamieniem węgielnym Kościoła na tej wyspie. I że wspomnienie mojego dzieła pozostanie w sercach Guanczów aż do końca ich dni. On nigdy nie nazywa ich barbarzyńcami - zauważył.

- Ach tak? I co jeszcze powiedział ci brat Mernoc? - zapytał z ciekawością, podnosząc się z siennika i pocierając obolałą brodę.

- Brat Mernoc opowiada dziwne rzeczy, ale robi to w piękny sposób. - Nie patrzył teraz na opata, jego niewidzący wzrok był utkwiony w ścianie jaskini, jakby chłopak wpadł w trans. - Powiedział mi, że jego duch podróżuje w czasie i że był tutaj ponownie, prawie tysiąc lat po naszym przybyciu. Mówi, że widział, jak ludzie uzbrojeni w żelazo dziwili się, iż Guanczowie nadal chrzczą swoje dzieci, tak jak ich tego nauczyliśmy*.

- Teraz ty mówisz od rzeczy, Grillo - przerwał mu Brendanus. - Jesteś jeszcze bardzo młody i łatwo ulegasz wpływom. Znam dobrze brata Mernoca, jest gotów doprowadzić nas wszystkich do obłądu swoimi urojeniami i wizjami. Chodź, pomóż mi wstać...

Nowicjusz złapał opata za ramiona i pomógł mu stanąć na nogi. W tej chwili do jaskini wszedł Odran.

- Przebaczyłeś mi, Mobi? - Stał przed opatem. Wyglądał na szczerze zmartwionego. Grillo pomyślał później, że nawet dorosły niedźwiedź nie mógłby silniej ścisnąć człowieka, niż zrobił to Odran, żeby uścisnąć opata Conflert.

W nocy miała się odbyć uczta. Przybyła po nich świta stu dziewic, co Brendanusowi wydało się wysoce nieodpowiednie. Przysiągł jednak, że nie da się opanować gniewowi, wziął więc kilka głębokich wdechów i stanął na czele pochodu obok Mernoca, który znów uśmiechał się do niego ze słodyczą, jakby nic się między nimi nie wydarzyło.

Dziewczęta niosły pochodnie, którymi oświetlały ścieżkę, ich głowy ozdabiały kwiaty i były tak młode, że niektóre nie miały jeszcze piersi, co uspokoiło opata. Kilka z nich chichotało nerwowo i szeptało między sobą, popatrując na najmłodszych nowicjuszy, którzy również słali im ukradkowe spojrzenia i uśmiechy. Ponieważ opat szedł przodem, nie zauważył tych gestów i nie wzbudziły w nim żadnych krwiożerczych instynktów.

Wkrótce dotarli do Adeje, bo „klasztor” był położony na jego obrzeżach. Brendanusa zaskoczył rozmiar tej megalitycznej osady.

* Tubylcy z wyspy Teneryfy mieli w zwyczaju polewać wodą głową każdego nowo narodzonego dziecka. Kiedy Hiszpanie pytali Guanczów, co oznacza ta ceremonia polewania dzieci wodą, odpowiadali tylko,

że to dawny zwyczaj ich przodków. Że uznawali to za rzecz słuszną, odkąd poznali tą ceremonię, kiedy święty

Brendan przebywał na wyspach. *Kronika podboju Wysp Kanaryjskich spisana przez Francisca Alonsa de*

Espinose.

Adeje było w rzeczywistości olbrzymią skałą wulkaniczną, pokrytą dziesiątkami wejść do jaskiń, które nadawały jej wygląd drewna zjedzonego przez termyty. Niektóre wejścia znajdowały się piętnaście metrów nad ziemią, ale wszystkie były z sobą połączone balustradami, rusztowaniami i drabinami z drewna, tworzącymi korytarze i galerie składające się na prawdziwy labirynt.

Wszystkie wejścia do jaskiń były oświetlone pochodniami. Na rusztowaniach i schodach umieszczono pochodnie i płonące żagwie, podobnie jak na wielkim placu znajdującym się na środku kamiennej osady. Wszystko to nadawało temu miejscu cechy magiczne i nierealne, a wrażenie to potęgowały jeszcze refleksy migoczących płomieni rzucane na ciemną skałę wulkaniczną.

Rozbrzmiały bębny i piszczałki, zagłuszając ciszę zmierzchu, i ponad pięć tysięcy dusz zebranych na placu, przybyłych z każdego zakątka wyspy, zaczęło krzyczeć, klaskać i gwizdać.

Król przyjął ich, stojąc w środku półkola utworzonego przez jego dzieci i członków dworu. Obok nich stali również reprezentanci dostojników wyspy, *achimencey** z najważniejszych osad.

Wszystko przygotowano z rozmachem, bo Tinerfe Wielki chciał pokazać *mencey* przybyłemu z morza, że jego naród jest potężny, cywilizowany i gościnnie, a „Bóg wszystkich

bogów” i jego ministrowie są dobrze przyjmowani i uznawani za synów wyspy.

W czasie tej hipnotycznej nocy i w ciągu kolejnych dni Brendanus zrozumiał, że ma do czynienia z kulturą i krajem zupełnie odmiennym od wszystkiego, co znał do tej pory.

Był to lud pełen sprzeczności, o słabo rozwiniętym rzemiośle, ale bardzo zaawansowany w rozwoju w niektórych dziedzinach kultury. W czasie pobytu w Achinet opat stwierdził, że Guanczowie byli rzeczywiście bardzo prymitywni, nadal tkwiąc w neolicie.

Nie znalazł w ich wyrobach śladu obróbki metalu - ani w nielicznych budowlach, skromnych chatkach wykonanych z drzewa lub kamieni, ani w narzędziach, wszystkich zrobionych z drewna lub skały wulkanicznej.

Technologia wojenna była jeszcze bardziej prymitywna. Nie znali łuku ani miecza. W walce nie używali żadnej ochrony, nawet najprostszej zbroi, tarczy czy hełmu. Jediną bronią były topornie wykonane oszczepy nazywane przez nich *ñepas* i będące w rzeczywistości krótkimi tyczkami zakończonymi zastrzonymi kamieniami pochodzenia wulkanicznego. Do polowania i walki używali również procy, którą posługiwali się z dużą zręcznością.

Ich język był raczej ubogi, jedno słowo służyło do nazwania wielu rzeczy, w

* *Achimencey* - w strukturze społecznej Guanczów tytuł nadawany szlachcie.

zależności od kontekstu. Brendanus zorientował się również, że Guanczowie często stosowali gwizdanie jako sposób komunikacji. Wydało mu się to dobrym rozwiązaniem, zwłaszcza że na wyspie o tak nierównomiernym ukształtowaniu terenu mocny gwizd mógł być dobrym posłańcem, jeśli potrafiło się go zinterpretować.

Guanczowie nie wykazywali żadnej znajomości matematyki, a ich gospodarka opierała się na handlu wymiennym. Bogactwo mierzyli liczbą kóz, więc Tinerfe Wielki był nie tylko królem, ale również najpotężniejszym hodowcą bydła na wyspie.

Ozdabiali ciała prostymi naszyjnikami i bransoletami wykonanymi ze skóry, ścięgien

albo kamieni półszlachetnych. Lubili również ozdabiać ciało rysunkami malowanymi niebieskim barwnikiem z okazji świąt i ceremonii religijnych, czerwonym i czarnym zaś, gdy szli na wojnę. Niektórzy wojownicy mieli na piersiach tatuaże w formie krótkich poziomych kresek. Każda oznaczała jednego zabitego wroga. Jednak opat widział wielu mężczyzn o gładkich, pozbawionych tatuaży torsach, z czego wnioskował, że Guanczowie byli ludem nastawionym pokojowo.

Brendanusa zaskoczył również fakt, że chociaż mieszkali na wyspie, nie znali sztuki nawigacji. Byli przez to zupełnie odizolowani od świata zewnętrznego i wyglądali na zadowolonych z tego stanu rzeczy.

W noc powitalnego bankietu Brendanus miał okazję po raz pierwszy spróbować miejscowych potraw. Guanczowie jedli, siedząc na matach wykonanych z kozłej skóry lub plecionych z liści palmowych, którymi również wyściełali swoje jaskinie. Opierali się na poduszkach najróżniejszych rozmiarów i kształtów, zrobionych z jagnięcej skóry i wypchanych surową wełną, dzięki czemu były nadzwyczaj wygodne.

Jedli rękami z wielkich mis, a pożywienie podawano już pokrojone, co oszczędzało jedzącym pracy. Siadali zawsze w kręgu, zgodnie z dawnym zwyczajem swoich przodków, których słoneczny wiatr przyniósł z Afryki.

Później przypomniał sobie, w jak niezwykle sposób jego podarek posłużył do wzbogacenia kanaryjskiej diety. Brendanus wręczył uroczyście Tinerfe Wielkiemu wspaniałą Biblię wykonaną z delikatnej cielejącej skóry. Została przepięknie ozdobiona wspaniałymi kolorowymi ilustracjami, pozwalającymi zrozumieć jej treść. Było to małe dzieło sztuki, które skończył tuż przed podjęciem podróży w poszukiwaniu raj. *Mencey* przyjął podarek ze szczęśliwym uśmiechem. Podniósł księgę, trzymając ją obiema rękami, żeby jego lud mógł ją podziwiać i zaakceptować podarek gości. Następnie podszedł do wielkiego garnka, w którym

gotował się smakowicie pachnący gulasz, i z namaszczeniem wyrwał z książki kilka stron, które następnie wrzucił do naczynia.

- Uwielbiają posmak, jaki cieleca skóra i atrament nadają ich „gulaszowi z rzeżuchy”.

Moją Biblię też zjedli - wyjaśnił Mernoc Brendanusowi, być może chcąc go uspokoić.

Opat z Conflert zdążył już spróbować kilku pucharów mocnego wina produkowanego w regionie Taraconte i pod jego wpływem był gotów zaakceptować tubylcze zwyczaje w stopniu, który zaskakiwał jego samego.

- Pochłaniają naszą wiarę, co, kuzynie? - powiedział brat Odran, trącając go łokciem.

On również sporo wypił.

Poza incydentem z Biblią Brendanus odkrył, że podstawą diety Guanczów była *gofio*, rodzaj mąki z dzikiego jęczmienia, którą najpierw prażono i okraszano miodem palmowym, żeby następnie upiec ją w formie placków. Musiał przyznać, że doskonale zastępowała chleb.

Tubylcy chętnie okraszali swoje dania ostrymi sosami, które nazywali *mojo*. Smakował mu zwłaszcza ten wyrabiany z kolendry.

Ważnym składnikiem lokalnej kuchni były także rośliny strączkowe. Gulasz z rzeżuchy zawierał również wszystko, co można było znaleźć na rafach, i smakował wyśmienicie. Mimo że Guanczowie nie byli żeglarzami, doskonale radzili sobie z sieciami, łowiąc z plaży. Przygotowywali wspaniałe dania z owoców morza, które znajdowali na przybrzeżnych skałach, lub z ryb pływających w płytszych wodach, które nazywali *cherna*, *sama* i *cabrilla*.

Nie gardzili pieczonym mięsem owczym, koźlim i króliczym. Wyrabiali też niezłe sery, zwłaszcza ser kozi, oraz przyzwoite wina, jak wspomniane Taraconte.

Mernoc opowiedział Brendanusowi, że sztuki winiarstwa nauczyli się od Rzymian, którzy trzysta lat wcześniej mieli na wyspie niewielką osadę. To również Rzymianie

sprowadzili na Teneryfę drzewa figowe i oliwne.

Struktura społeczna ludu Guanczów nie była skomplikowana. Na szczycie piramidy znajdował się *mencey*, król. O szczebel niżej plasowało się dziewięcioro książąt, jego dzieci. Dalej byli *achimencey*, szlachta, a potem prosty lud, zwany *achicaxna*, który parał się przede wszystkim pasterstwem i prymitywnym rolnictwem. Wśród Guanczów istniała również nieliczna kasta wojowników. Należeli do nich najsilniejsi młodzieńcy oraz ci, którzy posługiwali się procą z największą wprawą.

Brendanusa interesowały przede wszystkim ich wierzenia. Ich jedynym bogiem było Słońce, które nazywali Magec. Wśród pomniejszych bóstw oddawali cześć Achemanowi, „dobremu” bogu, przynoszącemu szczęście, deszcz i dobre plony. Jego odpowiednikiem był Guayota, diabeł zamieszkujący ogień w sercu ziemi. Według Guanczów wejście do piekieł znajdowało się bardzo blisko nich, na szczycie Teide. Woleli nie zbliżać się do tej góry, bo, jak głosiły ich legendy, Guayota chętnie porywał ciała i dusze nieostrożnych. Ich rytuał przejścia w wiek dorosły polegał na tym, że delikwent musiał wspiąć się po zboczu wulkanu tak wysoko, aby móc dotknąć śniegu pokrywającego szczyt. Nigdy później dorośli Guanczowie nie zbliżali się do ognistej góry. Jak wyjaśnił mu kiedyś Tinerfe Wielki, „uważamy się za szlachetnych, ale po ukończeniu czternastu lat człowiek zaczyna obrastać w dobra i nie ma ochoty kusić losu, wystawiając się diabłu na łatwy łup”.

W społeczeństwie Guanczów nie funkcjonowała żadna kasta kapłanów, co bardzo ułatwiało ewangelizację. Przedstawicielem Mageca na ziemi, który mógł interpretować jego wolę, był król.

W czasie swojego pobytu na wyspie Brendanus zaprzyjaźnił się z Tinerfe. Uważał go za dobrego i mądrego człowieka.

„Słońce jest dobre dla ludzi, daje nam ciepło i życie. Twój Bóg Jezus czynił dobro

tylko w czasie, który pozwolili mu przeżyć inni ludzie. Sądzę, jak mówi twój *achimencey* Mernoc, że wasz Jezus jest synem Słońca, synem światła. I będę wam na zawsze wdzięczny za to, że przywieźliście mi Jego posłanie”.

Początkowo Brendanus miał ochotę udusić Mernoca za tę obrazową improwizację w dziedzinie teologii. Z czasem zrozumiał jednak, że ta trzoda była szczególna i że pasterz musiał się z nią obchodzić inaczej niż z innymi.

*

Po hucznym przyjęciu, jakie odbyło się pierwszej nocy, dni na wyspie upływały mnichom spokojnie i przyjemnie. Guanczowie byli równie gościnni w stosunku do nowych przybyszy, jak wobec mnichów Mernoca.

Brendanus nie zamierzał jednak zgnuśnieć ani poddać się słodkiemu bezwładowi, do którego wyspa inspirowała wszystkich jej mieszkańców. Nie mógł tracić czasu, jak stracili go Mernoc i Odran. Musieli stworzyć prawdziwy klasztor. Budowlę, która będzie chwalić Pana i która rozpali pierwszy płomień prawdziwego pożaru wiary rozprzestrzeniającej się na całej wyspie.

- Nie traktuj tego jak wymówki - powiedział Mernoc w odpowiedzi na długą litanie wyrzutów wywołanych jego niefrasobliwością i zaniechaniem - ale spędziłem tu zbyt mało czasu, żeby dokonać tych wszystkich dzieł.

- Siedem lat to trochę za długo jak na krótką przerwę w pracy, bracie Mernocu - odparł pastor.

- Nie sądzę, żebym był w Achinet dłużej niż trzy miesiące.

- Ach tak? A gdzie byłeś przez pozostałe lata? Rzucono na ciebie czar? Zamieniono w jedno z tych drzew laurowych, które rosną wokół?

Mernoc się uśmiechnął.

- Kiedy siedem lat temu opuściłem Irlandię, powiedziałem ci, jaki jest mój cel: znaleźć Ziemię Obietnicy Świętych, ziemię obiecaną przez Boga, raj.

- A gdzie się znajduje ten twój tajemniczy raj, bracie Mernocu? Gdzie on jest?

Czyżby był zbyt nieuchwytny, żeby nam się ukazać?

Mernoc spojrział mu w oczy. Z powagą, która zawsze onieśmiała i obezwładniała Brendanusa.

- Jest dwa dni żeglugi stąd. Na zachód. Wypłyniemy jutro, zanim zobaczymy na niebie łzy świętego Wawrzyńca. A ty będziesz mi towarzyszył w drodze do raju, bo taka jest wola boża.

Tym razem Brendanus nie odpowiedział, bo Mernoc podniósł się i uściśnął go. Jego nagłe przyływy czułości zawsze onieśmiały opata. Był szaleńcem. Ale szaleńcem, którego Brendanus kochał bardziej niż kogokolwiek na świecie.

*

Cameron nalał sobie ostatnią filiżankę kawy. Słońce chowało się już za wzgórzami madryckiego płaskowyzu, a ogród z basenem lśniły złotymi odblaskami zmierzchu.

- Brendanus, Mernoc, Odran i dwunastu mnichów dopłynęli do Wyspy Świętego Brendana dziesiątego sierpnia pięćset pięćdziesiątego piątego roku, w dzień świętego Wawrzyńca. Blask spadających gwiazd oświecił w nocy mgłę, która skrywała wyspę. To musiał być niezwykły widok - zakończył profesor.

- Czy Grillo, ulubiony uczeń Brendanusa, towarzyszył im w tej wyprawie? - zapytała Alejandra.

- Nowicjusz został na Teneryfie, był kamieniem węgielnym nowego projektu ewangelizacyjnego, nie pamiętasz?

Alejandra podciągnęła nogi, oparła brodę na kolanach i spojrzała badawczo na

Cameron.

- Czy ty wierzysz w choć jedno słowo tej historii, Sebastianie?
- Brakuje nam wystarczających danych, które mogłyby uwiarygodnić historię opisaną w tym *Navigatio*. Chociaż są powody do zbadania jej bliżej. Tak czy inaczej, nie chcę się opowiadać za żadnym rozwiązaniem, po prostu zdaję relację z tego, co przeczytałem.
- Co się wydarzyło na Wyspie Świętego Brendana?
- Tutaj narracja zaczyna się rwać. Jakby autor książki popadł w trans albo jakąś odmianę obłądu. Gubi się chronologia, nie ma dat. Nie można oszacować pobytu mnichów na wyspie. Zaczynają na niej budować klasztor. Mernoc pojawia się i znika na długo. Kronika kończy się nagle opisem spotkania Brendanusa z mężczyzną błądzącym po plaży.
- Kim był tajemniczy mężczyzna? - zapytała z zaciekawieniem Alejandra.
- Z trudem zasnąłem po przeczytaniu tego ustępu - przyznał Cameron. - Rozbitek przedstawił się jako Pedro Velo, kapitan portugalskiej karaweli zwanej „Santisima Trinidad”.

* * *

Kiedy wracali do Madrytu, Cameron włączył telefon komórkowy. Marta Larripa próbowała się do niego wielokrotnie dodzwonić. Pomyślał, że może Acheman, dobry bóg Guanczów, ulitował się nad nim, omamiając Martę i sprawiając, że sama rzuci się w jego ramiona. Kiedy odsłuchał wiadomość od niej, zorientował się, że Acheman go ignorował i to raczej Guayota interesował się jego losem. Marta najpierw zrugła go za wyłączenie telefonu na cały weekend, żeby następnie opowiedzieć, jak wysłannik metropolii madryckiej w czwartek zabrał rękopis z Cobisy z Biblioteki Narodowej. Miał wszystkie konieczne dokumenty wydane przez Ministerstwo Kultury. Okazało się, że jakiś ważny kardynał z Watykanu, niejaki Raffaele Grazianni, zapragnął przejrzeć *Navigatio*.

Projekt Trinidad. Puszcza Lacandona, Meksyk.

4 sierpnia 2009 roku

Capita XIV. N.S.B.a. Łódź mnichów zostaje uwięziona przez „skrzepnięte morze”.

Pielgrzymi posypują głowy popiołem i pokutują za grzechy.

Black hawk przechylił się na bakburtę, aby poprawić kierunek lotu do celu podróży, bazy Trinidad, mieszczącej się w na razie odległej puszczy Lacandona. Kiedy pilot ustabilizował kierunek i wysokość lotu ponad lśniącymi wodami Zatoki Meksykańskiej, poprosił drugiego pilota o maksymalną moc. Dwa potężne śmigła T700 wyprodukowane przez General Electric, które w sumie dawały helikopterowi moc dwóch tysięcy koni mechanicznych, poniosły go w powietrzu jak wystrzelonego z niewidzialnej olbrzymiej katapulty. Wążący dziewięć ton black hawk w kilka sekund osiągnął prędkość trzystu kilometrów na godzinę.

Madoc Cameron Coe, ubrany w lekki kombinezon lotniczy, uśmiechnął się błogo, czując w żołądku znajome mrowienie wywołane nagłym przyspieszeniem.

Poprzez kask mógł słyszeć pomruk silników i czuł niezwykłą moc wielkiej maszyny.

Ten lot odejmował mu lat.

Przypomniawszy sobie swoje najwcześniejsze doświadczenia z helikopterami w latach osiemdziesiątych, kiedy odbywał pierwsze misje w kolumbijskiej dżungli.

Zawsze przylatywał z drugą falą helikopterów. Przed nim zjawiali się tam chłopcy z operacji specjalnych, którzy wkraczali, kiedy grupa zwiadowcza na ziemi, po wielu dniach spędzonych w puszczy, oznaczyła teren.

Operacja była bardzo prosta. Na obszar, na którym znajdowało się laboratorium produkujące kokę, zrzucano deszcz bomb napalmowych i pocisków Hellfire. Każdy

helikopter był wyposażony w szesnaście rakiet, a każdą misję wykonywała grupa czterech śmigłowców. Helikoptery uderzały z ogromną siłą: w czasie każdego przejścia nad celem opróżniały ładownice karabinów maszynowych 7,62 mm albo ośmiostrzałowe działa Gatling. Po zrzuconiu całej artylerii helikoptery ustawiały się po czterech stronach zaatakowanego laboratorium i zrzucały liny, po których spuszczały się uzbrojeni po zęby żołnierze z oddziałów SEAL.

Tych trzydziestu sześciu chłopaków, których Leonidas na pewno chętnie widziałby wśród swoich trzech setek żołnierzy, miało za zadanie oczyścić cel.

Madoc przylatywał zawsze na końcu. Kiedy zapach napalmu opanowywał spaloną puszcę, a jego żołnierze układali w rzędach ciała handlarzy narkotyków lub ich największe fragmenty. Podobny widok miał zobaczyć wiele lat później w Hiszpanii, w czasie polowania na jelenie.

Attache handlowy ambasady chwalił oficerów, rozdawał kubańskie cygara i ścisnął płatki uszu swoich najlepszych, teraz uśmiechniętych żołnierzy, jak sam Juliusz Cezar.

Swego czasu on i jego helikoptery Black Hawk byli najbardziej znieawidzonym oddziałem wśród kolumbijskich karteli. Madoc Cameron był przyczyną ich strat idących w miliony dolarów. Stare dobre czasy. Przynajmniej naprawdę wierzył w to, co robił, pomyślał teraz gorzko.

Odwołali go z Kolumbii po drugim zamachu na jego życie, w którym tym razem były ofiary. Agencja nie mogła już zagwarantować mu bezpieczeństwa, był spalony.

Po raz ostatni leciał helikopterem Black Hawk w Afganistanie, w 2001 roku, nad szczytami Tora Bora, żeby potwierdzić informację o śmierci Bin Ladena, największego terrorysty znanego w historii.

Jego zdaniem nie należało ukrywać przed opinią publiczną faktu, że ten saudyjski

mały burżuj, który obwołał się Mesjaszem, zginął w czasie ostatniej amerykańskiej ofensywy.

W trakcie tego ataku amerykańskie pociski zamieniły tajną sieć jaskiń wodza Al-Kaidy w kupę gruzu.

Dopiero wiele miesięcy później przyznał z ironią, że ta strategia mogła mieć swój sens.

Mózgi operacji, które zdecydowały o jej przeprowadzeniu, wydały wtedy rozkaz rozpoczęcia inwazji na Irak.

„Potrzebujemy żywego potwora, Mac, żeby cholerny Zachód mógł się czegoś bać - próbował mu wyjaśnić jego szef, dyrektor Agencji. - A oni potrzebują żywego bohatera, bo dzięki legendzie o nieśmiertelnym wodzu można zebrać więcej zwolenników. W rezultacie żadnej ze stron nie opłaca się powiedzieć prawdy i wszyscy na tym zyskujemy. Jesteś jednym z naszych najlepszych ludzi i mam wobec ciebie duże plany, ale chyba jeszcze nie zrozumiałeś, że dobro potrzebuje zła, żeby móc istnieć. Takie są zasady wielkiej gry, synu. Mieliśmy dość problemów, kiedy te ruskie mięczaki przeszły na liberalizm”.

Teraz, kiedy przechodził do aktywnej rezerwy, na coś w rodzaju wcześniejszej emerytury dla zasłużonych, na którą zapracował ciężko dzięki wspaniałej karcie służby dla Agencji, miał tylko jedną wątpliwość. Nie był pewien, czy drużyna, w której grał, należała do tych dobrych, czy do tych złych.

„Pod koniec kariery często będziesz czuł wątpliwości - wspomniał słowa doświadczonego agenta, który zaginął później w Mogadiszu. - To będzie znak”. „Jaki znak, Bob?” - zapytał go wtedy. „To znak, że czas popracować nad swoją techniką w golfie”.

Zasnął. To nie były myśli poprawne politycznie.

Z drzemki wyrwało go spowolnienie lotu. Zbliżali się do celu. Lot był spokojny i przyjemny, od kiedy wystartowali z lotniskowca Enterprise, upłynęło zaledwie trzydzieści

minut. Olbrzymi okręt pływał po Zatoce Meksykańskiej, ponad sto kilometrów od półwyspu Jukatan. Po dotarciu do linii brzegowej musieli przelecieć jeszcze ponad sto pięćdziesiąt kilometrów nad puszcza Lacandona, aby dotrzeć do bazy Trinidad leżącej w sercu dżungli. Podobno baza Trinidad przejęła swoją nazwę od pobliskiej wioski o tej samej nazwie, oddalonej od niej o pięćdziesiąt kilometrów. Chociaż Madoc dobrze wiedział, że odległości w puszczy mierzono nie w kilometrach, lecz „możliwością dotarcia”.

Baza Trinidad była nowoczesną elektrownią. Wiedziałby o niej znacznie więcej, gdyby zadał sobie trud przejrzania opasłego raportu, który wiozł wraz z innymi papierami w teczce ze strusiej skóry.

Szczegóły misji pozna dopiero na miejscu, jak zwykle w takich wypadkach.

- Strefa czysta i zabezpieczona - usłyszał w zamontowanych w kasku słuchawkach głos głównodowodzącego.

- Odbezpieczamy pociski - powiedział pilot, aktywując pociski przeciwrakietowe ziemia - powietrze. Porucznik Lajoya, weteran wojny w Iraku, wpadł w dwie zasadzki w „strefach czystych i zabezpieczonych”.

Cameronowi podobało się to podejście. Puszcza Lacandona była stosunkowo bezpieczna, odkąd zapatyści zostali ujarzmieni górą dolarów. Jednak zawsze znaleźli się jacyś niezadowoleni partyzanci, którzy albo byli bardziej ideowi, albo nie dostali swojej doli.

Amerykanie nauczyli się już w Mogadiszu, że niepozorna i tania wyrzutnia pocisków RPG, obsługiwana z wprawą i przy łucie szczęścia, mogła zlikwidować jeden z ich majestatycznych śmigłowców.

Black hawk opuścił się powoli na lądowisko dla helikopterów. Madoc pobiegł zgięty wpół po cementowej płycie, pozostawiając w tyle nieruchomą maszynę, poruszającą śmigłami i wygaszającą silniki.

Nie zdjął hełmu ani kamizelki kuloodpornej, dopóki nie znalazł się za betonowymi ścianami budynku. Puszczą została na zewnątrz.

Kiedy próbował poprawić przyklepane włosy, przeglądając się w nowoczesnym szklanym parawanie, zobaczył zbliżającego się do niego około sześćdziesięcioletniego mężczyznę. Był opalony dzięki przebywaniu na meksykańskim słońcu, miał siwe włosy i nienagannie skrojony garnitur.

Gospodarz przywitał gościa szerokim uśmiechem i serdecznym uściskiem dłoni.

- Madoc Cameron - przypomniał mu jego imię, na wypadek gdyby zapomniał go pod wpływem lotu. - Chodząca legenda Agencji. To prawdziwy zaszczyt, że będzie pan moim następcą na stanowisku.

- Dopiero za sześć miesięcy, dyrektorze O'Malley. - Teraz już wiedział, z kim ma do czynienia. - A więc jeszcze nie będzie pan poprawiał wyników w golfie.

O'Malley roześmiał się wesoło.

- Skądże. Mamy tu wspaniałe pole golfowe z dziewięcioma dołkami, dzięki uprzejmości Amerykańskiej Komisji Energetycznej, specjalnie dla rozbitków zesłanych na wygnanie na środku zielonego oceanu. Tu wszystko jest zrobione z rozmachem, Cameron. Mam nadzieję, że uda nam się zagrać razem, zanim nas pan opuści. A na razie witam w projekcie LHC w Lacandonie - odpowiedział dyrektor.

- Nie miałem czasu, żeby zapoznać się ze szczegółami projektu - skłamał bezwstydnie, jego rodzina miała do tego talent. - Ale myślałem, że nazywa się „projekt Trinidad” - przypomniał sobie tytuł raportu.

- Lacandona to, powiedzmy, nazwa cywilna. Trinidad znajduje się sto pięćdziesiąt metrów pod naszymi stopami i jest powodem naszej obecności tutaj - odparł O'Malley. - Jeszcze zdążymy zobaczyć zakończenie konferencji prasowej doktora Castello. On panu

wyjaśni, na czym polega projekt.

Cameron uważał O'Malleya za miłego gościa. Był tak miły, że postanowił nie oszukiwać go przy najbliższej partii golfa.

Spotkanie z dziennikarzami właśnie osiągnęło swój punkt kulminacyjny. Doktor fizyki Charles Castello, uczeń i asystent laureata Nagrody Nobla, Carla Rubbii, prezentował zebranym zalety nowego amplifikatora energii, który właśnie zainstalowano w Lacandonie. Wśród jego słuchaczy znajdowali się dziennikarze lokalni i przedstawiciele mediów międzynarodowych.

- Akceleratory cząstek są obecnie niezbędnymi narzędziami dla przemysłu, medycyny i badań naukowych. - Wszyscy zebrani w sali goście słuchali go w nabożnym milczeniu przerywanym jedynie trzaskiem migawek aparatów fotograficznych. - Na przykład w naukach medycznych akceleratory służą produkcji laserowych skalpeli pozwalających dokonywać zabiegów chirurgicznych z niespotykaną dotąd precyzją. Ta nowa generacja narzędzi wykorzystujących laser z wolnych elektronów pozwala na operowanie z dokładnością do ułamków milimetra, bez ryzyka zranienia innych tkanek. W obszarze ochrony środowiska akceleratory będą odgrywać kluczową rolę dla przyszłości planety. Dzięki nim będziemy mogli rozkładać odpady nuklearne i przetwarzać je na nieszkodliwe substancje.

Jeden z dziennikarzy podniósł rękę, miał już gotowe pytanie. Siedzący przy stole obok Castello moderator, członek meksykańskiego rządu i wiceprzewodniczący Amerykańskiej Agencji Energetycznej, udzielił mu głosu.

- Jak to możliwe, profesorze?

- Technicznie rzecz ujmując, kiedy skondensowane wiązki wyprodukowane przez nasz akcelerator uderzą w odpad nuklearny, wyzwolą z niego neutrony. Neutrony te wejdą w reakcję z odpadami radioaktywnymi, sprawiając, że te ostatnie rozpadną się na stabilne

cząstki. Tę technikę nazywa się [ATW*](#), czyli Akcelerator Transmutacji Odpadów. - Castello nie wspomniał o tym, że ta skomplikowana technologia miała swoją kolebkę w Stanach Zjednoczonych. Niechęć do Amerykanów była bardzo silna na południe od Rio Grande. - Mogę państwa zapewnić, że dzięki tej technice nasz akcelerator z Lacandony stanie się prawdziwym niszczycielem odpadów nuklearnych, dzięki czemu nasza planeta będzie bezpieczniejszym, czystszy i lepszym miejscem.

- Czy to prawda, że Lacandona ma być elektrownią produkującą czystą energię? -

Kolejne pytanie przygotowane zawczasu, tym razem zadane przez atrakcyjną miejscową dziennikarkę.

- Być może ostatnie ulepszenie możliwości zastosowania akceleratorów pozwoli nam je przekształcić w prawdziwe elektrownie. Akcelerator ostatniej generacji, [LHC**](#), zamontowany w Lacandonie, został zbudowany jako amplifikator energii. - Urwał, pozwalając dziennikarzom zanotować swe słowa. - Nasz amplifikator energii będzie bombardował swój cel wiązką protonów o wysokim natężeniu, wywołując reakcję nuklearną i wyzwalaając energię.

Ten sposób uzyskiwania energii ma dwie podstawowe zalety. Po pierwsze, bezpieczeństwo. - Urwał, nadeszła jego chwila. - W przeciwieństwie do konwencjonalnych

* ATW (ang.) - Accelerator Transmutation of Waste.

** Akcelerator klasy LEP (z ang.: Large Electron-Positron Collider - Wielki Zderzacz Elektronowo-Pozytonowy) jest zastępowany przez akceleratory klasy LHC (z ang.: Large Hadron Collider - Wielki Zderzacz

Hadronów). Są to akceleratory typu proton - proton wytwarzające więcej energii.

elektrowni atomowych w Lacandonie katastrofa w wyniku reakcji łańcuchowej jest niemożliwa, bo reakcja zatrzymuje się bez udziału akceleratora. Po drugie, nasza elektrownia jest zupełnie czysta. Dzięki użyciu ATW wytworzone odpady będą zupełnie niegroźne.

- Przecież akcelerator w Lacandonie będzie musiał działać przy reaktorze atomowym, żeby funkcjonować jako amplifikator energii, prawda? - Kolejne pytanie zadane zgodnie ze scenariuszem wywołało szepty na sali.

- Jak już wspomniałem, jednym z najbardziej obiecujących aspektów używania akceleratorów cząstek jest generowanie właściwie niewyczerpanego źródła czystej energii. - Castello nie przestawał się uśmiechać. - To prawda - przyznał. - Mamy zamiar połączyć akcelerator cząstek z ma-lu-sień-kim reaktorem atomowym. - Z lubością przesyłabizował kluczowe słowo. - Pomysł na jego stworzenie jest prosty: różni się on od elektrowni atomowych w dwóch zasadniczych sprawach. Po pierwsze - podniósł palec wskazujący - paliwem dla reaktora nie będzie uran, lecz tor. W postaci naturalnej występuje trzy razy częściej niż uran, a proces jego otrzymywania jest tańszy i łatwiejszy. Po drugie - ułożył palce serdeczny i wskazujący w znak „V” - akcelerator cząstek będzie produkował protony, które wywołają reakcję nuklearną. To oznacza liczne korzyści - omiótł spojrzeniem audytorium - z których najważniejsza polega na tym, że nie wystąpi reakcja łańcuchowa, dzięki czemu utrata kontroli nad procesem wytwarzania energii podobna do tej, jaka miała miejsce w Czarnobylu, jest niemożliwa. W przeciwieństwie do konwencjonalnych reaktorów nasz amplifikator potrzebuje energii, żeby móc pracować. Jeśli przerwie się zewnętrzny dopływ neutronów, reakcja zostanie po prostu zatrzymana.

Ktoś podniósł rękę, zanim moderator zdążył oddać głos czwartemu i ostatniemu dziennikarzowi, którego pytanie uwzględniono w scenariuszu. Spojrzał nerwowo na Castello. Ten kiwnął przyzwalająco głową, nie przestając się uśmiechać i nie tracąc pewności siebie, w głębi duszy marząc, żeby półpasiec zagnieździł się w pachwinach dziennikarza, który wyrwał się z pytaniem.

- Czy to możliwe - młody człowiek odchrząknął - żeby dzięki tej nieznannej dotąd

energii, którą będzie wydzielał nowy akcelerator, odkryto bozon Higgsa? Albo to, co fizycy nazywają materią dziwną? A może uda się nawet odtworzyć czarne dziury?

Śmiech Castello zabrzmiał prawdziwie. I był zaraźliwy. Audytorium roześmiało się razem z nim.

- No cóż, nie jesteśmy tu po to, żeby tworzyć science fiction, drogi przyjacielu -

odparł, odpowiadając na zabawne pytanie chłopaka. - My zajmujemy się tylko nauką. Mogę jednak zapewnić pana, panie... - Młody dziennikarz, czerwony jak burak, ponownie uniósł rękę, gotowy do podniesienia rękawicy. Nie miał jednak szans, bo odłączono mu mikrofon od prądu. - Mogę jednak pana zapewnić - powtórzył Castello - że nowy akcelerator z Lacandony będzie produkował dziesięć razy więcej energii niż najpotężniejsza elektrownia atomowa świata. Ponadto energia ta będzie tańsza, czystsza i bezpieczniejsza od czegokolwiek, co udało się do dziś wyprodukować. - Urwał, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywarły na słuchaczach jego słowa. - Mogę również państwa zapewnić, że dzięki wysiłkowi międzynarodowego zespołu - nie uznał za stosowne wspomnieć, że dziewięćdziesiąt osiem procent środków przeznaczonych na wybudowanie elektrowni zostało przekazane przez rząd amerykański - nowy akcelerator Lacandony stanie się hitem na skalę światową i pozwoli przyszłym pokoleniom żyć w bardziej przyjaznym i bezpieczniejszym świecie. Dziś jest wielki dzień dla Ameryki, a zwłaszcza dla Meksyku. - Wykonał gest w stronę zebranych. Klakierzy zarobili tego dnia na swoje wynagrodzenie. Sala rozbrzmiała natychmiast głośnymi oklaskami.

Castello opuścił salę w towarzystwie moderatora. Cameron i O'Malley musieli zejść mu z drogi, żeby nie zmiotł ich impet, z jakim wychodził.

- Chcę pełen raport o sukinsynu, który mówił o czarnych dziurach i materii dziwnej - wycodził przez zęby w kierunku swojego asystenta, odpowiadając jednocześnie z

ośniewającym uśmiechem na pozdrowienia mijających go ludzi. O'Malley i Cameron biegli za nim, starając się go nie zgubić.

- Już poprosiłem o raport. Przyniosę go osobiście do pańskiego gabinetu - odparł moderator potulnie.

- Przepraszam... - za ich plecami zabrzmiał głos O'Malleya.

- Tutaj nie, panie dyrektorze. W moim gabinecie. W „jaskini” - odpowiedział Castello, nie odwracając się i nie zwalniając kroku.

* * *

„Jaskinia” mieściła się sto metrów pod ziemią. Na tym poziomie, w ściśle tajnej strefie, znajdował się mały reaktor atomowy, który zasilał akcelerator Lacandony. Cameron podejrzewał, że podziemne laboratoria ukrywały coś jeszcze. Prawdziwy cel jego misji. Zanim weszli do jednej z wind, które miały ich zawieźć na poziom reaktora, musieli założyć wielkie kombinezony chroniące przed promieniowaniem.

Winda była obszerna, przypominała klatki, jakich używano w wielkich kopalniach.

- Nie jest zbyt ładna, ale za to wygodna - zauważył Castello, któremu nie umknęły spojrzenia Camerona rzucające na kamienne ściany przesuwające się za kratami windy. - W razie awarii można wyjść z klatki i wejść na górę po umieszczonej w szybie metalowej drabince. - Cameron przyjrzał się drabince majaczącej w półmroku tunelu, którym zjeżdżali w dół. - O ile nie cierpi się na lęk wysokości - dodał fizyk.

Kiedy winda się zatrzymała, dwaj uzbrojeni po zęby ochroniarze dokładnie ich przeszukali, zanim trzej mężczyźni poddali się identyfikacji przez skanowanie gałki ocznej. Przeszli długim korytarzem, na którego końcu znajdowała się przebieralnia, gdzie zostawili kombinezony.

- Myślałem, że obejrzymy teraz reaktor - powiedział Cameron z urazą, zdejmując

kombinezon.

- To „część” naszej pracy, panie ambasadorze, ale mogę pana zapewnić, że w Nowym Jorku jest pan bardziej narażony na promieniowanie atomowe niż tutaj - odpowiedział fizyk.

- Kombinezony ochronne są częścią teatryku przeznaczzonego dla tych, którzy obserwują nas z wyższego poziomu - wyjaśnił O'Malley.

Mężczyźni, teraz ubrani tylko w białe fartuchy opatrzone logotypem elektrowni w Lacandonie, ruszyli dobrze oświetlonym korytarzem. Zatrzymali się przed masywnymi drzwiami oznaczonymi napisem „Strefa radioaktywna”. Castello wystukał kilka cyfr na klawiaturze umieszczonej w ścianie i drzwi się otworzyły.

Weszli do sali z reaktorem.

Na młodszym Cameronie wrażenie zrobiło to, jak mała wydawała się sala. Było to pomieszczenie o powierzchni najwyżej czterdziestu metrów kwadratowych. Znajdowały się w nim dwie półokrągłe konsole, zastawione komputerami i przyrządami pomiarowymi. Między nimi stał mały blok z betonu, nie większy niż domowa lodówka. Nad urządzeniami czuwało dwóch techników.

- Nie powinien się pan czuć rozczarowany. - Castello znów czytał w jego myślach. -

Nasz mały „grzejnik” jest w stanie wyprodukować dość energii, żeby utrzymać dziesięć miast wielkości Meksyku i jeszcze karmić nasze „maluchy”.

Ambasador spojrział na Castello ze zdumieniem.

- Za chwilę odkryje pan naszą najgłębszą tajemnicę. O tym, co zaraz panu pokazemy, wiedzą tylko prezydent, wiceprezydent, sekretarz bezpieczeństwa, nasz ukochany szef i sześć osób spośród trzystu pracowników Lacandony. - Castello przyglądał się uważnie Madocowi, z lekkim uśmiechem obserwując jego reakcję. - Robotnicy i inżynierowie pracujący przy projekcie budowali stację tak, że każdy zajmował się tylko małym wycinkiem. Tak naprawdę

nie dowiedzieli się nigdy, co właściwie konstruowali. Musi pan być bardzo dobry, skoro szef mianował pana na to stanowisko.

Ostatni komentarz wcale Camerona nie ucieszył. W rzeczywistości czuł się coraz bardziej niezręcznie.

- Jestem już trochę za duży na zabawę w zgadywanki - odparł sucho.

- To, co panu teraz pokażemy - wtrącił O'Malley - to drugi akcelerator Lacandony.

Wie o nim bardzo niewiele osób, jak już wspomniał doktor Castello, i to on jest powodem, dla którego się tutaj znaleźliśmy.

Castello wyjął z kieszeni fartucha miniaturowego pilota, na którym nacisnął sekwencję cyfr. Jedna z betonowych ścian pomieszczenia odsunęła się na bok, otwierając przejście do długiego, dobrze oświetlonego korytarza.

- Witamy w Nibylandii - powiedział fizyk z uśmiechem. - Teraz pokażemy panu nasze drugie dziecko.

Drugi akcelerator był klasy LHC i miał średnicę pięćdziesięciu czterech kilometrów, co oznaczało - jak wyjaśnił fizyk Cameronowi - że dwukrotnie przekraczał rozmiarem swój odpowiednik wybudowany w CERN w Szwajcarii. Była to największa maszyna skonstruowana kiedykolwiek przez ludzi i jednocześnie najpilniej strzeżona tajemnica Agencji. Budowę akceleratora zaaprobował sam prezydent Bush na początku pierwszej kadencji. W trakcie jego powstawania jako przykrywki używano elektrowni w Lacandonie i naturalnie budowano go za plecami meksykańskiego rządu, który udostępnił Amerykanom teren.

- A na czym dokładnie polega Nibylandia? - Madoc postanowił jednak zadać pytanie, na które nie spodziewał się uzyskać żadnej przyjemnej odpowiedzi.

- Jeśli lubi pan podróżować w czasie, panie Cameron, trafił pan w odpowiednie

miejsce - odpowiedział Castello z zagadkowym uśmiechem. - Tutaj budujemy wrota.

Nacisnął przycisk na pilocie, uruchamiając kolejny panel.

Znajdowali się w sali, z której kontrolowano drugi akcelerator Lacandony. W sercu bestii.

Pomieszczenie było ogromne, wypełnione plazmowymi ekranami i komputerami najnowszego typu, które nadzorowały pracę gigantycznego akceleratora.

Ambasador zauważył, że część maszyny jest odkryta. Była to wielka, lekko zakrzywiona rura, której kształt kazał się domyślać owalnej formy całości, wykonana z błyszczącej stali. Miała trzy metry średnicy, dość, żeby w środku zmieścił się człowiek. Oba końce odcinka wchodziły w ściany pomieszczenia.

Na środku sali stała wielka kabina podłączona do akceleratora.

Dwaj kontrolujący maszynę technicy przywitani się zdawkowo z przybyłymi i natychmiast wrócili do pracy.

- Słyszał pan o podróżach w czasie, ambasadorze? - naciskał Castello, nie odrywając wzroku od danych wyświetlanych na monitorze.

- Nie przepadam za literaturą science fiction ani za filmami fantastycznymi - przyznał Cameron.

- Jasne. - Fizyk mlasnął językiem z dezaprobatą. - Ale wie pan przynajmniej, że nie ma żadnego prawa matematycznego, które by wykluczało możliwość podróży w czasie.

- Miałem okazję studiować teorię względności Einsteina na Harvardzie. - Madoc zaczął podejrzewać, że współpraca z fizykiem nie będzie należała do łatwych.

- Paul Davies [s*](#) przewidział już parę lat temu, że stworzenie maszyny do podróżowania w czasie jest kwestią pieniędzy, a nie fizyki. - Castello zignorował odpowiedź Camerona. - Nawet pan nie wie, jaką górę pieniędzy władowaliśmy w ten projekt. Proponuję, żebyśmy

kontynuowali naszą pouczającą rozmowę w moim gabinecie.

Gabinet Castello był obszerny, funkcjonalnie urządzony i bardzo wygodny. Ponieważ nie miał okien, wydawał się też nieco klaustrofobiczny, jak można się było spodziewać po pomieszczeniu znajdującym się na głębokości stu pięćdziesięciu metrów pod ziemią.

Castello usiadł naprzeciwko swoich gości przy potężnym biurku.

- Wszyscy się chyba zgodzimy, że dzięki teorii względności fizyka pozwala nam podróżować w przyszłość. - Naukowiec chciał ustalić punkt wyjścia.

Cameron przytaknął, pamiętał doskonale przykład Einsteina. Zgodnie z jego teorią czas osoby, która spędzi ziemski rok w statku kosmicznym poruszającym się z prędkością światła, w rzeczywistości będzie biegł szybciej niż na Ziemi. W efekcie ci, których ta osoba zostawiłaby na Ziemi, zestarzeliby się tym bardziej, im więcej czasu spędziłaby w kosmosie.

Trwająca kilka tygodni podróż z prędkością światła w kosmosie jest równoznaczna z upływem lat na Ziemi. Taki kosmiczny podróżnik przemieściłby się tym samym do przyszłości.

- Tak naprawdę, a nie jest to żadne uproszczenie - podjął Castello - podróże w przyszłość wymagają zwiększenia prędkości. Natomiast podróż w przeszłość wymaga niezwyklej brawury i nieznanych nam rozwiązań technicznych. Tak przynajmniej sądzono, dopóki nie powstał pierwszy akcelerator cząstek.

O'Malley i Cameron milczeli.

- Do incydentu doszło w laboratorium CERN w Szwajcarii. Był to przypadek, jak często bywa z epokowymi odkryciami naukowymi. W czasie pierwszych prób nad

* Paul Charles William Davies (ur. 1946) - brytyjski fizyk o światowej sławie, autor wielu rozpraw naukowych. Wykładał m.in. na uniwersytetach w Cambridge, Londynie i New Castle. W swoich badaniach

koncentrował się przede wszystkim na kosmologii, teorii kwantowej czasu i astrobiologii.

akceleratorem LHC nagle nastąpił niezrozumiały spadek mocy. Zawieszono próby i sprawdzono maszynę centymetr po centymetrze, nit po nicie. Nie znaleziono przyczyny awarii. Jednak jeden z naszych chłopców, bo mamy ludzi wszędzie, gdzie może się wydarzyć coś ciekawego, zauważył na plazmografii jednej z sekcji coś, czego inni nie dostrzegli. W wiązce protonów, które przemieszczały się z prędkością bliską prędkości światła, zobaczył małą ciemną plamkę. Powielił nagranie i przesłał je nam do Langley. Oddaliśmy je do analizy do Los Alamos, gdzie udało się ustalić, czym była ta plamka. - Urwał, a Cameron musiał przyznać, że Castello miał prawdziwy talent dramaturgiczny. - To, co powstało wtedy w akceleratorze CERN-u, było maleńką czarną dziurą, która w kilka sekund pochłonęła miliony protonów, wywołując awarię maszyny. Technicy złożyli winę na karb usterki mechanicznej i sprawę zamknęto. Na szczęście dla nas.

- Myślałem, że czarne dziury istnieją tylko w przestrzeni kosmicznej - zauważył ambasador.

- Bo istnieją w kosmosie - zgodził się Castello. - Są tam. Odkryliśmy ich trochę kilka tysięcy lat świetlnych od Ziemi. Są prawdziwymi wrotami do innych przestrzeni i czasów. Jednak na razie pozostają poza naszym zasięgiem. Zresztą nawet gdybyśmy mogli do nich dotrzeć, byłyby zbyt niestabilne, nieprzewidywalne i niemożliwe do kontrolowania. Postanowiliśmy więc stworzyć jedną na Ziemi, w Lacandonie. Mogę pana zapewnić, że wiemy, jak to zrobić - zakończył triumfalnie.

- Moja znajomość fizyki jest bardzo ograniczona, doktorze. Nie mogę zrozumieć, co mają wspólnego połykające protony czarne dziury z pańskim wehikułem czasu - odparł Madoc.

- Wspomniany już przeze mnie Paul Davies przepowiadał, że w dwa tysiące pierwszym roku będzie można stworzyć wehikuł czasu, opierając się na pewnej odmianie

- czarnych dziur zwanych tunelami przestrzennymi. Ich fenomen polega na prostym i skomplikowanym zarazem procesie, który łączy dwie czarne dziury za pośrednictwem tego tunelu. - Przerwał, żeby napić się wody, którą nalał mu O'Malley z dystrybutora stojącego w gabinecie.
- Przepraszam, panie ambasadorze, nie zaproponowaliśmy panu niczego do picia - wykorzystał okazję dyrektor. - Może życzy pan sobie jakiś napój albo kawę?
- Nie. Wystarczy woda, dziękuję. Nie znoszę kawy. - Cameron chciał tylko słuchać Castello, z takim samym zaparciem, z jakim Stanley szukał źródeł Nilu.
- Nie chcę pana zanudzać szczegółami z pogranicza fizyki kwantowej i matematyki - wyjaśnił doktor. - Wystarczy, jeśli powiem, że udało nam się opracować technologię, która pozwala na tworzenie czarnych dziur w naszym laboratorium. W tej właśnie chwili dwie z nich, cały czas przez nas kontrolowane i bardzo stabilne, przemieszczają się w naszym drugim akceleratorze z prędkością bliską prędkości światła. W ten sposób stworzymy różnicę czasową między dwoma otworami tunelu czasoprzestrzennego, który właśnie powstaje. Kiedy ich dziesięcioletni cykl zakończy się bez zakłóceń, otrzymamy wehikuł czasu.
- Według naszych obliczeń za dziesięć lat stworzymy tunel czasoprzestrzenny, który pozwoli nam podróżować nawet trzy tysiące lat wstecz - dodał O'Malley.
- Twierdzą panowie, że moglibyśmy wysyłać turystów w przeszłość, wpuszczając ich do naszego akceleratora? - Cameron nie mógł wyjść ze zdumienia.
- Nie wiemy jeszcze dokładnie, jak to zrobimy, ale mamy dziewięć lat na dopracowanie szczegółów - odparł pewnie.
- Wszystko to, co panowie mi opowiedzieli, brzmi jak bajka o żelaznym wilku - przyznał ambasador, dając wyraz swojemu sceptycyzmowi.
- Wszystko, o czym panu opowiedziałem, jest zgodne z prawami fizyki. Projekt jest

trudny ze względu na skalę przedsięwzięcia, bo do tworzenia tuneli czasoprzestrzennych potrzeba ogromnej energii, która była niemożliwa do uzyskania, dopóki Carlo Rubbia nie wynalazł akceleratora cząstek.

Cameron poczuł nagle ciarki na plecach. Przypomniał sobie pytanie zadane na konferencji prasowej, które wywołało wściekłość Castello.

* * *

Kiedy wyszedł spod prysznic w luksusowym bungalowie przeznaczonym dla gości odwiedzających kompleks Lacandony, usłyszał dzwonek swojego telefonu komórkowego.

Ambasador spojrział na wyświetlacz i rozpoznawszy numer, nacisnął zielony przycisk.

- Eminencja wstaje bardzo wcześnie... - Szybko obliczył różnicę czasu między

Meksykiem a Rzymem. - Nie, nie przerywa mi Eminencja niczego ważnego, poza tym rozmowa z Eminencją jest zawsze przyjemnością, kardynale Grazzianni...

Kiedy kilka minut później odłożył telefon, nie był wcale pewien, czy ta rozmowa rzeczywiście sprawiła mu przyjemność.

Rozdział XV

Viriato, 6 sierpnia 2009 roku

Capita XV. N.S.B.a. Mnisi spotykają ponownie Jaskoniusza, morskiego potwora, i odzyskują garnek, który stał się złoty. Przepelniony światłem młodzieniec przepowiada Brendanusowi we śnie, że jego podróż potrwa siedem lat i że spędzi w Ziemi Obietnicy Świętych czterdzieści dni.

Cameron otworzył drzwi do mieszkania. Znowu zostawił małą fortunę na rynku w dzielnicy Chamartin, gdzie kupił kilogram prawdziwej wołowiny Kobe. Właściciel sklepu mięsnego nazywał się Joselito i powinien mieć swoje miejsce na liście najbogatszych magazynu „Forbes”, sądząc po cenach jego mięsa. Sklep poleciła mu Alejandra, kiedy się

spotkali, żeby pożegnać się przed jej wyjazdem na wakacje.

- Lecimy do Szwecji. Gus chce, żebyśmy poznała jego rodziców.

- Weźmiecie ślub katolicki czy protestancki? - zapytał Cameron złośliwie.

- Nie wiem, czy się pobierzemy, profesorze - odpowiedziała, śmiejąc się. - A jeśli to zrobię, na pewno nie wezmę ślubu w cieniu żadnego krzyża. Gus jest ateistą. Dostaje wysypki od wchodzenia do kościoła. Musiałam nawet przestać nosić medalionik z Matką Boską, który mam od szkoły. - Posmutniała.

- Wszyscy mężczyźni mają swoją ciemną stronę, pani doktor. Oprócz mnie.

Wrócił myślami do wołowiny Kobe, która stanowiła znacznie bezpieczniejszy temat.

Zamierzał urządzić sobie ucztę ze swoją współlokatorką, która ostatnio wywoływała w nim coraz silniejsze uczucia ojcowskie. Nagle zatęsknił za Kelly Lamar, zwaną też Lamarca, i za jej akrobatycznymi wyczynami w łóżku.

Skoncentrował się ponownie na wołowinie. Dzięki wskazówkom Joselita, mięsnego magnata, wiedział już, jak ją przyrządzić, żeby nie zamieniła się w podeszwę.

Wszedł do salonu, chcąc pokazać Loli kawałek delikatnego mięsa, jak nowoczesny myśliwy dumnie demonstrujący swojemu plemieniu kawał mamuta. Zamarł jednak w pół kroku, kiedy zorientował się, że mają gości.

Naprzeciw niego, pod obrazem w stylu Velázquez, siedział facet ubrany w mnisi habit i uśmiechał się do niego szeroko.

Lola weszła do pokoju, jak w sztuce teatralnej, niosąc tacę z zimną lemoniadą.

Wyglądała na szczęśliwą.

- Nie uwierzysz, profesorze - powiedziała z uśmiechem. - To jest pan Viriato Restrepo, wynalazca sosu do *patatas bravas*.

Cameron musiał ścisnąć z całych sił torbę z napisem „Sklepy mięsne Joselito. Mięso

najwyższej jakości”, żeby nie wypadła mu z ręki. Chwilę później siedzieli już we troje wokół dzbanka z lemoniadą, mnich, profesor i świeżo upieczona absolwentka historii, słuchając niezwyklej opowieści i próbując ją zrozumieć. Przez uchylone okno wpadał do salonu kwaśny zapach nerek, które pani Úrsula smażyła piętro niżej. Cameron wyobraził sobie podroby skwierczące na czarnej płaszczyźnie patelni.

Chciał wierzyć, że jego *corrala* jest na poziomie i że pani Úrsula czytuje Joyce’a.

- Z doniesień prasy wynikało, że pan nie żyje - powiedział Cameron do mnicha, zapominając na chwilę o nerkach i patrząc na stronę z „El Mundo” powieszoną w ramce na ścianie. Tę, na której informowano o nieszczęśliwym wybuchu gazu.

- „Zmarli, których zabijacie, cieszą się dobrym zdrowiem”, jak by powiedział Corneille - odparł z sarkazmem mężczyzna ubrany w habit benedyktyński.

- Myślałem, że to zdanie wypowiada Tenorio u José Zorrillo - rzekł Cameron wyzywająco. Przypomniał sobie o zdjęciu dwóch uśmiechniętych mnichów na plaży, zrobionym w czasie karnawału. Ten facet wyglądał dokładnie jak Viriato z fotografii.

- Niech pan przejrzy jeszcze raz tę sztukę, nie znajdzie pan nigdzie tego zdania.

Historia jest pełna kłamstw i niedomówień, gdybym panu opowiedział... - odezwał się mężczyzna.

- Właśnie ta sprawa mnie interesuje - przyznał profesor. - To pan wysłała mi wiadomości napisane czerwonym flamastrem? - Sebastian uznał, że czas wyłożyć karty na stół i rozwiązać kilka zagadek.

- Tak - przyznał Viriato otwarcie. - Domyślam się, że czeka pan na wyjaśnienie, które słusznie się panu należy - podjął, biorąc do ręki szklanekę z lemoniadą, którą podała mu Lola.

- Chciałbym się dowiedzieć, jaka jest moja rola w tej historii. A skoro zdecydował pan, że się nam pokaże, chciałbym skorzystać z okazji i poznać całą historię - powiedział

Amerykanin.

- Ma pan do tego pełne prawo, ale, prawdę mówiąc, sam nie wiem, od czego zacząć.

- Może spróbuje pan od początku? - zasugerował Cameron.

- Niech pan mu opowie o obrazie, bardzo proszę - zaproponowała Lola. - Wiesz, że mamy w salonie autentycznego Velázquez, Sebastianie? To fantastyczna historia - zapewniła go.

- Może profesor Cameron ma rację, Lolu. Powiniennem zacząć swoją opowieść od początku, żeby była zrozumiała - uznał Viriato. - Zaczniemy od tamtej nocy tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku w kościele Świętych Filipa i Jakuba w Cobisie. - Mnich zamyślił się na chwilę. - Być może powiniennem zacząć nieco wcześniej. Tak - powiedział wreszcie. - W ten sposób moja historia będzie bardziej zrozumiała, zwłaszcza że teraz jest również państwa historią - dodał, pozwalając, żeby tajemnica zawisła w powietrzu, w domu, który należał teraz po trosze do każdego z nich.

*

Burza cichła. Ukryty w zaroślach Odran obserwował Mernoca, który nadal klęczał na plaży, twarzą do morza. Tkwił tam bez ruchu od momentu, w którym rozpętała się nawałnica, z pochyloną głową, jakby się modlił. Ze swojej kryjówki Odran mógł dostrzec jego sakwę z cielecej skóry, przerzuconą przez plecy mnicha. Wewnątrz znajdowała się księga, którą on sam wykradł opatowi z Conflert. *Navigatio Sancti Brendani abbatis*, które z takim poświęceniem Brendanus pisał przez ostatnie miesiące. Prawdziwa relacja ich niesamowitej podróży, opisująca wszystkie niezwykle wydarzenia, do których wówczas doszło. Prawdziwa historia, której „ludzie nie byli jeszcze gotowi poznać w tych czasach, bo wszystko psują skazą grzechu”, jak powiedział Mernoc.

Czas, co za paradoks, pomyślał olbrzym.

Mernoc nie mógł mieć do niego pretensji. Wypełnił jego instrukcje co do joty. Tego ranka wszedł do celi Brendanusa i zamienił jego *Navigatio* na to, które Mernoc pisał w sekrecie. Była to inna opowieść o podróży, pełna wysp z gigantycznymi owcami, zastygniętych mórz, morskich potworów, kryształowych kolumn i ognistych gór. Miała wszystko, co było potrzebne kapłanom i kuglarzom gromadzącym słuchaczy wokół paleniska. Żeby prości ludzie otworzyli swoje serce przed Bogiem, kochali Go i byli świadomi Jego wielkości.

„Przecież Brendanus szybko zorientuje się w oszustwie”, powiedział Mernocowi, bardziej przejęty wściekłością opata niż moralnym wymiarem kradzieży. „Opat w końcu to zrozumie, tak trzeba”, odpowiedział Mernoc z typową dla siebie pewnością, która zawsze potrafiła Odrana przekonać.

Zawsze we wszystkim go słuchał. Tym razem ani myślał wypełniać poleceń. „Idę na spotkanie z Panem”, powiedział mu Mernoc tego ranka z takim samym spokojem, z jakim mógłby mu zakomunikować, że idzie pozbierać dzikie jagody.

Odran postanowił również zobaczyć tego dnia oblicze Pana. Będzie szedł za Mernokiem krok w krok, gdzie to będzie konieczne, żeby osiągnąć cel. A potem wróci do Irlandii, jak przepowiedziano.

Nagle zaskoczyła go cisza, jaka zapanowała na morzu. Odran spojrział na ocean, wiedząc, co się zaraz wydarzy.

Fale nie omywały już piasku na plaży. Woda jakby zastygła, tworząc doskonałą płaszczyznę. Wyspa zamilkła. Ustał śpiew ptaków. Wiatr już nie poruszał trzcina ani liśćmi wielkich drzew laurowych otaczających plażę. I wtedy granica morza i nieba zaczęła się rozmywać, aż oba żywioły zlały się w jedno.

Nagłemu błyskowi światła towarzyszył odległy grzmot.

Plaża nie ginęła już pod wodą, w jej miejscu pojawił się gaj oliwny.

„Wrota”, jak mówił Mernoc, właśnie się otwały. Odran zobaczył, jak mnich wstał i ruszył w kierunku drzew. Opuścił wtedy swoją kryjówkę i poszedł za nim.

*

Option* Marek Kasjusz Licyniusz kręcił się nerwowo po pomieszczeniu należącym do najwyższego kapłana Kajfasza. On i jego ludzie opowiedzieli już skrybie Sanemowi o wszystkim, co się wydarzyło w czasie pełnienia warty przy grobie.

Teraz Kasjusz przeklinał samego siebie za to, że nie poszedł prosto do prefekta, Poncjusza Piłata, żeby poinformować go o tym, co wydarzyło się nad ranem.

Niestety, wpadł prosto na skrybę, kiedy szli w kierunku twierdzy Antonii.

Żołnierze byli nadal przestraszeni i opowiedzieli mu wszystko o niezwykłych wydarzeniach, do jakich doszło przy grobie ukrzyżowanego, z najdrobniejszymi szczegółami.

Przypomniawszy sobie, jak jego ludzie, a wszyscy byli Samarytanami, nerwowo rozmawiali ze skrybą po hebrajsku. Czuł się wtedy jakby otoczony przez wrogów. Nie ufał Żydom. Ani samarytańskim pół-Żydom. Tak jak oni, lud okupowany, nie ufali Rzymianom.

Trzeba było pozbyć się skryby i iść prosto do twierdzy Antonii, do swoich. Ale Sanem nalegał, żeby udali się natychmiast do domu kapłana Kajfasza.

Przypomniawszy sobie, jak jego ludzie kiwali głową, aprobując propozycję Żyda.

Twierdzi, że nazywa się Sanem. Kasjusz pomyślał, że musi być kapłanem niższej rangi, z tych, którzy obnosili się ze swoimi tunikami skrybów i kazali nazywać się doktorami prawa. Nie był z Jerozolimy, nikt chyba nie wiedział, skąd się wziął. Twierdził, że przybył do Świętego Miasta, aby święcić Paschę, podobnie jak większość Żydów.

Jednak jego gadanie i narzekania kazały legionistom przypuszczać, że Sanem wypełniał wolę Sanhedrynu, żydowskiego Senatu.

* Option (łac.) - podoficer w rzymskich legionach, podlegający bezpośrednio centurionowi.

Option przeklął dzień, w którym dokładnie miesiąc temu prefekt Judei Piłat wezwał go do swojego pałacu w Cezarei. Option właśnie dotarł do miasta z dziewiątą kohortą XII Fulminata Legio.

Piłat przestudiował informacje dotyczące Kasjusza, a ten, jako dobry oficer służby wywiadowczej, dowiedział się jak najwięcej o Piłacie. Prefekt okazał się zimnym, wyrachowanym typem, który potrafił być bezlitosny, nawet okrutny, jeśli okoliczności na to pozwalały. Jednak był również skuteczny, pomimo nadużyć, jakich się dopuszczał. Piłat przybył do Palestyny cztery lata wcześniej, a trzeciego roku Rzym przedłużył jego kadencję, na co decydował się rzadko w przypadku funkcjonariuszy zajmujących stanowiska na prowincji.

Święte Miasto nienawidziło Piłata. Nie zapomniało mu świątokradczego ulokowania jego insygniów wojskowych na twierdzy Antonii i pałacu Heroda. Ani tego, że „pożyczył” pieniądze ze skarbu świątyni, żeby sfinansować budowę akweduktu, co pozwoliło na zwalczenie suszy nękającej Jerozolimę. Ani masakry Żydów, powybijanych przez legionistów, kiedy protestowali przeciw plugawieniu świętego skarbu.

- Przejdę od razu do sedna, oficerze - powiedział mu prefekt. - Z informacji, jakie otrzymałem, dowiedziałem się, że masz doświadczenie w wywiadzie - podjął, przerzucając pergaminy leżące w jego gabinecie na stole z greckiego marmuru, podczas gdy przez znajdujące się za jego plecami okno wpadały dźwięki z ulicy i rześka bryza.

- Mam zdolności językowe, panie. Mówię płynnie po grecku i aramejsku, a teraz uczę się hebrajskiego...

- Dobrze - przerwał mu, podnosząc wzrok znad papierów. - Misja jest twoja.

Wyruszyście jeszcze dziś na poszukiwanie Jezusa.

- Jezusa? - Nigdy wcześniej nie słyszał tego imienia.

- To żydowski buntownik. Według moich informacji Jezus, którego nazywają Rabbi, oraz ci, którzy nazywają samych siebie jego uczniami, mają zamiar przybyć do Jerozolimy na święto Paschy. Masz ich obserwować i informować mnie o ich wszystkich ruchach.

Zobaczymy się w Świątym Mieście za dwadzieścia dni. Życzę udanej służby, oficerze.

*

- Najwyższy kapłan zaraz do nas dołączy. - Sanem wyrwał Kasjusza z rozmyślań, dotykając jego ramienia z niemal kobiecą delikatnością. - Już mu opowiedziałem o tym, co według was wydarzyło się przy grobie. Sądzę, że powinniście go wysłuchać, on umie sobie radzić z takimi sytuacjami.

Kasjusz odsunął się od niego gwałtownie, ten człowiek wywoływał w nim głęboki wstręt.

*

Mernoc i Odran zatrzymali się przy niewielkiej polance otoczonej stuletnimi drzewkami oliwnymi. Ziemia była wydeptana dziesiątkami stóp. Olbrzym, który był wojownikiem, zanim przywdział habit, od razu zrozumiał, że tu walczyli z sobą ludzie. Mernoc oparł się o gruby pień jednego z drzewek, był bardzo blady.

- Dobrze się czujesz? - zapytał go Odran, podchodząc bliżej w obawie, że jego towarzysz wpadnie w następny trans.

- On tu był - odparł Mernoc, otwierając szeroko niewidzące oczy. - Mogę Go wyczuć. Jesteśmy w Getsemani, bracie. Mogę wyczuć Jego obecność! - Jego piersi drżały jak w konwulsji. - Musimy się pospieszyć, możemy Go jeszcze uratować!

*

- Potwierdzasz wersję swoich ludzi, optionie? - Najwyższy kapłan patrzył mu prosto

w oczy.

- Wszystko wydarzyło się tak, jak opowiedzieli. - Kasjusz nie dał się zastraszyć ani Kajfaszowi, ani sześciu uzbrojonym strażnikom, którzy patrzyli na niego wrogo.

- No tak - powiedział kapłan, nie ukrywając niedowierzania. - Chcesz, żebym uwierzył, że kamień o wadze trzech ton zakrywający wejście do grobu Józefa z Arymatei został przesunięty bez wysiłku przez niebiańskie stworzenia ze skrzydłami, które zstąpiły z chmur. Mam również uwierzyć, że z grobu wyszedł ukrzyżowany na własnych nogach i następnie wstąpił do nieba w asyście jednego z aniołów. - Urwał. - To świadectwo może ci zepsuć wspaniałą karierę, jeśli będziesz się przy nim upierał. - Kajfasz schował prawą rękę za plecami, próbując ukryć jej drzenie. Znow ogarniała go panika. Po zaćmieniu słońca i trzęsieniu ziemi, które towarzyszyły śmierci Nazarejczyka, brakowało już tylko jego zmartwychwstania, żeby lud wskazał Kajfasza jako następnego kandydata do ukrzyżowania. O ile wcześniej nie napadną na jego dom i nie zlinczują go na miejscu. Musiał jak najszybciej zamknąć tę sprawę. Od tego zależało jego życie.

- Ja mogę mówić tylko o tym, co widziałem - odparł rzymski oficer z zimną krwią, patrząc przed siebie z podniesioną głową.

Najwyższy kapłan pomyślał, że gdyby jego stosunki z pretorem Judei były lepsze, mógłby zabić Rzymianina w tej samej chwili.

- Mam inną wersję wydarzeń - oświadczył Kajfasz ze spokojem w głosie, którego brakowało mu w sercu. - Jest dużo bardziej spójna i rozsądna niż twoja. I z pewnością przyniesie korzyści nam wszystkim - dorzucił zagadkowo. - Zresztą pomysł nie jest właściwie mój - przyznał w niezwykłym przyпыływie szczerości, wymieniając spojrzenia ze skrybą, który obserwował całą scenę z czymś na kształt uśmiechu i dziwnym błyskiem w oku.

*

Mernoc i Odran dostrzegli na południu mur Jerozolimy i poszli w jego stronę. W innych okolicznościach padliby na kolana na widok Świętego Miasta i dziękowali Bogu za możliwość oglądania murów, które oglądały również oczy Jezusa, kiedy chodził tymi samymi ścieżkami. Jednak nie mogli tracić czasu. Za chwilę mieli zobaczyć twarz Boga i może nawet zmienić bieg historii.

Mózg Odrana pracował pełną parą, wymyślając dziesiątki sposobów na uratowanie Go z opresji. Wiedział już dzięki Mernocowi, że Pan został pojmany. Dotknął prawą ręką ukrytej w fałdach habitu głowni miecza hiszpańskiego pirata. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie obędzie się bez użycia siły.

Minęli niewielkie wzgórze i Odran zobaczył coś, czego nigdy nie chciałby widzieć. Naprzeciwko niego, na tle rozjaśnionego świtem nieba, rysowały się sylwetki trzech pustych krzyży. Sokoli wzrok pozwolił mu dostrzec na nich ślady zakrzepłej krwi.

Poczuł ucisk w sercu, a jego duszę zalała fala smutku. Przed nim Mernoc nadal szedł do przodu, nieświadom obecności pejzażu i otaczających go symboli.

*

- Jezus jest sprawiedliwym. - Kasjusz podsumował w ten sposób treść raportu, który przedstawił Piłatowi.

- Proszę, wystarczyło ci spędzić kilka dni w towarzystwie naszego buntownika i wpadłeś w jego sidła - odpowiedział prefekt. - Wiesz, że moja żona, Klaudia Prokula, śniła o nim? - Nalał sobie wina z dodatkiem przypraw, od przyjazdu do Jerozolimy nie mógł ugasić pragnienia. - Krwawe sny. Mówi, że Jezus, sprawiedliwy, jak twierdzisz, podda mnie wielkiej próbie. - Nagle twarz mu stężała, mlasnął językiem, jakby chcąc odpędzić złe myśli. -

Wierzysz w sny, Kasjuszu?

- Ja wierzę tylko w to, co widzę - odparł żołnierz.

- I dobrze robisz, ten nawyk utrzyma cię przy życiu - zauważył Piłat. - A co teraz robi

„mistrz”, jak nazywają go jego „uczniowie”?

- Zatrzymali się w domu Józefa z Arymatei, po triumfalnym wjeździe do Jerozolimy.

- Na jego cześć wiwatowało około dziesięciu tysięcy ludzi, według naszych

szacunków - przypomniał sobie informację otrzymaną od optiona. - Według ostatniego

liczenia pielgrzymów - Piłat zarządzał codzienne liczenie przybyszów u bram miasta - ich

liczba wzrosła o ponad sto pięćdziesiąt tysięcy. A więc w naszym mieście jest w tej chwili

około stu osiemdziesięciu tysięcy rozochoconych Żydów, którzy chcą uczcić Paschę w

Jerozolimie*. Mężczyźni zamilkli. Kasjusz musiał przyznać, że pełnienie funkcji pretora nie

było w tych burzliwych czasach zadaniem łatwym.

- Co roku legat na Syrię, któremu podlega Palestyna, zmusza mnie do opuszczenia

mojego pałacu w cywilizowanej Cezarei i przeniesienia się do tego tak zwanego Świętego

Miasta - powiedział Piłat gorzko. - Moim obowiązkiem jest pozostać tutaj tak długo, aż

ostatnia z moich tunik zacznie śmierdzieć mięsem palonym w ofierze na ulicach. - Piłat

zdecydowanie nie lubił Żydów. - Legat uzasadnia przydzielenie mnie na piętnaście dni do

tego piekła, ponieważ jego zdaniem moja obecność symbolizuje władzę Rzymu, a to pozwala

uniknąć zamieszek. - Kasjusz uznał, że pretor musiał się chyba podchmielić. - A jednocześnie

legat co roku redukuje podległe mi oddziały. W tym roku mam do dyspozycji tylko jedną,

dziewiątą kohortę z Dwunastej Fulminata Legio. - Uśmiechnął się zjadliwie. - Dziewiąta jest

najsłabsza z całego legionu i nie ma żadnego doświadczenia na polu walki. Na domiar złego

została utworzona z dodatkowych legionistów, zbieraniny Syryjczyków, Greków i Samarytan.

Może teraz zrozumiesz, dlaczego moja straż przyboczna składa się ze wszystkich sześciu

centurionów wchodzących w skład twojej kohorty**. Tak wygląda nasza sytuacja, Kasjuszu.

Mam czterystu osiemdziesięciu kandydatów na legionistów, którzy powinni utrzymać

porządek w pełnym buntownikó w mieście liczącym sto osiemdziesiąt tysięcy Żydów czekających tylko na pretekst, żeby nas wymordować.

- Uknuł spisek, żeby zamordować Jezusa, panie.

- Co takiego? - Piłat znów skupił całą swoją uwagę na oficerze.

- Jest pewien kapłan, skryba zwany Sanem, który śledzi Jezusa od Bretanii. Spotykał się wielokrotnie z Annaszem i Kajfaszem, najwyższymi kapłanami Jerozolimy. Wiem, że kontaktował się również z jednym z uczniów Nauczyciela. Z Judaszem.

- Co knuje ten skryba, twoim zdaniem?

- Przekonał kapłanów, że Jezus stanowi zagrożenie dla właściwej interpretacji prawa i dla nich samych. Trzeba przyznać, ekscelencjo, że nie odbiega w tym zbyt daleko od rzeczywistości. Rabbi już nieraz podawał w wątpliwość działania kapłanów. Liczba jego zwolenników idzie w tysiące, a przedstawiciele kleru nie mają zamiaru oddać bez walki władzy nad ludem.

Piłat przypomniał sobie niedawny incydent w świątyni. Poinformowano go, że

* W czasach Jezusa liczba stałych mieszkańców Jerozolimy wynosiła, według rzymskich spisów, prawie 30 000. Podczas świętowania żydowskiej Paschy liczba osób przebywających w Świętym Mieście mogła przekraczać 180 000.

** Każda kohorta składała się z sześciu centurii, w których skład wchodziło po osiemdziesięciu ludzi.

Na czele centurii stali zaprawieni w bojach i doświadczeni oficerowie - centurioni.

wywrotowiec z Nazaretu wyrzucił z niej kupców, poganiając ich kopniakami i biczem,

wywracając stragany i niszcząc towar. Byłby to zwykły przypadek zakłócenia spokoju, gdyby

kupcy nie płacili kapłanom sporej daniny w zamian za pozwolenie na handel w Domu

Bożym. Jeśli ktoś chciał popełnić samobójstwo w Jerozolimie, wystarczyło, żeby poszedł w

Ślady Jezusa.

- A jaka jest rola Judasza? - Skoro kapłani zdołali infiltrować najbliższe otoczenie

Jezusa, musieli traktować sprawę śmiertelnie poważnie.

- Sanem gra w podwójną grę. Zdobył zaufanie Judasza, najsłabszego z uczniów.

Podzielił się z nim fantastycznym planem uratowania Jezusa i wydostania z Jerozolimy, żeby

ocalić jego życie. Judasz jest przekonany o jego dobrych intencjach i tej nocy zaprowadzi

kapłanów do Jezusa. Mają zamiar go pojmać i osądzić.

- To jest niemożliwe - odparł Piłat. - Trwa Pascha. W tym czasie żydowskie prawo

zabrania odbywać sądy i przeprowadzać egzekucje.

- Oni wcale nie myślą o żydowskim prawie, myślą o prawie rzymskim - odparł

Kasjusz.

Piłat poczuł nagle gorzki smak w ustach i przypomniał sobie sen i słowa swojej żony,

Klaudii Prokuli.

*

Kasjusz szedł z trudem po pochyłym zboczach, wzdłuż drugiego muru obronnego

otaczającego miasto. Zmierzał na żydowski cmentarz leżący na północny wschód od

Jerozolimy, nieopodal ogrodu Golgoty, w którym znajdowała się stara kopalnia malachitu. Za

nim podążało dwóch uśmiechniętych mężczyzn żartujących o swoim rychłym awansie.

Pochód zamykał Sanem, jak triumfujący i złowrogi cień. W sakwie oficera pobrzękiwało

trzydzieści sestercji, które Kasjusz dostał w zamian za milczenie i wsparcie oficjalnej wersji

kapłanów. Według nich dwudziestu uzbrojonych po zęby uczniów Jezusa zaskoczyło strażę i

ukradło ciało ukrzyżowanego. Kasjusz przyjął pieniądze, wiedząc, że nie ma innego wyjścia,

jeśli chce wyjść żywy z domu najwyższego kapłana.

Sanem kazał im wrócić do grobowca, żeby usunąć wszelkie ślady, zanim żołnierze

wrócą do twierdzy Antonii, by zdać relację pretorowi.

*

Za zakrętem ścieżki prowadzącej przez ogród, w jaki zamieniły się dawne

kamieniołomy malachitu, zobaczyli żydowskie groby. Były wyciosane z żywej skały*,

* Groby typu *kokhim*, wykute z kamienia, przypominały kształtem grotę, a wejście do nich tarasowano

głazem.

wydobytej niegdyś w opuszczonych kamieniołomach.

Mernoc zwolnił kroku, jakby budził się z transu. Ogarnęły go złe przeczucia. To

Odran jako pierwszy zobaczył otwarty grób, stojący w oddaleniu od pozostałych.

*

Trzeciego dnia po straceniu Jezusa do uszu pretora dotarły plotki, a miał szpiegów w całym mieście.

Zastanawiał się, dlaczego Kasjusz nie powiadomił go natychmiast o tym, co się stało.

Nie niepokoił go los oficera, ale brak informacji z pierwszej ręki o tym, co wydarzyło się przy grobie ukrzyżowanego, którego sam nakazał pilnować.

Wedle jego informatorów po Jerozolimie krążyły dwie sprzeczne wiadomości.

Według jednej z wersji Jezus zmartwychwstał, jak sam przepowiedział przed śmiercią.

Według innej - jego uczniowie ukradli ciało. Ta ostatnia była rozgłaszana przede wszystkim przez kapłanów.

- Przybył wysłannik Kajfasza, ekscelencjo. - Jeden z centurionów wszedł do sali.

*

Poncjusz Piłat wyszedł na patio twierdzy Antonii. Dziewiąta kohorta stała w szyku na

dzieńcu. Centurioni zagwizdali na gwizdkach i sześć centurii stanęło na baczność z

chrzęstem, uderzając podbitymi sandałami o bruk i szczękając bronią.

Byli wyposażeni w cały ekwipunek: tarcze, krótkie miecze oraz lekkie i ciężkie oszczepy. Ich hełmy i kolczugi wykonane z grubych żelaznych pierścieni zostały wypolerowane i lśniły teraz złowieszczo w słońcu Judei. Był dziesiąty kwietnia piętnastego roku panowania cezara Tyberiusza.

Centurioni, którzy stali już przy swoich oddziałach, wykonali dobrze swoją pracę.

Komuś, kto nie znał dziewiątej kohorty, mogła się ona wydać doskonale wytrenowaną maszyną do zabijania.

Kiedy Piłat zobaczył poruszany słabą bryzą szkarłatny sztandar przedstawiający wilczycę karmiącą Remusa i Romulusa oraz wyhaftowaną srebrną nicią nazwę legionu, poczuł dumę i tęsknotę.

Tak bardzo chciał wrócić do Rzymu.

Dwaj żołnierze przyprowadzili do niego kapłana należącego do Sanhedrynu.

Mężczyzna zatrzymał się kilka kroków przed pretorem, był najwyraźniej pod wrażeniem parady wojskowej. Zgodnie z planem Piłata.

Kapłan podał pretorowi wiadomość od Kajfasza, uniżenie pochylając głowę i wciąż zerkając na groźnie wyglądające oddziały.

Najwyższy kapłan napisał swoją wiadomość po łacinie zamiast po hebrajsku, nie chcąc, aby w tłumaczeniu zagubił się sens jego przesłania.

Pretor przeczytał pismo, w którym Kajfasz informował go, że grób Jezusa został zaatakowany przez jego uczniów. Zabrali oni ciało ukrzyżowanego, w związku z czym należało się spodziewać wybuchu zamieszek w mieście. Kajfasz prosił o przesłanie rzymskich żołnierzy do obrony świątyni, Sanhedrynu i jego domu. Prosił również o zwiększenie liczby uzbrojonych patroli w celu zduszenia w zarodku wszelkich zarzewi buntu, „aby chronić w Jerozolimie prawdziwą władzę Rzymu i naszego cezara”.

Piłat zacisnął szczęki, czytając ostatnie zdanie. Gdyby Kajfasz stał teraz przed nim, udusiłby go na miejscu suszonym wieprzowym jelitem. Być może będzie miał okazję później. Odwrócił się do posłańca i odpowiedział mu na tyle głośno, żeby usłyszały go także pierwsze szeregi oddziału.

- Powiedz kapłanowi Kajfaszowi, że nie wyślę ani jednego legionisty do obrony jego domu, Sanhedrynu czy świątyni. Przekaż mu również, że ani jeden żołnierz nie opuści twierdzy, żeby patrolować ulice Jerozolimy w ciągu najbliższych dni. I powiedz najwyższemu kapłanowi, że będzie odpowiadał głową za najmniejszy wybuch zamieszek, za każdy akt przemocy, do jakiego dojdzie w mieście z powodu ukrzyżowania i śmierci sprawiedliwego zwanego Jezusem. Pojąłeś?

Kapłan skinął głową w geście zrozumienia, marzył o wydostaniu się z twierdzy.

- W takim razie odejdz i powiedz Kajfaszowi, że cała siła i władza Rzymu czekają na niego w twierdzy Antonii i że pożałuje, iż narodził się z kobiety, jeśli zmusi mnie do pójścia po niego.

Splunął pod stopy kapłana, zgodnie ze starym zwyczajem rzymskich legionistów, aby odstraszyć złe duchy przed bitwą. Odwrócił się do stojących na dziedzińcu legionistów z dziewiątej kohorty i krzyknął, podnosząc zaciśniętą pięść:

- *Roma vincit!*

- *Roma vincit!* - odpowiedziało jak jeden mąż czterysta osiemdziesiąt gardeł.

Pretor usłyszał za plecami szybkie kroki kapłana, opuszczającego w pośpiechu teren twierdzy.

*

Zakonnicy podeszli do wejścia do grobu. Zamykający je gład był odsunięty. Mernoc płakał rzewnymi łzami. Nie mógł tego zrozumieć. W jego wizji anioły zapewniły go, że

zobaczy oblicze Pana.

Nagle usłyszeli hałas dochodzący z wnętrza grobowca. Zdaniem Odrana brzmiał jak głośny szelest skrzydeł. To musiał być ogromny ptak. Zdawało się, że jego skrzydła ocierają się o ściany grobowca. Pewnie był wystraszony i próbował wydostać się na zewnątrz. Obaj instynktownie odsunęli się od wejścia. Dźwięk skrzydeł ocierających się o skały zbliżał się w ich kierunku. Odran zrozumiał wtedy, że to wcale nie był ptak, i ogarnęła go panika. Zaczął szukać rękojeści miecza. Nagle ogromna siła powaliła ich na ziemię, a z grobowca zaczęło wydobywać się światło.

*

Option i jego ludzie nie widzieli jeszcze grobu Jezusa, ale słyszeli już niezwykłą muzykę, która dobiegała zza pagórka oddzielającego ich od ogrodu Golgoty.

Dla Kasjusza była to niebiańska muzyka, jednak jego samarytańska eskorta nie miała najmniejszej ochoty przeżywać ponownie tej samej przygody. Po prostu uciekli, lekceważąc najpierw jego rozkazy, a następnie przekleństwa. Jeden z nich porzucił nawet lancę.

Skryba Sanem nie zrobił nic, żeby ich zatrzymać.

*

Unosił się przed nimi skąpany w czystym białym świetle, poruszając powoli skrzydłami. Czuli, jak jego pióra drżą, wytwarzając najpiękniejszą muzykę, jaką kiedykolwiek słyszeli.

Mnisi wstali powoli, patrząc na niebiańską istotę.

Odran wpatrywał się w jej okrągłą twarz o delikatnych rysach. Miała jasnoblękitne oczy o podłużnym kształcie, lekko uniesione, przez co wyglądała, jakby cały czas się uśmiechała. Olbrzym pomyślał, że nie było piękniejszego uśmiechu niż to spojrzenie.

Anioł mówił do nich, nie poruszając ustami.

Napełniał ich miłością i pokojem.

Powiedział Odranowi, że jego ojciec i bracia odpoczywają po bitwie w szczęśliwym miejscu. I że będą tam na niego czekać, aż wybijie jego godzina.

Mernoca zapewnił, że zanim nastanie nowy dzień, zobaczy oblicze Pana i będzie się cieszył Jego obecnością, jak zawsze marzył. Że był dobrym synem i Ojciec jest z niego dumny.

Obu prosił, aby głosili dobrą nowinę, że Bóg ich nie opuścił, wręcz przeciwnie, będzie zawsze mieszkał w sercu sprawiedliwych i tych, którzy zechcą Go przyjąć.

Zaczął wznosić się do nieba, aż zakonnicy musieli zasłonić oczy przed palącym je białym światłem. Był Słońcem.

Kiedy znów na siebie spojrzeli, anioł zniknął.

Zakonnicy weszli w milczeniu do wnętrza grobowca.

*

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że prosząc mnie o to, ryzykujesz coś więcej niż miejsce w Sanhedrynie? - zapytał pretor Judei.

- Jezus był dla mnie jak syn, ekscelencjo. Zostałem jego opiekunem, kiedy jego ojciec, Józef, opuścił nas przedwcześnie. Maria, jego matka, jest mi najmilszą z sióstr. Traktowała mnie, najmłodszego z braci, jak syna. Chciałbym choć trochę odwdzińczyć się jej za to, co od niej otrzymałem - odparł bez fałszywej skromności Józef z Arymatei, członek żydowskiego Senatu i dekurion Imperium Rzymskiego. Był namaszczonym przez metropolię pośrednikiem dla wydobycia ołowiu i cyny w Palestynie. Józef zgromadził pokaźną fortunę i był jedną z najważniejszych osobistości Jerozolimy. W dniu, w którym Nazarejczyk umierał na krzyżu, zwrócił się do Piłata z niezwykłą prośbą, która mogła zagrozić jego świetnej karierze*.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Józefie. W dodatku odważnym - przyznał pretor. - To

rzadkie połączenie w dzisiejszych czasach. - Zastanowił się przez chwilę. - Gdzie chcesz pochować ciało?

- Złożę je w grobie rodzinnym, zgodnie z naszym obrządkiem. - W rzeczywistości był to jego własny grobowiec, wybudowany na cmentarzu nieopodal ogrodu na Golgocie. Pretor milczał chwilę, jakby rozważając argumenty za i przeciw. Jego zgoda na pewno zirytuje kapłanów, którzy woleliby pochować ciało Jezusa w zbiorowym grobie, jak zwykłego rzezimieszka.

Ale Józef z Arymatei był jedynym człowiekiem, którego obchodził los ciała tego nieszczęśnika. Ci, którzy nazywali się jego uczniami, ulotnili się co do jednego, jak reszta jego zwolenników.

Została tylko garść zapłakanych kobiet lamentujących u stóp krzyża, jak poinformował go niezawodny Kasjusz.

- Niech tak będzie - powiedział wreszcie. - Możesz zabrać ciało Nazarejczyka, żeby pochować je zgodnie z waszym zwyczajem. Mój option, Kasjusz Licyniusz, będzie was eskortował z uzbrojonym oddziałem i pełnił straż przy grobie przez trzy dni. - Wiedział o przepowiedni tego biednego szaleńca, „po trzech dniach powstanę z martwych”. - Nie chcę żadnych kłopotów z tego powodu - skłamał.

*

Grobowiec, do którego weszli zakonnicy, był zwrócony na wschód. Musieli się pochylić i iść niemal na czworakach, żeby zmieścić się w ciasnym wejściu prowadzącym do

* Józef z Arymatei został oskarżony przez Kajfasza o wykradzenie z grobu ciała Jezusa i uwięziony w jednej z wież Jerozolimy. Uwolniono go wiele miesięcy później. Z powodu przyjęcia chrześcijaństwa nadal

cierpiał prześladowania, uciekł z Palestyny i osiadł na terenie dzisiejszej Francji bądź Anglii. wąskiego korytarza.

Mimo że wewnątrz było mało światła, Mernoc zauważył jasny włos, który lśnił na sklepieniu, oraz śnieżnobiałe pióro zgubione na podłodze. Zabrał z namaszczeniem obie relikwie.

Kiedy wyszli z korytarza, znaleźli się w przedsionku prowadzącym do właściwego grobowca. Po prawej znajdowała się ławka o długości około dwóch metrów, wyciosana ze skały przy północnej ścianie pomieszczenia.

Przy ławce stały puste szklane naczynia, które musiały zawierać oleje, maści i sole służące do oczyszczania i balsamowania zwłok.

Znaleźli tam również przybory do pisania, wskazujące na to, że sporządzono protokół z pogrzebu.

Dwie lampy olejne świeciły słabo, z trudem walcząc z ciemnościami panującymi w grobowcu.

Rozglądając się po pomieszczeniu, Odran zauważył, że Mernoc zanotował coś na kawałku papirusu i schował to ostrożnie, razem z włosiem i piórem anioła, do pustego pojemnika, które zawierało wcześniej mirrę i aloes.

Wtedy usłyszeli dźwięk kroków dobiegający spoza grobowca.

*

Kasjusz dostrzegł wychodzącą z grobowca postać. Wydawało mu się, że nosiła kaptur na syryjską modłę. Zareagował instynktownie, w odruchu obronnym wyuczonym podczas lat doświadczeń. Zaatakował lekkim pilum człowieka, który wyłonił się z grobu. Lanca weszła w ciało poniżej lewego obojczyka i wyszła ponad łopatką, przeszywając ciało na wylot tak silnie, że uderzyła o malachitową ścianę za mnichem.

Kasjusz wyrwał broń z ciała mężczyzny, który z głuchym jękiem upadł ciężko na ziemię. Option usłyszał za plecami okrzyk skryby ostrzegający go przed nowym atakiem i

przygotował się na jego odparcie.

Jednak drugi Syryjczyk potrafił się bić, sparował szablą atak lancy Kasjusza i uderzył go mocno w czoło ręką broni.

Kasjusz zobaczył błysk światła, po którym zapadła ciemność.

*

Odran wiedział, że ma swojego przeciwnika z głowy na kilka godzin.

Nie chciał zabijać nieprzytomnego człowieka, który nie miał możliwości obrony.

Uważał, że to niehonorowe. Byłoby to również niegodne dobrego chrześcijanina, a przecież nie darmo przywdział habit po latach życia pełnego błędów i przemocy. Rozejrzał się za drugim mężczyzną, którego widział za plecami legionisty. Nie znalazł go jednak nigdzie.

Podszedł do drogi, aby sprawdzić, czy dogoni przeciwnika. Ale na piaszczystej drodze nie było nikogo, jeśli nie liczyć wielkiego kozła o czarnej sierści upstrzonej siwymi pasmami, starego jak sam czas, który patrzył mu w oczy gotów do ataku.

Odran poczuł pokusę, żeby zasztyletować bezczelne zwierzę, podszedł do niego nawet na kilka kroków z zamiarem przerobienia go na kotlety. Jednak zawrócił, ledwie panując nad odruchem wymiotnym. Bydlę wydzielało nieopisany smród.

Cichy jęk Mernoca za jego plecami ostatecznie zniechęcił go do walki ze śmierdzącym kozłem.

- Wracaj do piekieł, diabelski pomiole. - Splunął w kierunku zwierzęcia.

W tej chwili najważniejsze było powstrzymanie krwotoku jego towarzysza.

Rozdział XVI

Noc 1936 roku.

W kościele Świętych Filipa i Jakuba (Część druga)

Capita XVI. N.S.B.a. Morskie potwory otaczają *curragh*. Mnisi walczą z nimi przez

trzy dni i trzy noce. Sztorm spycha ich na skały wyspy. Potwory giną porwane na kawałki, a mnisi robią zapasy z ich mięsa.

Siedzieli oboje, historyk i studentka, na rozklekotanych fotelach, które wystawili z salonu na galerię wychodzącą na patio *corrali*. Nad ich głowami rozpościerało się nocne niebo Madrytu. Tej gorącej nocy szóstego sierpnia robili coś, co, zdaniem Camerona, musiały robić dziesiątki pokoleń tutejszych mieszkańców.

To był rytuał, który powinien się powtarzać, pokolenie za pokoleniem, dopóki stara *corrala* będzie stać w tym miejscu.

Lola kolejny raz podała mu skręta. Profesor zaciągnął się po raz kolejny bez entuzjazmu. „Trawka nie jest moja”, powiedziała mu niemal przepaszająco. „Dał mi ją w prezencie chłopak z dołu, ten malarz. Trzymałam ją na wypadek stresującej sytuacji. A dziś mieliśmy dość stresu, nie?”.

Mimo że Cameron przeżył większość życia na uniwersytecie, nigdy nie zaprzyjaźnił się z marihuaną. Jedyne podróże, jaką mu oferowała, prowadziła go zawsze w sen. Jednak tej nocy dał się ukołysać w ramionach narkotyku, mając nadzieję, że może alkaloidy pomogą mu znaleźć racjonalne rozwiązanie niezwyklej historii, w którą został wplątany.

Viriato już wyszedł. Wrócił do swojej kryjówki. „Nie powinienem się tu kręcić, wszyscy sąsiedzi mnie znają, a przecież jestem martwy”, podróżnik w czasie potrafił być bardzo logiczny, kiedy chciał.

Wypytywał ich o panią Mariló. „Przez nią bardzo ciężko było mi podjąć decyzję o mojej śmierci. Z powodu moich podróży nigdy się nie ożeniłem - wyjaśnił - ale zawsze byłem kobieciarzem. Tyle że Mariló miała mnie za wariata. Wiedzieliście, że prawie została miss świata? Ten wybuch gazu był dość niefortunny - oznajmił. - A mówiłem codziennie Habibiemu: nie odpalaj skrętów od gazu, cholera, któregoś razu wylecimy wszyscy w

powietrze. No i nie przestał, dopóki nie wysadził połowy dzielnicy”.

Cameron zaciągnął się głęboko, skupiając się na żarzącej się końcówce skręta.

Chciał spać. Następnego dnia, choć wszystko było zaplanowane, czekało go znów sporo emocji.

Viriato oświadczył im dobitnie, że dziesiątego sierpnia, „wraz z deszczem Perseidów”, powinni być na wyspie. Wszyscy troje, tak jak przepowiedział Mernoc w swoim dzienniku, *Księżde czasu*.

Cameron zamknął oczy, wspominając drugą część opowieści mnicha. Wreszcie zasnął i śniły mu się pola żółtych kwiatów.

*

Zakonnicy przemierzali pole żółtych kwiatów. Olbrzym niósł Mernoca na plecach.

Wydawało się, że dzięki kawałkowi tkaniny znalezionej w grobowcu udało mu się zatamować krwotok towarzysza.

Musieli opuścić cmentarz w pośpiechu, ponieważ zobaczyli, że do grobu Jezusa zbliża się jakaś kobieta. Obawiali się zresztą, że zaraz na miejsce dotrą żołnierze i ciekawscy. Był jednak jeszcze jeden, znacznie ważniejszy powód, żeby nie zostawać przy grobie ani minuty dłużej. Wrota za chwilę miały się zamknąć.

Odran odwrócił się, żeby po raz ostatni spojrzeć na miasto, którego kształt wyznaczały mury i dachy najważniejszych budynków. Złota kopuła świątyni lśniła w południowym słońcu. Westchnął głęboko i pożegnał się z Jerozolimą.

Tak mało brakowało, żeby poznali Pana... Ledwie trzy dni. Pochylił się i rozsunął płatki żółtych kwiatów, żeby podnieść garść ziemi, którą schował do kieszeni, zgodnie ze zwyczajem, jakiego nabył w czasie licznych podróży. Następnie ruszył ku gajowi oliwnemu. Zatrzymał się między drzewkami. Jego zmysł orientacji musiał go zawodzić, bo

znalazł się w innym miejscu gaju niż to, z którego przyszli.

Nie mógł znaleźć nacięcia, które zrobił na jednym z pni, żeby zaznaczyć wrota.

Burza zbierała się nad ich głowami i Odran mógł nadal słyszeć daleki huk piorunów.

Położył Mernoca na czerwonej ziemi, opierając jego plecy o poskręcany pień drzewka oliwnego, żeby mieć swobodę ruchów w czasie poszukiwań, - Zaraz wrócę, bracie. Nie ruszaj się stąd, muszę znaleźć wrota - powiedział, nie mając pewności, czy Mernoc jest w stanie go usłyszeć.

Zakonnik nie odpowiedział. Nadal miał zamknięte oczy i był bardzo blady wskutek utraty dużej ilości krwi. Jego pierś poruszała się konwulsyjnie w nieregularnym, świszczącym oddechu.

Odran, który widział więcej ranionych białą bronią, niż przystało mnichowi, wiedział, że jedno z płuc Mernoca zaczęło się zapadać. Jeśli nie odda go szybko w ręce brata Xaviera, Mernoc nie będzie miał szans na przeżycie.

Ruszył na poszukiwanie wrót z energią, jaką daje rozpacz.

Wiatr wzmógł się, potrząsając gałęziami i odrywając kilka niedojrzałych jeszcze oliwek, które uderzały o habit mnicha jak lekkie pociski.

Błyskawice co chwila rozświetlały niebo, odciskając na nim swoje kształty. Grzmoty docierały do uszu Odrana, jakby były odbijającym się w gigantycznej tubie echem.

Wtedy je zobaczył.

*

Mernoca obudził grzmot. Przez chwilę czuł napływ nieograniczonej energii. Musi znaleźć wrota, w przeciwnym razie zostanie w Jerozolimie na zawsze. A Święte Miasto bez Pana chodzącego po jego ulicach nie interesowało go w najmniejszym stopniu.

*

Odran z trudem przeszedł przez „drzwi” i upadł twarzą na piaszczystą plażę. Był w domu, ale musiał wrócić po Mernoca, nie mógł zostawić go w Jerozolimie. Plaża i gaj oliwny zaczęły się rozmywać.

*

Odran dobiegł do drzewa, pod którym zostawił Mernoca. Kiedy zobaczył, że jego towarzysza już tam nie ma, wpadł w panikę. Zaczął go wołać, próbując przekrzyczeć wycie wiatru i szum burzy.

Wydawało mu się, że między oliwkami widzi jakąś postać. To musiał być Mernoc.

Ruszył więc w jego stronę.

Później przypomniał sobie, że kiedy właśnie miał dopaść towarzysza, rozległo się nad ich głowami uderzenie, którego najbardziej się obawiał. Wszystko zniknęło w powodzi białego światła i zanim stracił przytomność, poczuł, że znów podróżuje.

*

Odran się ocknął. Bolała go głowa i każdy mięsień. Zapadł zmierzch. Pomimo braku światła dostrzegł kontury drzewek oliwnych, które otaczały go ze wszystkich stron. Przeklął zły los. Nie udało się. Został w Jerozolimie, trzy dni po śmierci Chrystusa.

Próbował nie poddać się panice. Pamiętał dobrze słowa Mernoca: „Z Jerozolimy odejdziemy, okrążając figurę Upadłego Anioła, trzy dni po jego triumfie, podczas gdy naród będzie się wykrwawiał za naszymi plecami. A ty, Odranie, będziesz trzymał nadzieję w ramionach”.

Tak brzmiał koniec wizji, która mówiła o tej podróży i którą zapisał, podobnie jak wszystkie pozostałe, w swojej księdze, nazywanej przez niego *Księgą czasu*. To znajomość jej treści ostatecznie skłoniła Odrana do podążenia za Mernokiem w dniu, w którym oświadczył, że zobaczy Pana.

Teraz egoistycznie pragnął, żeby Mernocowi też się nie udało i żeby był razem z nim w gaju. Bez niego nie potrafił rozszyfrować jego przepowiedni. Bez niego zostanie w Jerozolimie na zawsze.

*

Mernoc wyszedł, potykając się, z gaju oliwnego. Zgubił opatrunek i przyciskał teraz ranę dłonią. Był dezorientowany i bardzo słaby. Tak niewiele brakowało, żeby wszedł we wrota. A jednak coś mu mówiło, że to już nie jest Jerozolima.

Zobaczył małe światła migoczące u końca ścieżki i poszedł w ich kierunku. Za plecami słyszał szum wzbierającej burzy. Każdy krok sprawiał mu niewymowny ból. Myślał o cierpieniu Jezusa, żeby dodać sobie sił i wytrwać we własnym męczeństwie.

Oddychał z trudem, co chwila musiał wypluwać wypełniającą mu usta krew. Nagle zobaczył dzwonnice i krzyż wieńczący kaplicę. Nie mógł się mylić, to musiała być chrześcijańska świątynia stojąca u wejścia do małego miasteczka.

Jestem uratowany, pomyślał w euforii.

Tam go opatrzą i przygarną. Odpocznie, a jutro odszuka figurę Upadłego Anioła, zgodnie z wizją, jaką miał na wyspie. Wierzył, że Odran poszedł za nim i że znów się spotkają. Z jakiegoś ważnego powodu zostawił go samego w gaju oliwnym. Ale to nie było istotne. Spróbuje ponownie, tym razem nie popełni błędu i spotka się twarzą w twarz z ukochanym Jezusem.

Przyspieszył kroku i nagle się potknął, zachwiał i upadł prosto na drzwi kościoła.

Znów stracił przytomność.

*

Odran wyszedł z zagajnika. Właśnie zauważył, że nie ma przy sobie torby z sestercjami, którą zawiesił przy pasie. Nie wiedział, gdzie mógł ją zgubić, ale nie miał

zamiaru się wracać. Zabrał ją Rzymianinowi, który zaatakował Mernoca. Miała być ofiarą na poczet nowej kaplicy w Conflert, którą wybuduje, kiedy wreszcie wróci do ukochanej Irlandii.

Spróbował zorientować się w terenie. Nie było to łatwe w środku nocy, ale zauważył, że nigdzie nie ma śladu murów Jerozolimy albo świąteł miasta. Nagle błyskawica oświetliła drogę, na której zobaczył kawałek tkaniny. Był to opatrunek z rany Mernoca. W tej samej chwili dostrzegł wątle światła małej osady i ciemny kształt dzwonnicy.

Przyspieszył kroku, instynkt podpowiadał mu, że Mernoc znalazł tam schronienie.

*

- Znacie dalszy ciąg historii - powiedział Viriato, kończąc swoją opowieść. Tajemnica kościoła Świętych Filipa i Jakuba została rozwiązana.

- Brakuje nam jednego małego szczegółu tej opowieści, mój drogi Viriato - zauważył Cameron. - Pana.

- Ach tak, ja. Oczywiście - przyznał mnich. - Zastanawiają się pewnie państwo, co ja mam z tym wszystkim wspólnego.

- Tak, chyba należy nam się jakieś wyjaśnienie. W ten sposób będziemy mogli zrozumieć, jaką rolę odgrywa każde z nas w tej niezwykłej opowieści.

- Tak, tak. Przyznaję, że nie jest łatwo w to wszystko uwierzyć. Dlatego, między innymi, do tej pory nikomu o tym nie opowiedziałem. Spodziewałem się odrzucenia. Ale wy jesteście wybrańcami, więc nie macie innego wyjścia, musicie uwierzyć we wszystko. - Widząc minę Camerona, mnich musiał się domyślać, że Amerykanin traci cierpliwość, ale postanowił go zignorować. - Nie martwcie się, wszystko zostało zapisane, a Mernoc nigdy się nie mylił. To tak, jakby już wszystko przeżył, zanim się wydarzyło. Moja rola jest bardzo prosta, a moja historia zaczyna się wraz z końcem tej, którą już znacie.

*

Odran ukląkł przy ołtarzu w kościele Świętych Filipa i Jakuba, prosząc Boga o dodanie mu sił, żeby mógł kontynuować wędrówkę. Modlił się za duszę Mernoca, który wreszcie zrealizował swoje marzenie. Jak przepowiedziały anioły, cieszył się teraz bliskością Boga i patrzył w Jego oblicze.

Za jego plecami don Nicolás i młody Germal czekali niecierpliwie, aż skończy.

Odran nie miał powodu, żeby im nie ufać. Za ścianą, po prawej stronie ołtarza, pod świeżą warstwą cementu, spoczywały ciało jego przyjaciela, relikwie z Grobu Świętego, autentyczne *Navigatio* Brendanusa i rzeźba przedstawiająca Matkę Boską.

Zanim wyszli z kościoła, don Nicolás kazał mnichowi zdjąć habit i ubrał go w kombinezon, którego używał wcześniej w czasie murowania ściany. Kombinezon był nieco za mały, jednak nowi towarzysze Odrana przekonywali go, że habit był w tym kraju pewną przepustką na cmentarz.

Odran dowiedział się już ze zdumieniem, który to jest rok, a teraz pomyślał, że świat to dziwne miejsce. I że niektóre sprawy zmieniają się niewiele wraz z upływem czasu, skoro w roku Pańskim 1936 chrześcijanie są prześladowani tak samo jak w czasach rzymskich.

Od razu polubił swoich wybawców. Mógł się z nimi łatwo porozumieć dzięki lekcjom hiszpańskiego, których udzielił mu na wyspie gubernator Pedro Velo, mówiący w tym języku równie płynnie, jak po portugalsku, którego również go nauczył. Nie powiedział im, że jego zdaniem ich hiszpański brzmi znacznie mniej elegancko niż ten, którego nauczył go portugalski marynarz. Nie chciał obrażać tych, którzy wyciągnęli do niego pomocną dłoń.

Trzej mężczyźni opuścili kościół o świcie.

Kapłan i chłopak, którzy należeli do kasty wojowników kających się nazywać

Falanga, być może w hołdzie nieśmiertelnemu Aleksandrowi, powiedzieli Odranowi, że

muszą czym prędzej opuścić miasteczko i udać się do Toledo.

Po drodze do Toledo jego nowi towarzysze zarzucili go gradem pytań. Nie miał żadnych trudności z udzieleniem im odpowiedzi, bo mężczyźni tak bardzo chcieli się czegoś o nim dowiedzieć, że odpowiadali na własne pytania.

- Gdzie się ukrywaliście, w jakimś zakonie czy w domu markizów? - zapytał kapłan.

- W domu markizów - odpowiedział Odran bez wahania, bo nie przypominał sobie żadnego zakonu, który leżałby w pobliżu miasteczka.

- Kto zaatakował twojego towarzysza? Milicjanci? - pytał falangista.

- Tak, milicjanci - odparł znów Odran.

- Co planujesz, bracie? - zainteresował się don Nicolás. - Czasy są teraz niepewne, jeśli chcesz, możesz schronić się ze mną w Alkazarze. Służyłem w Afryce pod pułkownikiem Moscardó, który jest teraz gubernatorem wojskowym Toledo, i wiem z dobrego źródła, że chce wzmocnić swoją pozycję w akademii, dopóki sprawy się nie wyklarują.

- Nie wiem - odparł Odran szczerze. - W ciągu trzech dni muszę się spotkać z przyjacielem, który ma mnie wywieźć z kraju. Mam się stawić pod symbolem Upadłego Anioła - dodał, polegając na przepowiedni Mernoca.

- Coś takiego, pod pomnikiem diabła* w Retiro - powiedział Germinal niefrasobliwie.

- Znacie miejsce, w którym znajduje się ten symbol? - zapytał Odran z niedowierzaniem i nadzieją zarazem.

- No pewnie, pomnik Upadłego Anioła jest w Madrycie, w parku Retiro. Rzadko wychodziłeś z klasztoru, co?

- Nie wiesz nawet, jaką wyświadczyłeś mi właśnie przysługę, Germinalu - odparł Odran. - Przysięgam, że nie spocznę, dopóki nie znajdę sposobu, w jaki będę mógł ci odplacić. - Młodzieniec nie mógł wiedzieć, ile prawdy było w jego słowach.

* Przedstawiająca Upadłego Anioła rzeźba dłuta Ricarda Bellvera została umieszczona w madryckim

parku Retiro 23 października 1874 roku, dzięki wsparciu diuka Femana Nuneza. Podobno jest jedynym

istniejącym pomnikiem poświęconym diabłu.

- Nie martw się, bracie. Don Nicolás zostanie w Alkazarze, ale ja wybieram się do

Madrytu jeszcze dzisiaj, więc chętnie pokażę ci to miejsce, kiedy tylko dotrzemy do stolicy.

*

Zostali zatrzymani w punkcie kontrolnym FAI na prowadzącym do miasta moście San

Martin. Sprawdzono ich bardzo dokładnie. Odran pomyślał, że dobrze zrobił, słuchając

swoich nowych opiekunów i pozbywając się szabli, zanim dotarli do miasta.

Formalności miały się już ku końcowi, kiedy milicjant wyglądający na przywódcę

malowniczego oddziału krzyknął do nich z szoferki furgonetki stojącej przy drodze na

włączonym silniku:

- Hej, olbrzymie! Podejdź tutaj!

Spojrzeli po sobie, nie wiedząc, co robić. Odran próbował powstrzymać przerażenie,

jakie wywoływała w nim potworna maszyna, wspominając słowa Mernoca: „Jeśli wybierzesz

się w przyszłość, natkniesz się na strasznie wyglądające maszyny, ale nie powinieneś się ich

bać, bo większość z nich została stworzona, aby pomagać i służyć człowiekowi”. Miał

nadzieję, że ten dziwny pojazd należał do maszyn stworzonych dla zaspokajania ludzkich

potrzeb.

- To portugalski robotnik, nie mówi zbyt dobrze w naszym języku! - krzyknął do

niego don Nicolás, próbując chronić Odrana przed kłopotami.

- Zamknij się, wyglądasz mi na księdza! Nie ubiłem cię na miejscu tylko dlatego, że

mi się spieszy! - uciął dyskusję milicjant. - A ty, wielkoludzie, podejdź tutaj! - Do Odrana

zwracał się nieco bardziej przyjaźnie.

Mnich wolał nie kusić losu i podszedł do kabiny ciężarówki. Szef milicji, o skórze spalonej słońcem i trzydniowym zarostem, zlustrował go od stóp do głów.

- A więc jesteś Portugalczykiem, co? - zapytał, nie wierząc w jego narodowość, ale nie przywiązując też większej wagi do kłamstwa.

- *De Porto, excelença, pero falo també en español*.* - Odran pobłogosławił w myślach Pedra Velo i jego lekcje języków.

- Nie nazywaj mnie ekscelencją, co ty? Tu wszyscy jesteśmy równi. Jesteśmy towarzyszami. - Uśmiechnął się nagle. - To nawet lepiej, że jesteś Portugalczykiem - oznajmił, podając mu dziwny papierowy pojemnik pełen suchych ziół. - Ruch anarchistyczny jest międzynarodowy i nie zna granic - dorzucił filozoficznie. - Właż na pakę, jedziemy do Madrytu. FAI potrzebuje takich jak ty.

Quinones, bo tak nazywał się milicjant, był w rzeczywistości szefem propagandy w

* *De Porto...* (port.) - Z Porto, ekscelencjo, ale mówię też po hiszpańsku.

partii. Miał doskonały instynkt i od razu dojrzał w Odranie idealnego kandydata na modela pozującego na silnego robotnika z plakatów propagandowych.

Mnich odwrócił się do swoich towarzyszy patrzących na niego z niepokojem zza szlabanu. Uśmiechnął się do nich uspokajająco i pozdrowił ich machnięciem ręki.

- *Está bé** - odpowiedział Quiñonesowi, odwracając się do niego z uśmiechem. - Jadę z wami do Madrytu. - Wszystko układało się po jego myśli.

- No to wskakuj na ciężarówkę, wesołku - odparł milicjant z zadowoleniem. - A na przyszłość uważaj, z kim się prowadzasz. - Spojrzał spode łba na towarzyszy Odrana, którzy szli w stronę murów. - Ci dwaj wyglądają mi na księżulka i ministranta.

Splunął na ziemię, jakby składał podpis.

*

Odran pracował dla Quiñonesa jako model przez dwa dni. Stojąc z nasmarowanym olejkim nagim torsem, reprezentował robotnika pracującego w hucie, górnika wymazanego błyszczącą sadzą, spalonego słońcem chłopca wśród zbóż, rybaka mokrego od morskiej wody... Sesje były istnymi maratonami, a w ich efekcie postać Odrana została uwieczniona w ikonografii ludu pracującego.

W czasie ostatniej sesji był bliski złamania ślubu czystości.

Odran, odgrywający rolę Ludu, obejmował alegorię Republiki, w którą wcieliła się dziewczyna o krągłych kształtach, za jedyny ubiór mająca czapkę frygijską i wąską trójkolorową szarfę zasłaniającą jedną pierś. Drugiej już nie zasłaniała.

- Nawet o niej nie myśl - uprzedził go Quiñones. - Zdążyła już rozłożyć pół regimentu. Jutro przedstawię cię pewnej panience, żeby uczcić koniec roboty.

Trzeciego dnia po południu Odran miał wolne. Wiedział już, że w Hiszpanii zaczęła się wojna i że diabeł znowu triumfuje, zgodnie z przepowiednią Mernoca. Jeśli znów się nie mylił, wydostanie się stąd, „okrążając postać Upadłego Anioła, podczas gdy naród będzie się wykrwawiał za jego plecami”. Nie wiedząc dokładnie dlaczego, przypomniał sobie kozła patrzącego na niego wyzywająco na zakurzonej drodze pod Jerozolimą i poczuł głęboki smutek.

Tego popołudnia, 20 lipca 1936 roku, spacerował po parku Retiro, idąc w kierunku rzeźby diabła.

Miał na sobie niebieski kombinezon, tym razem w odpowiednim rozmiarze, a na szyi czarno-czerwona chustka, wszystko dzięki uprzejmości FAI.

Spokój ogromnego ogrodu przerwało wycie syren ostrzegających przed

* *Está bé* (port.) - Dobrze.

bombardowaniem.

Odran próbował powstrzymać strach przed głośnym wyciem maszyn, podczas gdy

ludzie wokół niego biegli we wszystkich kierunkach.

Wtedy nadszedł hałas z nieba i mnich zobaczył z przerażeniem, jak zapełnia się ono czarnymi ptakami, które nie ruszały skrzydłami i zrzucały łzy na miasto.

Nagle ziemia zaczęła drżeć, a wśród drzew i krzewów rozszalała się ognista burza.

Odran zrozumiał, że nie wszystkie maszyny powstały po to, by pomagać człowiekowi.

Kiedy myślał, że wszystko stracone, zobaczył wśród dymu i płomieni rzeźbę

Upadłego Anioła. Stał tam, krzycząc w niebo z nienawiścią, ze skrzydłami rozłożonymi w paroksyzmie wściekłości.

Poczuł dreszcz, kiedy ogień, dym i rzeźba zaczęły się rozmywać. Wrota właśnie się otwierały.

Już miał w nie wejść, kiedy za plecami usłyszał płacz dziecka.

*

- Możecie się domyślić, co było dalej. Tym dzieckiem byłem ja - powiedział Viriato. -

Moi rodzice zginęli w czasie bombardowania, a poczciwy Odran nie chciał mnie tam zostawić. Przeszedł przez wrota czasu „z nadzieją w ramionach”, tak jak przewidział to Mernoc.

Rozdział XVII

„Czyż jestem stróżem brata mego?”.

Rzym, 7 sierpnia 2009 roku

Capita XVII. N.S.B.a. Brendanus wyznacza kierunek północny. Przybijają do Wyspy Trzech Chórów. Drugi brat postanawia na niej zostać i tak spełnia się druga część przepowiedni opata z Conflert.

Madoc Cameron skończył czytać kopię *Navigatio* udostępnioną mu przez

Grazzianniego. Dostał od niego również wyczerpujący raport na temat tego, co się wydarzyło w czasie prac restauracyjnych w kościele Świętych Filipa i Jakuba, w małym hiszpańskim miasteczku leżącym nieopodal Toledo.

Ich rachunek znów był otwarty i Cameron wiedział, że tym razem nie będzie łatwo go wyrównać.

On również reagował błyskawicznie. Na jego biurku leżały teczki z dokumentacją sprawy. Wśród nich znajdowała się kopia zapisu sekcji zwłok mnicha dokonanej przez doktor Alejandrę Recasens, która była śledzona w Sztokholmie. Oraz kopia opinii dotyczącej *Navigatio*, wystawionej przez Bibliotekę Narodową. A także dokument zawierający niepokojące wnioski ojca Giovannezzę na temat pochodzenia rzekomych relikwii odnalezionych w Cobisie.

Cameron powinszował sobie w duchu niezwykłej umiejętności jego chłopców do zdobywania informacji nie do zdobycia. Na szczęście dolar miał magiczną władzę nad większością ludzi, którzy uważali się za nieprzekupnych, bo jeszcze nikt ich odpowiednio nie wycenił.

Madoc przeczytał również uważnie dane dotyczące szczegółów technicznych projektu Trinidad. Przeczytał, obejrzał i przeanalizował wszystkie informacje o podróżach w czasie, jakie jego współpracownicy zdołali znaleźć.

Pamiętał doskonale nagranie programu popularnonaukowego, w którym profesor Stephen Hawking wypowiadał się na temat marzeń o podróży w czasie. Fizyk zdecydowanie odrzucił taką możliwość.

„Wyobraźmy sobie, że przyszłość już się wydarzyła - napisał na ekranie swojego komputera. - Najlepszym dowodem na to, że w tej przyszłości nie udało się stworzyć maszyny do podróży w czasie, jest to, że nie ma wśród nas żadnych podróżujących w czasie

turystów”.

Argumenty Hawkinga były zdaniem Madoca nie do obalenia. I nie pozostawiały pola do dyskusji. Było mu żal Castello. Nigdy nie zdoła uruchomić wehikułu czasu. Przychodziło mu do głowy tysiąc powodów, dla których to jest niemożliwe, od problemów technicznych z przetransportowaniem żywych organizmów przez tunele czasowe tak, żeby nie rozpadły się na cząsteczki, przez atak terrorystyczny lub wypadek, który zniszczy maszynę, po coś tak przyziemnego jak wybór nowego prezydenta, który zakręci kurek z pieniędzmi zasilającymi ten surrealistyczny projekt.

Był też inny powód, dla którego stworzenie wehikułu czasu wydawało się nierealne. Przyszłość po prostu nie istniała.

Ta możliwość pozwalała przyznać rację i Hawkingowi, i Castello, ale Madoc nie był teraz w nastroju, żeby o niej myśleć.

Po przeczytaniu *Navigatio* i przyswojeniu sobie stosu informacji Madoca niepokoiła przede wszystkim pewna wyspa, która nie pojawiała się na żadnej współczesnej mapie: Wyspa Świętego Brendana.

Sekretarka zawiadomiła go o połączeniu z Castello.

Po zwyczajowym powitaniu, pytaniach o pogodę w Rzymie i sytuację w meksykańskiej bazie Cameron przeszedł do sedna.

- Czy tunel czasoprzestrzenny może poruszać się w przestrzeni?

- Pyta pan, czy może zmieniać swoją pozycję w kosmosie? - uściślił Castello.

- Właśnie.

- Tak. Przypuszczam, że nie ma żadnych przeszkód, żeby mógł się przemieszczać.

Zresztą te tunele, które udało nam się zlokalizować, czasami znikają niespodziewanie ze swojego kwadrantu. Nie wiemy jednak, czy się ruszają, czy też po prostu znikają. Jak już

panu mówiłem, są bardzo niestabilne.

- A jeśli przyjmujemy, że mogą się poruszać, czy istniałaby możliwość połączenia się jednego z tych tuneli z naszą planetą?

- Do czego pan zmierza? Poleciłem panu lekturę tekstów naukowych, nie powieści Asimova.

- Czy znaleziono jakieś tunele w pobliżu Ziemi? - Madoc był odporny na ironiczne uwagi Castello.

- Na Boga, Madoc, my po prostu szukamy innych dziur w innych galaktykach.

Cameron pomyślał, że często drzewa nie pozwalają dostrzec lasu. Był to znany defekt spojrzenia myśliwego, zapisanego w DNA męskich osobników. Zawsze skupionych na odległej zwierzynie. Ale nigdy nie są w stanie znaleźć jogurtu, niezależnie od tego, ile razy zirytowana żona powtórzy im, że jest w lodówce. Może Wyspa Świętego Brendana była cholernym jogurtem.

- Jeszcze jedno pytanie. Gdyby ten hipotetyczny tunel czasoprzestrzenny znalazł się na naszej planecie, mógłby w wyniku kontaktu z atmosferą wywołać jakieś widoczne zjawisko meteorologiczne, na przykład burzę?

Po drugiej stronie linii zapadła głucha cisza.

- Doktorze Castello?

- Cameron, mam nadzieję, że nie nagrywa pan tej rozmowy. Ja tego nie robię - skłamał.

- Proszę pana, chciałbym, żeby pan mi po prostu odpowiedział na te pytania.

Przeczytałem bardzo dużo dokumentów i mam wątpliwości, a pan obiecał, że...

- Wiem, wiem - przerwał mu Castello. - Obiecałem, że odpowiem na wszystkie pytania, jakie się panu nasuną. Ale niech pan nie próbuje zrobić doktoratu z fizyki w czasie

jednej rozmowy telefonicznej. Poza tym pańskie pytania ocierają się o fantastykę, ambasadorze.

- Pamięta pan moje ostatnie pytanie? - Lepiej, żeby pamiętał, Madoc nie miał zamiaru odpuścić ani jednego.

- To zależy od wielkości tunelu czasoprzestrzennego, który by wszedł w kontakt z Ziemią. Mógłby być wystarczająco wielki, żeby nas pochłonąć i unicestwić albo wysłać na drugi koniec wszechświata. Mam nadzieję, że nigdy nie będziemy mieli okazji, żeby to sprawdzić.

- Myślałem raczej o wejściu do małego tunelu, na przykład wielkości niedużej wyspy.

- Do diabła, Cameron, czuję się jak idiota, odpowiadając na to pytanie. - Castello powoli tracił cierpliwość, która nigdy nie była jego najmocniejszą stroną. - Uprzedzono mnie o pańskim specyficznym poczuciu humoru, mam nadzieję, że nie jest to jeden z pańskich żarcików.

W tej chwili Madoc pomyślał, że pobyt na następnej placówce może być całkiem ciekawy. Będzie miał Castello do rozrywki.

- Zapewniam pana, że to nie jest żart, dyrektorze. Ale jeśli pan woli, mogę przesłać panu moje pytania na piśmie, z kopią do dyrektora Agencji, który z pewnością zainteresuje się pańskim brakiem chęci współpracy z przyszłym szefem - odparł uprzejmie tonem, w którym czaiła się groźba.

Cameron usłyszał po drugiej stronie linii nerwowe odchrząknięcie.

- Przypuszczam, że mogłoby dojść do jakichś zaburzeń pogodowych, gdyby hipotetyczny tunel dostał się do naszej atmosfery - przyznał wreszcie Castello. - Jego ogromna energia mogłaby wywołać coś na kształt burzy przy okazji kontaktu z powietrzem.

- Dziękuję za pańską pomoc, doktorze Castello. - Madoc odłożył słuchawkę.

Następnie otworzył teczkę z informacją o burzach, skupiskach chmur i mgieł występujących w pewnym punkcie na Atlantyku, o jaką poprosił marynarkę. Ten punkt znajdował się na południowy zachód od La Palmy i na północny zachód od El Hierro, na dziewiętnastym stopniu i dziesiątej minucie długości geograficznej zachodniej oraz dwudziestym dziewiątym stopniu i trzydziestej minucie szerokości geograficznej północnej, w miejscu, w którym powinna być Wyspa Świętego Brendana.

Dowiedział się, że pierwszy amerykański satelita, Explorer I, wysłany w kosmos jako odpowiedź na wyprodukowanie pierwszego Sputnika przez Sowietów, wykrył burzę dokładnie w tym miejscu na początku sierpnia 1958 roku. Zdjęcia ze Sputnika skradzione Rosjanom przez podwójnego agenta, który sprzedał również zdjęcia z Explorera Sowietom, potwierdzały, że burza rzeczywiście przeszła nad tym miejscem.

W okolicy nie działo się nic do 1982 roku. Wtedy, znów 10 sierpnia, pojawiła się w rejonie dziwna burza, mająca wszelkie cechy anomalii.

To samo powtórzyło się także w 2007 roku, tym razem 9 sierpnia.

Od tej pory we wskazanym miejscu panowała cisza.

Z milionów krzyżujących się danych, jakie przesłał do komputera centralnego w Langley z prośbą o informacje o tych trzech datach, otrzymał zaledwie jednostronicowy raport.

Przeczytał go jeszcze raz.

„Formacje burzowe w badanym miejscu mają zawsze charakter anomalii pogodowych: nie kształtują się nigdy zgodnie z prawami natury i pojawiają się spontanicznie. Nie ma żadnej matematycznej prawidłowości, jaką można by przyłożyć do tego zjawiska, w związku z czym jego występowanie jest przypadkowe. Jediną wspólną cechą tych zakłóceń jest występowanie zawsze w tym samym miesiącu. Wszystkie trzy burze pojawiały się w

pierwszej połowie sierpnia, kiedy występuje największe nasilenie znanego zjawiska

atmosferycznego zwanego »deszczem Perseidów*«. Zgodnie z prośbą załączamy listę

* Deszcz Perseidów - deszcz meteorytów występujący co roku między 17 lipca a 24 sierpnia.

najważniejszych wydarzeń historycznych mających miejsce w czasie pojawienia się burz”.

Załącznik miał objętość stu stron i był rodzajem encyklopedii, której zawartość

zawężono do opisu tego, co wydarzyło się na świecie w trzech dniach sierpnia w latach 1958, 1982 i 2007.

Nie działo się wtedy nic ciekawego, jeśli nie liczyć opublikowania przez pewien

hiszpański dziennik, w dniu pierwszej burzy, zdjęcia przedstawiającego zamazany kształt

Wyspy Świętego Brendana.

Niestety, autor zdjęcia zmarł w 1971 roku, w związku z czym nie można było

dowiedzieć się niczego więcej o czarno-białej fotografii.

Ambasador nabił fajkę.

Był to jego sposób na relaks, który pozwalał uniknąć wypalania dwóch paczek

marlboro dziennie.

Miał w ręku niektóre poszlaki, ale brakowało mu jeszcze kilku. A jego praca polegała

na posiadaniu pełnej informacji.

Intuicja mówiła mu, że był jeden człowiek, który w tej kwestii miał nad nim

przewagę: jego brat. A intuicja jeszcze nigdy go nie zawiodła.

Nie będzie łatwo wydobyć informacje od Sebastiana.

„Wiesz co, CC, chciałbym się z tobą podzielić kilkoma sekrecikami. Jestem agentem

CIA. Przez całe życie ścigam handlarzy narkotyków, morduję skorumpowanych polityków

albo takich, którzy nie dają się skorumpować, przygotowuję wojny, inwazje i tym podobne. A

teraz, na koniec kariery, Agencja postanowiła dać mi prezent: wehikuł czasu. Tak, wiem, w

innych firmach pracownicy dostają złote zegarki. Moja firma jest trochę inna. W każdym razie, drogi Sebastianie, podejrzewam, że ty jesteś o krok od odkrycia innego wehikułu czasu. Takiego, który występuje w przyrodzie i na który nie trzeba wydawać milionów dolarów. A najważniejsze, że jest wypróbowany i najwyraźniej działa. Bardzo bym chciał, braciszku, żebyś opowiedział mi wszystko, co wiesz o tej sprawie”.

O nie, nie będzie łatwo.

Zadzwoniła komórka.

Był to Massimo Lanza. Pewnie już dotarł do Madrytu.

- Proszę pana, jestem blisko celu, myślę, że powinien pan usłyszeć to ostatnie nagranie.

Kiedy czekał na odtworzenie ostatniego nagrania z komórki brata, spojrzął na datę

Największe nasilenie tego zjawiska można zaobserwować w okolicy 10 sierpnia, dlatego znane jest również pod

nazwą „łzy świętego Wawrzyńca”. Perseidy pochodzą z komety Swift-Tuttle.

widniejącą na jego stalowym roleksie: siódmy sierpnia. Coś mu mówiło, że zostało im bardzo mało czasu.

Wszystkim.

Rozdział XVIII

Rogi myśliwskie, Madryt, 8 sierpnia 2009 roku

Capita XVIII. N.S.B.a. Mnisi dopływają na Wyspę Winogron. Pięknie upierzone ptaki przynoszą im pożywienie. Mnisi odpoczywają przez czterdzieści dni.

Profesor Cameron wszedł do starej piekarni z szyldem „Wspaniała Piekarnia, salon chleba założony w 1808 roku”, żeby jak co dzień kupić sobie „pistolet”. Podobała mu się ta nazwa, którą mieszkańcy Madrytu nadali jego ulubionemu rodzajowi chleba, krótkiemu bochnowi, grubszemu w środku niż na końcach. Jego kształty miały w sobie coś kobiecego,

przypominały starożytne boginie płodności, a jego nazwa była jakby pozostałością po opowieściach łotrzykowskich.

Po powrocie do Bostonu znów będzie kupował bagietki, które teraz wydawały mu się wręcz metroseksualne i mdłe.

Wszedł do sklepu, gwizdząc, a stojąca za ladą pani Concha podniosła z rozbawieniem brew znad okularów do czytania.

- Szczęść Boże, panie historyku - pozdrowiła go z poufałością charakterystyczną dla mieszkańców Madrytu. - Jesteśmy dziś w dobrym humorze, ze śpiewem na ustach.

- Ten zapach klimatyzacji wymieszany z wonią chleba i węgla nie mógł mnie wprowadzić w inny nastrój - odparł Cameron, tylko trochę mijając się z prawdą.

- Na zewnątrz musi być niezły upał, co? Ludzie wchodzą spoceni i zdyszani, jakby wyszli właśnie z kuźni Wulkana - zagadnęła właścicielka piekarni.

- Dziś na pewno dobijemy do czterdziestu stopni - zauważył pan Aniceto, inny sąsiad, który stał oparty o wspaniałą marmurową ladę, pijąc kawę, którą pani Concha oferowała tylko wybranym.

- A tobie to akurat wszystko jedno, Aniceto, jesteś już zakonserwowany, nawet nie czujesz zmian klimatycznych - odparła pani Concha, rozpoczynając zwyczajowe przekomarzanie.

- Chodzi o to, że w wojsku wylądowałem w Afryce, z regimentem z Melilli, a to bardzo uodparnia na gorąco, Concha - odparł. - A w Ameryce nadal macie wojsko, Sebastianie? - zapytał pan Aniceto nowo przybyłego. Jak mówiła pani Concha, łatwo nawiązywał znajomości.

- Tak jest, mamy służbę wojskową, jak wszędzie - odparł Cameron.

- I bardzo słusznie. Naszej młodzieży przydałoby się odrobić służbę w Afryce -

oznajmił Aniceto.

- Pańska kawka, profesorze. - Pani Concha nalala Cameronowi kawę z imbryka, który trzymała pod ladą. - To ostatnia, jaką pan ode mnie dostanie do września. Zamykamy z powodu urlopu.

- A pan i dziewczyna? Nie jedziecie na wakacje? - Pan Aniceto zamierzał zebrać daninę w postaci należnej mu porcji plotek.

- Właśnie dziś wyjeżdżamy. Lecimy na Kanary. Będziemy tam kontynuować badania.

- Na pewno się pan cieszy - wtrąciła pani Concha.

Rzeczywiście, mam wiele powodów do radości, pomyślał Sebastian, przyglądając się wielkiej ramie, w którą oprawiono scenę rodzajową przedstawiającą polowanie na lisa na angielskich polach.

Rozmowa telefoniczna, jaką odbył z Kelly Lamar, zwaną też Lamarca, nie mogła być bardziej satysfakcjonująca.

- Kelly, muszę cię prosić o ostatnią przysługę, zanim się zobaczymy - zaczął przymilnie.

- Jestem do pańskich usług, profesorze - odparła uwodzicielsko.

Potrzebował małego żaglowca do pływania po wodach La Palmy. Chciał odtworzyć trasy, którymi pływał pirat Hawkins w swoich wycieczkach po archipelagu.

Jak wyjaśnił Kelly, ta morska wyprawa pozwoli mu ostatecznie zakończyć obszerny raport, jaki przygotował dla wytwórni. Chciał również obejrzeć dom, w którym mieszkał pirat, zobaczyć stary port na La Palmie i wchłonąć jak najwięcej z klimatu hiszpańskiego imperium.

Żaglowiec był niezbędny do postawienia kropki nad i w jego pracy.

Kelly oddzwoniła do niego godzinę później.

- Wysłałam ci rezerwację trzech biletów elektronicznych na twój adres e-mail, dla ciebie i dwójki twoich pomocników. Ładna jest ta twoja stypendystka? - Kobiety zawsze chcą znać swoją potencjalną konkurencję.

- Ma nadwagę i koszmarny trądzik - uspokoił ją.

- Twój jacht, ze sternikiem i dwoma marynarzami, będzie na ciebie czekał w porcie w

La Palmie jutro w południe. A w nocy będzie na ciebie czekać niespodzianka w hotelowym łóżku. Właśnie zarezerwowałam sobie lot do La Palmy. - Nie mogła opanować nerwowego śmiechu. - Co ty na to, kochanie?

Powstrzymał się od poinformowania jej, co naprawdę o tym myśli, i podziękował serdecznie.

Sprawy układały się jak najpomyślniej. Następnego dnia będzie na La Palmie, pożegna się z cielesnymi pokusami świata, spędzając noc z Kelly, a dzień później popłynie na Wyspę Końca Czasu w towarzystwie wynalazcy sosu do *patatas bravas* i Loli. Wyprawa była szaleństwem. Szaleństwem, dzięki któremu czuł, że żyje.

Uśmiechnął się do swojego odbicia w szkle osłaniającym obrazek i podniósł kubek z kawą w toaście za jeźdźca w czerwonej kurtce, który dał w róg, zawiadamiając pozostałych myśliwych o bliskiej zwierzynie.

W tej chwili otworzyły się drzwi, przez które wszedł nowy klient, a w szybie odbił się chodnik z drugiej strony ulicy. Cameron zobaczył stojącego na nim Mássima Lanżę, który rozmawiał z jakimś mężczyzną. Mózg posiada dziwne mechanizmy wysyłania rozkazów sprzecznych z sobą. W celu analizowania sytuacji i podejmowania decyzji. Cameron przeżył nawałnicę sprzeczności w ciągu ułamków sekundy. Najpierw ucieszył się na widok znajomego, ale jego neurony natychmiast wysłały sygnał alarmowy. Przypomniawszy sobie nagłe scenę z rzymskiej restauracji. Dwa telefony komórkowe leżące na obrusie w biało-czerwonej

kratę i Maria, który zabierał je na zaplecze.

Sebastian nadal uśmiechał się jak idiota do jeźdźca z rogiem, kiedy pani Concha zapytała go, czy dobrze się czuje.

- Może jeszcze jedną kawę, profesorze?

- Och nie, przepraszam. - Starał się sprawiać wrażenie, że się zamyślił. -

Zastanawiałem się, czy spakowałem wszystko, co trzeba. Nawyki starego profesora, zawsze to robię przed wyjazdem.

* * *

Wyszedłszy z piekarni, Cameron zaczął iść w stronę przeciwną do domu. Massimo Lanza zniknął z drugiej strony ulicy, za to pozostał na niej mężczyzna, z którym rozmawiał. Sebastian próbował się uspokoić. Może zwiódła go wyobraźnia. Przeszedł jeszcze dwie przecznice i stanął przy wystawie antykwariatu. Mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych, który przed chwilą rozmawiał z kierowcą amerykańskiej ambasady, zatrzymał się przy kiosku, około czterdziestu metrów od niego.

Cameron poczuł ostrzegawczy skurcz żołądka. Nie miał wątpliwości. Lanza założył mu podsłuch, a ten gość o rozmiarach kredensu miał za zadanie go śledzić.

* * *

- Proszę mi opowiedzieć coś o pańskich podróżach w czasie - poprosiła Lola Viriata, który właśnie wszedł do mieszkania.

- Chętnie opowiedziałbym ci o wszystkich, dziecko. Ale teraz musimy zacząć działać.

W pewnym sensie rozpoczniemy naszą podróż - odparł Viriato z naciskiem.

- Nie będziemy czekać na profesora? Poszedł po chleb, powiedział, że wróci za dziesięć minut - odparła dziewczyna.

- Profesor Cameron będzie za pięć minut wiedział, że plany uległy zmianie. W

pewnym sensie skryba Sanem nie przestał nas śledzić. Ale my udowodnimy mu po raz kolejny, że jesteśmy od niego sprytniejsi - oświadczył Viriato z uśmiechem, puszczając do Loli oko.

* * *

Miał ochotę zadzwonić do Loli z komórki, zanim wsiądzie do metra. Musiała jak najszybciej opuścić mieszkanie. Ale jeśli jego domysły nie były wynikiem ataku histerii, używanie telefonu równało się samobójstwu.

Najważniejszym celem było teraz pozbycie się tego pitbulla. W tym względzie liczył na swoją umiejętność improwizacji.

Oraz na łut szczęścia.

Staął w bezpiecznym odstępie od torów. Niestety, na stacji było mało pasażerów. Należało się tego spodziewać w mieście, z którego na czas wakacji wszyscy uciekali. Cameron przepuścił pierwsze metro, udając, że rozmawia przez telefon. Mężczyzna, który teraz czytał gazetę, również nie wsiadł do pociągu.

Sebastian wsiadł do następnego metra. Mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych usiadł w drugim wagonie. Jednak szybko się przesiadł i zajął miejsce w piątym rzędzie za profesorem, przodem do niego.

Mijali jedną stację po drugiej. Nieliczni pasażerowie wsiadali i wysiadali, ale w wagonie nie było nigdy mniej niż osiem osób.

Nieznajomy przestał przeglądać gazetę. Teraz patrzył po prostu przed siebie, w jakiś nieokreślony punkt w przestrzeni, kryjąc się za ciemnymi okularami. Jego twarz była bez wyrazu.

Cameron od dłuższego czasu próbował ułożyć plan pozbycia się myśliwego, jednak nic nie przychodziło mu do głowy. Miałby szansę w tłumie podróżnych, jaki wypełniał

zawsze tokijskie metro. Ale madryckie metro w sierpniu wyglądało jak park tematyczny o krainie duchów. Było idealną scenografią dla horroru, co doskonale pasowało do stanu ducha Camerona.

Przyjrzał się planowi metra przyklejonemu do ściany wagonu. Brakowało mu już tylko sześciu stacji do końca trasy.

Pięciu, poprawił się, słysząc syk otwierających się drzwi.

Wtedy zobaczył swoich wybawców.

Była to grupa dwudziestu trzech nabuzowanych testosteronem podrostków w koszulkach piłkarskich, którzy wpadli do wagonu jak żółta nawałnica. Towarzyszyło im pięciu dorosłych bezskutecznie próbujących przejąć kontrolę nad wesołą gromadą.

Na ich koszulkach i torbach sportowych widniał napis „Klub Piłkarski Soto de Alcobendas”. Nawet gdyby do wagonu weszła teraz jego ulubiona drużyna futbolu amerykańskiego, a kapitan dał mu piłkę i hełm, Cameron nie byłby szczęśliwszy.

Ich pokrzykiwania, wysokie śmiechy i ogólny rejwach brzmiały w uszach Sebastiana jak anielska muzyka. Patrzył na nich z uśmiechem, bliski ekstazy.

Kątem oka dostrzegł, że jego prześladowca zaczął się niepokoić. Próbował nie stracić go z oczu zza grupy chłopców, którzy to zasłaniaли go, to odsłaniaли.

Chłopcy stanęli w głębi wagonu, tworząc żywy mur chroniący Camerona przed oczami szpiega.

Z ich rozmów zrozumiał, że wybierali się na mecz finałowy w ramach jakiegoś turnieju.

- Wsiadamy na następnej stacji, chłopcy! - krzyknął szczupły mężczyzna o krótkich włosach poprzetykanych siwizną. Sebastian domyślił się, że był ich trenerem. Jeden z piłkarzy nazwał go chyba [Ventura*](#). To imię musi przynosić szczęście, pomyślał Cameron.

Chłopcy zaczęli się tłoczyć przy wyjściu z wagonu, przepychając się między sobą wśród wybuchów śmiechu. Cameron wstał i dołączył do nich. Mężczyzna z gazetą również podniósł się z siedzenia i stanął przy kolejnych drzwiach.

Metro stanęło na stacji.

Żółta masa wytoczyła się z wagonu. Trener zatrzymał przekrzykującą się grupę na peronie.

Mężczyzna w ciemnych okularach również wyszedł z pociągu i szukał Camerona wśród głów młodych piłkarzy. Podszedł do nich, okrążając grupę, podczas gdy drzwi metra zamknęły się z charakterystycznym sykiem. Prześladowca zrozumiał w tej samej chwili, że Sebastiana nie było wśród chłopców i że wcale nie wysiadł z pociągu.

Metro ruszyło powoli, przemieszczając się bezszelestnie po gładkich torach.

* *Ventura* (hiszp.) - szczęście, pomyślność.

Nieznajomy rzucił się do drzwi, przez które wyszli piłkarze, próbując je otworzyć. Ustały na parę centymetrów, mężczyzna był bardzo silny. Pociąg zaczął przyspieszać. Prześladowca zaklął po angielsku i z wściekłością uderzył w szybę, tłukąc ją na drobne kawałki. Szukał w pośpiechu dźwigni czy klamki, która pozwoliłaby mu dostać się z powrotem do pociągu.

Zrezygnował, kiedy zaledwie kilka metrów dzieliło go od rozbicia się o ścianę tunelu, w który wjeżdżało metro. Jego wściekłe spojrzenie trafiło na zdumiony wzrok młodego człowieka, który siedział w wagonie i słuchał muzyki, żując gumę.

Kiedy wjechali do tunelu, mężczyzna, który przez cały czas stał pochylony pod drzwiami, wyprostował się, strząsając z siebie szklany pył ze zbitej szyby.

- Każda podróż jest przygodą, co? - powiedział profesor do zdumionego świadka całej sceny i zarazem jedyne go pasażera wagonu. - Żebyś o tym nie zapomniał, dostaniesz ode mnie prezent - dodał z uśmiechem, wręczając chłopakowi swój telefon komórkowy. Jemu i

tak na nic się już nie przyda. A może, pozbywając się go, zyska przewagę nad swoimi prześladowcami.

Chłopak posłusznie wziął komórkę, wyjmując słuchawkę z ucha. Czegoś szukał w kieszeni spodni.

- Pewnie mi pan nie uwierzy, ale kiedy rano wsiadałem do metra, wręczył mi to jakiś zakonnik - powiedział, pokazując Cameronowi zaklejoną kopertę. - Kazał mi to dać człowiekowi, który podaruje mi komórkę. - Nie dodał przy tym, że mnich wzmocnił jego motywację banknotem o wartości stu euro. Wolał nie dzielić się zarobkiem. - Życie jest niesamowite - rzekł na koniec.

* * *

Kiedy Cameron wyszedł z metra, rozdarł nerwowo kopertę i po raz pierwszy ucieszył się, poznając litery skreślone czerwonym flamastrem. Wiadomość od Viriata była lakoniczna:

Lotnisko Cuatro Vientos, Beechcraft 18, Spantax, nasz lot Feniksa w ramach pierwszego etapu podróży. Notatka była krótka i tajemnicza, jak cała jego korespondencja.*

Cameron powoli odzyskiwał dobry nastrój. Sprawy nie układały się najgorzej, zwłaszcza że kilka minut temu mogły pójść naprawdę źle. Udało mu się przejść pierwszą próbę dnia i pozbyć się swojego prześladowcy. Tak samo jak telefonu, dzięki któremu tak łatwo go namierzono. Chociaż coś mu mówiło, że nie zyskał wcale dostatecznej przewagi nad przeciwnikiem.

Sebastian nie rozumiał, po co go śledzono i jaką rolę odgrywał w tej historii jego brat.

Zaczynał jednak podejrzewać, że miało to coś wspólnego z trójkątem, którego rogi stanowili

* Hiszpańska linia lotnicza założona na Kanarach w 1959 roku pod nazwą Spanish Air Taxi.

kardynał Grazzianni, Madoc i on sam.

Na razie wcale nie miał ochoty pytać o to swoich prześladowców, zwłaszcza po

gwałtownej reakcji tamtego mężczyzny w metrze.

Nadal wyczuwał zagrożenie. Domyślał się, że Viriato zajął się Lolą, ale martwił się o bezpieczeństwo osób, które w czasie jego prywatnego śledztwa mu pomogły lub po prostu się z nim zetknęły.

Wątpił, żeby szpiedzy ścigali Nurię Rubio czy Martę Larripę: miały za mało informacji.

Jednakże Alejandra to już co innego.

Zadzwoił do niej z taksówki, która wiozła go na najstarsze z hiszpańskich lotnisk*, kierowca pożyczył mu telefon. Poczł nagle ukłucie lęku. Niekoniecznie z własnej woli lekarka została wciągnięta w jego śledztwo dotyczące cudownych wysp, mnichów i anielskich piór. Na jej nieszczęście podzielił się z nią zbyt wieloma informacjami.

- Dzień dobry, pani doktor, mam mało czasu, więc przejdę od razu do sedna - oświadczył, kiedy tylko usłyszał jej głos.

- Sebastianie, co za niespodzianka. Brakowało mi rozmów z tobą, tych wszystkich tajemnic i zagadek. Właśnie miałam do ciebie dzwonić. - Jej słowa brzmiały szczerze.

Cameron pomyślał, że po tym telefonie już nigdy w życiu nie będzie chciała z nim rozmawiać.

- Słuchaj, nie chcę cię martwić, ale ostatnio dzieją się dziwne rzeczy i nie chciałbym, żebyś miała przez to kłopoty.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Analityczne umysły nie lubią niedomówień.

- Dziś rano śledził mnie jakiś typ, który mógłby pracować w fabryce lodówek, i zdemolował wagon metra, bo nie chciałem z nim spacerować. Śledzą mnie, Alejandro - podsumował. - Zauważyłaś coś dziwnego, czy ktoś za tobą chodzi?

- Nie, tutaj, w Szwecji, ludzie są dobrze wychowani. Robotnicy nie krzyczą za mną

świętstw, a mężczyźni nie łążą za mną po ulicy jak w Hiszpanii.

Zaległa cisza.

- To nie jest żart, prawda? - Głos lekarki spoważniał.

- Niestety, nie - odparł Sebastian sucho. - Myślę, że nadepnęliśmy komuś na odcisk, ale nadal nie wiem kto to. Przykro mi, że cię w to wciągnąłem - powiedział szczerze.

Znów zapadła cisza.

* Lotnisko Cuatro Vientos powstało w 1911 roku, kiedy komisja wojskowa zaproponowała Ministerstwu Wojny zakupienie terenów w tym miejscu z przeznaczeniem ich na szkołę pilotów.

- Trzeba było słuchać kobiecej intuicji, kiedy cię poznałam - powiedziała, wzdychając ciężko. - Miałeś słowo „problemy” wypisane na czole. Chociaż wydawało mi się, że chodzi o inny rodzaj problemów. - Ona również była szczerą.

- Nie uda ci się mnie wzruszyć, kiedy się boję, potrafię się skupić tylko na własnej panice. - Urwał. - Uważaj na siebie, dobrze?

- To brzmi jak pożegnanie, profesorze, a to mi się wcale nie podoba. Dokąd się wybierasz?

- Na razie będzie lepiej, jak nie będziesz wiedziała o mnie za dużo.

- Wrócisz do Madrytu?

- To by było fantastycznie. Muszę kończyć, dojeżdżamy.

- Mam informacje, o które mnie prosiłeś. Statystyki o zespole Downa. Dlatego miałam do ciebie dzwonić - rzuciła szybko Alejandra.

- Popatrz, zupełnie o tym zapomniałem. Pracujesz nawet w wakacje. Po prostu byłem ciekaw, to nie było nic ważnego...

- Ja mam inne zdanie po zapoznaniu się z danymi - odparła lekarka sucho. Miał wrażenie, że jest zdenerwowana. - Przypadki narodzin dzieci z zespołem Downa stają się

coraz częstsze na całym świecie, Sebastianie. Światowa Organizacja Zdrowia rozważa ogłoszenie pandemii. Wyniki amniopunkcji u ciężarnych kobiet wskazują tendencję, która osiągnie moment kulminacyjny około dziesiątego sierpnia tego roku. A biorą pod uwagę jedynie dane z krajów zachodnich. To są tajne dane WHO, nie pytaj, jak je zdobyłam, ale mogę zapewnić, że są rzetelne.

- No cóż, kobiety na Zachodzie coraz później wychodzą za mąż i coraz później zachodzą w ciążę. Wiele rodzi po raz pierwszy w wieku czterdziestu lat, a wiesz dobrze, że w tym wieku prawdopodobieństwo, iż dziecko będzie miało zespół Downa, jest znacznie większe... - Cameron próbował pomniejszyć znaczenie tej informacji.

- Sebastianie, nie rozmawiasz z jedną ze swoich uczennic. - Alejandra potrafiła być bardzo stanowcza. - Nigdy nie mieliśmy do czynienia z takimi liczbami.

Znow zaległa cisza.

- Co się dzieje, Cameron? - zapytała kobieta, a w jej głosie brzmiał niepokój.

- Nie wiem. Ale to tak, jakby ktoś wysyłał nam anioły.

- Uważasz, że będziemy ich potrzebować?

Wolał nie odpowiadać na to pytanie.

* * *

Chłopiec bawił się swoją łopatką w piaskownicy i nie spuszczał z oczu dwóch mężczyzn siedzących na ławce nieopodal. Jeden miał na sobie dres, drugi nosił czarną marynarkę. Ten ubrany na czarno wcale mu się nie spodobał.

* * *

Park był piękny i znajdował się blisko hotelu, w którym chłopak zatrzymał się ze swoją dziewczyną. Dlatego wybrali go na miejsce spotkania. A drewniana ławka była wprost idealna, żeby cieszyć się tym wyjątkowo słonecznym dniem szwedzkiego lata i porozmawiać

sobie leniwie.

- Nie mogę tego zrobić - powiedział Gunnar cicho, nie podnosząc wzroku w białego w czubki własnych stóp, które nerwowo grzebały w żwirku wyścielającym ścieżkę.

- Mój drogi Gus, ona tak cię nazywa, prawda? Może nie wyraziłem się dostatecznie jasno. Ja ci nie udzielam rad ani nie proszę o przysługę. Ja ci wydaję polecenie. - Sanem mówił cichym i zimnym głosem przypominającym dobrze zaostrzony nóż. - Zabezpieczam naszą operację, a dziewczyna wie zbyt wiele. Nikt ani nic nie może zagrozić naszym planom.

Zawsze tak było. O co ci chodzi?

- Ale ja ją kocham - odparł Gus.

Sanem nie mógł powstrzymać wybuchu śmiechu, który przyprawił młodego Szweda o dreszcze.

- Gunnarze de Malmoe, mój wiecznie młody uczniu wikinga - powiedział wreszcie

Sanem. - Od ilu lat pracujemy razem?

- Ponad tysiąc pięćset, już straciłem rachubę - odparł Gus ponuro.

- Tysiąc pięćset dwadzieścia trzy - uściślił Sanem. - Tysiąc pięćset dwadzieścia trzy lata temu uratowałem cię z bretońskiego stosu. Pamiętam, jakby to było wczoraj. Krzyczałeś w panice, że oddasz duszę temu, kto cię uratuje od tej strasznej śmierci. Wzywałeś swojego boga, Odyna, a nawet Boga chrześcijan, którzy właśnie cię podsmażali. I wezwałeś mnie. - Uśmiechnął się do wspomnień.

Gunnar spojrzał na jego zaostrzony profil i silne dłonie. Ich paznokcie jakby się wydłużały.

- Grubas nie odpowiedział na twoje wezwanie, co było oczywiste, bo nie istnieje -

podjął Sanem. - Wąźniak też nie, bo uważa, że i tak wszystkie dusze należą do niego. Ale ja wysłuchałem twojego błagania. Tacy już jesteśmy, ci z drugiego szeregu, chwytni okazje w

mig, wykorzystujemy sen naszych przeciwników.

Ubrany na czarno mężczyzna przełożył rękę nad ramionami chłopaka i zaczął głaskać go po karku.

- Od tamtej pory cieszysz się wieczną młodością. Masz urodę, siłę, pieniądze, kobiety i mężczyzn...

- Również służę, panie - powiedział, prawie splunął, patrząc mu w oczy dziko, z goryczą.

- Tak było do tej pory. - Sanem również patrzył na niego wilczymi oczami. - Wiesz, jest jedna rzecz, która odróżnia mnie od Niego. On pozwala wątpić. Ja nie.

Powiedziawszy to, zacisnął rękę na szyi chłopaka, łamiąc mu kark z taką łatwością, jakby chodziło o zapalkę.

* * *

Chłopiec znów spojrzał na ławkę. Młody mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby spał. Tego drugiego już nie było.

* * *

Alejandra zapatrzyła się w przestrzeń rozciągającą się za dużym oknem, które wychodziło na otaczający bungalow trawnik. Na znajdującym się w pobliżu jej luksusowego hotelu bulwarze zbierali się manifestanci. Byli kolorowo ubrani, wyglądali niemal świątecznie. Młodzi i starsi ludzie przygotowywali się do protestu przeciwko „ociepleniu Ziemi”, jak głosiły niektóre z ich transparentów.

Alejandra spojrzała niespokojnie na zegarek. Gus wyszedł pobiegać ponad godzinę temu. Powinien już być z powrotem. Nigdy nie biegał dłużej niż czterdzieści pięć minut. Był po szwedzku zorganizowany, cokolwiek robił. Lekarka nie chciała być sama, nie teraz, po niepokojącej rozmowie z Sebastianem. Telefon znów zadzwonił.

- Gus, gdzie jesteś? - zapytała odruchowo, nie patrząc na numer dzwoniącego.

- Nie jestem Gunnarem, doktor Recasens - odparł nieznany głos. - Nazywam się

Viriato, to ja pisałem wiadomości czerwonym flamastrem.

- Jasna cholera. - Tylko tego jej brakowało. - Jest pan z Cameronem?

- Nie mamy czasu, pani doktor. Proszę zrobić dokładnie to, co pani każe. Od tego zależy pani życie.

- Kim pan jest, do diabła? - Była oburzona. - Jak pan śmie...?

- Proszę odkręcić wodę pod prysznicem - przerwał jej mężczyzna - a osobie, która zapuka do drzwi, proszę powiedzieć, że się pani kąpie, i poprosić o pięć minut, żeby się wytrzeć. Niech pani natychmiast wyjdzie z pokoju, przejdzie przez trawnik i wmisza się w tłum manifestantów.

Alejandra poczuła coraz szybsze uderzenia tętna. Spojrzała ponownie przez okno, szukając mężczyzny, z którym rozmawiała i który musiał ją obserwować.

- Nie wiem, co to za gierki, ale zaraz zadzwonię na policję - odparła, próbując przejąć kontrolę nad sytuacją.

Ktoś zastukał cicho do drzwi pokoju.

- Kochanie, to ja, zapomniałem wziąć kartę, możesz mi otworzyć? - zabrzmiał głos Gusa.

- To Gus - powiedziała Alejandra do telefonu.

- Nie. To nie Gus, pani doktor - odparł mężczyzna bez wahania. - Gus nie żyje. Proszę natychmiast wyjść z pokoju. Proszę pobiec przez trawnik i wmiszać się w tłum. Teraz! - ponaglił ją.

- Kochanie, jestem spocony, zaraz się przeziębuję, jeśli mi nie otworzysz - odezwał się zza drzwi głos Gusa.

Kelner zobaczył mężczyznę w czerni stojącego pod drzwiami pokoju, po drugiej stronie korytarza. Spod marynarki wystawała strzelba.

- Halo, proszę pana! - zawołał do niego, podchodząc bliżej. - Do tego hotelu nie można wносить broni.

Sanem odwrócił się do kelnera i wystrzelił. Kelner przefrunął przez szerokość korytarza i zatrzymał się na koszu z brudną pościelą.

Huk strzału zabrzmiał echem w pokoju. Wtedy cała adrenalina zgromadzona w ciele

Alejandry uderzyła do jej mózgu wraz z krwią, wydając jedno polecenie: uciekaj.

Alejandra podbiegła do drzwi prowadzących na taras, zasłaniając ramionami twarz i głowę, i wyskoczyła przez szybę wśród suchego uderzenia pękającego szkła, w chmurze lśniących drobinek.

Upadła na ziemię i przeturlała się kilka metrów po trawniku, po czym podniosła się zwinnie i pobiegła w kierunku centrum manifestacji. Biegając, myślała, że nigdy nie sądziła, iż właśnie do tego przyda jej się pięć lat lekcji baletu.

Za plecami usłyszała drugi wystrzał, który wysadził zamek w drzwiach prowadzących do pokoju, a ją zdopingował do szybszego biegu.

Megafony i okrzyki manifestantów zagłuszyły hałas wystrzałów. Nikt nie zauważył, że coś się wydarzyło.

Jeszcze tylko sześćdziesiąt metrów i będzie bezpieczna w grupie ludzi.

Sanem oparł się o ramę okna. Strzelba zmieniła się w jego rękach w precyzyjne narzędzie, nie było sensu strzelać na oślep. Wycelował dokładnie broń w plecy kobiety.

Biegła bardzo szybko, wiedział, że ma tylko jedną szansę. Uśmiechnął się do siebie: jedna wystarczy. I wystrzelił.

Alejandra usłyszała wystrzał za plecami, kiedy dobiegała do pierwszej linii

protestujących. Usłyszała też świst kuli i uderzenie pocisku, który wbił się w ciało.

Rozdział XIX

„Jeden między czterdzieści a pięć tysięcy”.

Południowa Afryka, 8 sierpnia 2009 roku

Capita XIX. N.S.B.a. Żegluga trwa. W czasie straszliwego sztormu mnisi oglądają walkę smoka z morskim gryfem.

Julian Lascelles zaciągnął się po raz ostatni papierosem, patrząc na wspaniały zachód słońca nad mesetą Karru Wielkiego. Francuz obserwował wielką pomarańczową kulę, w jaką zamieniło się słońce, które zniknęło za wzgórzami Sutherland w niespełna godzinę. Mimo że spędził wiele czasu w Afryce, nie potrafił się przyzwycząić do tego przejmującego piękna. Jego zdaniem nic na ziemi nie mogło się równać z tym miejscem. Uśmiechnął się, przypomniawszy sobie nazwę, jaką nadali temu wzniesieniu Zulusi: Ikhanda Bolile, „Głowa Diabła”. Nie mógł sobie wyobrazić mniej odpowiedniej nazwy. A wszystko przez legendę, według której z tego małego wzgórza pewnego dnia będzie można zobaczyć koniec świata. Lascelles pomyślał, że podobne zabobony tylko opóźniają rozwój tego wspaniałego kontynentu.

Spojrzał na zegarek, brakowało dwudziestu minut, żeby Apophis, najpilniej obserwowana asteroida wszechświata, osiągnęła peryhelium* swojej orbity.

Zgasił niedopałek na cementowej podłodze i wszedł z powrotem do nowoczesnego budynku, w którym znajdował się największy teleskop świata, Southern African Large Telescope, w skrócie SALT, o głównej soczewce mającej jedenaście metrów średnicy.

Lascelles pozdrowił w wejściu N'mebę, jednego z czterech nocnych stróżów, którzy pilnowali budynku. Ubrojony strażnik ograniczył się do otwarcia drzwi automatycznym ruchem, podczas gdy całą uwagę skupiał na finale meczu rugby rozgrywanym między

Ameryką Południową i Anglią, który odbywał się właśnie w Londynie.

Lascelles miał znacznie ważniejsze zadanie niż N'meba, choć to zależało oczywiście od hierarchii wartości każdego z nich. Francuz zdawał sobie sprawę z tego, że przez większość śmiertelników astrofizyk był uważany raczej za dziwaka. A on sam postrzegał

* Peryhelium - miejsce na orbicie, w którym planeta lub asteroida znajduje się najbliżej Słońca. siebie jako dziwniejszego, niż na to wskazywała średnia wśród jego kolegów.

Był jedynym pracownikiem, który poprosił o nocną zmianę, żeby pożegnać się ze „skałą”.

„Czego ty się spodziewasz, Lascelles? To najlepiej zbadany obiekt w całym wszechświecie. Znamy każdy metr jego orbity i od miesięcy grzecznie przestrzega zasad.

Dziś jest sobota, Julianie, dyrektorka zaprosiła nas do Kantyny Starego Bura w Sutherland, żeby uczcić rocznicę uruchomienia teleskopu. Wszystkie niebiańskie zjawiska, które warto obserwować tej nocy, będą w tawernie, kolego. Za dużo pracujesz, Lascelles”.

Jednak on wiedział, że ten zachód słońca będzie szczególny dla „skały”.

I nie zamierzał jej zawieść.

Kiedy Apophis osiągnie ten punkt swojej orbity, w którym będzie najbliżej Słońca, zniknie z oczu wszystkich ziemskich obserwatoriów na dziesiątki miesięcy. Orbita Ziemi i meteorytu ustawią się w linii ze Słońcem i nie będą dla siebie widoczne. Zobaczą się ponownie dopiero za cztery lata.

Przez cały ten czas orbita Apophisa będzie schowana za Słońcem.

Ujrzą się po raz kolejny w maju 2013 roku. Asteroida wyłoni się wówczas ze swojej kryjówki, żeby przeciąć firmament w odległości dziesiątek tysięcy kilometrów od Ziemi i zniknąć znowu w otchłani kosmosu, aż do następnej wizyty.

Lascelles obserwował asteroidę już trzeci raz i bardzo przeżywał rozstanie.

Wszedł do sali z monitorami i usiadł w wygodnym obrotowym fotelu przy głównym panelu sterującym teleskopem. Wszystkie współrzędne były w normie. Spojrzał na chronometr jednego z czujników: pozostało mniej niż pięć minut.

Zaczął manipulować przy konsoli. Na pięciu wielkich monitorach TFT pojawiły się obrazy przedstawiające meteoryt. Obserwował go niemal codziennie od trzech lat, ale i tak pierwsze zdjęcie każdego dnia przyprawiało go o łaskotanie w żołądku.

Jego niebiański tytan. Asteroida była olbrzymia, ważyła ponad dwadzieścia milionów ton, miała długość niemal pół kilometra i trzysta dwadzieścia metrów szerokości.

Przemieszczała się z prędkością ponad trzydziestu kilometrów na sekundę.

Jej obraz na monitorze tchnął siłą. Olbrzymia „skała” płynęła w ciszy, zostawiając za sobą błyszczący ogon kosmicznego pyłu. Jak można było dobrowolnie zrzec się takiego widowiska?

Istniały ważne powody, dla których Apophis był najpilniej śledzonym ciałem

niebieskim w historii współczesnej astrofizyki. Od kiedy został odkryty, 19 czerwca 2004

roku, meteoryt stał się stałą przyczyną bólu głowy naukowców. W dniu jego wykrycia

przyznano mu pierwszy stopień w skali [Torino*](#) i zakwalifikowano do planetoid z grupy

[Atena**](#). Apophis szybko udowodnił, że nie ma zamiaru przemknąć się chyłkiem. Wszystkie

teleskopy świata zaczęły skupiać swoje narzędzia pomiarowe i całą uwagę na nowej

asteroidzie. Zgodnie z międzynarodowymi procedurami bezpieczeństwa zaczęły gromadzić

dane.

Kilka tygodni po ogłoszeniu nowego odkrycia Lascelles przyłączył się do grupy, w

której skład wchodził Hiszpanka Eugenia Sansaturio i Włoch Andrea Milani. Oboje byli

najlepszymi specjalistami w dziedzinie obliczania orbit ciał niebieskich.

Członkowie zespołu dzielili się między sobą wszystkimi nowymi obserwacjami. Jak

wynikało z praktyki, która do odkrycia Apophisa przekształciła się w niepodważalne prawo, im więcej danych zbierano o danej asteroidzie i im lepiej opisywano jej orbitę, tym bardziej malało prawdopodobieństwo jej zderzenia z Ziemią, żeby wreszcie spaść do zera. W przypadku Apophisa sprawy miały się zupełnie inaczej: im dłużej badano tę asteroidę, im lepiej obliczano jej orbitę, tym bardziej rosło prawdopodobieństwo jej zderzenia z Ziemią. Obliczono, że zbliży się do naszej planety cztery razy, w 2013, 2021, 2029 i 2036 roku. Kryzys wybuchł 24 grudnia 2004 roku. Według obliczeń prawdopodobieństwo zderzenia Apophisa z Ziemią w 2029 roku wynosiło jeden do trzydziestu ośmiu. Uderzenie miało nastąpić wzdłuż linii wytyczonej między Kamczatką i Wenezuelą, a uwolniona przez nie energia miałaby moc stu tysięcy bomb atomowych o mocy podobnej do bomby zrzuconej na Hiroszimę. W efekcie ludzie zniknęliby z powierzchni Ziemi, podobnie jak miliony lat wcześniej zniknęły dinozaury.

Amerykański rząd podszedł do sprawy bardzo poważnie. Elitarna grupa łowców asteroid przeanalizowała wszystkie obserwacje i obliczenia za pomocą „trzech strażników wszechświata”. Programy obliczające orbity ciał niebieskich zostały ponownie uruchomione na najpotężniejszych komputerach świata i 28 grudnia 2004 roku prawdopodobieństwo katastrofy wynosiło już jeden do czterdziestu pięciu tysięcy.

„Jeden do czterdziestu pięciu tysięcy. Tyle samo wynosi szansa wygrania na loterii bożonarodzeniowej”, powiedziała Sansaturio.

Apophis przestał być zagrożeniem dla Ziemi.

Nadal pozostawał jednak pod ścisłą obserwacją. Według ostatnich obliczeń, 13 kwietnia 2029 roku Apophis minie Ziemię w odległości zaledwie trzydziestu ośmiu tysięcy kilometrów. Biorąc pod uwagę fakt, że Księżyc znajduje się dziesięć razy dalej, można było

* Skala Torino - międzynarodowa skala określająca możliwość zderzenia ciał niebieskich z Ziemią.

Poziom pierwszy oznacza najmniejsze prawdopodobieństwo kolizji.

** Asteroidy z grupy Atena - asteroidy obiegające Słońce.

powiedzieć, że asteroida praktycznie otrze się o naszą planetę. Gdy wejdzie w jej orbitę geostacjonarną, pełną setek sztucznych satelitów, dostarczy ludziom niezwykłego widowiska, stając się najwspanialszą i największą spadającą gwiazdą, jaką kiedykolwiek widziano.

Lascelles spojrział na cyfrowy chronometr wyświetlony na ekranie. Pięć minut i pożegnają się na wiele miesięcy.

I wtedy coś się wydarzyło.

Pilot z prawej konsoli zaczął migać. Lascelles miał wrażenie, że jego serce przestało pompować krew, jednocześnie poczuł uderzenie adrenaliny.

Doskonale wiedział, co znaczy ten sygnał: jedna z sond Misji Stereo* wykryła formującą się burzę słoneczną. Sądząc po wskaźnikach, burza była potężna.

Lascelles poprosił o połączenie z kamerami sondy. Z jednego z monitorów zniknął obraz, w którego miejscu pojawiła się po chwili powierzchnia Słońca. Szybko zlokalizował aktywną plamę. Była ogromna, większa niż Azja, Europa i Afryka razem wzięte.

Wyliczył pospiesznie orbitę Apophisa i szerokość położenia rodzącej się burzy.

Meteoryt przeleci nad plamą za trzy minuty.

Energia związana z burzami słonecznymi mogła się zbierać całymi godzinami lub dniami, lecz potrzebowała zaledwie kilku minut, żeby wybuchnąć.

Przez chwilę myślał, że to niemożliwe, żeby mieć takiego pecha. Odetchnął głęboko kilka razy, jak go nauczył instruktor jogi, żeby opanować fatalistyczne myśli. I wtedy Azja, Europa i Afryka razem wzięte wybuchły wodospadem ognistej plazmy, wyrzucając miliony ton masy w kosmos.

Lascelles przyglądał się w zdumieniu wspaniałemu widowisku rozpetanej energii,

której nie mogły się równać miliony bomb wodorowych. Potężna burza protonów potrzebowała czterech minut, żeby dotrzeć do Apophisa dokładnie w chwili, kiedy osiągał swoje peryhelium. Kilka sekund później asteroida skryła się za Słońcem.

Lascelles potrzebował kilku minut, żeby opanować zdumienie i panikę, które go ogarnęły. Zaczął szybko przeliczać orbitę asteroidy na podstawie ostatnich obrazów burzy słonecznej, ujęcie po ujęciu. Wiedział doskonale, że tylko SALT był w stanie nagrać to zjawisko. Wiedział również, że tylko z tego obserwatorium można było wykryć wybuch na powierzchni Słońca.

Ponieważ wybuch nastąpił na granicy ukrytej strony Słońca, jego skutki nie mogły zostać zauważone na Ziemi, choć osiągnął wysokość wielokrotnie przekraczającą rozmiar

* Misja Stereo - misja NASA, której celem jest badanie atmosfery słonecznej. Obserwacje są prowadzone od października 2006 roku za pomocą dwóch sond kosmicznych.

Mount Everestu. Sonda nadal przekazywała informacje. Według klasyfikacji GOES siła wybuchu wyniosła X90, osiągając największą możliwą wartość.

Potężne programy komputerowe obliczały nową orbitę Apophisa. Trzy godziny później, po przejrzaniu wszystkich obliczeń po raz ostatni, Lascelles nie miał już żadnych wątpliwości.

* * *

Lascelles opuścił laboratorium SALT w swoim rozklekotanym land-roverze. Musiał jak najszybciej dotrzeć do Sutherland. W kieszeni koszuli miał płytę CD zawierającą najnowsze wyliczenia orbity asteroidy. Musiał poinformować szefową laboratorium, że burza słoneczna zmieniła kurs Apophisa. Z przerażeniem myślał o tym, że był w tej chwili jedynym człowiekiem na ziemi, który wiedział, że pierwsze zbliżenie się asteroidy do planety wcale nie będzie bezkolizyjne.

Według jego obliczeń Apophis miał uderzyć w Ziemię 10 sierpnia 2013 roku, dokładnie w półwysep Jukatan. Praktycznie w to samo miejsce, w które uderzył ostatni wielki meteoryt ponad sześćdziesiąt pięć milionów lat temu. Tyle że tym razem zagłada nie miała dotknąć dinozaurów.

Ponadto zagrożenie będzie mogło zostać wykryte przez teleskopy dopiero kilka tygodni przed uderzeniem, kiedy Apophis za cztery lata wyłoni się zza Słońca. Po prostu nie będzie czasu na reakcję.

Strach praktycznie nie pozwalał mu oddychać.

Przyspieszył. Nie chciał być dłużej jedynym powiernikiem straszego sekretu.

Nagle, wyjeżdżając z ciemnego, ciasnego zakrętu bitej drogi łączącej się z szosą prowadzącą do Sutherland, Lascelles zobaczył w świetle reflektorów samochodu maskę pędzącej na niego z wyłączonymi światłami ciężarówki marki Mercedes Unimog.

Należąca do kłusowników ciężarówka nie miała szans, żeby go ominąć. Uderzenie było potężne. Pod wpływem zderzenia z dziewięcioma tonami ciemnego żelaza unimoga mały land-rover wypadł z drogi, zamieniony w kłęb pogiętej blachy, i obrócił się kilka razy wokół własnej osi, wznosząc tumany kurzu.

Kiedy wreszcie się zatrzymał, rozbrzmiał suchy wybuch i resztki land-rovera stanęły w ogniu.

Lascelles nie cierpiał, nie żył od kilku sekund.

- Nie zatrzymuj się - rozkazał sucho Sanem, handlarz kłami. - Ogień mógł zaalarmować któryś z patroli.

Unimog, który nie ucierpiał w wyniku zderzenia, pojechał dalej.

Kiedy pojazd kłusowników zniknął za wzgórzem, okolica odzyskała utracony spokój.

Ikhandu Bolile znów była jednym z najpiękniejszych miejsc w Afryce.

Cameron kontra Cameron

Capita XX. N.S.B.a. Brendanus wraca na wyspę, na której żyje Wspólnota Ailbeusa, żeby spędzić na niej Boże Narodzenie. Docierają na miejsce nocą, gdy morze jest spokojne, a wyspa wita ich zapalonymi lampami.

Cameron spotkał się z Lolą i Viriatem na lotnisku. Szczerze się ucieszył na ich widok, w końcu byli mu bliscy jak rodzina. A teraz wybierali się razem w fantastyczną podróż, z której nie zrezygnowałby za żadne skarby.

Maleńkie lotnisko było zarządzane przez fundację Infante de Orleáns, będącą rodzajem klubu wielbicieli awiacji, któremu przewodniczył emerytowany pułkownik lotnictwa, Germinal Sánchez Menda. Germinal był synem falangisty, który zamurował ciało Mernoca i pomógł Odranowi siedemdziesiąt dwa lata wcześniej. Poza wyglądem odziedziczył po ojcu ogromną fortunę. Część spadku przeznaczył na realizację dwóch największych pasji: kolekcjonowanie i restaurację starych samolotów, żeby przywrócić je ich naturalnemu środowisku, jakim było niebo.

Przywitali się serdecznie, ale pospiesznie. Mieli mało czasu.

- Będziecie lecieć perłą lotnictwa - oświadczył im prezes z dumą. - To niedawno odrestaurowany beechcraft 18. Będziecie na El Hierro w trzy „skoki”. Zajmie to niewiele więcej niż współczesnym samolotem, ale warto. - W rzeczywistości lot trwał kilka godzin dłużej. - Zostawiam was w rękach moich najlepszych pilotów, Carlosa Garcíi de la Vegi i Jaimego Riestry. Żegnam, życzę udanego lotu, jestem już spóźniony na moją partyjkę golfa.

Uściskał Viriata i pożegnał się z nim, nazywając go ojcem chrzestnym. Cameron pomyślał, że chciałby zadać tyle pytań mnichowi, iż zaczynał wątpić, czy starczy mu życia, żeby wysłuchać odpowiedzi. Kątem oka zobaczył, jak Germinal znika w drzwiach

prowadzących z sali odpraw.

- Proszę za mną - powiedział jeden z pilotów. - Nie możemy dalej opóźniać wylotu.

* * *

Cameron czuł się tak, jakby był bohaterem *Casablanki*, kiedy szli po asfaltowej płycie lotniska przypominającej scenografię filmową.

Na początku pasa startowego stał elegancki beechcraft 18, z ogonem wyposażonym w dwa skrzydła sterowe. Maszyna, która z pewnością zachwyciłaby rysownika Hergégo, była napędzana dwoma silnikami i mogła zmieścić siedmiu pasażerów. Została skonstruowana w 1935 roku w Stanach Zjednoczonych i była wyposażona w dwa silniki ze śmigłami firmy Pratt & Whitney o mocy czterystu pięćdziesięciu koni każdy. Samolot osiągał prędkość trzystu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i mógł latać na odległość ponad trzech tysięcy kilometrów. W czasach swojej świetności Beechcraft 18 był jednym z najczęściej używanych samolotów na trasach lokalnych. Jak poinformował swoich pasażerów Riestra, „podobnym samolotem Che poleciał na Kubę robić rewolucję”.

Fundacja Infante de Orleáns doskonale odrestaurowała samolot i odmalowała go w kolorach ostatniej linii lotniczej, w której flocie służył: hiszpańskiej Spantax.

Podczas gdy Riestra włączał silniki, Garda de la Vega wyjaśniał pasażerom, jak będzie wyglądać ich lot.

- Teraz polecimy na lotnisko Tablada w Sewilli. Zajmie nam to około dwóch godzin.

Z Sewilli udamy się na Lanzarote. To będzie nasz najdłuższy skok, ale jeśli wiatr będzie nam sprzyjał, nie potrwa dłużej niż cztery godziny. Z Lanzarote polecimy już na El Hierro, która jest naszym celem. Przed nami kawał drogi. Ponieważ nie mamy stewardesy, mogą państwo pytać nas o wszystko podczas lotu - powiedział uprzejmie pilot, który Cameronowi przypominał Tony'ego Curtisa. - Życzymy przyjemnej podróży.

W ten sposób podróżnicy dowiedzieli się, czym były trzy „skoki”, o których mówił Gerninal. El Hierro czekała na nich. Cameron postanowił porozmawiać z Viriatem, kiedy samolot wystartuje na dobre. Zamknął oczy, próbując zasnąć pomimo rozmowy, jaką przez komórkę prowadził mnich. Uśmiechnął się do myśli, że niewielka liczba urządzeń elektrycznych pozwalała w tym samolocie używać telefonu. Kiedy jego ciało odprężyło się wreszcie po tylu godzinach napięcia, odniósł wrażenie, że Viriato mówi po francusku i arabsku.

* * *

Po rozmowie z Mássimem Lanza Madoc Cameron nie miał powodów do radości. Operacja nie mogła się zacząć gorzej. Zostali odkryci w pierwszej minucie, a reakcja agenta, który śledził cel, nie mogła być mniej fortunna. Teraz nie tylko mieli świadomość, że są śledzeni, ale jeszcze bali się ich. A jak dobrze wiedział, zwierzyna, która boi się myśliwego, popełnia niewiele błędów.

Uśmiechnął się mimo woli, wspomniawszy, w jaki sposób jego brat pozbył się telefonu, a wraz z nim nadajnika, który podłożył mu w Rzymie. Pomyśleć, że chciał wtedy kontrolować jedynie jego rozmowy z kardynałem Grazziannim! Sebastian wykazał się jednak dużym refleksem. Policyjna grupa do zadań specjalnych, która pół godziny wcześniej wpadła do mieszkania tamtego chłopaka, musiała mu napędzić strachu. Będzie miał nauczkę, żeby nie przyjmować prezentów od obcych ludzi.

Dzięki temu manewrowi CC i jego cudacznym przyjaciołom zyskali pewną przewagę.

Lanza był również w mieszkaniu w *corrali* i poinformował Madoca, że ptaszki wyleciały z gniazda.

Przynajmniej czeka nas ciekawa rozgrywka, pomyślał z satysfakcją. Cameron kontra Cameron.

Sama myśl, że jego brat łudził się, iż z nim wygra, czyniła rozgrywkę jeszcze bardziej interesującą.

Madoc dokonał wstępnej analizy, „rozpoznania ustawienia figur na szachownicy”, jak mówiono w Agencji.

Jego ludzie stracili inicjatywę, kiedy ich odkryto, ale mogli przewidzieć ruchy innych graczy. Z pewnością zamierzali być 10 sierpnia na Wyspie Świętego Brendana. Po pierwsze, zażądał danych satelitarnych dotyczących obszaru, na którym pojawiała się legendarna wyspa. Transmisja, jaką otrzymywał na bieżąco, pokazywała jasne niebo nad tą częścią Atlantyku. Nigdzie nie było też widać żadnej wyspy. Po drugie, odwołał załogę jachtu „Atlantis”, który Kelly Lamar wynajęła dla jego ognistego brata. Szkoda jej, będzie się nudzić sama w apartamencie w luksusowym hotelu na La Palmie. Po trzecie, wziął pod lupę wszystkie firmy prowadzące wynajem jachtów na El Hierro lub La Gomery, będących jedynymi wyspami, z których można było zaryzykować rejs na Wyspę Świętego Brendana. Madoc wiedział, że jedynym sposobem dostania się na wyspę było wynajęcie łodzi wystarczająco sprawnej, żeby wytrzymała burze i mgły, którymi legendarna wyspa witała swoich gości. Pod tym względem niewiele się zmieniło od VI wieku naszej ery.

I myśliwi, i uciekinierzy musieli zrezygnować z takich zdobyczy nauki, jak helikoptery czy awionetki. Na polecenie Madoca z Gibraltaru ruszył w kierunku El Hierro „Benjamin Franklin”, statek wyposażony również w helikopter. Będzie potrzebował obu, żeby zrealizować swoje plany.

Na ekranie jego komputera wyświetliła się nowa wiadomość od Lanzy. Kontrole rozlokowane na hiszpańskich i portugalskich lotniskach nie wykryły wylotu trzech uciekinierów. Zamknął wiadomość. Nie wiedział, jak im się to udało, ale był pewien, że w tej chwili cała trójka leci w kierunku El Hierro lub La Gomery.

Dzwonek telefonu komórkowego wyrwał go z rozmyślań.

- Słucham, Mássimo.

- W Sztokholmie zaatakowano tę parę, którą śledziliśmy. Chłopaka znaleźli martwego na ławce w parku, niedaleko hotelu, w którym się zatrzymali, miał złamany kark. W hotelu jeden kelner zginął od wystrzału i jeden cywil został ranny.

- A kobieta?

- Udało jej się uciec z hotelu. Prawdopodobnie strzelali do niej, kiedy była już na zewnątrz, ale człowiek biorący udział w manifestacji stanął w ostatniej chwili na linii strzału. To ten ranny cywil, o którym mówiłem, według policyjnych danych jest chłopakiem z zespołem Downa.

- Wiemy, gdzie jest ta kobieta, Lanza? - Madoc próbował powstrzymać ciekawość.

- Nie, proszę pana. Zgubiła się w tłumie. Próbujemy ją znaleźć.

- Czy wiadomo, kto ją zaatakował?

- To się wydarzyło kilka godzin temu. Mamy ludzi w szwedzkiej policji, którzy informują nas na bieżąco, ale nadal nie wpadli na żaden trop.

- Daj mi znać, kiedy tylko coś się wydarzy, Lanza - powiedział Madoc zdawkowo, zanim się rozłączył.

Do rzeczywistości przywołała go sekretarka, która weszła do gabinetu, zapukawszy najpierw do drzwi.

- Panie ambasadorze, samochód czeka. Odrzutowiec już stoi na Fiumicino, gotowy do odlotu na El Hierro za czterdzieści pięć minut, tak jak pan prosił.

Madoc Cameron wyłączył laptopa z uśmiechem i życzył sobie udanego polowania.

Tally ho! - jak mawiali Anglicy, kiedy jeszcze pozwalano im polować na lisy.

* * *

Więzienie Królewskiej Żandarmerii w Maroku, znajdujące się na plaży El Aaium, nie było ani przyjemne, ani wygodne. Należące do niego pomieszczenia pamiętały lepsze czasy hiszpańskiego kolonializmu, kiedy komisariat należał do nowoczesnego, jak na tamte lata, wojskowego kompleksu Pierwszego Batalionu Kształcenia Rekrutów. Jedynym śladem dawnej świetności była brama wjazdowa ozdobiona dwiema wieżyczkami. Większość budynków, wyłączając komisariat i więzienie, była zupełnie opuszczona i częściowo zasypana przez wydmy.

Jednostka policji na plaży El Aaium zaliczała się do najgorszych na Saharze Zachodniej. W jej murach słynący z brutalności szef jednostki, Raszid al-Hamat, załatwiał swoje najciemniejsze sprawy. Kto raz wszedł do środka, nie mógł liczyć, że wyjdzie z komisariatu żywy.

Victor Medina Urquijo odwrócił się na drugi bok na cuchnącej pryczy. Nadal był obolały. Oko, którym jeszcze coś widział, skierował na szerokie plecy swojego wiernego drugiego oficera, Sidiego. Mężczyzna wyglądał, jakby spał. Żandarmi poświęcili im dużo uwagi. Zmienili twarz Victora w miazgę, a Sidiemu zafundowali dodatkowe rozrywki za pyskowanie i rzucanie się na jednego z policjantów. A wszystko przez to, że próbowali przemyć do Maroka pięćset skrzyń whisky. Dobrej whisky, w dodatku, bo najgorszym trunkiem, jaki miał pod pokładem, był Juanito Black Label. W interesach przyjął zasadę, że wszystko musi być na najwyższym poziomie, inaczej nie ma sensu wychodzić z domu. Wszystko przez to. No i przez to, że nie chciał dzielić się zyskiem z szefem policji w El Aaium. Chociaż uprzedzano go, że z Maura jest kawał sukinsyna. Jednak jego mottem życiowym było *Fortuna audaces est*. Kazał to sobie wytatuować pod pępkiem w Tajlandii, co bardzo podobało się paniom. No, takim trochę kurewskim paniom. W każdym razie znów postawił wszystko na jedną kartę. Tak jak wtedy, kiedy stracił pozycję kapitana na żaglowcu

należącym do Cunard Line, gdy założył się o tysiąc dolarów, że doprowadzi do omdlenia lady Woollford. Milady była nadętą brytyjską arystokratką, poobwieszoną tytułami, która chwaliła się na każdym kroku, że jest kuzynką królowej angielskiej. Uśmiechnął się na to wspomnienie, na tyle, na ile pozwalała mu spuchnięta i popękana warga.

Kapitan Medina kazał wnieść wtedy udziec szynki z Jabugo, który trzymał dla specjalnych gości. Z namaszczeniem wstał zza stołu i ostrym nożem ciął mięso na cienkie plastry.

- To wspaniałe - oznajmiła afektowanie lady Woollford, afekcja była dla niej stanem naturalnym. - Nigdy nie widziałam, żeby kapitan statku kroił wieprzową szynkę dla swoich honorowych gości. Wy, Hiszpanie, nie przestajecie mnie zadziwiać.

- Milady, szynka pokrojona nożem przez eksperta, za jakiego się uważam, smakuje zupełnie inaczej - wyjaśnił kapitan.

- Ależ, panie kapitanie, już dawno wymyślono maszyny, które wykonują taką pracę - odparła arystokratka z pogardliwą miną.

Medina przestał kroić mięso. Nachylił się nieco, nadał klatkę piersiową i spojrzał na lady Woollford z oburzeniem najwyższego kapłana, który widzi profana w swojej świątyni.

- Droga pani - rzekł głośno - odkąd wynaleziono krajalnicę i bidet, ani szynka nie smakuje szynką, ani cipka nie smakuje cipką.

Zgodnie z planem, lady Woollford zemdląca, jak tego wymagały od niej edukacja i bon ton. Medinę zaś wyrzucono na bruk w Korfu, następnym porcie, do którego zawinęli. Z wymówieniem i tysiącem dolarów w kieszeni.

* * *

Drzwi celi otwarły się nagle, skrzypiąc zardzewiałymi zawiasami. Żandarm wpuścił do środka otyłego Raszida, przerażającego szefa policji z El Aaium. Za nim do celi weszło

czterech policjantów niosących prymitywny drewniany stół i dwa metalowe krzesła, zgrzytające po cemencie, kiedy wlekli je za sobą. Nie przynieśli folii, którą zakrywali podłogę, żeby nie pochłapać jej krwią. Medina nie wiedział, czy się cieszyć, czy martwić. Wyglądało na to, że będzie to ostatnia rozmowa z Raszidem.

Dwaj strażnicy podnieśli go brutalnie z pryczy i posadzili naprzeciwko szefa policji.

Zdziwił się, że go nie skuli. Pomyślał, że pewnie zabiją go jednym strzałem.

Żandarm wyjął z podniszczonej kartonowej teczki dwa dokumenty z godłem

Królewskiej Żandarmerii i położył je na stole przed Mediną.

Raszid, który niemalże pocił się tłuszczem, podał mu z namaszczeniem złote pióro.

- Podpisz - powiedział z obleśnym uśmiechem. I po hiszpańsku, nie darmo spędził osiem lat jako sierżant wspierających Wojsko Hiszpańskie Tropas Nómadas.

- Dlaczego mnie nie zastrzelisz i sam nie podpiszesz? - Medina był Baskiem i karciarzem, nie mogło się obyć bez blefowania.

- Podpisz, przyjacielu. - Raszid uśmiechnął się tak szeroko, że w jego spoconych policzkach pojawiły się dołeczki. - To twoja *przepustka* na wolność. Pięć skrzyń whisky jest *tylko* wykroczeniem w muzułmańskim, ale nowoczesnym kraju, jakim jest *Marokio*.

Medina przyjrzał się papierom na tyle, na ile mu pozwalało jego jedno sprawne oko, żeby sprawdzić, ile przechwyconego towaru wpisano naprawdę do policyjnego raportu.

Rzeczywiście, pięć skrzyń whisky. Ten sukinsyn właśnie przywłaszczył sobie bezczelnie czterysta dziewięćdziesiąt pięć butelek whisky Black Label. Nie darmo był szefem policji w jednym z najbardziej przeżartych korupcją państw Afryki. Czytał dokument dalej, szukając najgorszej wiadomości, ale jej nie znalazł. Królestwo Maroka nie konfiskowało mu jego statku „Guadalupano”! Kapitan podpisał, nie chcąc dłużej kusić losu. Chociaż przeczuwał, że czeka ich jeszcze jedna niespodzianka.

- Podpisz też za swojego przyjaciela. Jemu może być trudniej wstać niż tobie -

poprosił niemal uprzejmie Raszid.

Medina podpisał.

- Możemy już iść? - Marzył o tym, żeby wreszcie wydostać się z komisariatu.

- Dobroć Allacha jest *nieskiończona*. Moja nie. - Nienawidził tego uśmiechu, tej

świńskiej twarzy. - Będziesz musiał wyświadczyć mi *malutką* przysługę, zanim wrócisz do swojej *kiochanej* Hiszpanii, *kiapitanie* Medina.

Rozdział XXI

Pierwsza podróż Viriata

Capita XXI. N.S.B.a. Wpływają na przezroczyście morze, o wodzie przejrzystej jak szkło. W ciągu ośmiu dni podziwiają piękno jego głębin i żyjące w nim ryby.

Beechcraft 18 leciał majestatycznie nad Atlantykiem ku kolejnemu celowi, wyspie

Lanzarote.

Lola i Cameron odzyskali dobry humor, a Viriato jak zwykle był ucieleśnieniem optymizmu. Gdy tylko się rozluźnili, rozmowa popłynęła wartko.

- Miałem pewnie jakieś cztery lata, kiedy pierwszy raz przeszedłem przez wrota czasu

i znalazłem się na wyspie - opowiadał Viriato, otwierając przed towarzyszami kolejny

rozdział niezwyklej sagi, jaką było jego życie. - Spędziłem niewiele czasu z moim wybawcą,

bo Odran, Brendanus i inni mnisi opuścili wyspę kilka miesięcy później. Chcieli wrócić do

Irlandii, nie widzieli powodu, żeby zostawać dłużej na wyspie, zwłaszcza po śmierci

Mernoca. Dla nich pobyt w raju dobiegł końca. Odran chciał umrzeć w swojej ukochanej

Irlandii, a Brendanus popadł w głęboką melancholię. Wsiedli na swoją *curragh*, która

przyniosła ich na wyspę z pierwszą burzą, jak przepowiedział Mernoc w *Księdze czasu*. Ja

zostałem pod opieką gubernatora Pedra Velo, ojca Xaviera i brata Kevina, kucharza.

Gubernator dbał o moje wychowanie, ojciec Xavier o moją edukację, a Kevin nauczył mnie wszystkich grzechów. Nie był to zły nowicjat dla chłopca, którego rodzice osierocili tak wcześnie z powodu wojny. Nigdy więcej nie słyszałem o Brendanusie i Odranie. Nie potrafię wyrazić, co czułem, kiedy zobaczyłem te stare kamienie, wśród których obaj żyli. Miałem możliwość skorzystania z archiwum opactwa, dzięki czemu dowiedziałem się mniej więcej, jak wyglądała ich podróż powrotna.

* * *

Brendanus i Odran skierowali swoją watałę *curragh* do Achinet, żeby sprawdzić, co dzieje się z misją, którą tam założyli. Jak się okazało, czas, który spędzili na wyspie i który trwał w ich mniemaniu cztery miesiące, płynął szybciej na Teneryfie: dla jej mieszkańców upłynęło czternaście lat.

Dowiedzieli się z ust córki króla, księżniczki Tegueste, że jej ojciec zmarł trzy lata wcześniej i że ani ona, ani jej bracia nie potrafili zarządzać jego spuścizną.

Achinet ucierpiało od okrutnej wojny domowej. Wściekłość wszystkich klanów zwróciła się przeciwko mnichom. Obarczenie winą za wszelkie zło „obcego” było strategią starą jak świat.

Księżniczka opowiedziała przybyłym ze łzami w oczach, że wszyscy mnisi zostali ukrzyżowani na plaży Hocico de Perro, na której zostali pochowani. Chociaż niektóre pobożne rodziny nadal potajemnie chrzcili swoje dzieci, Brendanus zrozumiał, że ziarno nowej wiary zasiane na Achinet zmarniało, być może na zawsze.

Opat z Conflert zapłakał gorzko nad losem swoich mnichów i swojego wiernego nowicjusza Grilla, w którym pokładał wielkie nadzieje. Wraz z Odranem porzucił wyspę i podjął podróż następnego dnia, ku uciesze księżniczki, która nie potrafiła zagwarantować im bezpieczeństwa w burzliwych czasach, jakie nastąpiły po śmierci jej ojca.

Po wielu tygodniach żeglugi, kiedy przezwycięzyli mnóstwo przeciwności losu i niebezpieczeństw, dotarli na wysokość Wieży Herkulesa w Galicji i tam ich łódź zatonięła. Dzięki łasce bożej uratował ich galicyjski rybak, który szczęśliwie płynął do irlandzkich stoczni w Galway, i tu dowiózł mnichów całych i zdrowych. Brendanus zmarł kilka miesięcy później w swoim ukochanym klasztorze w Conflert. Według kroniki zmarł wskutek choroby, lecz ja wiem, że skonał z żalu i smutku po stracie rajy i umiłowanych braci, Mernoca i Grilla, nie mówiąc o pozostałych zakonnikach.

Wszystko to wydarzyło się w roku Pańskim pięćset siedemdziesiątym. Historycy mylą się, sądząc, że Brendanus umarł w wieku osiemdziesięciu jeden lat. Taki wiek był niemożliwy do osiągnięcia dla mężczyzny żyjącego we wczesnym średniowieczu, kiedy nikt nie żył dłużej niż czterdzieści lat.

W rzeczywistości w chwili śmierci Brendanus miał niecałe sześćdziesiąt siedem lat.

Na tym polega paradoks upływu czasu na naszej wyspie.

- To znaczy, że na Wyspie Świętego Brendana ludzie się nie starzeją? - zapytała Lola, a Cameron pomyślał, że to bardzo kobiece pytanie.

- Ależ tak. Oczywiście, że się starzeją. Dobry Bóg nie pozwala nam pić ze źródła wiecznej młodości - wyjaśnił Viriato z rozbawieniem. - Na szczęście starzejemy się i umieramy, kiedy spełnimy nasze zadanie. Po prostu czas płynie tam inaczej.

- Czy Brendanus nigdy nie napisał na nowo kroniki swojej podróży? - zapytał Cameron z zawodowej ciekawości.

- Nie. Nie chciał tego robić. Zostawił rękopis tak, jak go zredagował Mernoc. Dlatego oryginalną kroniką podróży, prawdziwym *Navigatio Sancti Brendani*, jest rękopis znaleziony w Cobisie, a ten, który uważano za oryginalny, jest fałszywką. Paradoks, prawda?

- A co się stało z Odranem? - zapytał Cameron, który polubił tego niezwykłego

mnicha.

- Zginął niedługo później, w bitwie przeciwko pogańskim Piktom, którzy najechali Irlandię. Umarł jako mnich żołnierz, bo los zawsze nas odnajdzie, choćbyśmy chcieli go oszukać. Umieramy zgodnie z naszą naturą, profesorze, nie możemy nic na to poradzić. Ale wróćmy do mojej historii, bo dzięki niej zrozumiecie też waszą. Jak już wspomniałem, zostałem wychowany przez dyscyplinę, mądrość i grzech. Jednak żaden z moich trzech opiekunów nie był w stanie zagłuszyć we mnie pragnienia, żeby wrócić do czasu i miejsca, w którym się urodziłem. Zwłaszcza brat Xavier, który pochodził z Aragonii i po trzech pielgrzymkach do Santiago de Compostela postanowił udać się do Irlandii i przywdziać habit w Conflert, był dla mnie jak ojciec. Zanim wstąpił do zakonu, nazywał się Xavier Terren Bescos, potem posługiwał się imieniem Xavier z Conflert. Imię to było mu drogie, chociaż należał do tych nielicznych, którzy postanowili zostać na wyspie na zawsze. A przecież każdy człowiek jest mniej lub bardziej związany ze swoim pochodzeniem. Ten brat, który zawsze najlepiej znał moją duszę, prędko zrozumiał, że ani tonsura, ani klasztorne życie nie odpowiadały mojej naturze. Wiedział też, że pisane mi jest wrócić. Kiedy osiągnąłem pełnoletność, moja decyzja była już niewzruszona. Wiek dwudziesty, Madryt i Hiszpania stały się tematami, którym poświęciłem najwięcej czasu w trakcie moich badań w klasztornej bibliotece. A nie była to byle jaka biblioteka. Zgromadziliśmy w niej ponad pięćdziesiąt tysięcy książek.

- Jak to zrobiliście? - zainteresował się profesor.

- Najważniejszym celem podróży mnichów było zdobywanie wiedzy, a wiedza jest przechowywana w książkach. Część naszego złota przeznaczaliśmy na zakup dzieł z najróżniejszych krajów i epok. Z pewnością spędzicie w niej sporo czasu, kiedy już dotrzemy na wyspę - oznajmił Viriato.

- Złoto? Macie na wyspie kopalnię czy coś w tym stylu? - zapytała Lola. Kobiety

zawsze zadają pytania wprost.

- Mamy złoto pirata Hawkinsa, moja droga. Ale to już zupełnie inna historia. Chcę wam teraz opowiedzieć o mojej pierwszej samowolnej podróży w czasie. - Urwał na chwilę, żeby przyciągnąć uwagę słuchaczy. - To się wydarzyło o zmierzchu - podjął - kiedy kończyłem zbierać muszle na plaży. Pamiętam, że burza była krótka, ale gwałtowna. Wrota otworzyły się na styku plaży z morzem. Po drugiej stronie też była noc i wydawało mi się, że widzę Madryt, jaki zapamiętałem z rysunku oglądanego w bibliotece. Zarys mojego wymarzonego miasta, mojej małej ojczyzny, widziany z gór El Pardo. Nie wahałem się ani chwili, podkasałem habit i udałem się zdecydowanie ku mojemu Xanadu.

- Czy zawsze podróżujecie w czasie w habitach? - zapytał Amerykanin.

- Zawsze - zapewnił go Viriato. - Tę zasadę wprowadził brat Mernoc. I nie był to zły pomysł, bo habit benedyktyński jest ponadczasowy i właściwie nie rzuca się w oczy, niezależnie od epoki. Mam nadzieję, że od tej pory nie będzie pan podejrzliwie patrzył na wszystkich mnichów, jakich spotka - dodał z uśmiechem.

*

Młody Viriato zaznaczył miejsce wejścia, jak robili inni podróżujący w czasie mnisi, ułamując gałązki dębu niedaleko krańca piaszczystej drogi, która prowadziła chyba do miasta. Zrobił to raczej dlatego, żeby przestrzegać zasad, w których go wychowano, niż żeby zapewnić sobie możliwość powrotu. Nie miał zamiaru wracać na wyspę, tak wielka była siła tęsknoty i idealizacji utraconego domu.

Noc była piękna, gwiazdzista i bardzo zimna. Viriato ruszył dziarskim krokiem w stronę miasta, które nawet z daleka wyglądało na ogromne, choć słabo oświetlone.

Chłopak wszedł do Madrytu przez Puente de Toledo i zatęsknił za lampami i

piekielnymi maszynami na kołach, o których mówili mnisi z dwudziestego wieku.

Viriato spotkał niewielu przechodniów, co przypisywał późnej porze. Wreszcie zatrzymał jednego z nich, pytając o miejsce i datę, tłumacząc swoją niewiedzę tym, że właśnie opuścił klasztor z klauzurą, aby odbyć pielgrzymkę do Leire. Wiadomość, że rzeczywiście jest w Madrycie, napełniła go radością, nie ucieszyła go jednak data: była to noc wigilijna 1732 roku. Od Madrytu, w którym chciałby żyć, dzieliło go bardzo dużo czasu. Skoro jednak wyruszył w podróż, postanowił przejść się po mieście, zanim wróci na wyspę, żeby nabrać doświadczenia i zrobić pierwszy rekonesans.

Viriato nie poddawał się łatwo, postanowił więc wykorzystać w pełni swoją pierwszą podróż w czasie.

Przechadzał się radośnie po ulicach miasta, które wydawało mu się największym na świecie. Nie mogło być inaczej, skoro jedynym znanym mu dotąd światem była wyspa, a jedyną konstrukcją stworzoną przez człowieka, jaką widział, był do niedawna jego klasztor.

Przeszywające zimno nie robiło na podróżniku wrażenia. Pożerał wszystko wzrokiem, podziwiając domy z kamienia, cegieł i zaprawy, które wydawały mu się olbrzymie.

Na ulicy San Ginés y San Martín zaskoczyły go uderzenia dzwonu, który wybijał północ. Po kilku sekundach dołączyły do niego dziesiątki innych. Miasto zamieniło się w koncert dzwonów wzywających na pasterkę. Nie było w tym nic dziwnego, zważywszy na porę roku oraz liczbę kościołów i klasztorów, którymi pysznił się Madryt w tamtych czasach.

Nagle z bocznej ulicy wybiegł chłopak, krzycząc:

- Dlaczego nie dzwonią na alarm?! Pałac się pali!

- Jaki pałac, chłopcze? - zatrzymał go Viriato, łapiąc chłopaka za kubrak.

- Jak to: jaki? Królewski! Alkazar! - odparł chłopiec ze zdziwieniem pomieszanim z wrogością.

W tej samej chwili ulicę spowił dym pachnący spalonym drewnem. Viriato podniósł wzrok i zobaczył ponad pobliskimi dachami, jak noc rozjaśnia łuna ognia.

*

Szalejące płomienie wypełzały już przez okna zachodniej fasady. Viriato, który czym prędzej przybiegł na miejsce, stanął jak wryty, podziwiając piękno i rozmiary budynku. Był to średniowieczny zamek o okrągłych wieżach ozdobionych spiczastymi kapitelami, pokrytymi czarnymi dachówkami i zwieńczonymi ostrymi strzałami.

Na placu przed Alkazarem zaczęli zbierać się gapie, podczas gdy oddział halabardników przybyły z pobliskiego parku artyleryjskiego zaczął otaczać pałac i obstawiać główne wejście, aby zapobiec rabunkowi. Mieszkańcy Madrytu, podobnie jak wszyscy Hiszpanie, przejęli ten niedobry zwyczaj od *Tercios* i chętnie łupili, co popadło, kiedy tylko nadarzała się ku temu sposobność.

Jedynie zakonnicy z San Gil mogli swobodnie wejść do środka, razem z niektórymi strażnikami i służbą, w celu ugaszenia pożaru i wyniesienia tych kosztowności, które można było jeszcze uratować przed spłonieniem.

- Nowicjuszu! - Energiczny zakonnik, starszy od Viriata, złapał go silnie za ramię.

Miał twarz osmaloną od dymu i przypaloną brodę. - Jestem brat Rafael Maté, ekonom z klasztoru San Gil! - przedstawił się, wykorzystując okazję, żeby podać swoje stanowisko. -

Chodź ze mną do Sali Lustrzanej, tam wiszą najlepsze obrazy Alkazaru!

Viriato nie wahał się ani przez chwilę. W końcu to był jego Madryt i warto było przyczynić się do uratowania choć części jego dziedzictwa.

Grupa mnichów pod wodzą brata Rafaela podążała odważnie długimi korytarzami pałacu, pod których wysokimi sklepieniami zbierał się dym pożaru. Viriato zauważył wspaniałe renesansowe łuki półkoliste wsparte na wielkich kolumnach, z którymi tworzyły

harmonijną całość wśród rozmaitych stylów architektonicznych. Widać było, że każdy król remontował stary arabski zamek, żeby zostawić w nim swój ślad.

Flores, klucznik Alkazaru idący na czele grupy, otwierał kolejne drzwi przed dziwnym pochodem ratowników. Jego członkowie zauważyli, że w każdym pomieszczeniu, do którego wchodzili, temperatura była wyższa o kilka stopni: szli ku jądro piekła.

Flores, z czołem pokrytym kroplami potu i koszulą moką od strachu i wysiłku, otworzył podwójne drzwi prowadzące do sali zwanej Oktagonálną. Natychmiast powalił go podmuch rozgrzanego powietrza, który wionął z pomieszczenia z wyciem i siłą oddechu samego diabła.

Ogień, jak nagle wypadł z sali, tak równie gwałtownie się do niej cofnął, jakby był obdarzony życiem i wzywał przybyłych, aby odważyli się wejść na jego teren. Brat Maté się nie cofnął. Nie zrobił tego również Viriato, który czuł się jak grecki bohater z dzieł Homera, i upojony wspomnieniem Hektora i Achillesa wszedł do Sali Oktagonálnej wraz z czterema innymi mnichami, obdarzonymi równie ślepą odwagą.

Udało im się uratować portrety Karola II i królowej Marianny Austriaczki pędzla Carreña de Mirandy*. Własną skórę ocalili w ostatniej chwili. Tuż po ich wyjściu sufit trzasnął i zawalił się na środek sali. Za nim wpadł do niej żar, w jaki zmieniły się kasetony i podłoga z piętra wyżej.

Ratownicy pobiegli następnie do Sali Lustrzanej, gdzie wisiały najlepsze ze zgromadzonych w Alkazarze obrazów. Wbiegli do niej przez komnaty książęce. Viriato rozpoznał je od razu - to tutaj Velázquez namalował sławne *Las Meninas*. Widok pustego teraz pomieszczenia i płomieni szalejących w miejscu, w którym Velázquez sportretował sam siebie, zrobiły na nim ogromne wrażenie.

Otrząsnął się jednak i pobiegł za swoimi towarzyszami. Sala Lustrzana zaczęła płonąć. Niektórzy zakonnicy wyrzucali obrazy przez okna, podczas gdy inni, stojąc na zewnątrz, łapali je w rozwinięte koce. Z różnym szczęściem udawała im się ta sztuka: Viriato zobaczył niejedyn obraz rozpryskujący się w drzazgi na bruku.

Zauważył grupę mnichów próbujących ocalić malowidło Tycjana *Karol V podczas bitwy o Mühlberg*. Ogromny obraz nie mieścił się w żadnym z okien. Zakonnicy patrzyli na siebie zrozpaczeni, nie potrafiąc znaleźć rozwiązania, podczas gdy ogień niemal dotykał ich pleców.

Viriato, który odkrywał w sobie zdolności przywódcze i umiejętność szybkiej reakcji niespotykane w jego wieku, oderwał kopniakiem jeden z boków ozdobnej ramy i zaczął oddzielać płótno od drewna. Pozostali mnisi poszli za jego przykładem i wkrótce dzieło Tycjana wylądowało na ulicy, rozłożone niczym obrus. Było pokiereszowane, ale całe. W * Obecnie znajdują się w muzeum Prado w Madrycie.

czasie heroicznej akcji ratunkowej mnisi uratowali większość dzieł z Sali Lustrzanej, „lekceważąc zagrożenie życia”, jak mieli potem napisać kronikarze.

Mnisi nie zdołali jednak wejść do Dużego Salonu, w którym rozszalał się ogień.

Viriato widział, jak płoną resztki *Dwunastu Cezarów* Tycjana. Nie weszli również do Królewskiej Jadalni, z której udało im się uratować jedynie sfatygowany *Triumf Bachusa* pędzla Velázquez.

Wreszcie wyszli z pałacu, na wpół uduszeni dymem, przysmażeni ogniem, z nadpalonymi habitami i o twarzach pokrytych popiołem i naznaczonych strużkami potu i łzami.

Na ich widok gapie, których tłum zwabiony plotkami o pożarze zgromadził się pod pałacem, podnieśli wrzawę, wiwatując na ich cześć i nagradzając mnichów oklaskami.

Niektórzy zakonnicy pozdrawiali ludzi, zaskoczeni, wdzięczni i dumni zarazem, że tego smutnego dnia bracia z San Gil zaskarbili sobie wdzięczność ludzi. Z dwóch tysięcy obrazów zgromadzonych w Alkazarze ponad dwie trzecie udało się uratować dzięki ich odwadze i poświęceniu. Wiwaty i oklaski trwałyby dłużej, bo Madryt zawsze potrafił docenić swoich bohaterów, nawet królów, jeśli nie byli całkiem zli, a Filip V nie należał do najgorszych, gdyby w tej samej chwili nie rozpadła się jedna z pałacowych wież. A była to wieża, w której znajdowało się archiwum.

Niebo Madrytu przykryły papiery i zwoje dokumentów, niektóre nadpalone, inne całe.

Tej nocy nie było nikogo, kto nie zaniósłby do domu na pamiątkę papieskiej bulli, rozkazu aresztowania, królewskiego przywileju w Ameryce czy wykonania wyroku.

Viriato siedział na ulicy, próbując odzyskać oddech i obserwując pożar, który z powodu wiatru wiejącego z zachodu objął już cały Alkazar.

Domyślił się, że był to koniec zamku. Postanowił, że w przyszłości częściej będzie studiował historię w klasztornej bibliotece, bo nie można podróżować w czasie, nie wiedząc, co nas czeka.

- Nowicjuszu, jesteś mi jeszcze potrzebny. - Ekonom stanął obok niego. Viriato miał wrażenie, że ten człowiek jest niezniszczalny.

- Jestem do usług, ojczu - odparł z szacunkiem. Jeśli zakonnik był gotów na wszystko, on był gotów na jeszcze więcej.

- Przy klasztorze stoi dziewięć wozów. Ładujemy na nie rzeczy, które udało się ocalić.

Trzeba to przewieźć na przechowanie do klasztoru San Gil, Królewskiej Zbrojowni, do domu arcybiskupa Toledo oraz do domu markiza Bedmara. Ty zajmiesz się ostatnim wozem, który pojedzie do domu markiza. Znasz drogę, prawda?

- Jak drogę do własnego klasztoru, ojczu - skłamał Viriato z ciężkim sercem, ale nie

miał innego wyjścia.

Zakonnik zaprowadził go do miejsca, w którym stały wozy. Wszystkie były obładowane do granic możliwości. Viriato wsiadł na ostatni z nich i chwycił pewnie lejce.

- Dziękuję, synu - powiedział zakonnik z wdzięcznością. - Dziś zachowałeś się jak bohater tam, na górze, w ogniu. Wy, benedyktyni, macie jaja nie z tej ziemi.

- Wszyscy zrobiliśmy to, co do nas należało, ojcze. - Po raz pierwszy poczuł dumę z bycia nowicjuszem. - Czasem ratujemy dusze, czasem obrazy, ale naszym zadaniem jest ratować, prawda?

Karawana wozów ruszyła. Brat Rafael spojrział na Viriata i uśmiechnął się, a jego spojrzenie należało do tych nielicznych, które mówią, że poznają swego.

- Nie trać tego ducha, chłopcze, niezależnie od szat, jakie będziesz nosił - rzucił na pożegnanie i klapnął w zad muła, zmuszając go do marszu.

*

Viriato prędko się zgubił. Nietrudno było przewidzieć taki obrót spraw, zważywszy, że nie znał miejsca, do którego zdążał. W dodatku został bez eskorty, bo dwaj towarzyszący mu halabardnicy pobiegli gonić kilku rzezimieszków, którzy wyciągnęli spod przykrywających skarby koców srebrny świecznik.

Wtedy nowicjusz usłyszał uderzenia piorunów: nad pobliskimi wzgórzami El Pardo zbierała się burza. Viriato wiedział, że musi podjąć decyzję i że ma na to bardzo mało czasu.

Wybór okazał się łatwiejszy, niż sądził.

Porzucenie wozu na pastwę losu było równoznaczne z zostawieniem jego zawartości w płonącym Alkazarze.

Z drugiej strony ścianom jego klasztoru zdecydowanie brakowało ozdób.

Postanowił więc udekorować klasztor i skierował muła ku centrum burzy.

*

- Chce pan powiedzieć, że obraz w pańskim mieszkaniu...? - zapytał Cameron z niedowierzaniem.

- *Adonis i Wenus* Velázquez. Teoretycznie zaginął w pożarze madryckiego Alkazaru w tysiąc siedemset trzydziestym czwartym roku - odparł Viriato z szerokim uśmiechem.

- Proszę zapiąć pasy, będziemy lądować na Lanzarote - oznajmił jeden z pilotów.

Cameron, wciąż pod wrażeniem opowiadania Viriata, poprosił Lolę, żeby pożyczyła mu telefon, i usiadł w ostatnim rzędzie siedzeń. Potrzebował odosobnienia, aby wykonać telefon, który chciał i powinien wykonać.

- Bar... Barbara? - powiedział.

- Tata? - zapytała jego córka ze zdumieniem.

- Tak, to ja, kochanie. Jak się masz?

- Tato, ty piłeś? - Szorstkość Cameronów dawała o sobie znać. - Dzwonisz do mnie zwykle na Gwiazdkę i urodziny. W tym roku bijesz wszelkie rekordy. Masz jeszcze parę miesięcy, zanim zaczniesz za mną oficjalnie tęsknić. Coś jest nie tak, Sebastianie?

Cameron przełknął ślinę. Kiedy jego córka zaczynała mówić do niego po imieniu, oznaczało to początek kłótni. Tę cechę odziedziczyła po matce.

- Wszystko w porządku, kochanie. Chciałem tylko wiedzieć, jak się masz. Wiem, że nigdy nie byłem dobrym ojcem, ale jeszcze możemy...

- Sebastianie - przerwała mu ostro. - Z kim się znowu przespałeś?

- Miałem małą przygodę z dziewczyną z Disneya, ale...

- Dobry Boże, tato! Ci ludzie robią filmy dla dzieci! - krzyknęła Barbara z oburzeniem.

- Nie rozmawiam z nią o Mysze Miki ani o scenariuszu Kopciuszka w łóżku, do

cholery! - odparł ze złością. Już nie było odwrotu, kłótnia zaczęła się na dobre.

- Masz zamiar się z nią ożenić? Czy w Hiszpanii dają ekspresowe śluby, jak w Las Vegas?

- Jezu, raz się z nią przespałem! Nawet nie pamiętam dokładnie, jak się nazywa! -

Próbował powstrzymać rosnącą wściekłość, widząc, że Lola odwraca się w jego stronę z zaciekawieniem. - Nie dlatego dzwonię - powiedział ciszej.

- Tym lepiej - odparła jego córka po chwili milczenia. - Nie zniosłabym macochy obsypującej mnie gadżetami z Kaczorem Donaldem. - Wydawało się, że odzyskiwała panowanie nad sobą. - Przepraszam, tato, jestem zdenerwowana. - Prawie się wzruszył. Jego córka nie miała zwyczaju przeproszać. Zupełnie jak on. - Przygotowuję się do egzaminu na aplikację adwokacką. Wiesz, ostatni egzamin i zacznę zbierać na takie porsche jak twoje. Oboje się roześmiali i poczuli się dziwnie. Nie pamiętali, kiedy ostatni raz śmiali się razem.

- Jestem z ciebie bardzo dumny, Barbaro. - Starał się panować nad głosem, żeby nie zdradzić wzruszenia.

- Dziękuję, tato. - Jej głos brzmiał wyjątkowo czule. - A co chciałeś mi powiedzieć?

- Widzisz, ja... - Nie wiedział, jak dobrać słowa, aby wyjaśnić córce, w co się pakował, w taki sposób, żeby nie pomyślała, że oszalał. - Jestem w podróży - dokończył wreszcie.

- Proszę, Disney dopieszczę cię pod każdym względem... - Zdecydowanie odziedziczyła ironię po Cameronach.

- Wybieram się na wyspę, która nigdy nie istniała.

Barbara potrzebowała kilku sekund, żeby zrozumieć znaczenie jego słów.

- Wszystko w porządku, tato?

Cameron próbował przypomnieć sobie przygotowaną wcześniej przemowę, ale mózg splątał mu figła.

- Myślisz, że twoja matka mnie kochała?

Znów zapadła cisza.

- Ja cię kocham, tato.

Cameron pomyślał, że takie odpowiedzi nadają życiu sens.

- Ja ciebie też, kochanie. Chciałem tylko, żebyś o tym wiedziała. I że zrobiłbym dla ciebie wszystko. Cokolwiek by to było - powtórzył. Dla niej i dla siebie.

Rozdział XXII

Na starcie. 8 sierpnia 2009 roku

Capita XXII. N.S.B.a. Mnisi widzą na horyzoncie ogromną kryształową kolumnę, która sięga nieba. Cumują przy podstawie kolumny, która ma tysiąc czterysta łokci z każdego boku, i znajdują złoty kielich ukradziony przez mnicha złodzieja.

Tuż przed opuszczeniem Lanzarote Cameron zobaczył przez okno samolotu, że

Viriato rozmawia z pilotami, którzy nadzorowali uzupełnianie paliwa.

Mnich znów porozumiewał się z kimś przez komórkę, którą po krótkiej wymianie zdań przekazał pilotowi wyglądającemu jak Tony Curtis. Pilot jedynie potakiwał i kiwał twierdząco głową. Kilka minut później, kiedy oderwali się od ziemi, Cameron zorientował się, że samolot skręca lekko na bakburtę.

- Nie mieliśmy lecieć na El Hierro? - zapytał siedzącego obok Viriata.

- Nastąpiła zmiana planów, profesorze. Rozgrywka weszła w bardziej skomplikowany etap - odparł mnich, nie wdając się w szczegóły.

* * *

Beechcraft 18 wylądował ostrożnie na pasie startowym częściowo zasypanym

pustynnym piachem. Kiedy maszyna się zatrzymała, na jej spotkanie wyruszyły trzy pojazdy.

Były to dwie toyoty typu pick-up uzbrojone w ciężkie karabiny maszynowe i wspaniały czarny hummer.

Lola, Cameron i Viriato wysiedli z samolotu. Próbowali osłonić twarze przed podmuchami pustynnego wiatru, który wbijał im w skórę ziarenka piasku, jak miliony niewidzialnych szpilek. Cameron zdołał przeczytać wypłowiały hiszpański napis widniejący na starym terminalu: „Lotnisko w El Aaium”.

Po chwili przybysze zostali otoczeni przez marokańskich żandarmów, którzy wysiedli z samochodów. Ich głowy i twarze były szczelnie zakryte turbanami w kolorze khaki zawiązanymi na modłę berberyjską, aby chronić je przed wiatrem i piaskiem. Byli na tyle uprzejmi, że nie wycelowali w podróżników broni, dzięki czemu sprawiali mniej groźne wrażenie. Z hummera wysiadł wysoki, otyły mężczyzna, ubrany w doskonale skrojony i świeżo wyprasowany granatowy uniform policyjny. Jego oczy były ukryte za wielkimi okularami przeciwsłonecznymi, które mogły równie dobrze należeć do skacowanego piosenkarza rockowego.

- Witam na międzynarodowym lotnisku w El Aaium na *marokańskiej* Saharze -

powiedział uroczyście, ściskając mocno dłonie Viriata i Camerona, kompletnie ignorując przy tym Lolę. - Jestem Raszid al-Hamat, komendant policji w El Aaium - przedstawił się. - Od tej chwili jestem do państwa dyspozycji. To prawdziwy honor móc pomagać przyjaciołom króla.

Cameron zerknął kątem oka na Viriata, przypominając sobie rozmowę po arabsku i francusku, jaką niedawno odbył przez telefon. Ile tajemnic skrywał ten mnich? Domyślał się, że było ich tyle, ile królików w kapeluszu magika.

- Zapraszam do mojego samochodu - powiedział komendant z uśmiechem, który miał być uprzejmy, a przyprawiłby o atak paniki rekina ludojada. - Wiatr pustyni może być

dokiuczliwy, jeśli nie jest się przyzwyczajonym.

Trójka przyjaciół z wdzięcznością przyjęła jego propozycję i chętnie ukryła się przed wiatrem, który uporczywie ścierał im naskórek z twarzy.

Zmiana na wnętrze hummera H2, wyposażonego w sześć skórzanych siedzeń i sprawną klimatyzację, okazała się bardzo korzystna. Jakby w odpowiedzi na niewidzialny znak jeden z towarzyszących im pick-upów Toyota, ze strzelcem stojącym na pace i mocno ściskającym broń, uplasował się przed hummerem. Trzeci wóz zamykał zaimprovizowany konwój.

Kiedy samochód szefa policji ruszył, warkot silnika zagłuszył na chwilę wszystkie inne odgłosy.

- Jesteście świetnie przygotowani do pracy na pustyni _ - zauważył Cameron z nutką złośliwości, siedząc na wygodnym siedzeniu pasażera.

- *Skiądże* znowu - odparł Raszid, który prowadził hummera z tym samym wilczym uśmiechem. - Ten samochód jest prezentem od handlarza narkotyków. - Cameron miał wątpliwości, czy samochód został zarekwirowany w czasie operacji, czy też rzeczywiście był prezentem. - Życie na Saharze jest trudne dla wszystkich. Ale ma swoje dobre strony.

- Świetnie pan mówi po hiszpańsku - pochwaliła go Lola, próbując zyskać sobie przychylność policjanta.

- Służyłem w wojsku waszego kraju w czasach *kolonialnych*. Właściwie wszyscy *mieszkańcy* Sahary mówią po hiszpańsku, panienko.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Amerykanin, zwracając się jednocześnie do Raszida i Viriata. Mnich patrzył z roztargnieniem przez przyciemnioną szybę pancerną samochodu, obserwując pustynny krajobraz.

- Na plażę El Aaium. Tam *czekia* na was „Guadalupano”, ponad

dwudziestodwumetrowy jacht, któremu paliwa wystarczy na tydzień żeglugi - odparł policjant. - Jego *kapitan*, Víctor Medina, to mój wielki przyjaciel i jest mi winien sporo przysług. - Cameron nie miał co do tego żadnych wątpliwości. - Mam nadzieję, że dobrze zrozumiałem życzenie rodziny królewskiej.

- Zrozumiał je pan doskonale, komendancie Raszid - odparł Viriato, podnosząc nieco głos i nie przestając wyglądać przez okno. - Poinformuję króla o tym, jak nas pan przyjął. - Cameron pomyślał, że tej nocy czeka go długa pogawędka z mnichem.

- Wielka szkoda, że nie chcą państwo przenocować w mieście. - Gospodarz mimo woli podjął ostatni wysiłek. - Hotel El Aaium nadal pamięta czasy dawnej *kolonii*. A w mieście jest parę *lokali*, które by państwa zaskoczyły.

- Serdecznie dziękujemy, kapitanie. Ale mamy za sobą długą podróż. Zjemy i prześpimy się na statku. Odpłyniemy jutro o świcie. Może następnym razem. - Viriato zakończył wymianę uprzejmości.

Potrzebowali zaledwie czterdziestu pięciu minut, żeby dotrzeć na plażę prostą szosą przecinającą pustynię.

Statek był zacumowany na końcu długiego opuszczonego mola. Jego biały kontur prezentował się wspaniale na tle czerwonych barw zachodu i ciemnej plamy morza. Cameron miał jednak wrażenie, że przede wszystkim ogromne molo wraz z jachtem tworzą razem surrealistyczny obraz na rozległej opuszczonej plaży.

- Hiszpanie mieli tu wybudować wielki port. - Raszid czytał w myślach profesora. -

Żeby wysyłać stąd fosfaty z Fos-Bu-Craa. Ale *dekolonizacja* i wojna wstrzymały prace. A później handel fosfatami upadł. - Raszid splunął na piasek, prawie z urazą. - Bóg chyba nie myśli zbyt wiele o Saharze.

- Idziemy na statek? - Viriato nie mógł się doczekać, kiedy wejdą na pokład i stracą z

oczu otyłego szefa policji.

- Proszę wybaczyć, ale nie będę państwu już towarzyszył. - Raszid ułatwił Viriatowi sprawę. - Muszę się pilnie zająć pewnymi sprawami w mieście. - Uścisnął na pożegnanie ręce gości. - Spodziewam się, że ta pani, która dotarła niedawno, zdążyła się już rozgościć na statku - dodał złośliwie, patrząc na Camerona.

- Jaka pani? - zapytał, nie próbując ukryć zdumienia.

- Pańska *przyjaciółka*, doktor Recasens, panie profesorze. Bardzo piękna *kiobieta*. To prawdziwe szczęście mieć taką *przyjaciółkę*. - Mrugnął do Camerona, który poczułby się urażony, gdyby był w stanie tak szybko otrząsnąć się z szoku.

Komisarz nie dał mu szans na odpowiedź. Odwrócił się na pięcie i wsiadł z powrotem do swojego hummera.

Cameron spojrzał pytająco na Viriata. Wiedział doskonale, że to mnich odpowiada za nagłe pojawienie się Alejandry.

- Co to ma znaczyć?

Viriato w niemal ojcowskim odruchu otoczył zdezorientowanego towarzysza ramieniem.

- „Bóg pisze prosto krzywymi wierszami”, drogi przyjacielu. Ten ostatni etap podróży powinniśmy przebyć wszyscy razem.

Cameron nie zamierzał się z nim spierać. Przede wszystkim chciał być znowu blisko niej, bez względu na okoliczności.

Ruszyli we trójkę szerokim mołem z cementu. Cameron ciągnął za sobą walizkę, którą Lola wypełniła w pośpiechu ich ubraniami.

Podszedłszy bliżej, mogli lepiej przyjrzeć się statkowi. „Guadalupano” był statkiem Fairline klasy Squadron, model 74, największym okrętem stworzonym przez Brytyjczyków.

Miał ponad czterdzieści pięć ton wyporności i był wyposażony w dwa silniki Volvo o mocy 2600 koni, zdolne rozwinąć prędkość ponad trzydziestu węzłów. Z takim statkiem Cameron mógł stawić czoła każdej próbie, na jaką wystawi ich ocean. O ile jednak nie miał halucynacji, rzeczywiście czekała ich prawdziwa próba na środku Atlantyku.

Na pokładzie czekał na nich kapitan.

- Jestem Víctor Medina, kapitan „Guadalupano”, witam na pokładzie. Mój drugi oficer, Sidi, pokaże państwu ich kajuty.

Medina i Sidi, pomimo szczerych uśmiechów i spuchniętych twarzy, które niedawno musiały zwiększyć swój rozmiar o kilka centymetrów, byli żywym przykładem *ecce homo*.

Cameron podejrzewał, że Raszid miał coś wspólnego ze stanem, w jakim znajdowali się obaj marynarze.

- Ach, pani doktor jest na górnym pokładzie - dodał Medina. - Wydaje mi się, że śpi.

Nie chciałem jej budzić, sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej.

- Dalej, idź się przywitać - zachęcił profesora Viriato.

* * *

Alejandra siedziała na jednej z szerokich kanap ustawionych na górnym pokładzie.

Wydawało się, że śpi, owinięta w koc.

Cameron usiadł obok niej, żeby przez chwilę na nią popatrzeć. Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, sprawiała wrażenie kruchej kobiety, która potrzebuje opieki. Zapragnął ją objąć.

Była bardzo piękna. Odsunął delikatnie kosmyk włosów, który opadł jej na twarz. Pod wpływem dotyku Alejandra otworzyła wielkie brązowe oczy. Uśmiechnęła się zmęczonym, słodkim uśmiechem.

- Cześć, profesorze - powiedziała. - Wygląda na to, że los uparcie chce nas połączyć.

* * *

Madoc Cameron znajdował się na pokładzie „Benjamin Franklina” i przeglądał ostatnie raporty przekazane mu przez Mássima Lanżę. Żadna z firm żeglarskich na La Gomerze i El Hierro nie miała wśród swoich klientów jego trójki uciekinierów. Skrzywił się. Byli sprytniejsi, niż się spodziewał.

Podłączył ponownie swojego laptopa do zastrzeżonego kanału dostępnego za pośrednictwem satelity szpiegowskiego Lacrosse/Onic, który w tej chwili przelatywał wiele tysięcy kilometrów nad fregatą.

Obraz spokojnych wód Oceanu Atlantyckiego na obserwowanym obszarze działał na niego jak kojący balsam. To on miał w posiadaniu „wszechwiedzące oko”. Każdy statek, niezależnie od rozmiarów, zostanie wykryty przez system szpiegowski, kiedy tylko wpłynie na obszar, na którym powinna znajdować się wyspa. Potężny radar znajdujący się na pokładzie statku dokona reszty dzieła.

Plan był prosty. „Benjamin Franklin”, który płynął właśnie w kierunku wyspy, zatrzyma się tak, żeby pozostać niewidoczny dla uciekinierów, jak kot, który czeka na mysz wracającą do nory.

Satelita szpiegowski przekaże im informacje o formującej się burzy i o pojawieniu się na obserwowanych wodach jakiegokolwiek intruza. Wtedy Madoc dokona abordażu statku wraz z grupą SEAL, którą uprzejmie wypożyczyła mu marynarka, w helikopterze Sea Hawk stojącym na pokładzie statku.

Dla elitarnej grupy żołnierzy opanowanie statku na pełnym morzu było fraszką.

Madoc był doskonale przygotowany i miał zamiar dostać się na wyspę razem ze swoim bratem. Nic ani nikt nie mógł mu przeszkodzić.

Jego plan był doskonały i musiał się powieść. Powinien omówić z Sebastianem tyle spraw. Teraz będzie miał nieskończenie wiele czasu, żeby poprawić błędy, by wreszcie mogli

się zrozumieć i przebaczyć sobie, zanim jego życie zamieni się w pustynię. W jakimś sensie czas należał do niego.

Zadrżał, czując dreszcz euforii.

W tej chwili nie było istotne, gdzie znajdowali się członkowie drużyny przeciwnej.

Ważne było to, że ruch należał do nich.

Rozdział XXIII

Na pokładzie „Guadalupano”, 9 sierpnia 2009 roku. Opowieść o drugiej podróży Viriata

Capita XXIII. N.S.B.a. Zakonnicy przepływają w pobliżu Wyspy Piekielnych Kowali.

Niebo zakrywają uskrzydłone diabły. Opat kieruje się na północ.

Obudził go zapach dopiero co zaparzonej kawy, świeżo wyciśniętego soku z

pomarańczy, tostów, jajecznicy oraz bekonu, którego skwierczenie dochodziło z pokładu tuż

nad jego głową - z kuchni jachtu najnowszego typu. Cameron pomyślał, że nie była to

najgorsza pobudka, szczególnie gdy wziąć pod uwagę wydarzenia ostatnich godzin.

Wstał ostrożnie z łóżka, by nie zbudzić spokojnie śpiącej Alejandry. Mimo

wyczerpujących wyjaśnień Viriata nie chciała być w nocy sama. Wciąż była przerażona i

wstrząśnięta tym, co wydarzyło się poprzedniego dnia.

Ku swojemu zaskoczeniu Cameron wcale nie żałował, że nie kochali się tej nocy.

Nawet to, że mógł przy niej leżeć i czuć, jak powoli oddycha przy jego boku, było

niezapomnianym przeżyciem.

Może był już po prostu stary, a może miał więcej z bostońskiego dżentelmena, niż

sam przypuszczał.

Kiedy położył boscie stopy na grubej i miękkiej wykładzinie, pokrywającej podłogę w

jego kajucie, poczuł lekkie drganie, tak jakby „Guadalupano” właśnie sunął po falach.

Utwierdził się w tym przekonaniu, gdy wszedł na drugi pokład i przez jedno z ogromnych

okien zobaczył jedyny w swoim rodzaju spektakl - Ocean Atlantycki skąpany w promienistym blasku sierpniowego poranka.

- Podano do stołu! - usłyszał radosny okrzyk Loli, dochodzący z wielkiego salonu na dziobie jachtu.

Cameron spojrział na zegarek. Była dziewiąta - statek tętnił życiem od samego rana.

Gdy wyszedł na skąpany w słońcu pokład, jego żołądek pełen był soków trawiennych.

Przysadka mózgowa już w kajucie wykryła wspaniały aromat śniadania kontynentalnego.

Teraz zmysł wzroku potwierdził to, o czym wcześniej ostrzegało go powonienie - nakryty stół zachwyciłby samego Paula Bocuse*.

Lola i Sidi tworzyli w kuchni zgrany tandem. Cameron musiał przyznać, że świeżo upieczona absolwentka wyglądała tego poranka olśniewająco. Rozpuszczone, lśniące włosy i obcisła bluzka na ramiączkach nie pozostawiała wątpliwości, że Lola już dawno przestała być małą dziewczynką. Jej długie i kształtne nogi, które eksponowała w kusych spodenkach, mogłyby zawojować każdy wybieg Londynu, Mediolanu czy Paryża.

Sidi nie pozostawał za nią w tyle. Pierwszy oficer wyglądał jak istny hebanowy Apollo. Zupełnie nie było po nim widać, że trochę ponad dwadzieścia cztery godziny wcześniej cudem uniknął śmierci z rąk pięcioramiennego potwora, który zajmował się nim i Mediną. Cameron dostrzegł, że młodzi wymieniają z sobą znaczące spojrzenia, i podziękował Bogu, w którego wierzył, za to, że miłość unosi się w powietrzu.

Wziął głęboki oddech, pozwalając, by orzeźwiający i czyste morskie powietrze wypełniło mu płuca. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Ten rejs był prawdziwie luksusowy - to nie ulegało wątpliwości. Jak i to, że stanowił najbardziej czarujący etap ich szalonej przygody.

- Skąd pan pochodzi, Sidi? - Był to tak samo dobry początek rozmowy jak każdy inny,

a przecież trzeba było się lepiej poznać. Mieli spędzić razem sporo czasu na tym jachcie.

- Z Mauretanii, proszę pana, ale od dziesięciu lat mieszkam w Hiszpanii. - Jego

hiszpański był bez zarzutu. Tak jak i jego uśmiech. Cameron stwierdził, że chłopak jest w porządku.

- Zawsze pływał pan z kapitanem? - kontynuował przesłuchanie, nalewając sobie pierwszą tego dnia filiżankę kawy.

- O nie, proszę pana. Wcześniej miałem się różnych zajęć. - Patrząc na jego biceps,

Cameron nie chciał wiedzieć, na czym polegały te inne prace. - Z kapitanem Víctorem

pływam dopiero od siedmiu lat; „Luksusowe rejsy dla zamożnych turystów”, jak mawia kapitan.

- Wydawało mi się, że taka łódź potrzebuje co najmniej trzyosobowej załogi - zauważył profesor.

- Ja pracuję za dwóch. I biorę podwójną stawkę. - Po raz kolejny uraczył go swym olśniewającym uśmiechem. - Tak jest dobrze, proszę pana.

A do tego jest bystry, skubaniec, pomyślał Cameron. Medina i on musieli stanowić ciekawą parę.

Nie wiedzieć kiedy na pokładzie pojawiła się Alejandra, owinięta w jedwabny

* Słynny kucharz, nazywany „papieżem kuchni francuskiej”.

szlafrok, obcisły i krótki. Jej nogi prezentowały się jak zawsze wspaniale, tak jak cała reszta jej anatomii.

- Dzień dobry - powitał ją Cameron wraz z pozostałymi współbiesiadnikami. - Bardzo ci do twarzy w tym nowym stroju, moja droga - skomentował.

- To podarunek od kapitana Mediny, frywolny i pełen fantazji, tak jak i cała reszta

żeńskej garderoby, która wisi w szafach. Nie chcę wiedzieć, jakiego rodzaju rejsy odbywają

się na tej łodzi - rzekła, nalewając sobie pełną filiżankę kawy i patrząc kątem oka na Sidiego, który udał, że nie rozumie jej aluzji.

Cameron ucieszył się, słysząc odpowiedź lekarki. Znow była sobą - kobietą błyskotliwą i ostrą.

- Co się dzieje z Viriatem? - Amerykanin zatęsknił nagle za mnichem.

- Jest na górnym pokładzie z kapitanem. Przeglądają mapy - odpowiedziała mu Lola, która właśnie kończyła pochłaniać drugiego tosta, pokrytego grubą warstwą masła i dżemu jagodowego. Jak to się dzieje, że kiedy ma się dwadzieścia trzy lata, brzuch nigdy nie rośnie?

Usłyszeli odgłos kroków dochodzący ze schodów, które prowadziły na górny pokład.

Byli to zakonnik i właściciel statku. Po raz kolejny rozległy się poranne pozdrowienia, serdeczne i radosne. Cały ten statek i ich beztroska żegluga były istnym ukojeniem dla zmysłów.

Medina wytężył wzrok, wpatrując się w jakiś punkt na rufie.

- Sidi. - Odwrócił się gwałtownie do swojego podwładnego. - Flaga, do cholery.

- Och! - wykrzyknął adiutant i walnął się dłonią w czoło, zdając sobie sprawę ze swojego przeoczenia. Pobiegł w stronę szafek, które otaczały basen, i z jednej z nich wyciągnął wielkie czarne płótno.

Szybko i sprawnie ściągnął flagę z masztu na rufie. Przed oczami zdziwionych pasażerów rozpostarła się ogromna piracka bandera, wielkości dwa na trzy metry.

- Ale jazda... - szepnęła Lola, wytrzeszczając oczy i wpatrując się w głębokie czarne fale, które tworzyły się na powierzchni flagi pod wpływem szarpiącego nią wiatru.

- Nasi pasażerowie ją uwielbiają - wyjaśnił z zadowoleniem kapitan. Widząc osłupienie na twarzy profesora, dodał po chwili: - Ale jeśli wam przeszkadza, możemy ją zaraz ściągnąć.

- Nie, na Boga - zareagował Cameron. - Niech wisi. Dodaje smaczku naszej podróży. -

Przeszło mu przez myśl, że płynięcie pod piracką banderą było i tak niczym w porównaniu z całą resztą tej surrealistycznej przeprawy.

- Doskonale. - Na twarzy kapitana pojawił się szeroki uśmiech. - Sidi, jadłeś śniadanie? - Pierwszy oficer przytaknął skinięciem głowy. - To bierz się do wędki. A ja, jeśli mi państwo wybaczą, wrócę do map. Według moich obliczeń będziemy płynąć z prędkością od dwudziestu pięciu do dwudziestu ośmiu węzłów. Jeśli warunki pogodowe się nie zmienią, dotrzemy do celu o zmierzchu - wyjaśnił. - Gdyby państwo czegokolwiek potrzebowali...

- Proszę się nie przejmować, kapitanie. Sidi już mnie zaznajomił ze wszystkimi tajemnicami tego statku.

- Doskonale - powtórzył kapitan. - Nie wiem, czy znacie moje motto: „Na żaglowcach Mediny najważniejszy jest komfort pasażerów, od toalety po kuchnię”. - Klasnął dwa, trzy razy w dłonie, jakby chciał je otrzepać, i odwrócił się na pięcie w stronę schodów, na których po chwili zniknął.

Ciekawy typ z tego kapitana, pomyślał Cameron. Postawił pustą filiżankę na stole.

Nadeszła długo wyczekiwana runda pytań do Viriata. Poprzedniej nocy wszyscy byli zbyt zmęczeni, by uciąć sobie pogawędkę.

- Jak pan znalazł tę łódź, Viriatio?

- Król Mehmed miał wobec mnie dług wdzięczności - zaczął mnich, sięgając po filiżankę gorącej kawy z mlekiem. - Tak naprawdę ten dług zaciągnął jego ojciec. W czasie jednej z moich podróży ostrzegłem go przed groźbą poważnego zamachu. Król obiecał odwzajemnić przysługę osobiście lub za pośrednictwem swoich potomków. Syn dotrzymał słowa, które dał mi jego ojciec, to wszystko.

Dziedzic doskonale wypełniał wolę swojego ojca, wręcz nadgorliwie, pomyślał

Cameron. Alejandra mogła być teraz z nimi dzięki temu, że Mehmed VI wyczarterował learjeta, którym przyleciała ze Sztokholmu razem z marokańskim ambasadorem.

- Dlaczego nie wypłynęliśmy jednak z El Hierro? - Amerykaninowi spodobało się inteligentne pytanie jego podopiecznej.

- Nie chciałbym pani wystraszyć, ale prawda jest taka, że na El Hierro czekali na nas ludzie, którzy ścigają profesora Camerona - odpowiedział mnich z uśmiechem, którym starał się ją uspokoić, ale jego odpowiedź i tak zaniepokoiła Lolę.

- Ile podróży w czasie odbył pan do tej pory, Viriato? - spytał szybko Cameron, próbując wybrnąć jakoś z niezręcznej sytuacji.

- Ciężko mi odpowiedzieć precyzyjnie na to pytanie, profesorze. - Jego słowa wydawały się szczerze. - Prawda jest taka, że od czasu mojego pierwszego doświadczenia z pożarem Alkazaru w Madrycie nie przestałem podróżować. - Przerwał na chwilę, zajęty croissantem, którego przekroił na pół i posmarował masłem. - Ta historia z Alkazarem nie uszła mi na sucho. Reakcja rady zakonnej była bardzo ostra. Zakazano mi przekraczania wrót, dopóki nie nadejdzie mój czas.

- Pana czas? - zdumiała się Lola, która z zainteresowaniem przysłuchiwała się ich rozmowie.

- Koniec końców zakonnicy z Wyspy Świętego Brendana pogodzili się z tym, że nie nadawałem się do noszenia habitu i życia według reguły zakonnej. Zdecydowali, że wrócę tam, skąd przybyłem, kiedy skończę dwadzieścia jeden lat, czyli w ich mniemaniu osiągnę pełnoletność.

- Wrócił pan do Madrytu z tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku? - wypytywała dalej studentka.

- O nie - odpowiedział Viriato, lekko rozbawiony, i ugryzł pierwszy kęs swojego

croissant. - Nie kontrolujemy wyspy według naszego widzimisię. Wielokrotnie dochodziłem już do wniosku, że wyspa ma tak naprawdę swoją własną wolę. Ale brat Mernoc zrobił nam najlepszy prezent, jaki tylko mógł. Zostawił swoją księgę, a w niej zapisał dokładne daty, według kalendarza obowiązującego na wyspie, w których będą się otwierały wrota czasu. Napisał też wskazówki, po których odczytaniu wiadomo było, do jakich epok historycznych, przeszłych i przyszłych, będziemy mogli się przenieść. - Upił łyk kawy z mlekiem. - Ojciec Xavier zadał sobie wiele trudu, by rozszyfrować te wskazówki. Tak oto został tłumaczem *Księgi czasu*. Dzień przed otwarciem się wrót zwoływana była rada zakonu i podejmowano decyzję, który mnich lub mnisi mają wyruszyć w podróż.

- Ilu zakonników mieszkało na wyspie? - spytał Amerykanin.

- Kiedy Brendanus, Odran i inni opuścili wyspę, tylko pięciu braci postanowiło zostać na Wyspie Świętego Brendana, a wraz z nimi gubernator Pedro Velo.

- Pedro Velo, kapitan „Santisima Trinidad”? - spytała zdumiona Lola.

Cameron machnął na nią ręką, jakby chciał dać do zrozumienia, by nie przeszkadzała mnichowi.

- Po tym, jak odpłynęła *curragh*, którą zakonnicy przybyli na wyspę, zostało nas siedmiu, łącznie ze mną. - Viriato przywołał z pamięci dawne wydarzenia. - Kiedy byłem na wyspie po raz ostatni, zostali już tylko bracia Xavier i Kevin oraz gubernator.

- Kiedy to było? - Poznanie tej daty miało dla Camerona ogromne znaczenie.

- Według czasu, w którym aktualnie przebywamy, będzie to trochę ponad rok temu - obliczył mnich. - Dotarłem na wyspę tego samego dnia, w którym mój bar wyleciał w powietrze na skutek eksplozji gazu, a ja zostałem uznany za zmarłego. Jeśli jednak będziemy się trzymać czasu, który płynie na wyspie, można powiedzieć, że nie ma mnie tam od zaledwie kilku godzin. Jestem przekonany, że kiedy tam dotrzemy, okaże się, iż prawie nic

się nie zmieniło.

- Co się stało z resztą zakonników? - Rozpoczęła się tura pytań Loli.

Viriato, który przewidział, że czeka go takie przesłuchanie, jakie właśnie serwowali mu historyk i jego podopieczna, nie spieszył się z udzielaniem odpowiedzi, powoli sącząc swój pyszny sok ze świeżo wyciśniętych pomarańczy.

- Niestety, już nigdy się nie dowiemy, jakie były ich dalsze losy. Po prostu nie wrócili z podróży, w które wyruszyli.

- A jak wyglądała pańska druga podróż w czasie? - dopytywała się Lola, pragnąc wiedzieć jak najwięcej o przygodach Viriata, które były dla niej żywą i fascynującą lekcją historii. Nie umknęło jej uwadze surowe spojrzenie Camerona. Było tyle pytań, które chciał zadać, tyle kwestii, które chciał wyjaśnić.

Viriato zauważył reakcję profesora.

- Mamy dość czasu. - Zdawało się, że czyta w jego myślach. - Moja druga podróż była niebezpieczna. Ale ze wszystkiego, nawet z niebezpieczeństwa, można wyciągnąć jakąś korzyść, jeśli się odpowiednio podejździe do sprawy. Dzięki tej podróży poznałem najpilniej strzeżoną tajemnicę Kevina z Glendelough, przepis na sos do *patatas bravas*.

- Chciałbym, by towarzyszył mi chłopak - rzekł brat Kevin, któremu właśnie udzielono głosu.

- Nowicjusz Viriato złamał zasady, wyruszając w swoją pierwszą podróż, do której odbycia nie był upoważniony - odpowiedział brat Xavier. - Wiecie, że został ukarany i nie może podróżować, dopóki nie nadejdzie moment, kiedy będzie mógł opuścić wyspę.

- Chłó... nowicjusz - poprawił się w porę - ma dwadzieścia lat. Już za kilka miesięcy pożegna się z nami. Nie zaszkodziłby mu mały trening przed odejściem - argumentował kucharz.

- Nie traćmy czasu, bracie Kevinie. Ta kwestia nie podlega dyskusji. - Tym razem ton głosu Xaviera był ostry jak brzytwa.

- Dobrze. - Zdawało się, że kucharz złożył broń. - W takim razie nie będziecie mieli okazji spróbować przysmaku, który zamierzałem sprowadzić z Rosji. Nie będziemy jedli kawioru - rzekł dobitnie, ze smutkiem wypisanym na twarzy.

Gubernator poruszył się gwałtownie, jakby właśnie wybudził się ze śpiączki.

Posiedzenia mnichów nudziły go niemiłosiernie. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że jako najwyższy organ władzy na wyspie musi dźwigać z godnością ciężar purpury i związane z tym obowiązki reprezentacyjne. Słowo „jeść” było jedynym, które mogło przykuć jego uwagę podczas tego nudnego spotkania.

Podróże w czasie były mu obojętne. Nie zamierzał opuszczać wyspy ani w ten, ani w żaden inny sposób. Nie mógł ryzykować, że na skutek jakiegoś przewrotu pałacowego zostanie pozbawiony tronu, na który przecież w pełni zasłużył. Albo że Francuzi z „Indomitable” wrócą, żeby odbić jego zdobycz. Uderzył laską w blat długiego stołu z drewna kasztanowca, przy którym zawsze odbywały się ich posiedzenia. Piątka zakonników - Viriato mógł brać udział w zgromadzeniach, ale bez prawa głosu - skupiła całą swoją uwagę na gubernatorze.

Don Pedro Velo odkaszlnął kilkakrotnie, by przeczyścić gardło.

- Co to właściwie jest ten kawior, bracie Kevinie? - Nigdy wcześniej nie słyszał o czymś takim.

- Jest to przysmak, który podaje się tylko na królewskich stołach. - Kevin dobrze wiedział, jak kupić poparcie gubernatora. Wystarczyło zwrócić się do jego żołądka. - Robi się go z ikry pewnej niezwyklej ryby, jesiotra. Rosjanie marynują jajeczka zgodnie ze swoją tajną recepturą. - Trochę wyolbrzymił zwyczajne solenie ikry. - Chciałem go przywieźć z mojej

podróży, albowiem jesiotry występują tylko u wybrzeży Rosji - zełgał, wiedząc, że żaden z mnichów nie zada sobie tyle trudu, żeby sprawdzić, gdzie znajdują się siedliska jesiotrów. - Ale jeśli rada stoi na stanowisku, że nie powinien mi towarzyszyć nowicjusz, nie mam zamiaru ryzykować, podróżując samotnie.

- Jaki macie problem z podróżowaniem samotnie?

- Jak to: jaki mam problem z podróżowaniem samotnie? Spytajcie lepiej brata

Callaghama, jaki miał problem z podróżowaniem samotnie do Katalu w tysiąc pięćsetnym roku.

Wszyscy rzucili ukradkowe spojrzenia w stronę pustego krzesła, które kiedyś należało do Callaghama. Nigdy nie wrócił ze swojej wyprawy. Głosił podczas niej Słowo Boże na wyspie, która dużo później miała stać się częścią Chin. Jednak mimo takich wypadków żaden z mnichów nie stracił tego ducha prozelityzmu, który kazał im kiedyś zostawić za sobą brzegi Irlandii. Głównym celem ich wszystkich podróży była ewangelizacja, tak jak nakazywała reguła benedyktyńska.

Don Pedro Velo po raz kolejny walnął buławą w stół. Nie zamierzał pozwolić, żeby zebranie wymknęło mu się spod kontroli. Ponadto już czuł burczenie w żołądku.

- Gdzie otworzą się jutro wrota czasu? - spytał brata Xaviera, tłumacza *Księgi czasu*.

- Gdzieś w Rosji, w roku tysiąc osiemset dwunastym, ekscelencjo.

- Jaka jest Rosja w tysiąc osiemset dwunastym? - Velo nie był zbyt częstym gościem biblioteki.

- Rosja przeżywa inwazję Napoleona, cesarza Francuzów. Jego kampania wojenna pochłonie setki tysięcy ofiar. To niezwykle niebezpieczne miejsce na podróż z nowicjuszem.

Psiakrew, pomyślał kapitan „Santisima Trinidad”, a więc Francuzom w końcu się uda, będą mieli swoje własne imperium, sukinkoty.

- Rosja to ogromny kraj, ekscelencjo - odparł brat Kevin. - Musielibyśmy mieć wielkiego pecha, żeby trafić na pole bitwy. Nowicjusz i ja moglibyśmy tylko zaopatrzyć się w kawior i szybko wrócić na wyspę. We dwóch byłoby nam o wiele łatwiej uniknąć niebezpieczeństwa. Poza tym moglibyśmy przywieźć dwa razy więcej kawioru - argumentował przebiegle.

- Powinniśmy tym razem zrezygnować z przechodzenia przez wrota czasu... - Wywód ojca Xaviera został zagłuszony przez odgłosy walenia buławą.

- Decyzja zapadła - oznajmił stanowczo gubernator. - Brat Kevin i nowicjusz wyruszą jutro do Rosji, a wieczorem wszyscy razem będziemy jeść kawior na kolację. Koniec posiedzenia. - Gubernator wiedział dobrze, że jednym z jego uprawnień było to, iż miał decydujący głos w kwestiach spornych. Mógł zakończyć każdą dyskusję na temat podróży w czasie. Nigdy tego nie robił, bo i nigdy nie dochodziło do takich sporów. Możliwość podwójnego zaopatrzenia w tak wyjątkowy przysmak sprawiła, że postanowił wreszcie skorzystać ze swoich przywilejów.

Brat Xavier, wściekły z powodu wybiegów kucharza, wyszedł z refektarza przez boczne drzwi, tak aby nie spotkać go na swojej drodze. Nie znosił jego umiejętności stawiania zawsze na swoim.

Gubernator złapał Kevina na korytarzu przed salą posiedzeń.

- Jeśli spotkacie tego Napoleona, moglibyście go otruć? - szepnął mu do ucha.

- Ekscelencjo, wiecie przecież, że zgodnie z pierwszą zasadą Mernoca wpływanie na bieg historii w czasie naszych podróży jest bezwzględnie zakazane.

- To może chociaż wywołać silną biegunkę? - Ton jego głosu był niemal błagalny. -

Przecież wstawiłem się za wami - przypomniał kucharzowi, nie wspominając ani słowem o kawiorze. - Nienawidzę Francuzów. Wiecie, że prawie odebrali mi wyspę?

- Zrobimy, co będzie w naszej mocy, gubernatorze. - Kevin pomyślał, że Velo powoli traci rozum na tej magicznej wyspie.

- Mam nadzieję, że się na was nie zawiodę, bracie Kevinie - rzekł, przyspieszając kroku. - I przynieście mi flagę tego pieprzonego Francuza - rzucił przez ramię, gnając przed siebie. - Udekoruję nią swój gabinet!

Wszyscy mieszkańcy wyspy zebrali się na plaży, by pożegnać Kevina i Viriata. Byli tam ojciec Xavier oraz bracia Dougan i Jennings. Był też gubernator ze swoimi dwoma szablami dyndającymi w pochwach przytroczonych do pasa. Miał z sobą także cztery pistolety do abordażu - wszystkie naładowane prochem, a dwa z nich z dymiącymi lontami.

„To na wypadek gdyby ktoś z drugiej strony próbował nas napaść. Jeśli tak się stanie, te wszystkie środki ostrożności mogą i tak nie wystarczyć”. Mawiał tak zawsze, gdy znajdował się w transie przygotowań do przekroczenia wrót czasu.

Namiestnik zdawał się ucieleśnieniem czystej furii. Przemierzał plażę wielkimi nerwowymi susami, z rozwianym włosiem i oczami błyszczącymi niczym rozpalone węgle, pobudzony do granic możliwości.

Viriato także był podekscytowany. Nie mógł się już doczekać, kiedy znowu przekroczy magiczną membranę czasu. Nie były dla niego ważne ani data, ani miejsce, w które zostaną przeniesieni. Liczyła się sama możliwość wydostania się z wyspy.

Kiedy poczuli silny podmuch wiatru od morza, wszyscy uklękli na ziemi, tak jak to mieli w zwyczaju - był to rodzaj liturgii, którą odprawiali przed podróżowaniem w czasie. Po chwili na niebie rozległ się głuchy huk i wszystko jak okiem sięgnąć stało się białe. Nie było widać niczego - ani wyspy, ani jej mieszkańców. Sytuacja ta utrzymywała się przez kilka minut, które wydawały się całą wiecznością.

- Nic nie widać - odważył się odezwać nowicjusz.

- W tysiąc osiemset dwunastym jest już po końcu świata? - spytał Kevin ojca Xaviera.

Zadygotali, czując podmuch lodowatego wiatru wiejącego od strony lądu.

- To śnieg - wyjaśnił Aragończyk.

*

Szli, brodząc w śniegu po kolana. Dzięki trafnym przewidywaniom ojca Xaviera byli dobrze wyposażeni do przetrwania w takich warunkach. Mieli na sobie długie płaszcze z garbowanej jagnięcej skóry, zarzucone na habity oraz wysokie buty z cholewą, wyściełane od środka wełną. Dzięki temu przejmujący chłód był możliwy do zniesienia.

Gdy wspięli się na jedno ze wzgórz, dostrzegli koryto na wpół zamarzniętej rzeki Berezyny. Zdołali także rozróżnić zabudowania małej wioski Studzianki i coś, co przypominało ogromny i chaotyczny obóz wojskowy. Viriato wyjął lunetę, którą pożyczył mu kapitan Velo. Za jej pomocą udało mu się rozpoznać francuskie insygnia cesarskie. Stali przed obozem Napoleona.

- Musielibyśmy mieć ogromnego pecha, żeby trafić wprost na pole bitwy - wymamrotał nowicjusz.

- E tam! - Kucharz udał, że nie przywiązuje wagi do jego słów. - Chodźmy, chłopcze.

Tam, gdzie są generałowie, tam jest i kawior - powiedział, by podnieść go na duchu. Bez trudu zeszli z małego wzniesienia i szybko wmieszali się w beładną masę żołnierzy i cywilów, którzy zatrzymali się w tej nabrzeżnej wsi, aby dokonać przegrupowania, a następnie przeprawić się przez rzekę, zostawiając za sobą rosyjski pościg. W obozie można było usłyszeć rozmaite języki: francuski, polski, włoski, holenderski, niemiecki, portugalski oraz hiszpański. Tak różne narody zasilily szeregi *Grande Armée*, ostatniego imperialnego marzenia Napoleona.

Viriato, który od swojej pierwszej podróży w czasie zdołał uzupełnić braki w wiedzy

historycznej, doznał głębokiego szoku i rozczarowania, widząc to, co w książkach opisywano jako najpotężniejszą armię tamtych czasów. Prawda była taka, że w tej maleńkiej osadzie stacjonowały sponiewierane resztki wojsk napoleońskich, które najpierw dokonały inwazji na Rosję, a potem w popłochu wycofały się spod Moskwy.

Uwagę Viriata zwróciło to, że prawie wszyscy żołnierze byli źle umundurowani i przeraźliwie chudzi, a na ich ciałach widać było ślady odmrożeń. Wielu z nich chroniło się przed chłodem, zakładając na siebie najdziwniejsze stroje - okrywali się nie tylko paltami, jakie zazwyczaj noszą dżentelmeni, ale i długimi eleganckimi damskimi sukniami. Było nawet kilku, którzy paradowali w sutannach prawosławnych popów. Żołnierze otwierali swoje walizy i kufry, zrabowane w moskiewskich rezydencjach i pałacach, i zarzucali na obdarte mundury wszystko, w czym mogło im być choć trochę cieplej.

W całej wsi rozgrywały się dantejskie sceny. Niczym w piekle z obrazów Hieronima Boscha, wpadały tu na siebie przeróżne indywidua, którym udało się uciec przed pościgiem oddziałów rosyjskich. Cywile i rozmaici funkcjonariusze mieszały się z niedobitkami Wielkiej Armii, szukając u boku cesarza swojej ostatniej szansy na przetrwanie.

Na ulicach pełnych błota płonęły stosy mebli, wszystkich rodzajów i kolorów, które żołnierze wyciągali z domów. Stoły, krzesła, kawałki szaf i łóżek co chwila lądowały w ogniskach, dookoła których tłoczyła się zdesperowana tłuszcza.

Saperzy generała Aubry'ego systematycznie demontowali kasetony i drewniane belki stropowe, aby holenderscy inżynierowie generała Eblé mieli z czego zbudować most na Berezynie. Był to jedyny sposób na uniknięcie zupełnej katastrofy francuskiej armii.

Obaj mnisi udali się w stronę rzeki, na której brzegu praca szła pełną parą. Składano tam szkielety pontonów, które później wodowano jako oparcie dla mostu. Młody Viriato był pod wielkim wrażeniem męstwa holenderskich pontonierów. Rozebrani od pasa w górę

toczyli heroiczną walkę z rwącym nurtem Berezyny, unikając jednocześnie pędzących na nich kawałków kry, szerokich na ponad dwa metry. Gdy tak stał, obserwując ryzykowną pracę tych odważnych mężczyzn (kucharz odszedł w stronę kantyny Siódmego Regimentu Piechoty Lekkiej w celu wynegocjowania kupna kawioru), ku własnemu przerażeniu zobaczył, jak kilku z pontonierów poślizgnęło się na błocie i zostało porwanych przez nurt.

O dziwo, te wydarzenia jakby nie zrażały reszty ich towarzyszy. Jeden po drugim wchodzili do wody i wychodzili z niej, zmieniając się co piętnaście minut, by uniknąć wychłodzenia organizmu.

Jakiś Holender ze 123. Pułku Piechoty dał Viriatowi do potrzymania karabin, aby pomóc swojemu rodakowi, który, skostniały z zimna, próbował wspiąć się po nabrzeżu. W tym samym momencie Viriato usłyszał jakiś hałas za plecami. Ani się obejrzał, jak był otoczony przez żołnierzy Gwardii Cesarskiej, łatwych do rozpoznania po granatowych surdutach, szerokich białych pasach, które nosili na piersiach, i wysokich czapkach z niedźwiedziego futra.

- Z drogi, żołnierzu. - Jakiś kapral, który obnosił się z wielkimi wąsiskami, popchnął mnicha z taką siłą, że ten wylądował na ziemi.

Takie zachowania zawsze sprawiały, że krew się w nim burzyła. Od dziecka reagował na nie impulsywnie, czego zazwyczaj potem żałował. Podniósł się z ziemi, cały upaprany w śniegu i błocie, i zaatakował kaprala, który, nim się zorientował, zarył twarzą w błoto. Francuz może i był członkiem Gwardii Cesarskiej i weteranem, ale to nowicjusz miał dwadzieścia lat i był silny jak byk. W czasie gdy obalał podoficera na ziemię, szybkim ruchem dobył zza jego pasa nóż i przytknął mu do gardła, jakby chciał je poderżnąć. I może nawet by to zrobił, gdyby nie poczuł lufy pistoletu przytkniętej do swojej głowy.

- Wyrzynają nas już Rosjanie - rozległ się spokojny głos, który przypuszczalnie

należał do właściciela pistoletu - nie mamy żadnego interesu w tym, by wyrzynać się jeszcze sami.

Viriato dostrzegł kątem oka jakieś buty, prawie całkiem przykryte przez poły długiego płaszcza z zielonego aksamitu, ubrudzonego na krawędziach błotem.

- Co tu się dzieje, Ney? - spytał właściciel poplamionego płaszcza.

- Kapral waszej gwardii nie był zbyt miły dla tego młodego żołnierza, najjaśniejszy panie. Chyba właśnie rozmawiali o zasadach dobrego wychowania.

- Powstańcie. - Właściciel płaszcza z aksamitu powiedział to takim tonem, jakiego używają zazwyczaj ludzie, którzy są przyzwyczajeni do wydawania poleceń i którzy nie cierpią sprzeciwu.

Kapral podniósł się z ziemi, zaszalutował z szacunkiem i wmieszał się w szeregi swoich towarzyszy. Viriato został sam na sam z Napoleonem, mężczyzną w zielonym płaszczu, i marszałkiem Neyem, który już zdążył schować swój pistolet.

- Skąd jesteście, żołnierzu? - spytał go cesarz, który mimo ruskiego wzrostu miał w sobie coś, co budziło niesłychany respekt.

- Jestem Hiszpanem, panie - odpowiedział po francusku, dziękując Bogu za lekcje tego języka, których udzielał mu ojciec Xavier.

- Z regimentu José Bonapartego, jak przypuszczam - rzekł Napoleon. - Wykazaliście się dużą odwagą pod Borodino, w czasie zdobycia reduty.

- Ich opór uratował Sto Jedenasty Regiment, Wasza Wysokość - zauważył Ney.

- Dobry oddział z tych Hiszpanów, co do tego nie ma wątpliwości - przyznał Orzeł

Francji, który sprawiał wrażenie, jakby nad czymś rozmyślał. - Właśnie zdecydowałem, że wydłużę waszą chwilę chwały. Wasz regiment zostanie skierowany pod rozkazy marszałka Ney'a, dołączycie do naszej ariergardy. Zostaniecie z nim, aż przeprawimy się przez

Berezynę* i z drugiego brzegu rzeki pokazemy Rosjanom środkowy palec. - Wyciągnął prawą rękę spod płaszcza i wykonał nią obraźliwy gest.

- To będzie dla nas zaszczyt, Wasza Wysokość - odpowiedział Viriato zupełnie poważnie, bo w tym momencie był już gotów wziąć udział w tej wielkiej bitwie, ostatniej i być może najbardziej sławnej, jaką stoczyła Wielka Armia w Rosji.

Napoleon uśmiechnął się z dumą. Zbliżył się do Viriata i uszczypnął go mocno w lewe ucho, jak miał w zwyczaju robić w stosunku do swoich najlepszych i najwierniejszych żołnierzy.

- Podoba mi się twoja postawa, chłopcze. Cierpienie wymaga więcej odwagi niż śmierć - powiedział. - I tutaj, nad Berezyną, będziemy cierpieć dużo, ale pokazemy światu, z jakiej gliny jesteśmy ulepieni.

- *Vive L'Empereur!* - krzyknął ile sił w płucach Viriato. Widział kiedyś te słowa wypisane na jakiejś ścianie i idealnie wyrażały jego obecny stan ducha.

Z tysięcy gardeł popłynęły głośnie okrzyki, niczym echo powtarzające uwielbienie dla cesarza, który odszedł zadowolony w towarzystwie swojej świty i przybocznej gwardii.

- Ten żołnierz bardzo przypadł mi do gustu, Ney. Jest ucieleśnieniem niezwycięzonego ducha Wielkiej Armii - zwierzył się swojemu marszałkowi. - Jeśli przeżyjecie, stawcie się obaj w moim namiocie, kiedy przekroczymy rzekę. - Ale tego Viriato nie mógł słyszeć.

* Przeprowadzenie przez Berezynę było ostatnim wielkim manewrem taktycznym Napoleona w trakcie nieudanej kampanii rosyjskiej, dzięki któremu udało się uniknąć zupełnego unicestwienia pozostałości Wielkiej

Armii. Marszałek Ney i jego żołnierze wstawili się obroną tyłów wycofujących się wojsk, dzięki czemu

marszałek zyskał przydomek „najdzielniejszy z dzielnych”.

Nowicjusz poczuł, że ktoś szarpie go za ramię, i już zbierał się do wymierzenia ciosu, gdy w porę ujrzał zaczerwienioną twarz klasztorного kucharza.

- Viriato! A niech mnie piekło pochłonie, jeśli to nie był Napoleon, ten, z którym właśnie rozmawiałeś! - Kevin wyglądał na podekscytowanego.

- Tak, to był Napoleon - odpowiedział oschle Viriato. - Gdzie się podziewaliście?

Tym razem skończyło się na uszczyptnięciu w ucho, ale mogłem właśnie stać pod ścianą, z wymierzonymi we mnie karabinami plutonu Gwardii Cesarskiej. - Było w tym stwierdzeniu sporo racji.

- Zapomnijmy o tym, chłopcze. Ty poznałeś Napoleona, a ja właśnie dostałem dwadzieścia kilo kawioru z kuchni Murata i całą armię wszy od jego kucharki. No i co ty na to? - Wyglądał na uradowanego.

- Jak rozumiem, cel naszej podróży został osiągnięty - odpowiedział niemalże ze smutkiem Viriato.

- W samej rzeczy - przytaknął kucharz, drapiąc się bezwstydnie po kroczu. - Co więcej, kupiłem dwa konie, żrebaka i klacz. Należały kiedyś do dwóch francuskich dragonów, ale oni, dzięki celności rosyjskich żołnierzy, już nigdy nie będą ich potrzebować. Aha, i mamy jeszcze ich kompletne umundurowanie, do naszej kolekcji pamiątek! To była udana podróż, oj, była.

- Kompletne umundurowanie francuskich dragonów, tak?

- Co wam chodzi po głowie, nowicjusz? - spytał Kevin ze zmienionym wyrazem twarzy.

*

Dragoni przedzierali się przez śnieg na grzbietach swoich koni. Cadet i Juliette, jak nazywały się żrebak i klacz, były wychudzone, ale już wkrótce miały przybrać na wadze i

kłusować po zielonych łąkach wyspy, stając się zaczątkiem nowego stada.

- Zdjęcie naszych habitów jest wbrew regułom, Viriato - argumentował Kevin. Echo wciąż dalekiej burzy wskazywało im drogę do wrót czasu.

- Jesteście mi to winni. Za to, że zostawiliście mnie wtedy samego nad rzeką - odparł Viriato z wyrzutem.

Zdarzyło się to, gdy wjeżdżali do zagajnika, na którego skraju stał słupek graniczny. Z ukrycia wypadła nagle grupa Kozaków i w pełnym galopie otoczyła ich, zanim zdążyli nawet pomyśleć o ucieczce. Było ich około trzydziestu. Uformowali krąg dookoła mnichów i uśmiechali się złowieszczo. Dwóch dragonów w otwartym terenie - to nie był zły sposób na rozerwanie się pod koniec męczącego dnia. Dwaj Kozacy rozmawiali z sobą, nie spuszczając mnichów z oka. Po chwili jeden z jeźdźców zbliżył się do Viriata.

- Jestem baron de Vosgues. - Jego francuski był bez zarzutu. - A raczej byłem nim, zanim wpadłem w ich niewolę. Jeśli w ogóle jeszcze żyję, to tylko dlatego, że znam rosyjski i służyć im jako tłumacz w rozmowach z jeńcami - rzekł, jak gdyby był im winny jakiegokolwiek wyjaśnienia.

- Nie jesteśmy tymi, na kogo wyglądamy - zawołał pośpiesznie brat Kevin.

- To nie ma wielkiego znaczenia. Nawet gdyby się okazało, że jesteście zakonnikami, nic by to nie zmieniło - odparł gorzko. - Hetman dowodzący naszym oddziałem zdecydował, że staniecie do pojedynku z jego najlepszym kawalerzystą - powiedział to, zwracając się w stronę Viriata. - Chcą się trochę rozerwać przed kolacją. Mimo wszystko możesz się uważać za szczęściarza, chłopcze, będziesz się krócej męczył niż twój towarzysz.

- A jeśli pokonam Kozaka? - spytał Viriato bez mrugnięcia okiem.

- Na Boga, młodzieńcze, nie brak ci odwagi - rzekł, uśmiechając się gorzko, i widać było, że już dawno uśmiech nie gościł na jego twarzy. - Jeśli wygrasz pojedynek albo jeśli

otworzą się niebiosy i porwie was wiatr, bo i jedno, i drugie jest równie prawdopodobne, będziecie mogli ruszyć w dalszą drogę. Kozacy są honorowi - odpowiedział, po czym spiął konia ostrogami i zawrócił.

- Co on powiedział? - spytał przerażony Kevin, który nie słyszał ostatniej części rozmowy.

- Nic takiego. Muszę tylko zabić jednego z Kozaków i będziemy mogli jechać dalej - powiedział Viriato spokojnie, podczas gdy szlachcic wracał już ze swoimi porywaczami.

- Bóg mi świadkiem, chłopcze, jeśli wyjdziemy z tego cało, przysięgam na świętego Patryka, że już nigdy więcej nie zbliżę się do żadnej kobiety. I że zdradzę ci mój sekretny przepis na ten pikantny sos, który tak ci smakuje.

*

Pojedynek miał się odbyć na szable. Obydwaj jeźdźcy ustawili się naprzeciwko siebie w odległości trzydziestu metrów. Kozacy dopingowali głośno swojego czempiona, Piotra Stepanowicza, wyśmiewając młodego francuskiego dragona i drwiąc z niego.

Viriato dobył z pochwy swoją szablę. Szabla kawaleryjska była lżejsza i bardziej zakrzywiona niż ta do abordażu, do której przywykł, ćwicząc z kapitanem Velo.

Nie czuł się też zbyt pewnie na koniu, ale ufał, że trening, jaki odbył na wyspie, ujeżdżając muła, powinien wystarczyć. „Masz talent do sportu” - przypomniał sobie słowa ojca Xaviera, który przyglądał mu się, jak kłusował na mule i rozpruwał worek z sianem zawieszony na drzewie laurowym.

Bo czym dla dwudziestoletniego chłopaka była wojna, jeśli nie sportem właśnie? Jego głowa wciąż była pełna romantycznych wyobrażeń o tym, co stanowiło najbardziej przerażającą formę człowieczej działalności - błąd, którego rasa ludzka ciągle się dopuszczała.

Hetman rzucił na śnieg czerwony szal - był to znak rozpoczęcia pojedynku. Potężny kozacki wierzchowiec ruszył z furią z miejsca, popędzany dzikimi okrzykami jeźdźca. Juliette zaczęła od lekkiego i eleganckiego kłusu, który przerodził się w galop, kiedy jeźdźcy mieli się zrównać. Kozak zrobił zwód szablą i w ostatniej chwili uderzył z całych sił w głowę przeciwnika.

Viriato z impetem wyleciał z siodła, gubiąc w locie hełm i szablę. Kozacy zgotowali swojemu towarzyszowi głośną owację.

Baron de Vosgues podjechał do powalonego jeźdźca. Bez schodzenia z konia zręcznie podniósł z ziemi jego szablę. Hełm dragona był już bezużyteczny, cios Kozaka przeciął go na pół.

- Możecie walczyć dalej czy wolicie, żebym wam to ułatwił? - spytał głęboko zasmucony arystokrata, który najwyraźniej nie zdołał przyzwyczać się jeszcze do okrucieństw wojny.

Viriato, z którego głowy ciekła strużka krwi, wyciągnął rękę po szablę. Przemył śniegiem zakrwawioną twarz i wskoczył z powrotem na siodło. Poklepał po szyi swoją klacz, która wydawała się równie spokojna i opanowana jak jeździec.

- To nie była twoja wina, Juliette - szepnął do wierzchowca, jakby wierzył, że może go zrozumieć. - Tym razem to ja go zaskoczę.

Właśnie przypomniał sobie rozdział traktatu don José de Mereló y Casadamunta zatytułowany *Podstawy zwodów szablą dla żołnierzy kawalerii*. Został on napisany w tysiąc osiemset siedemdziesiątym ósmym roku i ten skurwysyn Kozak, Piotr Stepanowicz, siłą rzeczy nie mógł go czytać. Na swoje nieszczęście urodził się odrobinę za wcześnie.

Czerwony szal po raz kolejny upadł na śnieg. Tym razem Juliette zrezygnowała ze swojego eleganckiego kłusu i błyskawicznie przeszła do szybkiego galopu.

Gdy zbliżali się do siebie, Kozak podniósł szablę, pewny swojego zwycięstwa, i zaczął wymachiwać nią w poszukiwaniu szyi przeciwnika, tak aby ściąć mu głowę i uznać przedstawienie za zakończone. Zamiast szyi przeciął jednak powietrze, bo dragon nieoczekiwanie położył się na plecach, dotykając karkiem zadu swojego wierzchowca, i w tym samym momencie ciał Kozaka prosto w pas.

Stepanowicz wyszedł z tego starcia, sam nie wierząc w to, co się stało, i podtrzymując swoje własne wnętrze.

Zacisnął jednak zęby, zdołał zawrócić konia i wykonał kolejną szarżę. Jego oszołomieni towarzysze przyglądali się tej scenie w milczeniu.

Viriato i Juliette czekali na niego w bezruchu, jak torreador, który czeka na natarcie byka. Kiedy Kozak znalazł się na ich wysokości, klacz zgrabnie odskoczyła na bok, a świeżo upieczony dragon wymierzył tak silny cios w bark przeciwnika, że gładko odciął mu rękę.

Kozacki wierzchowiec przejechał jeszcze kilka metrów, aż zdeorientowany, nie wiedząc, jak interpretować rozkazy jeźdźca, stanął w miejscu.

Przez kilka chwil pozostawali tak bez ruchu, odwróceny tyłem do zaskoczonych widzów pojedynku. W pewnym momencie Stepanowicz zsunął się z siodła na lewą stronę, wciąż jeszcze wyprostowany, i spadł na śnieg jak worek z sianem. Po upływie kilku sekund, które wydawały się całą wiecznością, hetman zwrócił się do pojmanego Francuza w kilku krótkich słowach. De Vosgues skinął głową i kłusem podjechał do Wiata, który jak gdyby nigdy nic wycierał w rękaw zakrwawioną szablę.

- Możecie jechać dalej, panie. I lepiej się pospieszcie. Właśnie zabiliście hetmańskiego syna. - Jego słowa były przepełnione szacunkiem, ale i pewnym niedowierzaniem.

Viriato schował do pochwy swoją szablę i zsalutował baronowi, który odsalutował

mu z dumą na twarzy.

- *Vive la France* - powiedział Viriato na pożegnanie.

- *Vive la France* - odpowiedział mu oficer głosem drżącym ze wzruszenia, nie przestając salutować.

Viriato i Kevin spięli konie ostrogami i pognali prosto w kierunku zagajnika. Nie chcieli już kusić losu i ani razu nie obejrzeni się za siebie. Wiatr, który wskazywał epicentrum burzy, stawał się coraz silniejszy i tak zakończył się ich pobyt w Rosji roku tysiąc osiemset dwunastego.

*

- Cadet i Juliette wciąż jeszcze kłusują po łąkach Wyspy Świętego Brendana, razem ze swoimi dziećmi, dwoma przepięknymi żrebackami - rzekł Viriato, opróżniając filiżankę z ostatnich kropli zimnej kawy z mlekiem.

Cameron przypomniał sobie siodło francuskiego dragona, zawieszona na ścianie mieszkania w madryckiej *corrali*. Myśl o reszcie przedmiotów, którymi było udekorowane mieszkanie, przyprawiła go o zawrót głowy.

By tego uniknąć, skupił całą uwagę na Viriacie. Jeśli opuścił wyspę w wieku dwudziestu jeden lat i dotarł do Madrytu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku, musiał mieć teraz jakieś czterdzieści sześć, czterdzieści siedem lat. i rzeczywiście na tyle wyglądał. Wciąż był młodym i silnym mężczyzną. Cameron potrafił go sobie wyobrazić w płomieniach Alkazaru, ratującego najlepszą pinakotekę na świecie czy pojedynkującego się z kozackim jeźdźcem na brzegach Berezyny, po tym jak został uszczypnięty w ucho przez Napoleona. Miał czterdzieści siedem lat, ale ile żyć zdążył przeżyć?

Poczuł mieszaninę zazdrości, podziwu i bezgranicznego szacunku. Towarzystwo

Viriata wydało mu się czymś magicznym i był zaszczycony tym, że mógł go poznać. Czy też

że właśnie miał okazję zacząć go poznawać.

Pomodlił się do dobrego Boga, żeby starczyło mu czasu na wysłuchanie wszystkich opowieści Viriata.

- Kiedy przybył pan do Madrytu, to była pana trzecia podróż? - spytała Lola, nie kryjąc tego, że chce wiedzieć o nim jak najwięcej.

- Czas coś przekąsić, proszę państwa - przerwał im Sidi. - Stół jest nakryty.

- Poranek minął jak z bicza strzelił - zauważył zakonnik. - W rzeczy samej, Madryt był celem mojej trzeciej podróży. Ale jeśli państwo pozwolą, opowiem o tym pojedzeniu, przy kawie. Praktycznie nic jeszcze nie jadłem - usprawiedliwiał się uśmiechnięty. I nie kłamał. Ledwie zdołał ugryźć croissanta, a już zasypali go gradem pytań.

Rozdział XXIV

Koniec polowania. 9 sierpnia 2009 roku

Capita XXIV. N.S.B.a. Podróżnicy widzą Wyspę Ognistej Góry. Góra wypłuwa płonące skały, a z plaży pokrytej czarnym dymem dociera płacz potępionych. Ostatni z mnichów pielgrzymów rzuca się do wody i zostaje porwany przez demony. W ten sposób spełnia się przepowiednia opata.

- Dotarłem w końcu do Madrytu w październiku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku, dwa tygodnie po skończeniu dwudziestu jeden lat i osiągnięciu pełnoletności na wyspie. Tak jak napisał Mernoc w *Księdze czasu* - snuł Viriato opowieść o swoich podróżach.

Cała czwórka podziwiała zachód słońca, siedząc na drugim pokładzie statku. Zjedli właśnie wspaniały posiłek przygotowany wspólnie przez Lolę, Sidiego i kapitana Medinę, który jako dobry Bask i dobry żeglarz był znakomitym kucharzem.

Posiłek trwał długo i był bardzo obfity. Znudzona Lola postanowiła ponurkować,

podczas gdy dżentelmeni rozkoszowali się specjalnymi cygarami z ekskluzywnej piwnicy Mediny i wysokoprocentowymi alkoholami, które były tak mocne, że mogłyby spalić gardło byka. Uwadze Camerona nie uszło to, że potężny Sidi zaproponował Loli, iż jej potowarzyszy. „Zawsze powinno się nurkować w towarzystwie innego nurka” to przecież świetna wymówka. Po chwili znów wszyscy byli razem na pokładzie statku i ze wznowionym zapałem podjęli przesłuchanie Viriata.

- Miał pan jakiś kontakt z Germinalem Sánchezem, falangistą, który znał Mernoca i Odrana? - zapytał historyk, przypominając sobie sprawozdanie Alejandry o dziejach Germinala i znakomite relacje, w jakich mnich najwyraźniej pozostawał z jego synem, prezesem fundacji Infante de Orleáns.

- Odnalezienie go i przeprowadzenie z nim rozmowy było pierwszą rzeczą, którą zrobiłem po przyjeździe do Madrytu. Miałem spełnić wolę Odrana i spłacić tym samym dług wdzięczności. Przypominam sobie, że jego zaskoczenie było ogromne - przyznał Viriato. - Mało brakowało, żeby nasłał na mnie policję. Na początku myślał, że jestem wariatem albo oszustem.

- Miał pan coś wspólnego z jego nagłym wzbogaceniem się? - dopytywał się profesor, który w tym momencie przypomniał sobie słowa Odrana: „Nie wiesz nawet, jaką wyświadczyłeś mi właśnie przysługę, Germinalu. Przysięgam, że nie spocznę, dopóki nie znajdę sposobu, w jaki będę mógł ci odpłacić”.

- Ach, naturalnie przyczyniłem się do powstania jego olbrzymiego majątku - przyznał Viriato szczerze. - Kiedy ktoś dostaje rejestr notowań giełdy papierów wartościowych w Madrycie z następnych pięciu lat, jest bardzo prawdopodobne, że zmieni się w czarodzieja finansów. Jeśli do tego w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim otrzyma plan turystyczny Madrytu z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego, nie sprawi mu

wiele problemu przekształcenie się w mistrza handlu nieruchomościami, nie uważa pan? - spytał rozbawiony.

- Ta przysługa dotarła do niego chyba jednak trochę za późno - wtrąciła uszczypliwie Alejandra.

- Z pewnością pojawiłem się trochę za późno w jego życiu. - Viriato mlasnął językiem z dezaprobatą. - Ale Germinal miał za to bardzo wygodną starość. Poza tym mógł zostawić olbrzymi majątek swojemu synowi, który, jak zapewne pani zauważyła w czasie tej podróży, wciąż jest mi bardzo wdzięczny. Wspaniale jest czynić dobro i mieć wszędzie przyjaciół. Nigdy nie wiesz, kiedy ich będziesz potrzebował - zakończył, popijając brandy.

Cameron uświadomił sobie, że w miarę jak postępowała opowieść Viriata, wszystkie elementy łamigłówek zaczynały do siebie idealnie pasować. A więc na tym polegał sekret Germinala! Dokładna wiedza na temat tego, co się wydarzy. Moc poznania przyszłości i zmiany przeszłości; zaczęło mu się kręcić w głowie.

Pewnie właśnie dlatego jego brat - Madoc - zaczął na nich polować. Ale co miała z tym wszystkim wspólnego amerykańska ambasada? To pytanie nie dawało mu spokoju od czasu pościgu, który najwyraźniej zakończył się w madryckim metrze. Nadal nie potrafił na nie znaleźć żadnej logicznej odpowiedzi. Poczul bolesne ukłucie w żołądku, zdając sobie sprawę, że w rzeczywistości bardzo mało wie o życiu swojego brata.

- Co pan robił po spotkaniu z Germinalem? - wypytywała dalej Lola. Mimo że właśnie leżała w bikini, opalając się przy ostatnich promieniach zachodzącego słońca, była tak samo czujna i żądna wiedzy jak zawsze.

- Przyjechałem z wyspy z kilkoma hiszpańskimi monetami i z moim największym skarbem, przepisem na sos Kevina. Zawsze czułem się przedsiębiorcą, więc założyłem swój bar, który nazwałem Gospoda Viriata z *patatas bravas*. Później stał się on jedną z najbardziej

znanych karczm i restauracji w Madrycie. To były wspaniałe czasy - wspomniął z nostalgią.

- I podróżował pan dalej? - W końcu do rozmowy włączyła się Alejandra.

- Oczywiście - odpowiedział. - Brat Xavier znał mnie doskonale i wiedział, że nie umiem usiedzieć na tyłku. Nie jestem osobą, która potrafi zapuścić korzenie. Poza tym zawsze mi mówił, że „moja misja nie dobiegła jeszcze końca”. Zapisał mi dokładne daty, kiedy wrota będą się otwierały w Madrycie, żebym mógł dalej cieszyć się moją wielką pasją, podróżowaniem w czasie. I, rzecz jasna, tak właśnie zrobiłem. - Znow napił się brandy.

- Są jakieś wrota czasu w Madrycie? - Lola podniosła się na swoim ręczniku, zdziwiona wyznaniem mnicha.

- Tak jest - odparł buńczucznie. - Tuż obok pomnika Upadłego Anioła, zawsze tam były. Jedyne, co trzeba było wiedzieć, to dokładny moment, kiedy się otwierają. I ja to wiedziałem - oznajmił z miną psotnego dziecka.

- Dobry Boże! - krzyknęła Lola. - Ilu... ilu ludzi pan poznał, Viriato? - Przed oczami zaczęły jej migotać wszystkie pokoje mieszkania w *corrali*, udekorowane z barokową przesadą i zastawione tysiącem przedmiotów. Zrozumiała, że wszystko to były pamiątki z jego licznych podróży. - Poznał pan Juliusza Cezara? Aleksandra Wielkiego? Widział pan, jak malował Michał Anioł? Słuchał pan Homera? - Sprawiała wrażenie niesamowicie podekscytowanej.

- Przepraszam, że przerywam, panie i panowie - powiedział uśmiechnięty Medina, pojawiając się nagle między nimi - ale za parę godzin dopłyniemy do szerokości i długości geograficznej, które brat Viriato wskazał na mapach. Co mam robić, kiedy się tam znajdziemy? - spytał z powagą.

- Wyłączyć silniki i czekać - odpowiedział Viriato z pełnym spokojem.

* * *

Madoc Cameron wpatrywał się w ekran komputera i sprawdzał ostatni raport meteorologiczny, który dostał dokładnie przed piętnastoma minutami.

Ani śladu burzy w jego obszarze.

Co gorsza, nie było szans, żeby w ciągu następnych siedemdziesięciu dwóch godzin wydarzyła się jakakolwiek anomalia meteorologiczna. Pogoda była zupełnie stabilna.

Wciąż jednak nie miał żadnych wiadomości odnośnie do ostatniej grupy, która weszła do gry. Wszystkie informacje, które dochodziły ze Sztokholmu, były rozczarowujące. Ani jednego tropu, ani jednego znaku. Wydawało się, że wszyscy zapadli się pod ziemię, razem z lekarką sądową. Kto to był, do diabła? Rosjanie, Izraelczycy, Arabowie...? W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że oni także dążyli do tego samego celu.

I jeśli wszystko okaże się ułudą?

Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Za dużo pracy i za dużo napięcia w ostatnich dniach. Wiedział z doświadczenia, że nadmierny stres nie pozwala czasami na jasną analizę i diagnozę sytuacji. W jakie szaleństwo się wplątał?

W dodatku nie było żadnego znaku statku w kwadrancie. Niektóre statki handlowe przepływające przez obserwowaną strefę zostały sprawdzone w ramach rzekomych manewrów skierowanych przeciw łodziom podwodnym, prowadzonych przez „Benjaminą Franklina”. Później będzie czas na zajęcie się ich skargami.

Zerknął na zegarek. Brakowało tylko paru godzin do dwunastej w nocy i początku nowego dnia. Wtedy dziesiąty sierpnia stanie się historią, podobnie jak pojawienie się legendarnej wyspy.

Gdzie, do wszystkich diabłów, podziewał się Sebastian?

Ktoś zapukał do drzwi jego kajuty. Wszedł Massimo Lanza ubrany w bojowy kombinezon.

- Właśnie znaleźliśmy intruza w kwadrancie, proszę pana. Czy mam wydać rozkaz abordażu? - Tylko dzięki przeszkoleniu udało mu się ukryć niecierpliwość.

- Obawiam się, że będziemy musieli poczekać na naszą burzę, Mássimo. Jednak na wypadek, gdyby nie nadeszła, wszystko jest przygotowane do wykonania abordażu o północy - odparł ambasador.

* * *

Kiedy wreszcie nad „Guadalupano” zapadła noc, pokład statku zamienił się w doskonały punkt widokowy do obserwacji rozgwieżdżonego nieba. Znajdowali się na pełnym morzu, a noc była bardzo jasna. Statek miał wyłączone silniki i kołysał się lekko w spokojnej wodzie. Cameron czuł się tak, jakby przebywał w stanie nieważkości na gładkim i ciemnym morzu odbijającym rozgwieżdżone niebo, zupełnie jak nieskończone lustro.

- Nigdy nie widziałam takiej nocy - szepnęła Alejandra, opierając się o barierkę i obserwując ten niezwykły spektakl.

- Nie ma tutaj żadnych sztucznych świateł, moja droga - zauważył Cameron rozsądnie, chociaż cieszył się tą nocą tak samo jak ona, a nawet bardziej.

Zapadła między nimi cisza. Żadne nie chciało zadać pytania, które musiało paść.

- Która godzina? - zapytała Alejandra. Kobiety lepiej radzą sobie z problemami.

- Za trzydzieści pięć minut będzie północ - odparł Cameron.

- Czuję się jak idiotka, tkwiąc na środku Atlantyku i szukając czegoś, co nigdy nie istniało - przyznała. - I za co musiałam zapłacić wysoką cenę - dodała gorzko.

- Mogło być gorzej - zauważył Cameron. - Mówiłem ci, że ten chłopak nie był dla ciebie.

Alejandra uśmiechnęła się mimo woli.

- Jesteś niezłym draniem, wiesz?

- Tak. „Drań” i „rozwód” to słowa, które słyszałem najczęściej, kiedy mieszkałem z moją żoną.

Alejandra podeszła do niego i wzięła go pod ramię. Cameron objął ją delikatnie.

- Może uda nam się wysnuć ciekawe wnioski z tej legendy - powiedział, całując ją w czoło, podczas gdy ona składała lekki pocałunek na jego szyi. - Poza tym - dodał - to była piękna legenda.

Znów zapadła cisza. Prawdopodobnie żadne z nich nie chciało psuć nastroju chwili.

- Co zrobimy jutro? - zapytała Alejandra, jakby wyzwoliła się spod działania uroku.

Wiedziała doskonale, że wszystko się skończyło.

- Wrócimy do domu, jak sądzę - powiedział, patrząc na ustawione na rufie plastikowe pojemniki z paliwem. Sidi mocował się właśnie z jednym z nich, żeby uzupełnić baki po długiej podróży. - Popłyniemy na La Palmę, a stamtąd polecimy samolotem do Madrytu.

- Zostaniesz w Madrycie?

- Nie, muszę wrócić do Bostonu. Muszę nadgonić pracę, a poza tym czas wybrać kolor tapicerki w moim nowym porsche. Chyba że złożysz mi propozycję absolutnie nie do odrzucenia. Powinna też być nieprzyzwoita - dodał. - Pamiętaj, że rywalizujesz z porsche.

- Naprawdę zostawiłbyś mnie samą w Madrycie na pastwę Sanema i tej bandy paranoików, którzy nas ścigają? - zapytała ze szczerym oburzeniem.

- Obawiam się, moja droga, że za trzydzieści minut przestaną się nami interesować - odparł Cameron, patrząc znów na zegarek.

Zamyślili się, spoglądając w noc.

- Patrz! - krzyknęła nagle Alejandra, pokazując niebo.

Kolejna spadająca gwiazda przecięła nieboskłon.

- „Łzy świętego Wawrzyńca”, Perseidy stawily się na nasze spotkanie - przyznał

Cameron z melancholijnym uśmiechem.

Przypominały srebrne łzy. Przesuwały się po ciemnym tle nocy, jakby prowokując swoje nieruchome siostry, które przestrzegały porządku wszechświata. Inne ruszyły za nimi, dwie, trzy, dziesięć... Było tak, jakby nagle całe niebo ożyło. Spadały wszędzie, przecinając niebo prawdziwym deszczem gwiazd.

Alejandra zaczęła klaskać z entuzjazmem, a na jej twarzy malował się zachwyty.

- Pomyśl jakieś życzenie - zasugerował Cameron z uśmiechem. Może warto było przeżyć to wszystko, żeby zobaczyć ten spektakl. Alejandra zamknęła mocno oczy.

Cameron przyglądał się grupie gwiazd, dopóki nie zniknęły za horyzontem. Nagle ukryły się za ogromną chmurą, niepokojąco się w niej odbijając. Potężna chmura mgły, przyklejona do powierzchni wody, zbliżała się w ich kierunku.

- Dobry Boże - szepnął Cameron, nie mogąc oderwać oczu od muru mgły, który rósł z minuty na minutę.

- Mogę już otworzyć oczy? - zapytała Alejandra, gdy wiatr zaczął szarpać jej włosy.

* * *

Ta burza nie powinna była zaistnieć. Pojawiła się znikąd na ekranie monitora. Bez zetknięcia się zimnych i ciepłych prądów morskich, które by ją mogły wywołać. Był to niemożliwy fenomen meteorologiczny. Ale wydarzył się i z każdą chwilą stawał się gwałtowniejszy. Madoc Cameron postanowił o tym nie rozmyślać. Teraz był czas na działanie, później się nad tym zastanowi. Pobiegł zgięty w pół po pokładzie w kierunku helikoptera Sea Hawk, który już wprowadził w ruch ogromne śmigła.

Ambasador był ubrany w kombinezon bojowy, podobnie jak pozostałych ośmiu żołnierzy SEAL, którzy czekali na niego wewnątrz maszyny uzbrojeni po zęby. Dla nich ta operacja polegała na przechwyceniu statku handlarzy narkotyków z kolumbijskiego kartelu

Medellin.

Kiedy agent CIA wsiadł do helikoptera, żołnierze przywitali go serdecznie. Przybijali piątki i podnosili palce do czoła wśród plemiennych okrzyków *Au!* i przepisowych „cieszymy się, że znów możemy służyć pod pańskimi rozkazami”.

Wszyscy byli doświadczeni i godni zaufania. Towarzyszyli Madocowi w misjach w Kolumbii, Afganistanie i Iraku. Poprosił o najlepszych i takich dostał.

Sierżant Matt O'Brien pozdrowił go z głębi sea hawka. Na ramieniu miał zawieszoną swoją ulubioną zabawkę: karabin HS.50 Steyr naładowany amunicją zdolną przeszywać ściany samochodów pancernych. Było to trofeum z Iraku, wyrwał go z jeszcze ciepłych rąk snajpera tuż po tym, kiedy odstrzelił mu głowę swoim barretem.

Madoc miał nadzieję, że tej nocy umiejętności żołnierza nie będą potrzebne i że załoga statku zachowa się rozsądnie. Poczul uderzenie adrenaliny. Poczul się dziesięć lat młodszy dzięki atmosferze przesiąkniętej męskością i testosteronem. Niegrzeczni chłopcy emanują wyjątkowo atrakcyjną energią, gdy łączą się w grupy.

- Kiedy dotrzemy do celu, poruczniku? - zapytał ambasador pilota, komunikując się z nim za pomocą kasku.

- Za piętnaście minut będzie pan mógł pluć dilerom na głowy, proszę pana - odparł pilot, podczas gdy śmigła helikoptera zaczęły unosić go w powietrze.

* * *

Na wzburzonym oceanie rosły fale. Ta burza, która pojawiła się znikąd, zaskoczyła ich wszystkich. Wszystkich poza Viriatem, który towarzyszył Medinie próbującemu zapanować nad „Guadalupano”. Mnich wskazał mu cel, który prowadził przez środek mgły, oświetlanej od wewnątrz przez niezwykle błyskawice dokładnie w miejscu epicentrum burzy. Medina nie miał nic przeciwko temu. Wiedział doskonale, że kiedy morze prosi do tańca, nie

można mu odmówić. Liczył na siłę statku i umiejętności, jakich nabył na morzach połowy świata.

Sidi chodził po pokładzie jachtu tak szybko, jak tylko pozwalało mu coraz gwałtowniejsze kołysanie statku, starając się zabezpieczyć wszystkie przedmioty, jakie mogłaby porwać woda. Spojrzał z niepokojem na łódź ratunkową przymocowaną do burty „Guadalupano”. Mała tratwa to znikwała, to pojawiała się wśród fal. Prędkość, z jaką rozpętała się burza, nie pozwoliła mu wciągnąć jej na pokład. Miał nadzieję, że jej nie zgubią. Miał nadzieję, że zdarzy się okazja, by ponurkować z Lolą.

Cameron wszedł na mostek, z trudem łapiąc równowagę. Towarzyszyła mu Alejandra, która wcale nie wyglądała na przejętą szalejącą burzą. Lubię odważne dziewczyny, pomyślał Amerykanin.

- Za tą mgłą jest nasza wyspa, profesorze - oznajmił Viriato, przekrzykując ryk sztormu. W tej samej chwili „Guadalupano” zapadł się dziobem w dolinę stworzoną przez ogromną falę. Morze wdarło się na pokład, zmywając z niego kilka butli po paliwie.

- O ile tam dotrzemy - zauważył historyk.

- Dotrzemy, gdzie trzeba - odparł kapitan. - „Guadalupano” wychodził cało z gorszych tarapatów - skłamał z takim przekonaniem, że sam w to uwierzył.

Cameron odniósł wrażenie, że za plecami słyszy hałas niepodobny do ryku szalejącego sztormu. Miał swoją kadencję i rytm. Odwrócił się i spojrzał w górę. Widok ciemnego kształtu śmigłowca zbliżającego się do „Guadalupano” zmroził mu krew.

* * *

- Są pod nami - oznajmił pilot, przekrzykując hałas maszyny i sztormu z furią uderzającego w szyby kabiny.

- Każ sternikowi natychmiast zatrzymać statek. Przeszukamy ich na polecenie DE[A](#)*

Ambasador dostrzegł wielką piracką flagę powiewającą na rufie statku. Uznał, że

* DEA (ang.) - Drug Enforcement Administration (Urząd Legalnego Obrotu Lekami), amerykańska agencja rządowa, której celem jest m.in. walka z narkotykami.

bardzo pasuje do poczucia humoru właściwego Cameronom. Sea hawk wydał polecenie zatrzymania statku przez radio i megafon. Madoc dostrzegł, jak pilot walczący z burzą na mostku podnosi rękę w ich kierunku i pokazuje im środkowy palec. Zrozumiał wówczas, że załoga nie ma zamiaru zachowywać się rozsądnie.

- O'Brien, zatrzymaj mi ten statek - rozkazał sucho ambasador.

* * *

- Dodaj gazu! - krzyknął Viriato. - Przechodzą do abordażu! - Sea hawk był już nad nimi, z jego boków zrzucono liny dla żołnierzy.

Medina przyspieszył, a silniki zaryczały boleśnie w tyglu wody i piany, w jaki zamienił się ocean. Helikopter zaczął tracić pozycję względem statku.

* * *

- Prędkość wiatru - poprosił pilot drugiego oficera, próbując wyrównać lot i nie stracić statku z pola widzenia.

- Piętnaście węzłów i rośnie.

Madoc Cameron zacisnął szczęki. To nie była dobra wiadomość. Powyżej czterdziestu węzłów tracą panowanie nad helikopterem. Spojrzał na ryczące pod nimi morze. Oświetlane błyskawicami fale musiały mieć wysokość pięciu, nawet sześciu metrów. Deszcz się nasilał. Kiedy otworzyli drzwi śmigłowca, poczuli moc sztormu na własnej skórze.

Gwałtowny wiatr wdarł się do wnętrza kabiny, przechylając helikopter niebezpiecznie na lewą burtę i zalewając jego pasażerów strugami deszczu.

- Sierzancie, proszę wystrzelić w panel sterujący - polecił Madoc strzelcowi, który

siadał właśnie w otwartych drzwiach maszyny. - Tylko żadnych trupów, chcę ich wszystkich przesłuchać.

O'Brien usiadł w drzwiach z nogami opuszczonymi nad wodą, podczas gdy jeden z jego towarzyszy trzymał uprząż, która zabezpieczała go przed upadkiem. Wziął kilka głębokich wdechów i przyłożył broń do twarzy. Mimo że i helikopter, i cel były w ciągłym ruchu, niezwykle wizjer broni, o soczewce 1370 mm, pozwalał mu doskonale widzieć mostek.

Ciała trzech osób stojących obok sternika zasłaniały mu cel. To jednak przestanie być problemem po pierwszym strzale ostrzegawczym.

* * *

- Szybciej, znów nas doganiają! - krzyczał Viriato, widząc, jak żółwrogi cień sea hawka zbliża się do statku od lewej burty.

- Nie możemy płynąć szybciej, poruszamy się pod wiatr wiejący z mocą dwudziestu węzłów, a fale mają prawie sześć metrów - odparł Medina, którego jedynym celem było w tej chwili utrzymanie statku na powierzchni.

Cameron nie spuszczał z oka helikoptera mającego w tym dantejskim piekle oświetlanym przez błyskawice. Wydawało mu się, że ma otwarte drzwi, z których wystają nogi jednego z załogantów. Pomyślał, że ten człowiek jako pierwszy spuści się po jednej ze zwisających z maszyny lin, które majaczyły żłowieszczo kołysane nawałnicą. Jednak błysk światła, który jakby wychodził z ledwie widocznej w górze postaci, prędko wyprowadził go z błędu.

Znajdujący się za plecami profesora bar wyleciał w górę pod wpływem silnej eksplozji. Trzej mężczyźni i kobieta instynktownie rzucili się na ziemię, próbując ukryć się przed pociskami. Strzelali do nich z helikoptera!

Po serii trzech szybkich wystrzałów panel kontrolny statku przestał istnieć, wśród dymu, plastikowych odłamków i porwanych kabli.

Statek zaczął wytracać prędkość.

* * *

- Zatrzymują się - poinformował pilot.

- Dobra robota, sierżancie - pochwalił strzelca ambasador. Jego chłopcy nadal byli w formie.

- Musimy przystąpić do abordażu! - ponaglił pilot. - Prędkość wiatru osiąga już prawie trzydzieści węzłów!

- Ortega na pierwszej, Stevenson na drugiej, a Lanza na trzeciej. Ja zjadę na czwartej.

- Ambasador szybko wydał rozkazy. Nie po to dotarł tak daleko, żeby nie znaleźć się na statku i nie dostać się na wyspę.

* * *

Sebastian słuchał z rozpaczą, jak silniki jachtu tracą moc i wreszcie gasną zupełnie.

Oświetlona błyskawicami chmura mgły stała zaledwie sto metrów od nich. Teraz ich cel był nieosiągalny. Nigdy się nie dowie, co naprawdę znajdowało się po drugiej stronie.

Nad głową słyszał hałas silnika i śmigła helikoptera, który unosił się niebezpiecznie zaledwie dwanaście metrów nad statkiem. Za każdym razem, kiedy jedna z ogromnych fal unosiła statek, Cameron miał wrażenie, że roztrzaskają się o brzuch śmigłowca.

Mimo wszystko Sebastian musiał przyznać, że pilot sea hawk jest świetny w swoim zawodzie, skoro zdołał utrzymać pozycję helikoptera w samym środku takiego sztormu. Przez jego cholerne umiejętności ich wszystkie plany wzięły w łeb. Na dwóch linach, które poruszały się na wietrze na kształt długich biczów, zobaczył dwóch uzbrojonych mężczyzn.

Schodzili do abordażu.

„Guadalupano” zbliżał się do mgły, jakby przyciągany przez niewidzialny magnes.

* * *

Pierwszym, który stanął na luksusowym pokładzie z drewna tekowego, był Stevenson.

Kiedy poczuł, że stoi pewnie, zaczął odpinać uprząż. Jednak w ostatniej chwili sea hawk szarpnął się gwałtownie wskutek nagłego podmuchu wichury. Stevenson uniósł się na trzy metry nad pokład statku i w tej samej chwili jego uprząż puściła. Upadając, uderzył głową w barierkę i wpadł do wody.

Madoc Cameron, który obserwował przebieg abordażu, wiedział, że ma pierwszego poległego.

Spojrzał na linę Ortegi, która kołysała się lekko na porywistym wietrze. Miał nadzieję, że mu się udało.

- Czterdzieści węzłów! - krzyknął pilot, który walczył o panowanie nad maszyną. -

Odlatujemy, musimy się stąd wynieść i wrócić na statek!

Sea hawk kołysał się niebezpiecznie, bliski utraty wątej równowagi, podczas gdy jego potężne śmigła ryczały, wprawiając w drzenie każdy najmniejszy element statku.

- Daj mi dwie minuty, żebym mógł zejść! - krzyknął ambasador, który przypiął już swoją uprząż do liny.

- Nie, wracamy na statek! - odpowiedział pilot zdecydowanie. Helikopter mógł w każdej chwili runąć do morza.

Cameron spojrzał na Lanżę. Pracowali z sobą wystarczająco długo, żeby rozumieć się bez słów, i obaj tyle razy czuli na karku oddech starej kostuchy, że przestali się jej bać. Znów będą kusić los. „Nie boję się śmierci, zbyt często patrzyłem jej w oczy. Celujcie w serce, nie strzelajcie mi w twarz”, przypomniał sobie słowa Murata, które skierował do swojego plutonu egzekucyjnego, zanim sam wydał rozkaz „pal!”. To ciekawe, co człowiekowi przychodzi do

głowy w krytycznych momentach wielkiej gry, pomyślał Madoc.

Mássimo wyjął z pochwy swojego glocka i wbił lufę w kark pilota, tuż pod kaskiem.

- Daj ambasadorowi te dwie minuty, o które cię prosi. - Jego słowa mogłyby służyć za
wód do chłodzenia whisky. - A potem wrócimy do domu.

* * *

Medina był wściekły. Miał powód, w końcu rozpieprzali mu jego statek nie wiadomo za co. Zdecydował, że ludzie z helikoptera, niezależnie od tego, czy byli z DEA, czy z Ministerstwa Finansów, nie odlecą jak gdyby nigdy nic. Zszedł na dziób, na którym leżały końce lin do abordażu, jak olbrzymie węże. Wziął jedną z nich, jakby chwycił anakondę, i nie myśląc wiele, przywiązał ją węzłem żeglarskim do jednej z knag dziobowych. „Guadalupano” i jego załoga nie mieli zamiaru poddać się tak łatwo.

* * *

Pilot oddychał szybko, próbując opanować własną panikę i helikopter, który walczył z nawałnicą jak niesforny żreback. Spojrzał na anemometr, słuchając krzyków Strzelca zagłuszanych przez szum motorów i wiatru. Agent CIA spuszczał się właśnie po linie, do pokładu statku brakowało mu trzech metrów. Jeszcze tylko dwadzieścia sekund i skręci stery, żeby wrócić na fregatę.

Madoc Cameron dotknął pokładu. Zaczął się odpinać.

W tej samej chwili sea hawk przechylił się gwałtownie na lewą burtę, jakby złapała go dłoń niewidzialnego olbrzyma, który chciał ich wciągnąć do ciemnego, rozszalałego morza wypluwającego pianę zmieszaną z tonami wody. Ambasador stracił pokład z pola widzenia, czując jednocześnie silny ból w pasie wywołany nagłym szarpnięciem liną, która porwała go w górę jak bezwładną marionetkę.

Lina łącząca helikopter ze statkiem napięła się jak stalowy drut, aby wreszcie pęknąć z

głuchym trzaskiem.

Pilot zmusił silniki swojej maszyny do tytanicznego wysiłku, ale sea hawk już nie mógł odzyskać wysokości. Długie śmigła helikoptera wpadły do wody, a śmigłowiec nakryła ogromna fala.

Madoc Cameron wynurzył się z wody, próbując uwolnić się z pętającej go uprzęży, zanim helikopter pociągnie go za sobą na dno. Zauważył z przerażeniem, że zamek jest wygięty, kiedy kolejne silne szarpnięcie znów pociągnęło go pod wodę. Zaczął desperacko szukać noża, który miał wetknięty w prawy but. Ciągnięty coraz głębiej pod wodę, widział światła w kabinie sea hawka, dziewięć metrów niżej, które oświetlały helikopter, i cienki zarys liny łączącej ich z sobą, jak zabójcza pępowina.

Nagle światła helikoptera zgasły i wszystko pogrążyło się w głębokiej ciemności.

Madoc poczuł, jak jego ciało ogarnia przenikliwe zimno.

Jednak, podobnie jak Murat, nie czuł wcale strachu.

* * *

Załoga „Guadalupano” widziała, jak helikopter spadł do morza wśród rozbryzgów wody i piany.

Sebastian wiedział, że żaden z pasażerów śmigłowca nie miał szans przeżyć upadku.

Pomyślał o swoim bracie. Czym prędzej odrzucił myśl, że ambasador mógł znajdować się na pokładzie sea hawka. Prawdopodobnie czekał na informacje o przebiegu operacji, siedząc w swoim wygodnym gabinecie w amerykańskiej ambasadzie w Rzymie. Madoc miał wiele wad, ale nie był awanturnikiem. Ta myśl uspokoiła Sebastiana.

Alejandra, Sidi, Viriato i Sebastian zobaczyli nagle kapitana stojącego na schodach prowadzących na pokład, na którym znajdował się mostek. Był śmiertelnie poważny.

Bezpośrednia przyczyna jego nastroju szła tuż za nim, celując do niego z broni zdolnej

wystrzelić sto pocisków w ciągu sekundy.

Ortega kazał całej czwórce klęknąć i położyć dłonie na karku. Nad statkiem zaczęła zbierać się mgła. Im bardziej zagłębiali się w chmurę, tym bardziej sztorm cichł. Żołnierz rzucił na ziemię kajdanki.

- Niech ojciec ich skuje - powiedział z wyraźnym latynoskim akcentem. - I nie martwcie się mgłą, ja was i tak zobaczę - dodał, zakładając noktowizor najnowszeo typu. - Będę was widział, dopóki będziecie ciepłi - dorzucił złowieszczo, pokazując im równy rząd zębów w grymasie charakterystycznym dla ludzi, dla których zabijanie innych jest chlebem powszednim.

Kiedy Viriato się do niego zbliżył, żeby zabrać kajdanki, żołnierz się zaniepokoił.

Ortega patrzył uważnie na Alejandrę.

- Pani jest brunetką - powiedział wreszcie. - Raport mówił o blondynce. Jest jeszcze jakaś kobieta na pokładzie?

Odpowiedź na jego pytanie przyszła z morza, od strony prawej burty.

- Skaczcie, tu jestem, na łodzi ratunkowej!

Viriato, stojąc tyłem do Ortegi, uderzył go mocno łokciem, postępując zgodnie z instynktem i wyznawaną przez siebie zasadą „najpierw działaj, potem myśl”. Rozbity noktowizor Ortegi wyleciał w powietrze, podczas gdy żołnierz otrzymał silny cios w twarz.

- Skaczcie do wody, do cholery, zaraz do was dołączę! - krzyknął Viriato do swoich towarzyszy.

Cała czwórka skoczyła razem z drugiego pokładu „Guadalupano”. Lola wyłoniła się z mgły jak Pani Jeziora i pomogła im wsiąść na pokład zodiaka.

Cameron nigdy nie cieszył się na jej widok tak bardzo, jak teraz.

Za ich plecami rozległy się trzy wystrzały.

* * *

Viriato przestał bić sierżanta Ortegę. Wyglądał na nieprzytomnego, miał pękniętą wargę, złamany nos i zakrwawioną twarz.

Mnich wstał z trudem, był dumny ze swojego prawego sierpowego, chociaż musiał przyznać, że upływ lat dawał o sobie znać. Podeszedł do burty statku, wycierając ręce o habit.

Poczuł wtedy na dłoni ciepłą krew. Wiedział, że nie jest to krew jego przeciwnika. Oparł się o barierkę i zobaczył wśród gęstniejącej mgły tratwę ze swoimi przyjaciółmi. Machali rękami i coś krzyczeli, ale rozsadzający mu czaszkę gwizd nie pozwalał ich usłyszeć.

Uśmiechnął się do nich niemal czule.

Uda im się, tak zostało zapisane, a on wiedział, że spełnił swoje zadanie. Teraz wszystko rozumiał, zawsze był „nadzieją”. Nagle mgłę przesłoniła ciemność.

* * *

Pasażerowie łodzi widzieli, jak Viriato osuwa się za barierkę. Lola załkała rozpaczliwie. Cameron przygryzł mocno dolną wargę, czując, jak wilgotnieją mu oczy.

Zapadła głęboka cisza, przerywana jedynie szlochem Loli, podczas gdy morze uspokajało się, a dziwne światło wypełniające mgłę stawało się coraz mocniejsze.

- I co teraz? - zapytał wreszcie Medina.

- Płynmy w mgłę - odpowiedział Amerykanin. Teraz już znał drogę.

Rozdział XXV

Wyspa Końca Czasu

Capita XXV. N.S.B.a. Po trzech dniach żeglugi zmęczeniu i wygłodzeni mnisi przybijają do Skąły Judasza. Uczeń, który zdradził Nauczyciela, oferuje im czystą wodę i dwanaście białych chlebów, po czym żegna się z nimi, aby wrócić do piekieł.

Płynęli dalej wśród mgły, wiatr słabł, a fale łagodniały. Grupa milczała. Każdy tonął

we własnych myślach, podczas gdy światło, które docierało jakby z wnętrza chmury, stawało się coraz silniejsze.

Fale nagle ustały. Morze zmieniło się w gładką taflę, jak gdyby ktoś wylał na nie olej, a wiatr ucichł na dobre. Otaczała ich całkowita cisza.

Camera przeszły ciarki.

- Nigdy nie widziałem takiego morza - wyszeptał Medina. Takie słowa z ust człowieka, który przepłynął prawie wszystkie morza świata, nie wróżyły dobrze.

Przez kilka niekończących się minut płynęli dalej po powierzchni martwej wody.

Towarzyszył im tylko powtarzający się głuchy dźwięk małego motoru o mocy piętnastu koni, który popychał ich łódkę.

* * *

Chmury znikaly, zamieniając się w delikatną mgłę.

Cameron miał wrażenie, że przed dziobem ich szalupy wyłania się ciemny kontur dwóch dużych skał.

- Patrzcie! - krzyknęła Lola, wskazując nerwowo w tym kierunku. Ona także wypatrzyła zarys gór.

Tratwa wyłoniła się z mgły pośród strzępów obłoków, które odrywały się od niej jak strzępy waty, a przed nimi ukazał się majestatyczny, wyzywający i potężny kontur wyspy.

Cameron poczuł przyspieszone bicie serca. Woda się ożywiła, a łagodne fale ponownie zaczęły muskać wilgotny brezent łódki. Poczuli powiew wiatru niosącego zapach morza oraz silną i aromatyczną woń, która, jak się zdawało, pochodziła z lasów i puszczy otaczających wyspę. Przemierzyli już lagunę Estigia, otarli się o śmierć, ale zwyciężyli.

Cameron podniósł ręce w triumfalnym geście i wydał z siebie okrzyk, który dobywał się z głębi jego duszy. Krzyk pełen smutku i radości, wyrażający to, czego nie zrobił, a czego

chciałby dokonać. Krzyk przeciągły i długi, tak długi, a zarazem tak krótki, na ile tchu starczyło mu w płucach, tak gwałtowny i rozdarty jak jego własne życie. Poczł silny uścisk Alejandry i wilgotne ciepło jej łez na swojej koszuli.

Otoczyły ich dźwięki dochodzące z wyspy - świergot i ćwierkanie ptaków oraz szelest gałęzi drzew kołysanych przez wiatr.

Cameron także zaczął płakać. I nie obchodziło go to, czy tak wypada, bo uważał, że nawet mężczyzna ma do tego prawo, jeżeli właśnie odkrył, że spełniły się jego marzenia.

Znaleźli się naprzeciw Wyspy Świętego Brendana, Wyspy Końca Czasu, która, z jakiegoś nieznanego im jeszcze powodu, postanowiła im się ukazać.

* * *

Admirał i weteran don José Fernández de Santillán nerwowo chodził po pokładzie rufowym. Teraz, kiedy już świtało, mógł obejrzeć szkody, jakie wyrządził jego łodzi huragan, i stwierdził, że nie były one aż tak liczne i straszne, jak się tego na początku obawiał.

Uśmiechnął się z dumą.

Jego statek, „San José”, ostatni z dużych galeonów hiszpańskich, który pochodził ze stoczni w Gipuzkoa, dobrze i dzielnie zniósł burzę. Żeby te młode urzędasy później nie mówiły, że czas świetności galeonów już minął. I że we flocie nie ma miejsca na statki mieszane, wojenne czy transportowe. Okręty liniowe były przyszłością. Co oni wiedzieli. To dzięki galeonom Hiszpania się wzbogaciła i stała się potężna. Galeony, takie jak „San José”, mogły, tak jak teraz, pomieścić w swoich ładowniach jedną trzecią skarbu Peru albo strzałami z trzydziestu armat, które sterczały z każdej z burt, rozsadzić na pół angielski statek. Lub nawet dwa naraz, jeśliby tylko ci Angole mieli jaja, żeby go okrążyć.

Ze złością splunął za burtę. Zupełnie tak, jak w czasach kiedy pełnił służbę w straży morskiej, tyle że wtedy spluwali po prostu dla picu i bez nienawiści.

Santillán ze smutkiem pomyślał, że czasy się zmieniły. Nie przyznałby się do tego nigdy, nawet podczas burzy, ale jako siedemdziesięcioletni staruszek powoli jednak zaczynał się czuć jak relikw, trochę tak jak jego statek.

- A, do diabła! - krzyknął, żeby oddalić złe myśli.

Nawet teraz obaj, „San José” i on, byli w stanie spełniać swoje obowiązki, tak jak zawsze to robili. A małe one nie były. W jego ładowni znajdowało się jedenaście milionów peset w złocie i srebrze, których jego król potrzebował na prowadzenie wojny, tym razem przeciwko Anglikom.

Odgłos kroków pierwszego oficera, Miguela de Zurity, wytrącił go z zamyślenia.

- Jak tam spis szkód, Miguelu? - Byli sami, więc pozwolił sobie mówić na ty do swojego bratanka.

- Nic wielkiego, admirale. - W hiszpańskiej marynarce przełożony mógł do swoich podwładnych mówić ty, ale nigdy na odwrót. - Znalazłem kawałek rozprutego płótna i zgubiliśmy trochę takielunku, ale za dwadzieścia minut będziemy zwarci i gotowi.

- Lepiej, żeby to było dziesięć minut - zarządził, rozkładając swoją lunetę. - Sztorm nie rozpieprzył nam statku, ale rozbił trochę naszą formację. - Małe żagle widoczne na horyzoncie zaczęły się przegrupowywać.

- Przed zmrokiem okręt flagowy y* będzie na swojej pozycji w konwoju, admirale - odpowiedział de Zurita z powagą.

- Jaki jest dziś dzień, Miguelu? - zapytał Santillán.

- Siódmy czerwca tysiąc siedemset ósmego roku, panie admirale. - Wiedział, że musi podać pełną datę, „bo w marynarce podaje się dokładne informacje”, jak mu zawsze powtarzał admirał, chociaż pierwszy oficer podejrzewał, że chodziło po prostu o to, iż w pewnym wieku pewnych informacji po prostu się nie pamięta.

- Dziś mija czterdzieści osiem lat od mojego ślubu z twoją ciotką. - Nie mógł przestać myśleć o tej rocznicy. - Zobaczymy, czy Anglicy pozwolą mi świętować jubileusz.

Z bocianiego gniazda rozległ się krzyk strażnika, tak jakby usłyszał on komentarz admirała. Marynarz wołał wyraźnie: „Piraci od strony bakburty!”.

Santillán przeklął szpetnie i zaklął na koszt, do którego wpadła głowa Anny Boleyn.

To, co zobaczył przez lunetę na bakburcie, było rzeczywiście niczym innym, jak flagą piracką. Reszty nie potrafił rozpoznać.

- Co to jest, admirale? - odważył się zapytać jego bratanek. Admirał nie potrafił jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie, bo to, co przed nimi płynęło, było najbardziej niezwykłym statkiem, jaki kiedykolwiek widział. Według jego obliczeń miał jakieś dwadzieścia trzy metry długości i był pozbawiony masztów, żagli i rej. Nieskazitelnie biały, z dużymi migoczącymi lustrami na obu pokładach.

- A cóż to może być, chłopcze? Oczywiście *brulotte*** - zmyślił, ale nie dał tego po sobie poznać, jak na starego marynarza przystało. Należał do tych, którzy opłynęli przyłodek Horn i nie zdziwiliby się nawet widokiem dwugłowego wieloryba. - Pewnie stracili go

* „San José” był okrętem flagowym eskadry składającej się z ośmiu okrętów wojennych, które eskortowały sześć statków handlowych. Na początku czerwca 1708 roku wypłynęła ona z Portobello w kierunku

Kadyksu. Skarb Peru i inne kosztowności rozdzielono na kilka statków.

** *Brulottes* - stare statki, najczęściej pozbawione masztów i żagli, które były podpalane i wysyłane naprzeciw wrogom.

Anglicy podczas nocnego sztormu - wywnioskował.

Brulotte majestatycznie unosiła się na wodzie w odległości nie większej niż dwieście metrów od galeonu. Jest w niej coś niesamowitego i pięknego, pomyślał admirał. Ze swoim wspaniale dopasowanym kadłubem wydawała się idealnie zaprojektowana, aby przecinać

linię wiatru i zadziwiać wrogów olśniewającą bielą.

- Co rozkażesz, ekscelencjo? - odważył się zapytać młody Zurita.

- Mam w zwyczaju topić wszystko to, na czym powiewa czarna flaga z czaszką i skrzyżowanymi puszczelami - odpowiedział admirał ze spokojem. - Naszym artylerzystom przyda się ćwiczenie przed tym, co nas czeka w następnych dniach. Niech się tu stawi...*

* * *

Sierżant Ortega odzyskał przytomność dzięki przenikliwemu puszczaniu gwizdków.

Na początku myślał, że obudził się w jakimś obozie, a gwizdki wychowawców wzywają go na apel. Gdy otworzył oczy i ujrzał drewnianą podłogę jachtu, od razu przypomniał sobie, co działo się w ciągu ostatnich godzin. Nadal przebywał na pokładzie „Guadalupano”. Stracił przytomność po tym, jak mnich, w którego chyba wstąpił diabeł, wymierzył mu ostatni cios pięścią.

Światło dzienne raziło go w oczy. Pamiętał, że podczas abordażu była noc, a oni znajdowali się w samym środku sztormu. Teraz świeciło słońce, niebo było błękitne i czyste. Jak długo pozostawał nieprzytomny?

Jego system nerwowy szybko odzyskiwał pełną sprawność, a powrót funkcji wszystkich organów sprawił, że w ustach i w nosie poczuł falę rwącego bólu. Czubkiem języka sprawdził wszystkie zęby, żeby mieć pewność, że mnich żadnego mu nie wybił.

Delikatnie obmacał twarz. Wyczuł, że jeden z jego policzków jest spuchnięty, a twarz pokrywa skorupa zaschniętej krwi. Wiedział też, że ma złamany nos i przecięte usta. Powoli się odwrócił. Ciało mnicha leżało koło relingu. Ortega wiedział, że tamten jest martwy.

Przypomniał sobie, że oddał strzał w kierunku tej ucieleśnionej furii, która zadawała mu cios za ciosem. Wypluł na podłogę skrzep krwi. „Ojczulek” potrafił się bić, to trzeba mu było przyznać. Miał szczęście, że udało mu się strzelić do niego trzy razy, zanim sam stracił

przytomność od jego uderzeń.

Przeżegnał się. Nie lubił zabijać księży. Ale praca to praca, pomyślał, a trening robi swoje. „Automatyczna reakcja obronna”, tak by to nazwali jankesi. Te przeklęte gwizdki znów zaczęły piszczeć za jego plecami.

* „San José” został zatopiony następnego dnia, a admirał don José Fernández de Santillán poległ w czasie bitwy.

Odwrócił się.

Oniemiał na widok wspaniałego statku z trzema masztami i ogromnymi żaglami wyдутymi przez wiatr. Przypominał mu obrazy przedstawiające stare hiszpańskie galeony, które widział jako smarkacz w Muzeum Historii Panamy.

Ten żaglowiec robił wrażenie. Miał jakieś siedemdziesiąt metrów długości, trzy mostki pomalowane w żółte prążki i czarne armaty groźnie sterczące z otwartych drzwiczek.

Galeon sunął majestatycznie od strony sterburty „Guadalupano”, tuż przed oczami żołnierza.

Z pewnością kręcili tu film o piratach lub coś w tym stylu. Pieprzeni jankesi, zawsze musieli wszystko robić z taką pompą, czy było to kino, czy wojna.

Pozdrowił z uśmiechem aktorów, którzy przebrani w kostiumy z epoki przyglądali mu się ze zdziwieniem, stojąc na pokładzie galeonu, jakieś sto metrów od jachtu.

Pomyślał, że gdyby nie był żołnierzem, chętnie zostałby aktorem.

W tym samym momencie ogromna piracka flaga została zmieciona z rufy jachtu przez podmuch wiatru, a sierżant Ortega przez chwilę śledził ją wzrokiem. Nie wiedział dlaczego, ale miał złe przeczucie.

Gwizdek zabrzmiał ponownie, tym razem krócej niż te wcześniejsze. W tym samym momencie trzydzieści czarnych armat, które ślepo mu się przyglądały, ze strasznym hukiem

wypełniło się ogniem i kłębamii dymu.

* * *

Załoga „San Jose” ujrzała, jak *brulotte* wyleciała w powietrze, zamieniając się w ogromną kulę ognia i białych drzazg, otoczoną przez fontanny białej piany.

Marynarze przyjęli ten widok z aplauzem. Pierwsza potyczka dnia była świetną rozgrzewką przed spotkaniem z Anglikami.

- Skurczybyki - wycedził przez zęby admirał. - Mieli duży ładunek nafty i dziegiu - dodał, patrząc na stojący w płomieniach statek. - Zapamiętaj sobie, oficerze, że od synów Wielkiej Brytanii nie należy się nigdy spodziewać czystej gry.

- Wydawało mi się, że jakiś człowiek nas pozdrawiał z pokładu *brulotte*, ekscelencjo - powiedział Zurita.

- Jak już dopłyniemy do Kadyksu, zapalisz mu świeczkę w katedrze - odpowiedział Santillan złośliwie, składając lornetkę. - A naszym artylerzystom postawisz kolejkę rumu. Ładnie im wyszła ta salwa.

* * *

Sidi zgasił silnik i podniósł mały motor łódki, która jeszcze przez kilka metrów sunęła siłą rozpędu, aż miękko osiadła na delikatnym i ciemnym piasku.

Alejandra i Cameron prawie równocześnie wyskoczyli z łódki.

Historyk ledwie mógł uwierzyć własnym oczom. Wyspa wyglądała dokładnie tak, jak to sobie wiele razy wyobrażał, prawie że w tajemnicy przed samym sobą, po przeczytaniu opowieści weterana z Flandrii, Antona Carrasco.

Jego stopy dotykały właśnie tej samej czarnej plaży, po której ponad czterysta lat temu stąpali marynarze „Santisima Trinidad”. W głębi lądu ujrzał gęste szuwary, ujście rzeki i bliźniacze tumie rozcięte głębokim kanionem.

Wszystko wyglądało tak, jak to opisywały dokumenty Sądu Królewskiego na Kanarach.

To była ta wyspa. Dotarli na Wyspę Świętego Brendana.

- Coś mi mówi, że nie jesteśmy tu sami - powiedział Medina, który stanął obok

Cameron, po tym jak z pomocą Sidiego wciągnął łódkę kilka metrów na piasek.

Faktycznie, nie byli jedynymi osobami na tej plaży. Zza szuwarów wyłonili się trzej jeźdźcy i zbliżali się do przybyłych.

Dwaj z nich mieli na sobie habity benedyktynów, środkowy jeździec wystrojony był w żółty, suto zdobiony surdut, pas generała i szarfę gubernatora, która przecinała jego klatkę piersiową, a na głowie nosił strojny trikom z piórami.

Cameron uśmiechnął się na ich widok. Viriato opowiadał im o nich tak dużo, że miał wrażenie, jakby znali się od dawna. Poczul przyjemne mrowienie i przyływ dziecięcych emocji, jak dziecko, które odkryło, że jego ulubieni bohaterowie z bajek istnieją naprawdę.

Trzej jeźdźcy zatrzymali swoje konie tuż przed nowo przybyłymi.

Klacz nastroszyła się i nerwowo poruszała szyją. Cameron ze smutkiem zdał sobie sprawę, że pewnie już wyczuła brak swojego pana wśród grupy gości. To musiała być Juliette, na której Viriato stoczył zwycięski pojedynek z kozackim jeźdźcem. Przepiękna klacz. Miała czystą i zadbaną sierść o połysku przypominającym lśniącą skórę kasztanów.

- W imieniu Jego Katolickiej Mości Filipa Drugiego, króla Hiszpanii. - Przestraszył go

głęboki i grzmiący głos jeźdźca wystrojonego w żółty surdut, który zaczął swoje

nieoczekiwane przemówienie. - Ja, Pedro Velo Mendes de Acunha, wicekról i gubernator tej wyspy, witam was serdecznie.

Cameron kątem oka zauważył, jak Lola lekko dygnęła, podpierając się o ramię

Sidiego.

- Ja, Sebastian Cameron Coe z Katedry Historii Hiszpanii na Uniwersytecie

Bostońskim w Stanach Zjednoczonych Ameryki, serdecznie wam dziękuję za waszą gościnność w imieniu moim i moich towarzyszy - odparł uroczyście Cameron, żeby broń Boże nie urazić gubernatora.

Velo uniósł brew, przypatrując mu się tak, jakby chciał dotrzeć do jego najskrytszych myśli. Odwrócił się do jednego z mnichów.

- Czym, do cholery, są Stany Zjednoczone Ameryki? Czy to aby nie Francuzi? -

zapytał, sięgając prawą ręką do kolby jednego z pistoletów, które nosił skrzyżowane pod swym pasem generała.

- Spokojnie, ekscelencjo - odpowiedział łagodnie jeden z mnichów. - Ten kawaler jest Amerykaninem z jednej ze starych kolonii angielskich. Prawdopodobnie któryś z jego przodków walczył przeciwko Francuzom.

Velo ponownie spojrzał na Camerona.

- No dobrze, tak jak mówiłem, jeśli nie jesteście Francuzami, jesteście tu mile widziani - wyznał trochę niechętnie, a prawą ręką znów złapał wodze konia.

- Nazywam się Xavier Terrén de Bescos - przedstawił się mnich mediator. - Jestem opatem tutejszego klasztoru. Drugi brat, który nam tu towarzyszy - kontynuował prezentację - to brat Kevin z Glendelough, druga połowa klasztoru. Witamy was serdecznie na naszej wyspie i w naszej wspólnotce.

Rozbitkowie z „Guadalupano” szczerze mu podziękowali.

- A Viriato? - zapytał brat Kevin.

Zapadła niezręczna cisza.

- Poświęcił się, by uratować nam życie - odpowiedział Cameron.

Obaj mnisi spuścili głowy. Velo sprawiał wrażenie, jakby ta wiadomość go

oszołomiła.

- Wracam do pałacu. Muszę jeszcze dokończyć kodeks cywilny - powiedział nagle gubernator, który wydawał się głęboko poruszony. Gwałtownie szarpnął wodze swojego żrebaka, zawrócił i ruszył galopem w stronę szuwarów.

Po raz kolejny zapadło milczenie.

- Gubernator darzył Viriata wielkim uczuciem - odezwał się w końcu ojciec Xavier, a jego oczy błyszczały. - Tak naprawdę zawsze pozostanie naszym dzieckiem. - Jego głos prawie się załamał. - Wychowaliśmy go wszyscy razem. Nie wiem, czy Viriato wam o tym opowiadał...

- Opowiedział nam tyle, na ile starczyło mu czasu - rzekł z żalem Cameron. Tak wielu rozmów nie zdołali dokończyć.

- Nie powinniśmy go żałować. - Opat powoli odzyskiwał spokój. - Tutaj żył tysiącem różnych żyć, doświadczył tego, o czym większość ludzi może tylko marzyć. Znał swoje przeznaczenie oraz rolę, jaką miał odegrać, i zrobił to najlepiej, jak mógł. Wrócił do miejsca, z którego wszyscy przybyliśmy, jest teraz szczęśliwy i powinniśmy być szczęśliwi razem z nim - zakończył, uśmiechając się spokojnie i pogodnie.

Ojciec Kevin głośno wydmuchał nos.

- Pora wracać do klasztoru, bracie Xavierze, nic tu po nas. - Kucharz sprawiał wrażenie, jakby chciał zostać sam na sam ze swymi wspomnieniami.

- Jeśli chcecie, jedźcie przodem, bracie Kevinie - odparł opat, zsiadając z konia. - Ja pójdę pieszo z naszymi gośćmi. To będzie przyjemny spacer, a trochę ruchu dobrze mi zrobi.

Mnich zauważył, że Lola przypatruje się jego wierzchowcowi.

- Może chciałaby pani go dosiąść? - zapytał ją zakonnik.

- Mogłabym? - odrzekła z szeroko otwartymi oczami. - Uwielbiam jeździć konno, ale

nie wiem, czy... - Lola czasami nadal zachowuje się jak mała dziewczynka, pomyślał Cameron.

- Oczywiście, że pani może. Jestem przekonany, że Juliette doceni rękę damy - powiedział, klepiąc klacz po szyi, i podał Loli wodze.

Lola z radością wskoczyła na swojego nowego wierzchowca.

- Proszę uważać, żeby pani nie zleciała - ostrzegł ją kucharz. - Jeśli spadnie pani na ziemię, nie będę mógł pomóc pani się podnieść. Dawno temu przysiągłem sobie, że już nigdy nie dotknę żadnej damy.

Lola uśmiechnęła się, przypominając sobie przysięgę znad Berezyny.

- Proszę się o mnie nie martwić, bracie Kevinie - odpowiedziała mu trochę zadziornie.

Mnich popędził swego konia, a Lola zrobiła to samo, żeby nie pozostać w tyle.

Cameron śledził ich wzrokiem, aż zniknęli w zaroślach.

Pozostali ruszyli w stronę opactwa.

* * *

Podczas gdy podążali w głąb wyspy, profesor przypominał sobie kronikę Sądu Królewskiego na Kanarach. Pełen zachwytu zdał sobie sprawę, że przemierzają tę samą trasę, którą przebyli marynarze „Santisima Trinidad”, gdy odkrywali wyspę pamiętnego dnia 29 marca 1569 roku.

Przed oczami Camerona ukazała się szeroka delta rzeki, którą opisywał więzień lochów w La Palmie. Teraz oni, tak jak kiedyś „konkwistadorzy”, przemierzali szuwary pełne komarów.

Szli wzdłuż rzeki, aż zostawili daleko za sobą piękną i szeroką zatokę, „w której mogłoby zacumować aż do sześciu statków tak dużych jak »Santisima Trinidad« lub większych”.

Mimo że historyk nie był wielkim znawcą botaniki, potrafił rozpoznać w gęstych lasach i puszczech, które przemierzali, gatunki drzew właściwe dla Wysp Kanaryjskich - jałowce, smocze drzewa, palmy, sosny i cedry. Wyspa Świętego Brendana była w rzeczywistości „ósmą kanaryjską wyspą”, jak ją wciąż nazywali z szacunkiem chłopci zamieszkujący archipelag. Na jednej z polan natknęli się na gigantyczny wrzos. Tuż pod nim stał ogromny krzyż z drzewa laurowego, o którym opowiadał Antón Carrasco. Cała piątka zatrzymała się na chwilę, żeby mu się przyjrzeć, podczas gdy brat Xavier przeżegnał się i szeptem odmówił krótką modlitwę po łacinie.

- Ten krzyż postawił Mernoc podczas swojej pierwszej podróży na wyspę. Często przychodzę tu się modlić. Jest to miejsce pełne spokoju, wspaniałe na rozmowę z Bogiem. Cameron zdumiała wiara tego człowieka. Tak naprawdę zadziwiała go każda chwila, którą spędzał na tej wyspie pełnej magii. Spojrzał na pozostałości po ogniskach chronionych przez kręgi osmalonych kamieni.

- Nadal tu przychodzicie, żeby jeść owoce morza? - spytał.

- Tak - przyznał brat Xavier. - Jest to tradycja, którą ustanowili trzej bracia założyciele: Mernoc, Brendanus i Odran. Świętujemy w ten sposób noc świętego Wawrzyńca. Z tą różnicą, że teraz zabieramy stąd odpadki - zaznaczył. - Chciałbym utrzymać wyspę w czystości.

- Dlaczego ojciec został na wyspie? - zapytał go Cameron.

- Ponieważ każdy człowiek wybiera swoje przeznaczenie, panie profesorze. Już niedługo sam pan będzie mógł się o tym przekonać - odrzekł zagadkowo i ruszył przed siebie, nie zostawiając mu czasu na odpowiedź.

* * *

Brat Xavier poprowadził ich przez ogromny piaszczysty teren. Cameron rozpoznał w

piasku ślady gigantów, które tak przeraziły portugalskich marynarzy.

- Zrobiliśmy je, żeby przestraszyć nieproszonych gości, a na tej wyspie tacy już byli. -

Zdumione miny towarzyszy nie umknęły uwadze ich przewodnika.

- Cholera - wyszeptał Medina, który do tej pory się nie odzywał. W tym momencie zaczął wątpić, czy w ogóle jeszcze żyje. Pomyślał, że prawdopodobnie utonął podczas burzy, a wyspa była niczym innym, jak tylko ciężką przeprawą do nieba, choć miał poważne wątpiwości, czy w ogóle na nie zasłużył, prowadząc tak burzliwe życie. Zaimprovizował ciche *Ojciec nasz*, w końcu wszystko się liczy, będą ci to mierzyli i ważyli.

Grupa ruszyła dalej, podłoże stało się kamieniste, a wokół rozciągały się przepiękne pola pełne maków, malw i łobód. Przemierzali te malownicze łąki, o których pisał Carrasco, i szli wśród spokojnie się pasących stad krów, wołów, owiec i kóz. Bez śladów żadnego łańcucha czy innego żelastwa, zauważył Cameron.

- Bydło znalazło się na tej wyspie po podrózach mnichów - wytłumaczył im opat. -

Muszę przyznać, że większość z tych zwierząt została zabrana przez nas z ich czasu. Niektóre są kupione - dodał, jakby się tłumacząc - tak jak w przypadku koni Juliette i Cadeta. Na początku braliśmy tylko to, czego potrzebowaliśmy, żeby przeżyć. Ale tutaj bydło rozmnaża się bardzo szybko, szczególnie że nie ma naturalnych wrogów. Ostatnio odsyłaliśmy przez wrota setki sztuk. Wierzę, że uszczęśliwiłem wielu ludzi, którzy tego potrzebowali.

Na zakręcie drogi natknęli się na stado ostrzyżonych owiec.

- Mamy tu warsztat tkacki - poinformował ich mnich. - Krosno było pierwszą maszyną, którą Brendanus zlecił zbudować na wyspie. Nigdy więcej nie pozwolił na to, żeby mnisi ubierali się w zwierzęce skóry, jak w Achinet. A my zawsze szanowaliśmy jego wolę.

Cameron zauważył, że habit benedyktyński brata Xaviera jest praktycznie nowy. W końcu dotarli do podnóża jednej z dużych turni rozdzielonych przez głęboki wąwóz, w

którego głębi płynęła spokojna i czysta rzeka.

Wówczas mnich podniósł wzrok ku niebu, tak jakby szukał znaku, który tylko on mógłby zinterpretować.

- Chcieliby państwo wejść na szczyt? - zapytał, przyjrzawszy się chmurom. - Podczas tak pięknego dnia jak dzisiaj widok stamtąd jest imponujący. Można obejrzeć całą wyspę.

Medina odmówił wejścia. Jego koszula była cała mokra od potu i chciał zachować resztki swoich i tak już nadszarpniętych sił na dalszą drogę do misji.

Sidi został ze swym przełożonym, żeby być u jego boku i dlatego, że nadal uważał go za swojego kapitana.

Alejandra i Cameron podążyli na szczyt za swym cicerone. Nie chcieli przegapić nic z tego, co miała im do zaoferowania wyspa.

Podejście okazało się niezbyt trudne, droga była dobrze wytyczona i oznakowana.

Historyk poczuł, że jego puls przyspiesza przy każdym kolejnym kroku. I nie było to spowodowane wysiłkiem czy zmęczeniem po wejściu stromym szlakiem. Tą samą ścieżką, ponad czterysta lat temu, stąpały buty żołnierza Antóna Carrasco, który razem z Roque, sternikiem „Santisima Trinidad”, miał zmierzyć nieznaną wyspę.

Pomyślał, że zgodnie z tym, co opisywała kronika konkwistadorów kanaryjskich, to właśnie na którymś z tych zakrętów wąskiej ścieżki miał się ukazać weteranowi flamandzkiemu olbrzym Odran.

Musiał się bardzo wysilić, gdyż trudno mu było to sobie wyobrazić.

Wreszcie dotarli na szczyt.

Łagodny powiew wiatru musnął twarz Camerona i rozwiały włosy Alejandry.

Przed ich oczami rozgrywał się fascynujący spektakl, jaki wyspa miała do zaoferowania tym, którzy zdołali wspiąć się na szczyt wzniesienia.

Przez kilka chwil cała trójka stała w milczeniu.

Przed nimi rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok dziewiczej natury.

Z tej wysokości wyspa prezentowała się w całej okazałości. Ogromne skały, niedostępne puszcze, rwące rzeki, wodospady, z których unosiły się kłęby spienionej wody, jeziora błyszczące jak lustra oraz kaniony, których piękno jednocześnie urzekało i mroziło krew w żyłach.

Chmury unosiły się pomiędzy szczytami gór i zsuwały po zboczach zielonych wzgórz, przecinane przez stada ptaków w pełnym locie. Wszystkie elementy krajobrazu tworzyły jedyną w swoim rodzaju ulotną choreografię, prawdziwy balsam dla duszy.

Jedynym dźwiękiem, który docierał na szczyt, był szum wiatru.

- Trudno się dziwić, że mylono tę wyspę z rajem - szepnęła Alejandra do Camerona, chwytając go delikatnie za rękę.

- Jak sami widzicie, zawsze warto się tu wspiąć - powiedział z zadowoleniem opat.

- Nigdy nie widziałem niczego podobnego - przyznał Amerykanin. - Jaka ona wielka...

- Pomyślał, że musi być tak duża jak La Palma. Jakim cudem wyspa takiej wielkości nie została odkryta przez stulecia?

- To bardzo pożądana wyspa, bez wątpienia. - Opat znów czytał w jego myślach. -

Wiedzieliście, że zgodnie z traktatem pokojowym z Evory z tysiąc pięćset dziewiętnastego roku Korona Portugalska przekazała Koronie Kastylijskiej wszystkie prawa do konkwisty Wysp Kanaryjskich, nie wykluczając tej nieodnalezionej, na wypadek gdyby któregoś dnia jednak się pojawiła?

Historyk spojrział na mnicha i obiecał sobie, że sprawdzi dokumentację tego traktatu.

- Popatrzcie na te petroglify! - Alejandra pociągnęła nagle Camerona za rękaw

koszuli, wyrywając go z zamyślenia, i wskazała na kamienną ścianę za jego plecami.

Zbliżyli się do skały.

Były tam wyryte w kamieniu imiona trzech mnichów „założycieli” wyspy. Wśród znaków profesorowi udało się rozpoznać imiona Mernoca, Odrana i Mobi Broena Finna, jak brzmiało prawdziwe imię świętego Brendana.

Cameron przesunął opuszkami palców po wyrytych w skale inskrypcjach z szacunkiem i wzruszeniem podobnymi do tych, które odczuwałby ksiądz, dotykając relikwii.

- A więc jednak tutaj byliście... - Zdawało się, że mówi do skały.

- Jest ich jeszcze więcej! - krzyknęła ponownie Alejandra, która w swym badawczym szale zdążyła już okrążyć skałę.

Cameron poszedł do niej i ujrzał drugą ścianę, dwadzieścia razy większą niż ta, którą oglądali do tej pory.

Nie potrafił ukryć zdumienia. Na kamiennej fasadzie znajdowały się dziesiątki, może nawet i setki inskrypcji wyrytych lub odcisniętych w skale.

- O mój Boże... - wyszeptał.

Usłyszał za plecami delikatne chrząknięcie i głos opata:

- Nie byliśmy pierwszymi ani jedynymi gośćmi na tej wyspie.

Cameron starał się jak najszybciej przyswoić wszystko, co widział. Jakby od szybkości lektury tego, co było napisane na tej niesamowitej ścianie, zależało to, czy zrozumie niezrozumiałe. Rozpoznał słowa z łaciny, greki, języka fenickiego, starofrancuskiego, arabskiego, ideogramy archaicznego chińskiego... Znajdowały się tam również dziesiątki napisów, których nie potrafił zidentyfikować. Zdawało się, że pochodzą one z języków i alfabetów zupełnie mu obcych. Zauważył nawet kilka dłoni odbitych na skale z użyciem ochry.

Ta kamienna ściana mogłaby być albo najwspanialszym snem, albo najgorszym

koszmarem dla każdego paleontologa.

- Czy czeka nas jeszcze dużo niespodzianek na tej wyspie, bracie Xavierze? - spytał

Amerykanin, nie odwracając wzroku od skalistego muru.

- Można by powiedzieć, że dopiero zaczynacie odkrywać nasz dom - odpowiedział mu mnich, uśmiechając się znacząco.

* * *

Cała grupa spotkała się znów u podnóża góry. Medina odetchnął z ulgą. Zaczynał się niepokoić ich długą nieobecnością.

Bezwłocznie ruszyli w dalszą drogę, przemierzając zacienioną przełęcz opisywaną przez stare kroniki, aż dotarli do wielkiego lasu wawrzynowego, który Cameronowi wydawał się nie do przebycia.

A jednak mnich przewodnik od razu rozpoznawał niewidzialne ścieżki, którymi szli coraz dalej, otoczeni wawrzynami, wrzosami i dzikimi drzewami pomarańczy. Po drodze Amerykanin nie mógł się nadziwić formom części roślin, których gatunków nie potrafił rozpoznać ani zaklasyfikować. Im dalej zapuszczał się w głąb puszczy, tym bardziej mu się wydawało, że ta wyspa jest tak stara jak czas. Możliwe, że wiele z tych roślin i drzew, które teraz widział, rosły na ziemi jeszcze w czasach, gdy stapały po niej dinozaury. A może nawet i tysiące lat wcześniej.

Nagle Cameron poczuł, że nadepnął na coś miękkiego, co zaczęło się ruszać. Opasły ptak z długą szyją pozbawioną piór, przypominający flaminga, wymknął się spod jego nóg, trzepocząc skrzydłami i skrzecząc z irytacją.

- Czy to nie był...? - Zdziwienie nie pozwoliło mu na skończenie pytania.

- Ptak dodo - wyjaśnił mu zakonnik. - Podczas jednej z podróży do dziesiątego wieku przywiózł je z Australii brat Dougan. Była to para, która bardzo szybko się rozmnożyła. Ale,

jak właśnie mogliście zauważyć, były zbyt ufne, żeby mogły przeżyć koło współczesnego człowieka.

Cameron skupił całą swoją uwagę na twarzy ojca Xaviera. Była to twarz mężczyzny, który starzał się ze spokojem.

- Ile ojciec ma lat? - zapytał go.

- Dotarłem na tę wyspę w wieku dwudziestu siedmiu lat, panie profesorze -

odpowiedział mu, ruszając dalej w drogę. - Od zawsze liczyłem czas tak, jak to robimy po drugiej stronie wrót. - Uśmiechnął się. - Kierujemy się kalendarzem juliańskim, który był nam znany, kiedy dotarliśmy na wyspę. W refektarzu stoi duży piaskowy zegar. Opróżnienie się jednej bańki trwa dokładnie dwadzieścia cztery godziny. Na wyspie, jak już zapewne zauważyliście, nie świeci słońce, ale jest jasno. - Cameron nie chciał tego komentować, wszystko wyglądało tak, jak to opisywały akta Sądu Królewskiego. - Co szesnaście godzin dnia mamy osiem godzin nocy. I mogę was zapewnić, że każda noc na wyspie różni się od poprzedniej. Chodzi mi o sklepienie niebieskie, któremu się przyglądamy. Zdaje się, że Wyspa Świętego Brendana śpi co noc w innej części wszechświata. Nie potraficie sobie wyobrazić, jak piękne są niektóre z jego zakątków. - Zerknął na niebo. - Niektórzy z nas zaczęli wierzyć, że tutaj nigdy się nie zestarzejemy, że to tutaj jest raj i że strumyki, z których piliśmy wodę, wypływały ze źródła wiecznej młodości.

- Ale tak nie było, prawda?

- Nie. Jak widzicie, czas nie zatrzymał się dla mnie po dwudziestu siedmiu latach.

Dwa miesiące temu skończyłem siedemdziesiąt siedem lat. Od czterdziestu lat jestem na tej wyspie i mogę was zapewnić, że to nie jest raj. Ale nie jest to również piekło. To mój dom i tutaj odnalazłem pokój i sens życia. Raj i piekło istnieją tylko w nas samych.

Grupa, milcząc, ruszyła w dalszą drogę. Cameron jeszcze trawił ostatnie słowa

mnicha, kiedy Medina zrównał się z nim w marszu.

- Proszę mnie wysłuchać, panie Cameron, musimy porozmawiać - zaczął. - Bardzo się cieszę, że udało nam się uratować skórę i tak dalej. Jeśli chodzi o łódkę, to jestem trochę wkurzony, ale mam dobre ubezpieczenie i jestem już przyzwyczajony do tego, że ciągle muszę zaczynać od nowa. - Zamyślił się przez chwilę. - Przykro mi z powodu pańskiego przyjaciela. Wie pan, zazwyczaj nie wtrącam się w życie innych, a już na pewno nie moich klientów, ale w tych okolicznościach chciałbym jednak poznać motywy naszej morskiej podróży.

- Głównym motywem była ta wyspa, kapitanie - odrzekł Amerykanin.

- No tak - powiedział Medina, który spodziewał się właśnie takiej odpowiedzi. - Sęk w tym, że ta wyspa nie istnieje, profesorze. Nie ma jej na żadnej morskiej mapie.

- Do tego ranka też byłem o tym przekonany - przyznał Cameron.

- Ale nie jesteśmy martwi - powiedział kapitan. - Specjalnie ukłułem się krzewem róży i leci mi krew. - Pokazał mu swój gruby palec z małym strupkiem. - Zmarłym nie leci krew. To znaczy, że żyjemy.

- Ufam pańskiej diagnozie, kapitanie Medina.

- Problem w tym, że znajdujemy się na wyspie, która nie istnieje, gdzie jest jasno, ale na niebie nie ma słońca, i gdzie nie działają zegarki. - Pokazał mu swój zegarek, którego wskazówki wskazywały jedenastą pięćdziesiąt osiem.

Cameron spojrzał na swój. Zatrzymał się na jedenastej pięćdziesiąt sześć, w momencie, w którym wpływali w strefę mgły.

- Zegarek Sidiego tak samo. - Medina spojrzał na niego uważnie. - Gdzie my, do cholery, jesteśmy? - zapytał z niepokojem.

- Nie mam zielonego pojęcia, tak jak i pan - odpowiedział szczerze profesor, patrząc

mu prosto w oczy. - Wydaje mi się, że na razie powinniśmy się skupić na dobrych stronach tej przygody. Na przykład na tym, że uratowaliśmy skórę, jak pan to ujął. Jestem panu winny wyjaśnienie, panie Medina. I jeszcze raz składam panu szczerze podziękowania. Nie wierzę, żebyśmy wyszli cało z tej burzy z innym kapitanem - dodał szczerze.

Medina opuścił głowę i mocno westchnął.

- Dobrze, niech będzie, co ma być - powiedział z rezygnacją. - Wychodziłem z jeszcze dziwniejszych sytuacji - dodał, chociaż nie potrafił sobie przypomnieć żadnej.

Szli jeszcze kilka kilometrów przez olbrzymi, bujny i wilgotny las. Strzępy mgły, jakby uwięzione w wysokich koronach iglaków, filtrowały i cedziły światło, w którym skąpana była puszcza.

Nagle pas bujnej roślinności się urwał, a przed nimi otworzyła się piękna szeroka dolina pokryta zielonymi łąkami i polami kwiatów o wszystkich możliwych do wyobrażenia kolorach. Przecinała ją łagodnie wijąca się rzeka. Kilka metrów przed wielką skalną ścianą, wyrzeźbioną ludzką ręką, wyrastał klasztor. Jak na dzieło zaledwie czternastu mnichów budowla była wspaniała, nawet jeśli powstawała przez czterdzieści lat. Z miejsca, w którym się znajdowali, jeszcze przed zejściem do doliny, dało się odróżnić kościół od opactwa zbudowanego na planie krzyża rzymskiego. Wszystko wzniesione było w stylu podobnym do wczesnoromańskiego, najlepiej znanego irlandzkim mnichom z szóstego wieku.

Do kościoła przylegał klasztorny krużganek w formie doskonałego kwadratu.

Cameron podejrzewał, że w budynku, w którym mieścił się krużganek, znajdują się cele mnichów, refektarz i dodatkowe pomieszczenia opactwa.

Nieopodal zespołu klasztornego stał piękny kamienny dom - prawdopodobnie był to pałac gubernatora.

Była tam jeszcze jedna okrągła budowla, ze stożkowatym dachem wyłożonym czarną

płyta łupkową, z którego wierzchołka wydobywał się dym. Cameron podejrzewał, że mieści się tam kuchnia oraz piec. Przypomniawszy sobie, że w szóstym wieku niektóre wspólnoty klasztorne miały w zwyczaju budować kuchnie i paleniska z dala od głównych budowli, aby w ten sposób zmniejszyć ryzyko pożaru. Myśli te pobudziły mimowolnie jego soki trawienne. Z klasztoru dobiegł ich dźwięk dzwonu i odbił się echem w szerokiej dolinie.

- To brat Kevin dzwoni na Anioł Pański. Jest południe - wyjaśnił im mnich. - Są państwo zmęczeni? Znajdujemy się szesnaście kilometrów od plaży. To był przyjemny spacer.

- Zgadza się. Bardzo miła wędrówka, bracie - zauważył Cameron, schylając się i masując obolałe pięty.

- No już, niech waszmościowie nie narzekają, są jeszcze młodzi - odpowiedział zwawo mnich. - To nie więcej niż jeden z krótkich etapów Camino de Santiago*. Czy nadal odbywają się pielgrzymki do Santiago? - zapytał.

- Oczywiście - odpowiedział historyk, który rok wcześniej przeszedł pół trasy po stronie francuskiej. - W wielu schroniskach są nawet prysznice z gorącą wodą.

- Gdyby tak waszmość mógł odbyć pielgrzymkę w roku pięćsetnym. Wtedy to była naprawdę męcząca i pełna przygód wyprawa - mówił to z własnego doświadczenia.

* * *

* Camino de Santiago (dosł. Droga świętego Jakuba) - szlak pielgrzymkowy do katedry w Santiago de

Compostela w Galicji, w północno-zachodniej Hiszpanii.

- A jak wygląda sytuacja, jeśli chodzi o jedzenie, ojczy? - zapytał Xaviera Medina, zawsze bardzo pragmatyczny. - Wprawdzie wczoraj w nocy podali nam kolację, ale nie chciałbym jeść dziś trzeciego śniadania.

- Proszę się nie obawiać, kapitanie. Brat Kevin od wczoraj krząta się dookoła

paleniska, korzystając z jakichś przepisów, które wyciągnął ze swoich książek kucharskich.

Szkoda, że odwiedza bibliotekę tylko po to, żeby zapoznać się z różnymi opracowaniami kulinarnymi - zauważył z pewnym smutkiem. - Ale gdy przychodzi czas posiłku, wszyscy mu wybaczą tę małą wadę.

- A więc nie pozwólmy czekać bratu Kevinowi ani opactwu świętego Brendana -

powiedział entuzjastycznie Cameron, który już tylko udawał, że rozkoszuje się chwilą, ruszając pospiesznie w stronę klasztoru.

Rozdział XXVI

Spuścizna Viriata (Część pierwsza)

Capita XXVI. N.S.B.a. Mnisi przybijają do Wyspy Pawła Pustelnika, który mieszka na niej od ponad stu czterdziestu lat. Pije wodę z czystego źródła i codziennie nutria przynosi mu pożywienie. Pustelnik mówi Brendanusowi, że koniec podróży jest bliski i że bracia powinni się udać na Wyspę Szafarza.

Za plecami pozostawili olbrzymi las wawrzynów i paproci i skierowali się na dno doliny. Pokonali łąki okalające klasztor, obsypane kwiatami majowymi w kolorze purpurowego rózu oraz żółtymi i różowo-pomarańczowymi celozjami.

Chłonąc rozciągający się przed oczami spektakl światła i koloru, Cameron poczuł przypływ energii. Pomyślał, że nie bez przyczyny pierwsi irlandzcy zakonnicy, którzy postawili stopę na tym lądzie, wzięli wyspę za raj. On sam zaczynał wierzyć, że tak właśnie było. Lola wyszła ich przywitać, włosy miała jeszcze w nieładzie po jeździe konnej, jej twarz jaśniała.

- Musi pan zobaczyć obrazy w refektarzu, profesorze. A później bibliotekę.

Niesamowite, co ci zakonnicy tu mają - rzekła w ramach przywitania. Z impetem typowym dla wszystkich młodych, zauważył Cameron. Brat Kevin także wyszedł im na spotkanie. W

ręku niósł znużonym wędrowcom dzbanek chłodnej wody. Alejandra, Medina i Sidi woleli odpocząć w chłodnym wnętrzu budynku.

- Idź z opatem, Sebastianie. Coś mi mówi, że chce być z tobą sam na sam - wyszeptała konfidencyjnie Alejandra.

Prowadzony przez brata Xaviera Amerykanin rozpoczął zwiedzanie klasztoru.

Kościół, cały z kamienia tak jak reszta zabudowań, był prostym budynkiem o wysokości nieprzekraczającej siedmiu metrów. Ale ołtarz, skąpany w świetle witraży z centralnej rozety, był niezwyklej urody. Na Cameronie wrażenie zrobił olbrzymi romański Chrystus i inne figury świętych - w stylu Bizancjum, jak mu się wydało - które okalały ołtarz główny.

- Przepiękne retabulum - przyznał, patrząc z podziwem.

- Wszystkie rzeźby pochodzą z Hagii Sofii w Konstantynopolu. Viriato był tam podczas ostatnich dni miasta, w maju tysiąc czterysta pięćdziesiątego trzeciego roku. Zdobył zaufanie cesarza Konstantyna, proszę mnie nie pytać, jak mu się to udało, i zdołał uratować to, na co pan teraz patrzy, przed tureckim rabunkiem - wyjaśnił opat.

Cameron ostatecznie stwierdził, że Viriato nigdy nie przestanie go zadziwiać. Bez trudu wyobraził sobie, jak w mieście, którego mury kruszyły już tureckie armaty, mnich przekonuje Bazyleusa do ratowania dzieł sztuki.

Następnie opat poprowadził Camerona do refektarza. Na wielkim stole z drewna kasztanowca, stanowiącym centrum zgromadzenia, o którym mówił Viriato, zobaczył siedem cynowych nakryć i tyleż glinianych dzbanuszków przygotowanych do posiłku. Jednak jego wzrok przeniósł się szybko na kamienne ściany pomieszczenia.

Ze zdumieniem uświadomił sobie, że pokrywały je dzieła sztuki, które nowicjusz uratował z pożaru madryckiego Alkazaru. Czując, jak przyspiesza mu puls, rozpoznał jedno

ze sztandarowych dzieł Velázquez, *Wygnanie Maurów*, uznawane za utracone w popiołach zrujnowanego pałacu. Tuż obok znajdowały się, piękne i unikalne, *Apollo* oraz *Psyche i Kupidyn*, także pędzla Velázquez, należące do jego serii mitologicznej. Przypomniał sobie wówczas, że *Adonis i Wenus* wisiały na jednej ze ścian mieszkania w *corrali*, a *Merkury i Argos*, teoretycznie jedyny obraz oszczędzony w pożarze, znajdował się w Prado.

Dostrzegł także fenomenalny konny portret Filipa IV autorstwa Rubensa, jego sławne, oryginalne *Porwanie Sabine* i wiszącą tuż obok *Bitwę Rzymian*. Znajdowały się jeden obok drugiego, być może dokładnie tak, jak ułożone były w Sali Oktagonowej Alkazaru, nim ta spłonęła.

Na kolejnej ścianie refektarza pyszniły się *Priam i Tysbe* oraz *Wenus i Adonis* Tintoretta.

Za chwilę oczy Camerona chłonęły już kolory *Mojżesza w Nilu* Veronesego.

Amerykanin musiał ukradkiem oprzeć się o jedną z ławek refektarza. Obezwładniony takim natężeniem piękna poczuł, że brakuje mu powietrza. Ojciec Xavier zbliżył się do niego.

- Dobrze się pan czuje, profesorze? - zapytał go z troską.

- Nieco zmęczony drogą. I oszołomiony tym, co tu oglądam - wyznał szczerze.

- Tak, wyobrażam sobie, że to logiczne - przyznał zakonnik, przyglądając się

obrazom. - Tym bardziej w przypadku historyka, takiego jak pan. W pozostałych

pomieszczeniach i w celach wiszą obrazy Ribery, Boscha, Bruegla, van Dycka, El Greca...

Wóz Viriata był pełen niespodzianek - przyznał. - Życzy pan sobie szklankę wody?

- Wolałbym raczej filiżankę mocnej kawy - odpowiedział.

- Ma pan szczęście - odparł z uśmiechem mnich. - Brat Kevin jest również amatorem

tego diabelskiego napitku. Poproszę o dzbanek dla pana i przyniosę do biblioteki, naszego

kolejnego przystanku.

Opuścili refektarz i ruszyli w stronę biblioteki. Po drodze dołączyła do nich Lola, młoda historyczka.

Archiwum opactwa zajmowało dwa z bocznych skrzydeł budynku. Wprawnym okiem - w końcu w bibliotekach spędził połowę życia - Cameron obliczył, że na nieskazitelnych półkach i w szafkach przechowywano tu nie mniej niż pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy. Nie była to przesadnie wielka liczba, porównywalna z zasobami skromnej biblioteki. Kiedy jednak na niektórych półkach zamajaczyły sylwetki glinianych tabliczek, płytki z marmuru i wosku, zwoje pergaminu i skórzane grzbiety kodeksów, ogarnęło go przecucie, że jakoś egzemplarzy tego zbioru przekroczy jego najśmielsze oczekiwania.

- Viriato i inni mnisi podjęli się gromadzenia mądrości z różnych epok - powiedział opat, uważnie przyglądając się swojemu gościowi. - Nawet nie zdaje pan sobie sprawy z tego, jak stara jest planeta, na której mieszkamy. I ile razy człowiek, w swojej nieskończonej pysze, myślał, że udało mu się ją zdobyć i poskromić.

Cameron spojrział na opata z ukosa. Trudno mu było się przyzwyczaić do nimbu tajemnicy, który spowijał wiele jego wypowiedzi.

- Przyniosę kawę - powiedział brat Xavier, kierując się do wyjścia. - Proszę się stąd nie ruszać, zaraz będę z powrotem.

Historyk i uczennica ani myśleli opuszczać biblioteki.

- Viriato odwiedził Bibliotekę Aleksandryjską w trzysta dziewięćdziesiątym pierwszym roku, przed trzecim pożarem - powiedziała podekscytowana dziewczyna, kiedy ucichły kroki opata.

- Skąd o tym wiesz? - Wydawało się, że historia przygód Viriata nie ma końca.

- Brat Kevin mi powiedział. Do waszego przybycia właściwie stąd nie wychodziłam.

Na litość boską, Cameron, w tych czterech ścianach kryją się największe skarby ludzkości. -

Oczy Loli błyszcząły.

- Z tego, co wiem, wielka Biblioteka Aleksandryjska ucierpiała czterokrotnie. -

Amerykanin usiłował opanować sytuację, która wymykała się spod kontroli, za pomocą swojej racjonalnej erudycji. - W czterdziestym ósmym roku przed Chrystusem, w trakcie bitwy morskiej rozpętanej w porcie przez Juliusza Cezara, zajęła się ogniem...

- Biblioteka niemal nie ucierpiała. Spłonęło dwadzieścia tysięcy pomniejszych dzieł, które Kleopatra podarowała Cezarowi i które przechowywane były na pomostach. Drobnica - odparowała Lola. - Poza tym przekonała kolejnego kochanka, Marka Antoniusza, by podarował jej zasoby Biblioteki Pergamońskiej, całe dwieście tysięcy woluminów. Kleopatra wiedziała, jak się zakręcić. - Zauważyła ironiczne spojrzenie Camerona. - W każdym znaczeniu tego słowa - zakończyła. Ona także umiała być ironiczna.

- To możliwe - przyznał z uśmiechem Cameron. Jego uczennica szybko robiła postępy. - Jednak Aureliusz zniszczył Bruchejon* w dwieście siedemdziesiątym trzecim roku; Biblioteka i Muzejon zostały zrównane z ziemią.

- To prawda, ale greccy mędracy mieli dość czasu, żeby ewakuować zasoby Biblioteki i przenieść je do Serapejonu, do Akropolis na wzgórzu Rakotis, w najbardziej odsuniętej od morza części miasta. Rzymianie zawsze odnosili się do Serapejonu z szacunkiem i w rzeczy samej powiększyli go. Tworząc Bibliotekę córkę, ocalili zasoby wielkiej Biblioteki.

- Widzę, że nie traciłaś czasu, młoda adeptko historii. - W słowach Camerona pobrzmiwała duma.

- W sześćset czterdziestym szóstym roku arabskie wojska Omara Pierwszego zdobyły Aleksandrię. Ale nie mogły zniszczyć Biblioteki, ponieważ ta już od kilku lat nie istniała. Ogień strawił książki z prywatnych bibliotek szlachty i kupców, prawdopodobnie ostatnie pozostałości po Bibliotece córce.

- „Jeśli to Koran, możecie go spalić, ponieważ został już przeczytany. Jeśli to nie Koran, spalcie go także, ponieważ nie czytamy nic poza Koranem” - Cameron sparafrazował odpowiedź kalifa Omara Pierwszego na pytanie generała o to, co robić ze skonfiskowanymi księgami.

- Legendy - odparła Lola. - Prawdziwymi odpowiedzialnymi za zniszczenie Biblioteki byli ówcześni oświeceni chrześcijanie. W trzysta dziewięćdziesiątym pierwszym roku Serapejon i Biblioteka córka przestały istnieć.

- Wszystko to Viriato opowiedział kucharzowi?

- Nie tylko opowiedział to bratu Kevinowi - brnęła dalej Lola. - Spisał także kroniki swoich podróży i pozostawił w formie manuskryptu. Cameron, przeglądałam go, to jest lepsze od *Księgi tysiąca i jednej nocy*. - Wyglądała na naprawdę poruszoną.

- I co udało się ocalić Viriatowi ze zniszczonej Biblioteki? - Cameron gotowy był iść do końca raz zaczęłą drogą.

- Viriato był w Aleksandrii dwa dni przed tym, nim biskup Teofil nakazał spalenie Serapejonu i Biblioteki córki. Ogień podłożono, gdy cesarz Teodozjusz wezwał do wyplenienia wszelkich pozostałości pogańskich religii.

* Bruchejon był szlachecką dzielnicą Aleksandrii, gdzie znajdował się wielki okrągły budynek Biblioteki i jej aneks, Muzejon.

- Daleko idąca interpretacja cesarskiego nakazu - przyznał Amerykanin, który w tym momencie zatęsknił za towarzystwem podróżnika w czasie i spróbował wyobrazić sobie, jak wyglądał jego pobyt w bajecznej Aleksandrii.

Rozdział XXVII

Spuścizna Viriata (Część druga)

Capita XXVII. N.S.B.a. Idąc za wskazówkami pustelnika, bracia żeglują na południe i

docierają do Wyspy Szafarza, którym jest Mernoc. Opat i jego ukochany uczeń witają się serdecznie.

Viriato wyszedł nagi na balkon, pod którym rozciągała się wspaniała zatoka utworzona przez Wielki Port Aleksandryjski. Przez jakiś czas kontemplował widoki, jakie oferowała rezydencja ulokowana w Bruchejonie, najlepszej dzielnicy miasta.

Przeniósł wzrok na obsypane gwiazdami sklepienie niebieskie, ciemne i piękne.

Poczuł, jak świeża, łagodna morska bryza pieści jego skórę i przywraca spokój ducha.

Usłyszał, jak na pełnym morzu, od zachodu, nabiera kształtu odległa burza. I

uzmysłowił sobie boleśnie, że zbliża się koniec jego pobytu w Aleksandrii, a także w tej epoce. Odwrócił się, aby w łóżku odnaleźć wzrokiem smukłą sylwetkę kobiety, którą kochał przez ostatnie trzy dni. Najdłuższa ze wszystkich jego podróży dobiegała końca.

Dał się ponieść myśli, że Aleksandria i ta kobieta, Hypatia, są jego ostatecznym przeznaczeniem, inaczej niż zostało napisane. Przemknęło mu przez myśl, że był panem własnego losu. Że czas o nim zapomniał, pozostawiając go tutaj niczym szczęśliwego rozbitka.

Przybył do miasta w roku 391, w przededniu jednej z najstraszliwszych katastrof tysiąclecia, jaka miała dotknąć spuściznę wiedzy ludzkiej. Wiedziony przez latarnię morską, przyplłynął do Wielkiego Portu na pokładzie krypy zdobytej od pirata Ceballosa, jednego z zastępców Hawkinsa. „Skarb i łajba za moje życie”, zaproponował Ceballos, po tym jak Viriato rozplatał szablą trzech pozostałych korsarzy. To nie był najgorszy interes. Pirat uchodził z życiem, Viriato oszczędzał sobie spowiedzi i pokuty, uzyskiwał niezły grosz przydatny w przyszłych transakcjach i nowy środek transportu do swoich podróży.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił po przybiciu do portu, było odwiedzenie latarni morskiej, która wznosiła się nad nim z całą swoją hipnotyczną mocą.

Jego habit oraz krzyż wiszący u szyi po raz kolejny pozwalały mu poruszać się niezauważenie po tym mieście pełnym chrześcijan gorejących wiarą, która nie przyjmowała wątpliwości czy wahania.

Nie były to dobre czasy dla miasta. Cesarz Teodozjusz wydał właśnie dekret zakazujący wszystkich pogańskich religii i jakichkolwiek symboli czy wpływów, które by je wspierały. Zdawał sobie sprawę z tego, że Teofil, biskup Aleksandrii, był gotów wymóc spełnienie nakazu cesarskiego aż do ostatnich tego konsekwencji. Pokonał most oddzielający wyspę od kontynentu. Widok rozciągający się u stóp latarni morskiej był jeszcze bardziej imponujący od tego, który oferowało pełne morze. Wysokość latarni musiała przekraczać sto siedemdziesiąt metrów, jej wspaniały wygląd zaś przyćmiewał wszystkie drapacze chmur, jakie człowiek miał wznieść szesnaście wieków później.

Podstawa latarni, na planie kwadratu, przechodziła w ośmiokątną wieżę, ta zaś, sięgając szczytu, przybierała formę walca. Tam, na ostatniej kondygnacji, znajdowało się olbrzymie kuliste szklane lustro, które w ciągu dnia odbijało promienie słoneczne widoczne na ponad sto pięćdziesiąt mil od wybrzeża. Nocą przy soczewce płonęło olbrzymie ognisko, a rzucane przez nie refleksy służyły statkom, które zbliżały się do miasta.

Cała wieża, zbudowana z kamienia, pokryta była marmurowymi śnieżnobiałymi płytkami. Płytki, odbijając nieskończone refleksy w oczach patrzących, nadawały jej niemal nierzeczywisty wygląd, jak z sennego marzenia.

Prawdopodobnie taki właśnie był zamysł jej budowniczych.

Podeksytowany Viriato zbliżył się do podstawy latarni i własnymi rękami dotknął szklanych, zespolonych ołowiem sześcianów, które stanowiły fundament wieży. Szkło było materiałem wybranym przez jej architekta, Postrada z Knidos, żeby dać odpór korozyjnemu działaniu morskiej saletry. Przystąpił próg spektakularnego, kwadratowego parteru. W środku

znajdowały się biura administracji portu. W ponad czterdziestu pokojach policja portowa przechowywała w depozycie wszystkie książki i manuskrypty znalezione na statkach, które przybywały do aleksandryjskiego portu. Zarekwirowane i posegregowane oczekiwały, aż przepiszą je biblioteczni skrybowie. Kopie woluminów były w większości przypadków do dyspozycji właścicieli zarekwirowanych oryginałów. Miesiącami przechowywano je na platformach portowych.

Wszystkie zarekwirowane oryginały przechodziły na własność Biblioteki córki mieszczącej się obok Serapejonu. Dzięki tej szczególnej metodzie rekwizycji, a także doborowej sieci agentów, którzy przemierzali świat w poszukiwaniu nowych pism, Aleksandria przeobraziła się w strażnika cywilizacji i kultury klasycznej. Przez wieki kolejne pokolenia Ptolemeuszy* zgromadziły w swoich archiwach blisko milion woluminów obejmujących całą wiedzę ludzkości. Teraz zaś nietolerancyjny cesarz i natchniony biskup gotowi byli ją zniszczyć. Viriato zdrzął na myśl o tym, że oto świat stoi u progu okresu ciemności, którego nie opuści przez kolejnych kilka wieków.

Po raz pierwszy zobaczył ją w jednej z sal, w których bibliotekarze selekcjonowali i porządkowali dokumenty. Spojrzenia Hypatii, córki matematyka Teona, i Viriata spotkały się, ich serca zaś połączyło uczucie. Oboje byli młodzi i piękni, ona dwudziestojednoletnia, on wówczas nie skończył jeszcze dwudziestu pięciu lat.

Hypatia była młodą kobietą niespotykanej wprost urody, o włosach jasnych niczym słońce, oczach w kolorze fiołków i krągłych kobiecych kształtach. A jednak nie było w jej życiu frywolności, mimo że wygląd mógł stanowić wspaniałą wprost wymówkę dla wybitnie niepoważnego trybu życia. Hypatia miała rangę bibliotekarki, coś niesłychanego w przypadku kobiety, była także biegłą matematyczką, godną uczennicą swego ojca, wybitną astronomką i wreszcie „miłośniczką nieznanego”, jak miała później przyznać. Pożądało jej dziewięćdziesiąt

procent mężczyzn w mieście, a pozostałe dziesięć procent - wpływowa społeczność homoseksualna - podziwiała.

„W twoich oczach ujrzałam blask człowieka, który nosi w sobie tajemnicę” - wyznała

Viriatiowi kilka godzin później w łóżku, jedynym sprzęcie wytwarzanym przez człowieka, w którym kobieta pozwalała sobie na szczerość.

Hypatia została jego prywatnym przewodnikiem po latami. Dzięki niej mógł dostać się aż na szczyt budowli jedną z wind hydraulicznych, których mędracy używali do swoich pomiarów. Innej windy używano do wywożenia na górę chrustu, który zasilał nocny płomień latarni. Z najwyższej platformy mnich mógł podziwiać widok na morze i całe miasto, z którym nic nie mogło się równać.

Na ścianie podtrzymującej gigantyczną lupę Viriato zobaczył grecką inskrypcję ułożoną z ołowianych liter. Była to dedykacja od budowniczych latami: „Bogom ocalenia, w imieniu wszystkich tych, którzy żeglują po morzach”.

Olbrzymia lampa otoczona była dziwnymi urządzeniami pomiarowymi obsługiwanymi bezustannie przez grupę wybitnych ludzi nauki, którzy, dyskutując między sobą, dokonywali szybkich zapisów. Wszyscy oni pozdrowili Hypatię z szacunkiem i poufałością zarezerwowaną wyłącznie dla równych sobie. Dziewczyna wskazała Viriatowi miejsce pod gigantyczną soczewką, która akurat wstrzymała swój mechaniczny obrót, i mnich mógł z absolutną klarownością ujrzeć odbitą w lupie majestatyczną sylwetkę dużej rzymskiej galery. Wydała mu się tak bliska, że wyciągnął rękę, jak gdyby mógł jej dotknąć. Hypatia nie mogła powstrzymać się od perlistego śmiechu, którym jeszcze bardziej oczarowała Viriata.

* Ptolemeusze - dynastia królów egipskich.

Bibliotekarka powiedziała, że rzymski statek znajdował się w tym momencie sto mil od miasta. Na gest zdumienia mnicha wyjaśniła, że nadzór nad strażnicą i wszystkimi jej

urządzeniami sprawowała Aleksandryjska Szkoła Matematyki i Mechaniki, w której ona była nauczycielką.

Jednak zdumienie Viriata nie kończyło się wraz z odkryciem niesłychanych możliwości lustra. Ostatnia kondygnacja ukoronowana była czterema gigantycznymi posągami z połączanego brązu. Jeden z nich przedstawiał Zeusa, ojca wszystkich greckich bogów. Inny dedykowany był boskiemu Posejdonowi, którego mechaniczny palec wyciągnięty w stronę nieba śledził dzienną wędrówkę słońca. Trzeci posąg przedstawiał Hermesa, bożego posłańca, który donośnym głosem oznajmiał godzinę. Czwarty zadedykowany był Atenie, bogini mądrości, która nie stroniła jednak od walki. Matematyczka zapewniła swojego zdumionego przyjaciela, że posąg ów dobywał głosu, jeżeli tylko z jakiegoś obcego portu wychodziła wroga miastu armada. Viriato wciąż próbował przyswoić i zrozumieć wszystko, co obserwował, kiedy jego zaimprovizowana cicerone wyjaśniła, że olbrzymie posągi-androidy zostały wytworzone i zaprojektowane według traktatów Herona z Aleksandrii, wynalazcy wymyślnych zabawek mechanicznych i aparatów poruszanych parą, autora dzieła *Automaty*, którego oryginał przechowywany był w Bibliotece córce.

Wszystkie urządzenia pomiarowe, które miał okazję ujrzeć na szczycie wieży, z olbrzymią lampą włącznie, skonstruowano na podstawie pism i teorii takich autorów, jak Apoloniusz z Pergii, matematyk, który opisał formy krzywych stożkowych, Archimedes, największy geniusz mechaniki, którego ujrział świat, czy Arystarch, który utrzymywał, że Ziemia porusza się po orbicie Słońca. Wszyscy oni pozostawili po sobie spuściznę w postaci pism, z których korzystać mogły kolejne pokolenia. Hypatia i inni bibliotekarze byli strażnikami tego niesłychanego skarbu.

Obiad zjedli w greckiej tawernie w porcie. Jedli palcami z liści winogron, następnie obmyli dłonie w miseczkach z perfumowaną wodą. Morska bryza, preludium oczekującej ich

nocy, otulała ich swoim niemal zmysłowym dotykiem. Wieczorem odwiedzili Bruchejon, szlachecką dzielnicę miasta, i ruiny pierwszej Biblioteki. Biblioteka matka i Muzejon miały formę okręgu. Obecnie z przepięknego budynku pozostał jedynie półokrąg kamiennych ław tonących w chwastach i porostach, a niegdysiejszych czytelników zastąpiły cykady. Widok ten przypominał Viriatowi ruiny Kartaginy i po raz kolejny mnich stwierdził, z pewnym przygnębieniem, że żadna cywilizacja, żaden świat, nie są wieczne.

O zachodzie słońca Hypatia zabrała go do Domu Życia, Sanktuarium Serapisa zwanego przez aleksandryczyków Serapejonem. Świątynia, wspaniale zrekonstruowana przez cesarza Adriana, była schronieniem dla zbiorów pochodzących z Biblioteki córki. Wspięli się po stu marmurowych schodach prowadzących do monumentalnego wejścia do świątyni i przeszli obok olbrzymiego połączanego posągu z brązu przedstawiającego byka Apisa. Viriato zachwycił się bogactwem materiałów, z których była zbudowana świątynia, jej marmurowymi ścianami i stiukami pokrytymi złotem i srebrem.

Mógł przyjrzeć się w pełnej szacunku ciszy sarkofagowi Aleksandra Wielkiego. Tutaj spoczywał najznamienitszy zdobywca znanego świata, założyciel Aleksandrii, która dla Viriata była w tej chwili miastem cudów. Podczas tej magicznej wizyty Hypatia otworzyła drzwi do Biblioteki córki. W tym monumentalnym gmachu przechowywano ponad dziewięćset tysięcy tomów, zapewniła go. Pamiętał, jak powiedziała mu do ucha, niemal szeptem: „Cała wiedza ludzkości schroniła się tutaj, czekając na lepsze czasy”. Poczul gulę w gardle. Lepsze czasy dla ludzkości wcale nie nadchodziły. Serapejonowi i Bibliotece pozostały ledwie siedemdziesiąt dwie godziny. Później zamienią się w popioły i gruz. Kochali się tej samej nocy, w domu Hypatii. Kochali się i rozmawiali, na wzór wszystkich par, które dopiero się poznały. Większość z nich porzuca z czasem ten zwyczaj, zapominając, że mężczyźni i kobiety rodzą się każdego dnia. Obowiązek zaś mówienia i

słuchania drugiego nie kończy się nigdy.

Hypatia wyznała mu, że nigdy nie kochała mężczyzny i że do tego poranka na latami morskiej była przekonana, iż poświęci całe swoje życie zgłębianiu nauk matematycznych, astronomii i poszukiwaniu tego, co nieznanne.

- I to właśnie ujrzałam w twoich oczach dziś rano na wieży, blask człowieka, który skrywa jakąś tajemnicę. Kim jesteś naprawdę? - spytała go, patrząc na niego oczami niczym pola fiołków.

Viriato, ulegając słabości, która dotyka zakochanych mężczyzn, opowiedział jej całą prawdę o swoim burzliwym życiu i niezwykłym pochodzeniu, ufając, że młoda kochanka uzna całą opowieść za bajeczną blagę.

- Wiem, że nie kłamiesz - skwitowała z uśmiechem, kiedy zakończył swoją opowieść.

I żeby to potwierdzić, pocałowała go namiętnie w usta.

- Skąd ta pewność? Mógłbym przecież być szarlatanem religijnym, który nie dotrzymuje swoich ślubów - odpowiedział jej, wzburzony. Jego grecki był doskonały. „Znając łacinę i grekę, będziesz mógł podróżować po całym świecie przez pół ludzkiej historii”. Ileż racji miał opat!

W odpowiedzi Hypatia podniosła się z łóżka i naga podeszła do dużej ażurowej szafy, która, jak się zdawało, zawierała zwoje papyrusu. Dosięła jednego z nich, stając na palcach - w ruchu, w którym jej wspaniała sylwetka nabrała jeszcze piękniejszych proporcji - i powróciła z uśmiechem do łóżka. Viriato mocno przygryzł wargi, próbując na nowo skoncentrować się na rozmowie. Rozwinęła „wolumin”, jak go nazywali bibliotekarze, i oczom Viriata ukazała się Makaronezja. Tam też zarysowane były niewyraźnym profilem Wyspy Szczęśliwe, Kanary. Lecz na tej mapie mnich doliczył się ośmiu, nie siedmiu wysp.

- Ta mapa to kopia oryginału nakreślonego przez Hannona z Kartaginy w szóstym

wieku przed narodzinami twojego Boga. - Hypatia chętnie szafowała swoim pogaństwem przy każdej okazji.

W rzeczy samej była tam narysowana jego wyspa, Aprostitus lub Niedostępna, jej nazwa napisana po łacinie, kontur wyspy zaś delikatnie zaznaczony żółtą farbą rozrobioną w mirze.

- Wiem, że nie jesteś chrześcijańskim kapłanem - powiedziała mu dziewczyna. - A jeśli jesteś, powinieneś przestać nim być, ponieważ mężczyzna, który tak kocha kobietę, nie jest stworzony do czystości. Ale wiem też, że z twoich ust nie padło więcej kłamstw tej nocy.

- Wróc ze mną na wyspę. - Wziął ją w objęcia i usiłował pocałować.

Ona odsunęła jego usta, łagodnie, wnętrzem dłoni.

- Nasze losy się krzyżują, ale nie łączą, mój drogi podróżniku w czasie - odpowiedziała mu, uśmiechając się pewnie.

*

Następnego dnia podjęli gorączkowe działania. Hypatia wiedziała już o katastrofie, którą spowodować miała zaciętość biskupa Teofila, i postanowiła razem z Viriatem uratować, co tylko się da, od zniszczenia.

Tego samego ranka wynieśli z miasta, ukryte w workach z ziarnem, tysiące tomów wybranych przez bibliotekarkę. Otworzyli grób Aleksandra i zabalsamowane ciało zdobywcy okryli całunem. Teraz były to szczątki zmarłego kupca, które wracały do miasta jego urodzenia w celu pochówku. Skarb znajdujący się w grobie został ukryty w workach z nawozem.

- Dokąd się udają? - zapytał Viriato, kiedy ostatni wielbłąd z długiej kolumny przekroczył via Canopica i przeszedł pod łukiem Księżycowej Bramy, na zachodzie miasta.

- Do bezpiecznego miejsca na pustyni w Libii. Olbrzymiej, porzuconej i zapomnianej

świętyni, gdzie Aleksander i cała mądrość świata będą spać, aż po raz kolejny będzie trzeba ich ocalić - odpowiedziała mu spokojnie.

Viriato znów spojrzął w gwiazdy, których blask powoli przygasał w zetknięciu z czerwonożłą poświatą nowego dnia. Za plecami usłyszał miękkie kroki bosych stóp Hypatii. Kiedy ciepło pocałowała go w szyję, poczuł mrowienie na całym ciele. Przeszył go ostry ból. Nigdy nie chciał powiedzieć dziewczynie o jej przeznaczeniu*, ona zaś nie uległa pokusie, by o to zapytać. „Co z tego, kiedy gaśnie gwiazda? Ważne, by błyszczała, gdy wciąż żyje”. W oddali odbiła się echem burza.

- Idź - powiedziała miękko. - Odejdź i zostań wysłannikiem nadziei.

*

- Hypatia wypełniła książkami całą łódź Viriata. To był jej ostatni prezent dla kochanka - zakończyła Lola.

Cameron spojrzął na nią, jakby w tym momencie wrócił z innego świata.

- Viriato powrócił na wyspę z częścią Biblioteki Aleksandryjskiej? - zapytał ją, usiłując na nowo skupić się na rozmowie.

Lola skinęła głową.

- Profesorze, nawet nie wyobrażasz sobie, co znajduje się na tych półkach. - Studentka rzadko mówiła mu ty.

Teraz zwracała się do niego jako historyczka, zafascynowana niewyczerpanym bogactwem świeżo odkrytej wiedzy.

Hypatia umieściła na łodzi Viriata jeden z największych skarbów archiwum aleksandryjskiego. Sprawozdanie dotyczące tomów zebranych w *Katalogu Powszechnym* biblioteki opactwa, stworzone przez brata Xaviera, było oszałamiające. Na wyspie znajdowały się teraz trzy oryginalne tomy *Historii Babilonii* babilońskiego kapłana i

historyka Berossosa. Jej pierwszy tom obejmował historię ludzkości od stworzenia aż po wielki potop. Ale według Berossosa okres ten trwał czterysta trzydzieści dwa tysiące lat - sto razy dłużej niż w chronologii występującej w Starym Testamencie. Na tych półkach spoczywała *Księga Totha*, tom sprzed ponad dwunastu tysięcy lat, który zbierał całą wiedzę starożytnego Egiptu i poprzedzających go cywilizacji.

Zachowanych było kilka tragedii Sofoklesa, Ajschylosa i Eurypidesa, które uznawano za utracone na zawsze. Kilka tomów samego Arystotelesa, nauczyciela Aleksandra Wielkiego. *Geometria* Euklidesa, *Traktat o trygonometrii* Hiparcha z Nicei, a nawet jeden z tekstów ojca Hypatii, *Traktat o matematyce i astrologii* Teona z Aleksandrii.

Cameron miałby ochotę rzucić okiem na *Geographicę* Eratostenesa i na mapę

* Hypatia zginęła zlineczowana, dwadzieścia cztery lata po zniszczeniu Biblioteki i Serapejonu, przez grupę fanatycznych chrześcijan podburzanych przez Cyryla, nowego biskupa Aleksandrii, który publicznie oskarżył ją kilkakrotnie o bałwochwalstwo i herezje.

Makaronezji, którą bibliotekarka pokazała Viriatowi. W bibliotece były także tomy pełne zaszyfrowanych tajemnic, tak jak *Steganografia* Trytena, dzięki której można było hipnotyzować na odległość bądź sprawiać, że osoby i przedmioty znajdują się w dwóch miejscach jednocześnie. Czy też *Necromicon*, kompendium magii i mocy okultystycznych. Manuskrypty Pitagorasa, Salomona, Hermesa...

Hypatia wybrała dla swojego kochanka najistotniejsze teksty. Być może najlepsze z nabytków, które dynastia Ptolemeusza zbierała przez wieki w najlepszych bibliotekach Aten, Persepolis, Babilonii, Bagdadu i Indii.

Cameron pomyślał, że czekają ich pasjonujące dni w tych czterech ścianach.

- Marzenie historyka - przyznał w końcu Amerykanin, po tym jak Lola zakończyła opis podstawowych zasobów biblioteki.

- Tak - przyznała Lola. - Moje marzenie. - Jej oczy błyszczały nieznanym żarem.

Cameron miał nadzieję, że wyspa nie zmieniła jej zbyt wiele.

Drzwi archiwum otworzyły się i wszedł uśmiechnięty brat Xavier. Wydawało się, że niesie pod pachą opasły tom, który ze względu na grube skórzane okładki i pergaminowe kartki kojarzył się Cameronowi z *Navigatio*.

- Kawa czeka w moim gabinecie. Nie chciałbym być niegrzeczny - zwrócił się do Loli niemal przeproszająco - ale muszę odbyć rozmowę w cztery oczy z profesorem Cameronem. I choć podobne stwierdzenie może wydać się na tej wyspie paradoksem, nie pozostało nam zbyt wiele czasu.

Rozdział XXVIII

Księga czasu

Capita XXVIII. N.S.B.a. Mernoc przyłącza się do mnichów i razem płyną przez czterdzieści dni na wschód. Wreszcie widzą Rajską Wyspę otoczoną nieprzeniknioną mgłą. Opat i jego zakonnicy pozostaną na wyspie przez czterdzieści dni, badając ją i rzekę, która dzieli ją na pół. Zaopatrzą się w owoce, mięso i kamienie szlachetne, przygotowując się do powrotu do Irlandii.

Cameron wszedł za bratem Xavierem do gabinetu. Był to przestronny i jasny pokój z dwoma dużymi oknami, które wychodziły na otaczającą klasztor dolinę.

Cela, na którą składały się dwa połączone z sobą pomieszczenia, służyła także jako gabinet przeora zakonu. Znajdowały się w nim przepiękna biblioteczka z drewna kasztanowca, wbudowana we wnękę w ścianie, oraz szeroki stół z szesnastego wieku, w stylu hiszpańskim, na którym stał serwis do kawy z delikatnej peruwiańskiej porcelany. „Te wszystkie meble to prezent od Hawkinsa. On zawsze rabował ze smakiem” - wyjaśnił brat Xavier.

Podczas gdy mnich serwował gościowi pierwszą filiżankę kawy, uwagę Camerona przykuła duża mapa wisząca na jednej ze ścian. Przedstawiała ona rafę ogromnych rozmiarów, bo odwzorowaną w bardzo dokładnej skali. „Jest tak wielka, jak La Palma”, przypomniał sobie Cameron słowa Carrasca. Najważniejsze punkty orientacyjne były wyraźnie zaznaczone i podpisane po łacinie. Szybko rozpoznał znajomy kontur Czarnej Plaży, na której otwierały się wrota czasu, a także ujście rzeki i dwa bliźniacze szczyty rozcięte kanionem. Mógł też z łatwością wskazać drogę, którą dotarli do misji.

IP'

Ze zdumieniem zaczął czytać nazwy innych cudów natury, które znajdowały się na wyspie. Większość z nich pojawiła się na kartach dwudziestu dziewięciu rozdziałów *Navigatio Sancti Brendani abbatis* - manuskryptu napisanego, a właściwie „sfalszowanego” przez Mernoca. Podmienił on bowiem oryginał Brendanusa, który zaakceptował zmienioną wersję jako prawdziwą. Kronika ich zmyślonej podróży była tak naprawdę wariacją na temat miejsc, które w rzeczywistości istniały na wyspie. W tym momencie Cameron pomyślał, że brat Mernoc był najbardziej zagadkowym pisarzem, jakiego znał.

Na mapie zaznaczone były Opuszczony Zamek, Jaskinia Etiopczyka, Zagroda Owiec Olbrzymów, Rybia Skala, Czyste i Mętne Źródło, Źródło Usypiającej Wody, Skrzepnięte Jezioro, Cmentarzysko Smoków, Dolina Winogron, Przezrocyste Jezioro, Kryształowa Kolumna, Góra Kowali, Ognista Góra, Głaz Pustelnika, Grota Kielicha, Las Judasza... Było tam wszystko. Legendarna wyspa sama była pełna legend. Na myśl o wielu przygodach, które jeszcze miał przeżyć na tej magicznej wyspie, poczuł ogarniające go podekscytowanie. Za plecami usłyszał pochrząkiwanie brata Xaviera, który na nowo upominał się o jego uwagę, Opat położył obok kawy grubą księgę, którą niósł wcześniej pod pachą.

- To jest właśnie *Księga czasu*, o której, jak przypuszczam, opowiadał panu Viriato -

rzekł zakonnik. - Niektóre fragmenty na pewno są już panu znane, ale bardzo zależy mi na tym, żeby przeczytał pan ostatnie rozdziały. Kiedy pan skończy, proszę podzielić się ze mną swoimi uwagami. - Powiedziawszy to, wyszedł z celi.

Kawa, którą przygotował brat Kevin, smakowała wspaniale, a lektura *Księgi czasu* pochłonęła Camerona całkowicie już od pierwszej strony.

Mernoc opisał w niej wszystkie swoje doświadczenia i podróże w czasie. Dzięki tej niesamowitej kronice Cameron się dowiedział, że świat był o wiele starszy, niż mógł to pojąć ludzki rozum. Mernoc wraz z innymi mnichami byli obecni przy narodzinach wszechświata. Stojąc na plaży pełnej czarnego piasku, widzieli wszystko w otwartych wrotach czasu - jak widzowie, którzy dostali się na specjalny pokaz aktu stworzenia. Według zapisków Mernoca, nasza planeta wyłoniła się z nicości ponad pięć miliardów lat temu, kiedy zaczęła się formować w hadeiku. Człowiek, rzecz jasna, gościł na niej od niedawna, ale i tak poniewierał ją wiele tysięcy lat dłużej, niż się powszechnie wydawało. Cameron poczuł przejmujący dreszcz, gdy zrozumiał, że na podstawie zapisków Mernoca można by wyrzucić do kosza całą dotychczasową wiedzę na temat historii ewolucji. Darwin nie byłby specjalnie zachwycony, czytając ten tekst.

Pierwsi ludzie przybyli na ziemię pomiędzy późną kredą a początkiem paleocenu.

Ponad pięćdziesiąt pięć milionów lat temu. Słowo „przybyli” było tu jak najbardziej na miejscu. Zgodnie z tym, co napisał Mernoc, on i reszta mnichów mogli zobaczyć to na własne oczy w swoim wyjątkowym amfiteatrze. Krótco po tym, jak planetę spustoszyło uderzenie Wielkiego Meteorytu, na niebie rozlało się światło i na ziemię zstąpiły niebiańskie istoty, niosąc na swoich rękach pierwszych ludzi - nagich i uśpionych.

Owe pierwsze ludzkie istoty szybko uformowały dumne, aroganckie i zawzięte państwa. Przeżyły narodziny swoich pierwszych cywilizacji, swoje wieki ciemności i

odrodzenia, swój Złoty Wiek i swoje wojny totalne. Pierwsi wojownicy i rycerze potrafili poskramiać smoki na grzbietach swoich wierzchowców, ciosami kopii i miecza. Tak naprawdę to owi legendami paladyni wybijali ostatnie dinozaury, które wcale nie wymarły w kredzie.

Cameron zadrzał na myśl o tym, że wszystkie legendy mają w sobie więcej niż ziarnko prawdy. Legendy nie były tylko bajdurzeniem tych, którzy ocaleli z minionych epok, nieistniejących już światów - historiami zniekształconymi przez tradycję ustnego przekazu, dominującego przez wieki. To wszystko naprawdę się wydarzyło. Tak jak opowiadali to starcy, zgromadzeni wokół ognisk, trubadurzy czy kronikarze, którzy potrafili ocalić od zapomnienia to, co sami przeżyli, usłyszeli albo wyczytali na skale, wosku, glinie, papirusie czy papierze. To wszystko było gdzieś tam zapisane. Człowiek dzielił świat z wrózkami, skrzatami, elfami, cyklopami i wszechwładnymi czarodziejami. Albowiem na świecie, przez całe wieki, było miejsce na magię.

Ludzie od pięćdziesięciu pięciu milionów lat wierzą w to, że panują nad ziemią.

Zbudowali miasta, stworzyli cywilizacje i imperia, które niszczyły swoich najłabszych sąsiadów, aż do momentu kiedy i one same zniknęły z powierzchni ziemi, zmiecione przez kolejne cywilizacje i imperia, jeszcze bardziej bezwzględne. Ludzie uznali siebie za bogów i panów wszelkiego stworzenia.

Aż nadeszły cztery potopy, które sprawiły, że gatunek ludzki prawie wyginął. Cztery ogromne kataklizmy, po których wszystko trzeba było zaczynać praktycznie od zera.

Cameron uśmiechnął się gorzko. Nie zmieniliśmy się, nie nauczyliśmy się niczego.

Od milionów lat człowiek wciąż zaczyna swoje zmagania w ten sam sposób - od kamieni i pałek.

Nie. Ludzkość nigdy nie chciała słuchać swoich legend. Dzieci światła przybyły

wolne od grzechu, ale także wolne, by wybierać między dobrem a złem.

Opowieść Mernoca urywała się gwałtownie w dwa tysiące trzynastym roku.

Mnich opisał wielki kataklizm, który miał zniszczyć świat. Piąty potop.

Co więcej, na dwóch ostatnich stronach stworzył przerażającą ilustrację. Rysunek przedstawiał półnagich ludzi uciekających w popłochu przed spadającymi z nieba płonącymi głazami, szukających nieistniejącego schronienia. Zdawało się, że Mernoc przepowiada koniec świata i wskazuje datę - rok dwa tysiące trzynasty.

I wtedy je zobaczył. Łacińskie słowa w prawym dolnym rogu apokaliptycznego rysunku, jak gdyby wryte w jednym z ogromnych głazów, które zleciały z nieba. „Koniec świata, piąty potop, z głowy diabła, dwakroć tysiąc trzynaście”. Przypomniał sobie wiadomość wytatuowaną na ramieniu mnicha i poczuł ogarniający go niepokój.

Nagle drzwi do celi otworzyły się gwałtownie. Cameron aż podskoczył z wrażenia.

Był to brat Xavier.

- Mam nadzieję, że lektura okazała się interesująca - rzekł, stojąc w progu celi.

- Dlaczego ojcu tak zależało na tym, żebym przeczytał tę książkę? - Postanowił, że nadszedł czas, by walić prosto z mostu.

- Chciałem, by zrozumiał pan istotę pańskiej podróży. Bez tego nie mógłby pan podjąć decyzji.

A więc o to chodziło, pomyślał Cameron.

Nagle poczuł się jak główny bohater scenariusza, który do tej pory zawsze czytał w trzeciej osobie.

Zupełnie nie podobała mu się jego nowa rola.

Przez całe życie zawsze chował się w cieniu i uciekał przed nadmierną odpowiedzialnością.

- Dlaczego ja? - Zaczął powoli porządkować zamęt, który miał w głowie. Musiał

znaleźć jakieś wyjście, w końcu był w tym dobry.

- Viriato wiedział, że to będzie pan i że uda się panu dotrzeć na wyspę. Wyjawił mi to w czasie swojej ostatniej wizyty - odpowiedział brat Xavier.

- Na wyspę dotarliśmy w piątkę - odparł.

- Tylko pan rozwiązuje zagadkę od samego początku. Mógł pan zrezygnować w dowolnym momencie, było ku temu wiele okazji, ale pan chciał dotrzeć do końca. Pańscy towarzysze podróży nie są zupełnie bez znaczenia. Jeden z nich ma do odegrania ważną rolę.

- Wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał. - Ale to właśnie pan jest wybrańcem. Na pana spadła odpowiedzialność bycia posłańcem nadziei. - Zrobił efektowną pauzę. - Ale - kontynuował mnich, wiedząc dobrze, że w tych okolicznościach Cameron mógł uczeplić się jednego takiego „ale” jak tonący, który chwyta się brzytwy - do pana należy też decyzja, czy weźmie pan tę odpowiedzialność na siebie. Nikt pana do niczego nie zmusi. Bóg uczynił nas wolnymi, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Cameron pomyślał, że opat był w tym momencie równie szczery jak Hitler, gdy kilka miesięcy przed inwazją na ZSRR zapewniał Stalina, że będą kumplami na całe życie.

- Czego się ode mnie oczekuje? - Ton jego głosu był wyzywający, ale w tle pobrzmiwało zaniepokojenie.

- Przeczytał pan to samo, co ja - rzekł mnich z uśmiechem, jakby oskarżał go o współudział w przestępstwie. - Zgodnie z przepowiednią Mernoca, w dwa tysiące trzynastym roku światem wstrząśnie wielki kataklizm. Będzie to katastrofa niewyobrażalnych rozmiarów, rodem z jego przerażających rysunków. Ta katastrofa na zawsze zmieni oblicze naszej planety

- powiedział opat, podziwiając cudowny widok, jaki roztaczał się za oknem klasztoru.

- Piąty potop? - Cameron uśmiechnął się gorzko. - Ojczy, jakoś nie mogę sobie

wyobrazić siebie na ulicach Bostonu z dzwonem i zawieszonym na szyi plakatem z napisem „Zbliża się koniec”.

- Tak zwane potopy to tak naprawdę „literackie” interpretacje rzeczywistych kataklizmów, poprzedzających ten, który czeka nas niebawem. Ludzie musieli jakoś wyrazić swój strach, a jednocześnie chcieli zrozumieć, dlaczego doszło niemal do wyginięcia ich gatunku. Opisy potopów pojawiały się na przestrzeni wieków w najróżniejszych kulturach. - Przerwał swój wywód i odwrócił się w stronę Camerona. - Ale pan zapewne oczekuje bardziej konkretnych odpowiedzi. Zresztą w pełni się one panu należą. - Nalał sobie szklanek wody z dzbana stojącego obok serwisu do kawy. - Kataklizm, o którym mówimy, spadnie na nas z nieba. W dwa tysiące trzynastym roku w Ziemię uderzy ogromne ciało niebieskie. Wydarzyło się to już kilka razy wcześniej.

- Przed przybyciem na wyspę nie słyszałem żadnego komunikatu o zagrożeniu uderzeniem meteorytu. Mamy dziesiątki teleskopów i satelitów, które sondują przestrzeń kosmiczną, ojcze. Gdyby jakiegokolwiek ciało niebieskie mogące zagrozić Ziemi zbliżało się w jej kierunku, już dawno zostałyby wykryte. - Cameron przypomniał sobie kryzys związany z planetoidą Apophis, która wywołała wielkie poruszenie wśród jego kolegów z katedry fizyki Uniwersytetu w Bostonie. - W czasie świąt Bożego Narodzenia dwa tysiące czwartego roku - postanowił podzielić się swoją wiedzą z opatem - pojawiła się informacja o możliwym uderzeniu w Ziemię meteorytu Apophis. Po dokładnych obliczeniach jego trajektorii okazało się jednak, że nie zagraża on naszej planecie - argumentował Cameron.

- Czasem prawda nie chce, byśmy ją odkryli, profesorze - odpowiedział opat. Znowu wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w jakiś punkt za oknem.

Między dwojgiem mężczyzn po raz kolejny zaległa martwa cisza.

- Chcę zostać na wyspie. Chcę zbadać zbiory biblioteki - powiedział Cameron,

niemalże zadziornie. Z jakiego powodu miałby się ogłosić zbawicielem świata?

- Jeśli właśnie tego pan pragnie, to proszę bardzo, jest pan wolnym człowiekiem -

odpowiedział spokojnie opat. - Nie musi się pan oglądać na księgę. Ale to prawdopodobnie oznacza, że kiedy tylko zamkną się wrota, straci pan na zawsze możliwość powrotu do swojego czasu. *Księga czasu* się skończyła. Od tej pory nie znamy już woli wyspy.

Cameron schylił głowę, zupełnie zbity z tropu. Dostał zawrotów głowy od tysięcy myśli, pomysłów, wątpliwości, obrazów. Właśnie spełniło się jego marzenie jako historyka. Miał dostęp do tej niezwykłej biblioteki. Był na wyspie, z której mógł przenosić się w czasie. Miałby okazję podziwiać podbój Galii przez Juliusza Cezara, wziąć udział w wykładzie Arystotelesa albo słuchać Beethovena wykonującego swoją *IX symfonię*. I miałby teraz z tego wszystkiego zrezygnować?

Pomyślał o swojej córce - Barbarze - i ich ostatniej rozmowie telefonicznej.

„Zrobiłbym dla ciebie wszystko”. To były jego słowa. I nagle wśród dręczących go myśli zaczęły się pojawiać obrazy - twarze znajomych, przyjaciół i tych, których kochał. Twarz jego brata Madoca, z którym miał tyle zaległych rozmów do odbycia. Twarz Nurii Rubio i jej syna, będącego w drodze na ten świat. Twarze jego uczniów, pełnych życia i planów na przyszłość. Twarze milionów ludzi na całej kuli ziemskiej... I gdzieś pomiędzy nimi, coraz bardziej wyraźna - twarz Alejandry.

Podniósł głowę. Został sam w celi.

Spojrzał na wciąż parujący dzbanek. Kawa była zawsze jego ostatecznym schronieniem przed podjęciem ważnych decyzji.

Nalał sobie ostatnią filiżankę i poczuł, jak aromat kawy miesza się ze smakowitym zapachem pieczonego mięsa. To pewnie Kevin urzędował przy kuchennych piecach i rusztach. Cameron przypomniał sobie nagle, że jest głodny, bardzo głodny.

Obiad, zgodnie z zapowiedzią, został podany w refektarzu.

Kevin przygotował dla nich „menu odżywcze, w pewnym sensie skromne, aczkolwiek niepozabawione smaku” - jak zareklamował swoje specjały przed ich podaniem.

Na pierwsze danie zaserwował wyśmienitą zupę z bobu, świeżo zebranego w klasztorным ogródku, gotowanego w mięsny wywarze. Na drugie zjedli przepyszne cielece kotlety, przyprawione solą i koprem, upieczone na ruszcie i przystrojone paskami świeżego boczku.

Całe to średniowieczne menu podlane było wspaniałym czerwonym winem z klasztornych piwnic.

Na deser spróbowali różnych rodzajów koziego sera, a Kevin z namaszczeniem otworzył butelkę jednego ze swoich najcenniejszych skarbów - najprawdziwszego hipokrasu*, pochodzącego z jego własnego alembiku**.

- To na waszą cześć. Przeor jest bardzo rygorystyczny, jeśli chodzi o spożywanie

* Hipokras - aromatyczne wino, mocno zaprawiane korzeniami i słodzone; popularne w średniowieczu.

** Alembik, alambik - naczynie służące do destylacji.

alkoholu w klasztorze - oświadczył ceremonialnie. Jego kartoflany nos, nabrzmiały od popękanych naczyń krwionośnych, zmuszał jednak do poważnego zastanowienia się nad wiarygodnością tych zapewnień o abstynencji zakonników.

- Sam go pan robi, bracie Kevinie? - spytała Lola, jak zawsze wszystkiego ciekawa.

- Nie chcę się chwalić - odpowiedział z kiepsko skrywaną dumą - ale tak właśnie jest.

Ten hipokras powstał według mojej mistrzowskiej receptury. Sekret leży w odpowiednio dobranej mieszance białego i czerwonego wina, cynamonu, goździków, imbiru oraz cukru.

Nie bez znaczenia dla efektu jest też właściwe warzenie i macerowanie składników. Mój

hipokras idealnie pasuje do wszystkich gatunków sera i doskonale umila czas poobiednich pogawędek oraz trawienia.

Tym razem Kevin mówił szczerą prawdę. Cameron jeszcze długo wspominał to popołudnie - wyśmienite jedzenie, wspaniałe towarzystwo i przemiłą rozmowę. Wszystko było wprost idealne.

„Doskonałość, prostota i spokój” - te słowa najlepiej opisałyby, przynajmniej na razie, jego pobyt na wyspie.

- Jeśli wrócę, będę miał jakąś szansę, bracie Xavierze?

- Jak powiedział Napoleon przed jedną z bitew: „Jeśli walczysz, jest szansa, że przegrasz. Ale jeśli nie podejmiesz walki, jesteś przegrany”.

- A powiedział to przed Austerlitz czy przed Waterloo?

Ojciec przełożony zaśmiał się wesoło. Cameron także. Ale potrzebował jakiejś odpowiedzi.

- Wie pan, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, panie Cameron - rzekł, patrząc mu prosto w oczy.

- Jeśli... - zaczął Cameron i zrobił długą pauzę. - Jeśli jednak zdecyduję się odejść i spróbuję uratować świat, to kiedy będę musiał to zrobić? - spytał, nalewając sobie kolejny kieliszek hipokrasu.

- Zanim zamkną się wrota. Możliwe, że zostało już tylko kilka godzin... - Zawahał się.

- Najwyżej kilka dni. Będziemy znali dokładny moment pana odejścia, gdy zacznie się burza - odpowiedział zakonnik.

Profesor zrozumiał wtedy, dlaczego opat tak dokładnie przypatrywał się niebu.

- Nim nadejdzie moment, kiedy będę musiał podjąć decyzję, chciałbym możliwie najlepiej poznać wyspę. Oczywiście jeśli nie macie nic przeciwko, ojcze.

- Z przyjemnością zostanę pańskim przewodnikiem, profesorze. Ale wydawało mi się, że wolałby pan wykorzystać ten czas w bibliotece.

- Jeśli tylko wsadzę czubek głowy do tej biblioteki, bracie Xavierze, nikt nie będzie w stanie mnie przekonać, bym opuścił wyspę - odparł Cameron, opróżniając swój ostatni kieliszek hipokrasu.

* * *

Jeszcze tego samego popołudnia Alejandra, Cameron i opat osiodłali ponownie konie i zgodnie z życzeniem historyka wyruszyli na objazd wyspy.

Lola wolała zostać w bibliotece, a Sidi być tam, gdzie ona. Medina, który miał zawsze przy sobie talię kart, bo „z nią można zacząć życie od nowa”, został w klasztorze, by przy kolejnej butelce hipokrasu uczyć gubernatora i kucharza gry w pokera.

* * *

Grupka jeźdźców szybko dotarła do pierwszego przystanku na trasie wytyczonej przez opata. Na polanie przed nimi majaczyły ruiny budowli, która przypominała Cameronowi stary rzymski fort.

- Rzymski obóz tutaj? - spytał mnicha, wyraźnie zaskoczony.

- Mernoc mówił na niego Opuszczony Zamek, jak pan może pamiętać z lektury jego kroniki. - Profesor skinął głową. Nie zapomniał ani jednej z tych magicznych nazw, obecnych w każdym z dwudziestu dziewięciu rozdziałów *Navigatio*. - I faktycznie - mówił dalej mnich - są to pozostałości starej rzymskiej osady.

- Rzymianie dotarli na wyspę? - spytała tym razem Alejandra, równie zdziwiona.

- W roku siedemdziesiątym dziewiątym przed Chrystusem rzymski wódz Sertoriusz musiał uchodzić z Luzytanii, aby uniknąć czystek zarządzanych przez Sullę. Schronił się w Mauretanii, na dworze Juby, swojego starego sojusznika. Rzymski konwój ucierpiał w czasie

silnego sztormu w pobliżu El Hierro, statki uległy rozproszeniu i jedna trirema* przybiła do naszych plaż. Wydarzyło się to prawie sześć wieków przed tym, jak nasze zgromadzenie znalazło się na wyspie, ale Rzymianie zostawili trwałą ślad.

- Ilu ich tu wylądowało? - dopytywał się Cameron.

- Nigdy się tego nie dowiemy - odparł mnich. - Znaleźliśmy trzy groby legionistów.

Ponadto niektórzy żołnierze wryli swoje imiona na kamiennym murze, który widzieliście dziś rano. Prawdopodobnie opuścili wyspę, korzystając z wrót czasu.

Cameron przyglądał się ruinom małego fortu oczami historyka. Podziwiał kamienne strażnice, wciąż dumnie wznoszące się nad otoczeniem, pozostałości palisady i wałów ziemnych oraz regularny zarys fosy otaczającej kiedyś umocnienia.

Ci starożytni rozbitkowie nigdy nie zapomnieli, kim są, i odcisnęli na tym skrawku

* Trirema - rzymski okręt trzorzędowy o napędzie żaglowo-wiosłowym.

ziemi wyraźne piętno swojej cywilizacji.

Poczuł nagle, że bardzo chciałby poznać dowódcę tego oddziału. Człowieka, który w tak niekorzystnych warunkach wiedział, jak utrzymać dyscyplinę i morale wśród swoich ludzi. Ile przeróżnych historii skrywała ta wyspa?

- Powinniśmy jechać dalej - zasugerował mnich - mamy dużo do zobaczenia przed zmierzchem.

Troje jeźdźców zostawiło za sobą Opuszczony Zamek, przywracając tym samym równowagę i spokój duchom, które go zamieszkiwały.

* * *

Nie minęło dużo czasu, a już byli w pobliżu wielkiego ciemnego stawu, wypełnionego cieczą w kolorze smoły i o takiej też konsystencji.

- Mętne Źródło - wyjaśnił Terren. - W rzeczywistości zaś naturalne złożę ropy

naftowej. Przestaliśmy jej używać jako opału, bo gubernator nie mógł znieść smrodu, jaki wydzielala. Zostaliśmy przy świeczkach i lampach olejowych.

- W waszej parafii drzemie duży potencjał, bracie Xavierze - skomentował Cameron, patrząc na to, co w innych okolicznościach byłoby uznane za płynne złoto tryskające z ziemi.

- Na wyspie nie pożądamy tego typu bogactw, profesorze. Tak naprawdę nie pragniemy niczego ponad to, co już posiadamy - odpowiedział z wielkim spokojem.

* * *

Jeźdźcy kontynuowali swoją podróż przez wąskie ścieżki, otoczone przez bujną roślinność wyspy.

Przy wyjeździe z kolejnej polany znaleźli się przed wielkim kamiennym urwiskiem.

- Widzicie właśnie jedno z ulubionych miejsc naszego brata Mernoca, Cmentarzysko Smoków - obwieścił im opat.

Cameron i Alejandra wymienili zdumione spojrzenia.

- Zbliźcie się do skalnej ściany - zachęcił ich.

Zsiedli ze swoich wierzchowców i zaczęli iść w stronę klifu, który przypominał wielkie płótno wycięte w żywej skale. Po chwili zrozumieli znaczenie nazwy, którą zostało ochrzczone to miejsce.

Wciąż pozostając w pewnej odległości od gigantycznej ściany, zaczęli rozróżniać kształty skamieniałych szczątków odcisniętych w skale. Były to szkielety wielkich gadów, które kiedyś panowały nad ziemią.

Cameron nie był wprawdzie ekspertem, ale pośród dziesiątek skamielin różnych kręgowców i roślin, których nie potrafił zidentyfikować, udało mu się rozpoznać szczątki tyranozaura, diplodoka i triceratopsa.

- Jaka była przyczyna ich śmierci, pani doktor? - spytał lekarzkę sądową, przyglądając

się temu olbrzymiemu i niepokojącemu fryzowi, który odsłaniał przed nimi fragment historii czasu.

- *Don't pull my leg*, Sebastian - odparła błyskawicznie. - To nie jest moja specjalność, ale idę o zakład, że kiedyś, dawno, dawno temu, było tutaj bagno, w którym zostały uwięzione dziesiątki zwierząt, a my podziwiamy teraz ogromną fotografię ich agonii.

- Ma to sens - rzekł niemalże z podziwem. - Myślę, że takie małe rzeczy i twoje wymiary, dziewięćdziesiąt pięć na sześćdziesiąt na dziewięćdziesiąt, mogłyby sprawić, że bym się w tobie zakochał.

Uśmiechnęła się, odchylając lekko głowę, ale nie była w stanie oderwać spojrzenia od ściany.

- Rozbijemy tu obóz - usłyszeli za swoimi plecami głos mnicha.

Gdy się odwrócili, ujrzeli opata, który właśnie kończył rozsiodływać konie.

- Nie wrócimy na noc do klasztoru? - spytała Alejandra lekko zaniepokojona.

- Jest już za późno. - Rzeczywiście, dzień szybko chylił się ku końcowi. - Prześpimy się tutaj i rano wyruszymy na dalszą wycieczkę po wyspie.

- Nie będą się o nas martwić w opactwie? - nalegała.

- Spokojna głowa, pani doktor - odpowiedział, rozwijając energicznie jedną z trzech derek, które wyjął z juków i które należały kiedyś do wyposażenia armii napoleońskiej. -

Przed wyjazdem uprzedziłem brata Kevina, że prawdopodobnie spędzimy noc poza klasztorem. Proszę się niczym nie przejmować, noce na wyspie są ciepłe i, jak już wspomniałem, nie grasują tutaj żadne drapieżniki. Musimy tylko pilnować w nocy ognia, żeby nie stratowało nas jakieś stado krów.

Cameron zauważył, że przeor jest w doskonałym humorze. Nie zdziwiło go to wcale, jemu samemu trudno było opanować podniecenie.

Siedząc dookoła zaimprovizowanego ogniska, jedli smakowite plastry suszonego i wędzonego mięsa, trzy gatunki koziego i owczego sera, wciąż świeży biały chleb oraz nieziemsko słodkie pomarańcze.

Rozmowa, którą prowadzili w czasie posiłku, toczyła się w miłej i luźnej atmosferze.

- Jeśli państwo pozwolą - rzekł opat, podnosząc się ze swojego miejsca - oddalę się teraz, by odmówić swoje modlitwy. Poza tym - uśmiechnął się szeroko, otrzepując sobie habit z sosnowych igieł - państwo mają o czym porozmawiać na osobności.

Nim zdążyli mu odpowiedzieć, oddalił się szybkim krokiem w stronę kępki rozrośniętych wawrzynów.

- Co znalazłeś w bibliotece, Sebastianie? - Lekarka nie była kobietą skłoną do owijania w bawełnę.

A Cameron, na tym etapie ich wyprawy, nie potrafił już niczego ukrywać. Tak więc powiedział jej wszystko, nie pomijając żadnego szczegółu, co wyczytał w *Księdze czasu*.

Powiedział jej, co czekało znany im świat, czego świat, nie wiedząc o tym, oczekiwał od niego, a także o czym rozmawiał z opatem.

- Wierzysz, że sprawdzi się to, co jest napisane w księdze?

- Kochana, gdybym nie jadł z tobą kolacji na wyspie, która nie istnieje, mając za plecami jurajską Kaplicę Sykstyńską, nie wierzyłbym w ani jedno słowo z tego, co przeczytałem. Ale znajdując się w takich, a nie innych okolicznościach i pamiętając o wszystkim, przez co przeszliśmy, zanim zarezerwowaliśmy stół w tej restauracji, pozwól, że będę zakładał najgorsze.

Alejandra skrzyżowała ręce na kolanach i schyliła głowę, jakby w ochronnym geście.

- Podjąłeś już jakąś decyzję? - spytała go, nie zmieniając pozycji.

Cameron podniósł się i usiadł koło niej, obejmując ją prawym ramieniem.

- Nie - odpowiedział. I nie wiedział, czy kłamię. - Wiem, co powinienem zrobić, ale nie wiem, co zrobię.

Alejandra podniosła głowę i położyła ją na ramieniu Camerona.

- Cokolwiek zrobisz, nie zostawiaj mnie samej.

Cameron odgarnął jeden z loków z policzka kobiety i pocałował ją - długo i namiętnie.

- Tworzymy tragiczną parę, ale nie zostawię cię - odparł w końcu, trzymając ją w objęciach.

Alejandra patrzyła na niebo pełne gwiazd.

- Co za piękna noc - szepnęła z zachwytem.

- Dolar dla tego, kto pierwszy wskaże Gwiazdę Polarną - powiedział Cameron, przypominając sobie nagle obozowe zabawy z dzieciństwa.

Oboje zastygli na kilka sekund, wypatrując na niebie gwiazdy, która wskazywała drogę marynarzom. Mijały kolejne sekundy.

- Nie ma Gwiazdy Polarnej - odezwała się w końcu ona.

Cameron przypomniał sobie swoją rozmowę z opatem. W jakiej części wszechświata spędzali tę noc?

- Cholera, Cameron, Księżyc też nie ma.

Usłyszeli za plecami trzask łamanych gałęzi i odwrócili się przestraszeni. Odetchnęli z ulgą, gdy zobaczyli znajomą postać wyłaniającego się z półmroku opata.

- Przepiękne niebo, prawda? - rzekł do nich. Było oczywiste, że obserwował ich już od jakiegoś czasu.

- Pani doktor tęskni za pewnymi klasycznymi pozycjami na nieboskłonie, jak Gwiazda Polarna i Księżyc.

- To dlatego, że Wyspa Świętego Brendana każdej nocy śpi w innej części wszechświata, pani doktor, co częściowo wyjaśnia zdolność wyspy do podróżowania w czasie
- powiedział przeor jak gdyby nigdy nic.
- Właśnie miałem ci to powiedzieć, kochanie - usprawiedliwił się historyk, co i tak nie uchroniło go przed palącym spojrzeniem Alejandry.
- Gdzie jesteśmy? Co to za mały niebieski księżyc? - spytała lekko zaniepokojona, wskazując na niewielką błękitną kulę wiszącą na niebie.
- A niech mnie, nie zauważyłem tego - odpowiedział mnich, wpatrując się uważnie w rozgwieżdżone niebo. - Jest pani bardzo spostrzegawcza. Dziś nie jesteśmy daleko od domu. Ten niebieski księżyc, jak go pani nazwała, to Ziemia.

* * *

Cameron śnił o rzymskich legionach, jachtach walczących ze sztormami na oceanach pełnych ryb i o wagonach metra, które nie zatrzymywały się na żadnej stacji i jechały donikąd.

I śniłby tak całą noc, gdyby we śnie, a może już na jawie, nie obudził go głos i dotyk Alejandry.

- Spójrz, niebo jest całe rozświetlone! - powiedziała.

Amerykanin, wciąż na wpół śpiący, usiadł na swojej derce i popatrzył w kierunku, który wskazywała kobieta.

To, co zobaczył, przypominało mu sztuczne ognie, które rozświetlały niebo z okazji czwartego lipca - po raz kolejny naszyły go wspomnienia z dzieciństwa.

Opat także się obudził.

- Wszystko w porządku? - rzucił w ich stronę, zaspany.

- Czy to jest burza? - spytał Cameron, a w jego głosie pobrzmiwał niepokój.

Twarz starego mnicha rozjaśniła się i nie był to tylko blask rzucany przez nocne fajerwerki.

- Matko Boska i wszyscy święci... mają państwo szczęście... - Nie przestawał wpatrywać się w błyski, które rozdzierały mrok nocy. - Już tak dawno nie składały nam wizyty...

- Ale kto? Kto nas właśnie odwiedza? - Lekarka wyglądała tak, jakby za chwilę miały jej puścić nerwy.

- Anioły, oczywiście - odpowiedział jej uśmiechnięty. - Przybywają czasami do Ptasiego Uskoku, żeby nauczyć się latać.

* * *

Przywiązali konie do krzewów żarnowca i ruszyli w stronę miejsca zwanego Ptasim Uskokiem. Grupa poruszała się sprawnie - nie było to trudne w tak rozgwieżdżoną i jasną noc. Poza tym wydawało się, że Terrén zna na wylot wszystkie ścieżki w tych gęstych lasach.

- Idźcie za mną - powiedział mnich, wychodząc naprzód. - I proszę nie hałasować - zniżył głos. - Są bardzo nieśmiałe.

Przedarli się przez gęste zarośla, aż dotarli do miejsca wskazanego przez opata, który kazał im się położyć na ziemi.

Ptasi Uskok był olbrzymim zarośniętym kraterem.

- Kiedyś był to wulkan - szepnął mnich do Camerona. - Góra zapadła się do środka i tak powstał ten krater, który właśnie oglądamy. Tylko jedna część zbocza uniknęła zawalenia i została tak, zwisając nad czeluścią, jak olbrzymia częśćka pomarańczy.

Historyk pomyślał, że to nad wyraz trafne określenie tego, co widzi. W rzeczywistości ta „częstka”, jak ją nazwał opat, była rodzajem gigantycznej trampoliny nad kraterem. Od jej końca do dna zagłębienia było ponad dziewięćdziesiąt metrów, lekko licząc.

- Co się stało z aniołami? Już nie widać świateł. - Alejandra wyglądała na zasmuconą.

- Cierpliwości, wróć - odpowiedział jej przeor.

Mijały minuty, ale nic się nie działo.

Cameron nie martwił się zbytnio nieobecnością rzekomych niebiańskich istot. Widok, który roztaczał się z brzegu tego olbrzymiego zapadliska, był sam w sobie fascynujący.

I wtedy się zaczęło.

Światła zaczęły ponownie migotać, tym razem częściowo zasłonięte przez podstawę wzniesienia.

Alejandra chwyciła Camerona mocno za rękę.

Świetlne odbłaski były jasne i intensywne, mieniające się delikatnymi odcieniami kolorów - niebieskiego, fiołkowego, różowego, bieli...

Nagle światła zaczęły się ruszać. Wznosiły się po grzbiecie wielkiej skały.

- Słyszysz? - szepnęła Alejandra.

- Co?

- Muzykę. Słysząc muzykę.

Cameron nadstawił uszu. Po chwili on także usłyszał niewyraźne dźwięki, które jakby dochodziły z drugiej strony olbrzymiego krateru.

Błyszczące iskierki wciąż wspiwały się po resztkach zbocza, a dźwięki stawały się coraz głośniejsze.

Nagle pierwsze światełko stanęło na szczycie skały i mimo że znajdowało się w dużej odległości od Camerona, zdołał on rozpoznać ludzką sylwetkę owiniętą tęczowym światłem.

Za pierwszą figurą o ludzkich kształtach podążały kolejne, zbierając się na czubku trampoliny. Historyk zdołał doliczyć się ponad setki postaci, które poruszały się lekko po kamiennej platformie. Niektóre z nich nachylały się nad czeluścią, jakby chciały się jej lepiej

przyjrzeć.

Muzyka, piękna i niezwykła, stawała się coraz głośniejsza.

Nagle jedna z postaci rzuciła się w przepaść.

Alejandra nie mogła powstrzymać zdławionego krzyku.

Postać spadała ponad pięćdziesiąt metrów, aż nagle rozpostarła skrzydła, eksplodując światłem i muzyką, która jakby zalewała wnętrze krateru.

Wtedy pozostali zaczęli skakać w dół, tworząc coś w rodzaju nierzeczywistej kaskady światła, która spływała z wierzchołka skały.

Olbrzymie ściany pustej kaldery starego wulkanu wypełniły się nieopisanym blaskiem.

Anioły przemykały szybko przed ich oczami, wykonując w powietrzu piruety i inne nieprawdopodobne manewry.

Pojedyncze nuty, które, jak się zdawało, wydobywały się z trzepotu skrzydeł każdego z aniołów, współbrzmiały z sobą tak doskonale, że krater eksplodował gigantycznym strumieniem światła i symfonicznych dźwięków.

Muzyka wypełniła serce Camerona poczuciem spokoju i szczęścia, jakiego nie czuł nigdy wcześniej.

Podniósł się powoli. Alejandra i opat podążyli za jego przykładem.

W sercu góry rozbrzmiewała majestatyczna i doskonała *IX symfonia*.

Byłeś głuchy, skubańcu, ale słyszałeś je, pomyślał Cameron, który ledwie mógł powstrzymać cisnące mu się do oczu łzy.

Cała trójka jak w hipnozie podziwiała ten niesamowity spektakl, kiedy jeden z aniołów przerwał nagle swój lot i zatrzymał się tuż przed nimi, ciągle unosząc się w powietrzu.

Istota wypełniona światłem wyglądała na tak samo zaskoczoną, jak i grupa, która ją obserwowała. Jednak już po chwili anioł skupił całą swoją uwagę na Alejandrze. Przyglądał się jej uważnie i obdarował ją słodkim uśmiechem, wykrzywając jeszcze bardziej swoje skośne oczy.

Załopotał delikatnie skrzydłami i przybliżył się do niej. Położył ręce na jej ramionach i pocałował ją delikatnie w usta.

Alejandra nigdy wcześniej nie czuła się tak wypełniona miłością jak w tym momencie.

Kobieta i anioł patrzyli na siebie przez kilka chwil. On uśmiechnął się do niej jeszcze raz i szybkim ruchem skrzydeł oddalił się i zanurkował w dół krateru, aż zniknął w wibrującej i dźwięczącej chmarze swoich towarzyszy.

Alejandra odwróciła się w stronę Camerona, który patrzył na nią oniemiały z wrażenia.

- Ten anioł to chłopak, który zginął w Sztokholmie od wymierzonej we mnie kuli, Sebastianie - powiedziała bardzo cicho, prawie niesłyszalnie. - Widziałam jego twarz w telewizji na lotnisku.

Historyk nie mógł przestać na nią patrzeć. Nigdy nie widział jej tak pięknej. W jej twarzy było szczęście i błogi spokój. Pragnął już na zawsze trzymać ją w ramionach. I natychmiast wprowadził swoje myśli w czyn.

- Jest pani urodzona pod szczęśliwą gwiazdą, Alejandro - odezwał się brat Xavier, który stał za ich plecami. - Nie każdego spotyka zaszczyt poznania swojego Anioła Stróża.

* * *

Obudzili się, gdy zaczęło świtać. Anioły odeszły kilka godzin wcześniej.

Mimo że spali bardzo krótko, zdawało się, że są w świetnej formie, gotowi, by kontynuować objazd wyspy.

Kawa, którą przygotował im opat, i przepyszne ciastka od brata Kevina postawiły ich na nogi.

- Jaką część wyspy zobaczymy dziś, ojcze? - spytała ożywiona Alejandra, pochłaniając już szóste z kolei ciastko.

Mnich spojrzał badawczo w niebo. Najwyraźniej nie spodobało mu się coś, co zobaczył między chmurami, bo zanim odpowiedział, cmoknął wymownie.

- Pojedziemy teraz w kierunku Źródła Usypiającej Wody. Jest niedaleko stąd. Tam zdecydujemy co dalej.

Jechali przez ponad pół godziny i była to bardzo przyjemna przejażdżka. Mijali zielone doliny i niewysokie wzgórza. W tej części wyspy teren był ukształtowany o wiele łagodniej.

Zatrzymali się kilka metrów przed skalną ścianą, z której wypływała strużka wody.

- Źródło Usypiającej Wody - oznajmił brat Terren. - Nie zbliżajcie się za bardzo do skały, wydobywają się z niej toksyczne gazy - zwrócił im uwagę.

Cameron wciągnął powietrze w nozdrza.

- Słodkie - oznajmił.

- Tak. Ze źródła wydobywa się metan - stwierdziła Alejandra. - Prawdopodobnie jest to spowodowane obecnością skał bitumicznych, które występują w tym miejscu - dodała, rozglądając się uważnie dookoła. - Metan, który wydobywa się na powierzchnię, utlenia się, wydzielając dwutlenek węgla - zawyrokowała.

- Nie byłaś przypadkiem lekarką sądową? - Cameron patrzył na nią zaskoczony.

- Fascynuje mnie chemia - odpowiedziała z lekko drwiącym uśmiechem.

- Błyskotliwa teoria - przyznał rektor klasztoru. - Sprawdzę to w książkach w naszej bibliotece.

- Brat Mernoc przychodził tu często? - spytał Cameron.

- Tak. Zwykł oddawać się tu rozmyślaniom. Mawiał, że w tym miejscu potrafi sobie wyobrazić, w jakich momentach będą się materializowały wrota czasu, i umiał odpowiednio zinterpretować swoje wizje. Osobiście nie byłem wielkim zwolennikiem tej metody, ale trzeba przyznać, że dawała rezultaty - odpowiedział brat Terrén.

Klacz Juliette potrząsnęła nerwowo łbem.

- Powinniśmy już iść - powiedział opat i spiął swojego wierzchowca. - Zabiorę was do jednego z moich ulubionych miejsc.

Przemierzyli olbrzymią dolinę, jadąc w pełnym galopie. Cameron oddychał głęboko świeżym powietrzem pachnącym doliną i czuł na swojej twarzy ciepłe promienie niewidzialnego słońca. Przeszło mu przez myśl, że nigdy wcześniej, w całym swoim życiu, nie czuł się tak wolny. Kątem oka spojrzał na Alejandrę, która jechała obok niego, i był pewien, że ona czuje to samo.

Ich szaleńcza jazda nie trwała nawet kilku minut, wkrótce dotarli bowiem do końca doliny.

Przed nimi wyrastały dwie wielkie góry, które wydawały się spięte gęstym lasem, rosnącym pomiędzy nimi.

Grupa jechała naprzód gęsiego, podążając wąską ścieżką w cieniu liściastych drzew.

Na ogromnej polanie, tuż pod zboczem góry, ich oczom ukazały się dwa wielkie jeziora, jedno położone wyżej od drugiego.

Do górnego jeziora, o krystalicznie czystej wodzie, wpadał wąski strumień w kształcie półksiężyca, który miał co najmniej dwadzieścia metrów długości i trzy metry wysokości.

Jezioro położone niżej, którego wody były bardziej zielonkawe i mętne, zawdzięczało swoje istnienie sąsiadowi z góry. Woda z górnego jeziora przeciekała przez naturalną skalną

tamę oddzielającą oba zbiorniki, które wyglądały przez to jak dwa gigantyczne tarasy z basenami.

- Przezroczyste Jezioro i Skrzepłe Jezioro - powiedział mnich, jakby przedstawiał ich sobie nawzajem.

- O Mój Boże, jak tu pięknie. - Alejandra wyglądała na zupełnie zafascynowaną tym miejscem.

- Powierzchnia niższego jeziora zdaje się zupełnie nieruchoma - zauważył Cameron. - To woda?

- Woda, której zasolenie wynosi prawie czterysta trzydzieści gramów na litr - wyjaśnił przeor. - Zasolenie oceanów wynosi średnio trzydzieści pięć gramów na litr. W Morzu Martwym, w najbardziej gorącym okresie w roku, zasolenie osiąga maksymalnie trzysta siedemdziesiąt gramów na litr. W Zakrzepłym Jeziorze ludzkie ciało unosi się jak korek, panie profesorze.

Cameron pomyślał, że opat zdążył dogłębnie zbadać to niezwykle jezioro.

- Brzegi Zakrzepłego Jeziora są całe w szlamie - zauważyła Alejandra.

- Prawdziwy koktajl soli i minerałów. Zbadałem jego skład w klasztornej aptece i są w nim chlorki sodu, magnez, wapń i potas, zmieszane z siarczanem wapna i bromkiem magnezu

- powiedział niemalże z dumą. Choć niesłychanie skromny, on także był człowiekiem nauki.

- To jest dobre dla skóry, prawda? - spytała lekarka.

- Ma właściwości relaksujące, antyalergiczne, uspokajające i nawilżające - poinformował ją mnich. - Często przychodzimy tu na kąpiele błotne.

Alejandra zsiadła z konia i ruszyła w stronę Zakrzepłego Jeziora, rozpinając bluzkę.

- Co ty, do licha, robisz? - spytał Cameron.

- Biorę kąpiel błotną - odpowiedziała uradowana, wodząc rękami po plecach w

poszukiwaniu sprzączki od stanika.

- Najwyższy czas, bym oddalił się odmówić swoje poranne modlitwy - powiedział opat, po czym szarpnął za wodze swojego wierzchowca.

Cameron został sam, mając przed sobą bliźniacze jeziora i tę kobietę, która, stojąc na brzegu, już zaczynała smarować błotem swoje nagie i wspaniałe ciało.

- Wspomnił coś o właściwościach nawilżających. - Czasami mówił do siebie, ponieważ był jedną z tych osób, które uważają, że najlepsze rozmowy prowadzi się z samym sobą. - Ja zawsze miałem bardzo suchą skórę - przekonywał sam siebie, zsiadając z konia.

* * *

Cieszyli się jak dzieci, taplając się w terapeutycznym błocie i unosząc się niczym korki na powierzchni Zakrzepłego Jeziora, dokładnie tak jak to przewidział opat.

Potem zmyli z siebie resztki szlamu i wykąpali się w czystych i chłodnych wodach Przezroczystego Jeziora. Wzięli nawet orzeźwiający prysznic w strumieniu.

Kilka minut później leżeli już na miękkim dywanie z trawy, która porastała brzegi jeziora, i tym razem cieszyli się tak, jak to robią dorośli.

Cameron nie miał już żadnych wątpliwości, że ta wyspa jest rajem.

* * *

Jechali na zachód w poszukiwaniu Kryształowej Kolumny i Groty Kielicha, kolejnych miejsc na szlaku wytyczonym przez opata.

Zostawili za sobą wielką górę w kształcie wulkanicznego stożka. Była to Góra Kowali znana im z fałszywej kroniki Mernoca.

Gdy dojechali w pobliże miejsca, które przeor nazwał Jaskinią Etiopczyka, krajobraz zmienił się nie do poznania.

Zniknął wszelki ślad roślinności, a ziemia stała się sucha i kamienista.

Nie słychać już było śpiewu ptaków ani nie było widać innych śladów obecności zwierząt.

Przeor pokazał im z daleka wejście do groty - ciemny wyłom w ciemnej skale.

Cameron przypomniał sobie jeden z rozdziałów z *Navigatio*, w którym Mernoc wspominał o niepokojącej jaskini i o tym, jak jeden z mnichów walczył w niej z diabłem, aż został opętany przez demona.

- Tam! W wejściu do jaskini przemknął jakiś cień! - krzyknęła nagle Alejandra.

- Tu nie ma nikogo, pani doktor - odparł sucho opat - jedźmy stąd. - I popędził konia do dalszej jazdy.

- Przysięgam ci, Sebastianie. Widziałam, jak coś się ruszyło, tam w środku - powiedziała po cichu do swego kompana.

- Może jakaś koza - zgadywał historyk. - Nie ma co, jedźmy dalej, brat Terrén chyba nie czuje się zbyt dobrze w tym miejscu.

Sanem obserwował z wnętrza jaskini, jak trzej jeźdźcy się oddalają. Swoimi żyłastymi łapami pogłaskał po grzbiecie ogromnego kozła, który stał tuż obok niego. Uśmiechnął się do siebie. Za każdym razem brakowało coraz mniej, by nadszedł jego czas.

* * *

W końcu dotarli do Groty Kielicha. Przywiązali konie do sękatego pnia smokowca i podążyli za mnichem aż do wejścia do jaskini. Przeor odsunął kilka gałęzi, które zasłaniały otwór w skale, i wziął trzy pochodnie ukryte tuż przy wejściu. Zapalił je szybko, używając krzesiwa, i wręczył swoim towarzyszom.

Oświetlając sobie drogę pochodniami, szli kilkadziesiąt metrów wąskim i klaustrofobicznym tunelem w skale; zdawało się, że prowadzi wprost do wnętrza ziemi.

Cameron pomyślał, że ten naturalny korytarz powstał prawdopodobnie podczas wybuchu

wulkanu. Przez kilka niekończących się minut szli w półmroku przez to jelito skamieniałej lawy, aż w końcu doszli do ogromnej sali - wygasłego serca starego wulkanu.

Przeor zajął się zapalaniem pochodni, które wydawały się strategicznie rozmieszczone na ścianach jaskini. Po chwili cała sala wypełniła się światłem, a skały zaczęły się mienić złotymi odblaskami.

Przed zdumionymi oczami Alejandry i Camerona leżały stosy bezcennych skarbów. Były tam otwarte kufry i worki pełne złotych i srebrnych monet, niedbale ułożone sztabki szlachetnych metali, skrzynie napakowane biżuterią tak piękną, że aż nierzeczywistą, wielkie naczynia pełne czarnych pereł, brylantów, szafirów, szmaragdów i rubinów. Ze ścian zwisały kunsztowne gobeliny, a na podłodze leżały przepiękne hiszpańskie dywany. Wielka złota monstrancja wysadzana szlachetnymi kamieniami, meble z epoki, rzeźby, delikatna i kosztowna ceramika - to wszystko było po prostu rozrzucone po całej komnacie.

- Nasza mała tajemnica - odezwał się w końcu opat, zapalając ostatnią z pochodni.

- Matko Boska... - szepnęła Alejandra, która nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Czy to skarb Hawkinsa? - spytał Cameron, który już dał sobie spokój z szacowaniem, ile miliardów dolarów warte były aktywa zgromadzone w tym miejscu.

- Hawkins był przede wszystkim biznesmenem - zaczął opowiadać przeor. - Można powiedzieć, że to, co znajduje się w tej jaskini, to efekt „syndykatu posiadaczy skarbów”.

Anglik przekonał swoich „braci na morzu”, że Nieodnaleziona jest najbardziej bezpiecznym miejscem na ukrycie kosztowności.

- Dlaczego Mernoc nazwał tę grootę Grotą Kielicha? - Alejandra bawiła się garścią bezcennych czarnych pereł. - Jest tutaj wszystkiego po trochu, ale nie widzę żadnego kielicha.

- Ma to związek z inną historią. - Terren odkaslnął i mówił dalej. - Kiedy Mernoc odkrył tę grootę, Hawkins jeszcze nie zgromadził tu swoich skarbów. Ale za to w środku

spoczywały zwłoki krzyżowca.

- Templariusz? - spytała Alejandra, która padła ofiarą masowo produkowanych bestsellerów.

- Nie, pani doktor. - Mnich się uśmiechnął. - Nie tylko templariusze brali udział w wyprawach krzyżowych. Znaleźliśmy przy nim list, który najwidoczniej napisał sam tuż przed śmiercią. Dzięki temu znamy jego historię, albo przynajmniej tę część jego historii, którą chciał nam opowiedzieć. Don Alberto de Pertejo y Barrena, bo tak się nazywał, był rycerzem z León, należącym do Zakonu Matki Boskiej z Monte Gaudio. Jak się zdaje, brał udział w nieszczęsnej bitwie pod Rogami Hittinu, w której siły krzyżowców zostały rozbite przez wojska Saladyna. Musiał być chyba zaufanym sługą króla Jerozolimy, Gwidona z Lusignan, bo ten, gdy wynik bitwy był już przesądzony, przywołał go do swojego czerwonego namiotu i przekazał mu najświętszą relikwię: kielich użyty w czasie Ostatniej Wieczerzy.

- Sądziłem, że ten kielich, jeśli w ogóle kiedykolwiek istniał, nigdy nie został odnaleziony. Zawsze był tylko legendą - wtrącił się historyk.

- My też jesteśmy tylko legendą - odpowiedział mu, uśmiechając się wymownie.

- Proszę mi wybaczyć, nie powinienem był ojcu przerywać. - Poczul się niemalże zawstydzony.

- O tym, że kielich istnieje, wiedziało bardzo niewielu - mówił dalej mnich. -

Możliwe, że jedynie sam król i niektórzy wybrani rycerze. Sęk w tym, że tylko rycerzowi z León udało się przedrzeć przez linię wroga. Pojechał w stronę Jerozolimy, gdzie zamierzał znaleźć schronienie i ukryć w bezpiecznym miejscu kielich naszego Pana. Ale saraceńscy jeźdźcy ruszyli za nim w pościg. Gdy już mieli go dogonić, rozpętała się przerażająca burza piaskowa. Zdawało się, że jakaś dziwna chmura wylądowała na ziemi. Chrześcijański rycerz

popędził w nią wierzchowca, mając nadzieję, że zgubi w niej swoich wrogów, których złorzeczenia już słyszał za plecami.

Lekarka słuchała z zapartym tchem opowieści przeora.

- Resztę możecie już sobie sami wyobrazić - zakończył mnich.

- Gdzie teraz znajduje się kielich? - chciała wiedzieć Alejandra.

- W zakrystii naszego klasztoru, rzecz jasna - wyjaśnił. - To zwykła obtłuczona ceramiczna miska. Używamy jej codziennie w czasie komunii świętej - oznajmił z satysfakcją i dumą - i mogę was zapewnić, że jest to komunia jedyna w swoim rodzaju.

* * *

Wrócili tą samą drogą i znaleźli się z powrotem przed wejściem do jaskini. Wszyscy się ucieszyli, że znowu mogą oddychać świeżym powietrzem. Nagle gwałtowny podmuch wiatru spłoszył konie. Na niebie rozległo się echo dalekiego grzmotu.

Cameron popatrzył pytająco na micha.

Ten powoli skinął głową.

- To ta burza? - spytała Alejandra, choć już dobrze знаła odpowiedź.

- Tak. To burza. Zbliży się - potwierdził opat. - Odwiążę konie, powinniśmy wrócić do misji.

Alejandra podeszła do Camerona.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała go wprost.

Cameron rozejrzał się dookoła, jakby chciał zapisać w siatkówkach oczu i w swojej pamięci każdy kamień, każde drzewo, każdą górę, każdy zakątek wyspy. Pękało mu serce.

- Nie ma potrzeby, żebyś mi towarzyszyła - powiedział. - Może będę mógł tu wrócić, kiedy to wszystko się skończy - skłamał po dwakroć.

Przytuliła się do niego.

- Przybyłam na wyspę dla ciebie i opuszczę ją dla ciebie - powiedziała.

Zastygli tak w uścisku przez kilka chwil. I chcieli, by trwały one wiecznie.

- Myślisz, że mamy jakąś szansę? - spytała go Alejandra, nie przestając się do niego przytulać.

- Wiesz, co powiedział Napoleon przed bitwą pod Austerlitz?

* * *

Jeźdźcy dotarli w pełnym galopie na plażę. Wiatr stawał się coraz silniejszy, a niebo pokrywało się czarnymi złowieszczymi chmurami. Na brzegu czekała już na nich łódź należąca kiedyś do pirata Hawkinsa. Brat Kevin wyciągnął ją z pobliskiej jaskini, gdzie była ukryta i przygotowana do swojego ostatniego rejsu. Mnich właśnie rozkładał mocny łaćniński żagiel. Łódź ratunkowa, którą przybyli na wyspę, była bezużyteczna - nie zostało już prawie nic z paliwa do silnika. Cała trójka zeszła z koni. Nastąpiły czułe pożegnania. Alejandra, Cameron i Medina mieli za chwilę opuścić wyspę i po raz ostatni przekroczyć wrota czasu.

Amerykanin, ponieważ ostatecznie zaakceptował swoją rolę posłańca nadziei. I ponieważ niezależnie od tego, jakie było jego przeznaczenie, chciał się z nim zmierzyć w swoich czasach, w swoim świecie, przy boku swoich bliskich i razem z kobietą, którą kochał. Alejandra, ponieważ zrozumiała, że to Cameron jest w jej przypadku tą osobą, której wszyscy szukamy, ale nie wszystkim udaje się znaleźć - towarzyszem życia.

I Medina, po prostu dlatego, że przeczuwał, iż to nie jest miejsce dla niego.

Cameron w milczeniu uściskał Lolę. Ona zostawała, ponieważ ta wyspa ze swoją biblioteką była jej marzeniem. Sidi zostawał z nią, z przyczyn, które tylko serce może zrozumieć.

Historyk pomyślał, że stanowią dobraną parę, a jeśli coś pójdzie nie tak, ich potomkowie mogliby zaludnić wyspę, a później cały świat. Kapitan i jego zaufany oficer nie

robili sobie żadnych wymówek. Obaj byli wolni jak wiatr i w tym miejscu rozchodziły się ich drogi.

Brat Xavier wręczył Medinie małą skórzaną torebkę.

- Oto wynagrodzenie za wasze usługi, panie kapitanie. Za podróż tam i z powrotem - rzekł opat.

Medina wysypał zawartość torebki na otwartą dłoń. Oślepił go blask sześciu ogromnych diamentów wielkości przepiórczych jaj. Każdy z tych kamieni był wart tyle, ile nowy „Guadalupano”. Nim marynarz zdążył wyrazić swoją wdzięczność, Pedro Velo już ścisnął całą ich trójkę, wyraźnie wzruszony, ze swoimi skrzyżowanymi szablami, nabitymi pistoletami i zmierzwionymi włosami, owładnięty przez furję - jak zawsze wtedy, gdy strzegł plaży.

- Wracajcie na moją wyspę, kiedy tylko będziecie chcieli. Zawsze będziecie tu mile widziani. - Jego słowa płynęły z głębi serca, a oczy były mokre od łez. - Powiedzcie królowi Hiszpanii - zniżył ton głosu, jakby chciał wyjawiać im jakiś sekret - że zbieram dla niego dziesięcinę, niech się o nic nie boi. I żeby nigdy nie ufał Francuzom - dodał na zakończenie. Cameron wyściskał gubernatora i nie mógł nic poradzić na to, że jego oczy zaszyły łzami. Teraz już nic nie będzie nigdy proste. Ale było warto.

Opat zbliżył się do niego i uścisnął go mocno.

- Niech pan uważa na Sanema, skrybę. Czeka na pana - powiedział. - Upadły Anioł zawsze podążał za nami, od zarania dziejów. I teraz wie, że to pan jest posłańcem. - Opat zauważył, że twarz Camerona wykrzywiła się lekko. - Proszę się nie martwić. Pański anioł jest silny. On i Viriato będą nad panem czuwali - pocieszył go.

- Wiem, ojczu. - Wspomnienie Viriata przepędziło cień z jego duszy. - Ale mimo wszystko módlcie się za nas, będziemy tego potrzebowali - odpowiedział i sam się zdziwił

swoją prośbą. Bóg musiał działać bardzo szybko.

Cameron spojrział na swoją uczennicę, która patrzyła na niego, zalewając się łzami.

Chciał powiedzieć jej coś więcej, ale uciszył go huk grzmotów tuż nad ich głowami.

- Musicie już iść! - Opat starał się przekrzyczeć burzę. - Nie zostało nam wiele czasu!

Dwaj mężczyźni i kobieta pobiegli w stronę łodzi. Wepchnęli ją kilka metrów w

wodę, walcząc z nacierającymi falami, i wskoczyli na pokład. Medina siadł za sterem, a

Cameron zaczął rozwijać żagiel.

Historyk odwrócił wzrok w kierunku plaży, podnosząc rękę na znak pożegnania, gdy

nagle pochłonęła go ściana mgły.

Rozdział XXIX

Powrót do domu. 11 sierpnia 2012 roku.

Palacio del Mar w Lizbonie, siedziba Konferencji Pokojowej dla Bliskiego Wschodu

Capita XXIX. N.S.B.a. Brendanus wraz z częścią mnichów wyrusza w drogę powrotną.

Pozostali zakonnicy postanawiają zostać na wyspie. Brendanus wraca do Conflert i ze

zdumieniem zdaje sobie sprawę, że upłynęło siedem lat, odkąd opuścił Irlandię.

Opowiada o swojej fantastycznej podróży i nawraca setki wiernych. Po kilku

miesiącach opat umrze, tęskniąc za Rajską Wyspą.

Sanem al-Kassar, palestyński delegat, pozbył się słuchawki, z której płynęło

niepotrzebne mu tłumaczenie symultaniczne, i ponownie połączył swój komputer z

biuletynem informacyjnym CNN. Wiadomość została potwierdzona.

Norweski frachtowiec „Bałtyk” potwierdził tożsamość trzech rozbitków cudem

odnalezionych tego samego ranka na pokładzie tratwy, tysiąc kilometrów od brzegu Sahary

Zachodniej.

Lekarka Alejandra Recasens, która zniknęła bez śladu trzy lata temu, tuż po zamachu

terrorystycznym w Sztokholmie. Oraz hiszpański historyk Sebastian Cameron wraz z kapitanem Victorem Medina - obaj zaginęli po zatonięciu prywatnego jachtu. Wciąż nie było nic wiadomo o dwojgu pozostałych pasażerach nieszczęśliwej łódki, młodej absolwentce wydziału historii i pierwszym oficerze. Niesamowity news dla dziennikarzy i szczęśliwe, nieoczekiwane zakończenie, przynajmniej dla tej trójki.

Nie dla niego.

Dwóch mężczyzn i kobieta, choć wyczerpani, byli cali i zdrowi. Zabrani przez helikopter hiszpańskiej marynarki, lecieli właśnie na wyspę La Palma, gdzie czekały ich dokładniejsze badania lekarskie oraz rozmowa z władzami.

Sanem wyłączył komputer i z komórki zadzwonił do swojego sekretarza.

- Hamet, potrzebni mi bilet lotniczy na wyspę La Palma, jeszcze na dziś wieczór.

Otwarty. Tak, spotkanie ze starym przyjacielem, który na mnie czeka. Rozmowa może okazać się kluczowa dla wyniku tej konferencji - powiedział i rozłączył się.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Tego samego uśmiechu, którym obdarzył pewnego ucznia Jezusa, żeby zdobyć jego zaufanie. Na imię było mu Judasz, o ile pamięć go nie myliła - w końcu działo się to ponad dwa tysiące lat temu. Jak ten czas leci, pomyślał. Teraz jednak zwycięstwo wydawało się bliżej niż kiedykolwiek. Nie zamierzał pozwolić, by ktokolwiek lub cokolwiek stanęło mu na drodze.

* * *

Doktor Castello zajął miejsce na środku platformy. Znajdował się w kabinie wewnątrz olbrzymiego pierścienia akceleratora cząstek.

Fizyk kilka razy odetchnął głęboko, tak jak nauczyli go na lekcjach jogi, czekając, aż serce odzyska swój naturalny rytm.

- Wszystko w porządku, doktorze? Ma pan bardzo wysokie tętno - usłyszał metaliczny

głos O'Malleya zniekształcony przez głośniki w kabinie.

- Wszystko w porządku - odpowiedział niemal oschle.

Odrobina tachykardii była czymś jak najbardziej naturalnym u progu podróży takiej jak ta.

* * *

Podjął decyzję zaledwie czterdzieści osiem godzin wcześniej, kiedy bezpieczną pocztą dotarła do nich wiadomość z Langley. Centrala zakomunikowała bez owijania w bawełnę, że „projekt Trinidad został zawieszony do odwołania ze względu na problemy budżetowe”.

Druzgocącemu komunikatowi towarzyszył obszerny protokół dotyczący zamknięcia i zabezpieczenia tej części piętra elektrowni Lacandona.

- Obawiam się, że Irak, Iran, Wenezuela i Afganistan pożerają wszystkie nasze zasoby finansowe - zaryzykował usprawiedliwienie O'Malley, udając przygnębienie, jakie ogarnęło resztę ekipy naukowej elektrowni. - Coś takiego zdarza się nie po raz pierwszy - zakończył.

Prawda była taka, że zupełnie tego nie żałował.

Trzy ciągnące się w nieskończoność lata - o tyle musiał przedłużyć swój pobyt na stanowisku dyrektora projektu Lacandona. Wszystko z powodu tragicznego wypadku, w którym zginął człowiek mający go zastąpić, legendarny Madoc Cameron.

Ale teraz, dzięki błogosławionej poprawce budżetu, jego odsiadka w tej przeklętej dżungli miała się wreszcie skończyć.

Wyłącznie dobrze wyuczona polityczna poprawność nie pozwalała mu skakać z radości.

Pragnął tylko spakować walizki i wypróbować swój rewelacyjny apartament w świeżo zdemokratyzowanej Republice Kuby.

Mojito i twarde jak skała tyłeczki Mulatek, tylko tego potrzebował na emeryturze.

* * *

Tej nocy Castello nie zmrużył oka.

Nie mogli mu teraz tego zrobić. Był dosłownie o krok od rozwiązania. Podróż w czasie nie była mrzonką. I miał zamiar udowodnić to światu.

- Zamierzam ruszyć w podróż - oznajmił tego samego ranka O'Malleyowi.

- Doktorze, to szaleństwo. Wehikuł jest jeszcze na etapie testów. Nie mamy żadnej gwarancji, że zadziała.

- Moje obliczenia są poprawne. Zadziała. Biorę na siebie całą odpowiedzialność.

* * *

Ponownie zmierzył sobie puls. Tętno się ustabilizowało. Światła w kabinie przygasły.

Do tego, by połączyły się dwie czarne dziury, wrota czasu, potrzebna będzie cała energia akceleratora.

* * *

- Przenieś się w przeszłość i uzyskam finansowanie niezbędne do kontynuowania projektu - powiedział, mierząc dyrektora gorączkowym spojrzeniem.

Wszystko szczegółowo przemyślał podczas owej bezsennej nocy. Przeniesie się do tysiąc siedemset ósmego roku. Skalibrował wehikuł tak, aby otworzyć wrota czasu dziesiątego czerwca tego roku, niedaleko miasta Portobello. Pojawi się tam dwa dni po zatonięciu hiszpańskiego galeonu „San José”, w którego piwnicach podróżowała ponad połowa skarbu Peru. Zbierze świadectwo tych, którzy przeżyli bitwę morską przeciw flocie angielsko-holenderskiej, uzyskując prawdziwe koordynaty położenia wraku. I wróci.

Obecnie dysponował już technologią umożliwiającą wyciągnięcie owych milionów dolarów z dna morza. Największą przeszkodą na drodze współczesnych poszukiwaczy skarbów była nieznajomość dokładnego miejsca zatonięcia wraku.

Na tym będzie polegać jego przewaga.

O'Malley uznał, że Castello bredzi. Ale do emerytury pozostało mu zaledwie kilka godzin i ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, była awantura z facetem, który mógł kiedyś dostać Nobla z fizyki. Dyrektor ograniczył się do zmuszenia Castello do podpisania rozmaitego rodzaju dokumentów, które zdejmowały z niego wszelką odpowiedzialność za tę niedorzeczną decyzję. Poza tym Castello jako oficjalny powód tej urojonej podróży podał ostatnie prace konserwacyjne przed ostatecznym odłączeniem wehikułu. O'Malley odetchnął z ulgą, kiedy fizyk podpisał ostami dokument. W końcu to doktor ryzykował tu życie, nie on.

- Wolalbym, żeby przed wejściem do tej kabiny wziął pan pod uwagę wyniki naszych eksperymentów na małpach - powiedział mu dyrektor na koniec ku przestrodze.

Eksperymentowali już z żywymi istotami, z szympanсами. Dekonstrukcja molekularna była olbrzymią przeszkodą dla podróży w czasie.

Podczas pierwszej próby małpa po prostu wyparowała, nie pozostawiając najmniejszego śladu.

Za drugim razem pamiętali już o tym, by umieścić zwierzę w żelaznej klatce, i na pięć minut wysłali je, jak im się zdawało, gdzieś do szesnastowiecznej Afryki. Kiedy otworzyli drzwi do kabiny, małpia klatka była nietknięta, jednak po Arnoldzie - bo tak miał na imię szympan - pozostała krwawa mieszanina wnętrzości, strzępów mięsa i fragmentów skóry.

I nie chodziło tu bynajmniej o atak jakiegoś dzikiego zwierzęcia.

Po prostu jego dekonstrukcja i następująca później rekonstrukcja molekularna zostały podczas podróży zakłócone, dając bardzo nieprzyjemne rezultaty.

- Przejrzałem wszystkie obliczenia i wprowadziłem zmiany. Coś takiego więcej się nie powtórzy - odpowiedział mu Castello z chłodną pewnością, poprawiając swój habit mnicha benedyktyńskiego.

Był dumny ze swojego przebrania. Mnich benedyktyński w katolickim Portobello w osiemnastym wieku przejdzie całkowicie niezauważony.

Nie miał wątpliwości. Wiedział, że wehikuł działa. Upewnił się co do tego podczas eksperymentu dokonanego trzy miesiące wcześniej.

Wysłali wtedy pięćdziesięciokilowy blok kamienny do trzynastego wieku, do centrum hiszpańskiego miasta Vitoria, do roku tysiąc dwieście trzeciego. Castello wiedział, że w tym okresie rozpoczynała się właśnie, z rozkazu kastylijskiego króla Alfonsa VII, budowa kościoła Świętej Marii, który wraz z upływem czasu miał się stać miejscową katedrą.

Fizyk udał się w podróż do Hiszpanii dwa tygodnie po eksperymencie. Odwiedził restaurowaną katedrę i przyjrzał się dokładnie pracom archeologicznym mającym na celu odsłonięcie części fundamentów budynku, które przez setki lat pozostawały ukryte pod ziemią.

Przeszedł go dreszcz emocji, gdy odkrył „swój” kamień wmurowany w jedną ze ścian budowli. Na kamieniu widniało jego nazwisko, Castello, dokładnie tak, jak nakazał wyryć je ze wszystkich stron sześcianu, zanim blok znalazł się w akceleratorze. Przewodnik wytłumaczył mu, że ten odcinek muru został odkryty zaledwie kilka dni wcześniej.

- Włoski kamieniarz - wyjaśnił jego cicerone, widząc, jak Castello przeżywa odkrycie znaku w kamieniu. - Mieli w zwyczaju podpisywać niektóre z kamiennych bloków swoim imieniem lub jakimś znakiem, który ich identyfikował. Pan się nazywa Castello, prawda?

Widzi pan, może jakiś pański daleki krewny uczestniczył w budowie tej katedry ponad osiemset lat temu.

* * *

- Za dziesięć sekund rozpoczynamy odliczanie, doktorze. - W kabinie znów rozległo się metaliczne echo głosu O'Malleya.

Castello zacisnął zęby, aż zazgrzytały, i ścisnął pięści, podczas gdy świecący zegar cyfrowy w kabinie odliczał sekundy. Światła w pomieszczeniu straciły resztki intensywności, pogrążając go w końcu w całkowitej ciemności.

Kiedy odliczanie dobiegło końca, drzwi do kabiny, które miał przed sobą, rozsunęły się, ukazując wewnątrz gigantycznego tunelu akceleracyjnego.

Wielokrotnie oglądał wewnątrz maszyny przez przemysłowe kamery laboratorium, ale teraz, kiedy wnętrzności „Bestii” miał bezpośrednio przed sobą, widok bardzo go poruszył.

Podmuch powietrza naładowanego statyką uderzył go w twarz i sprawił, że jego ubranie zaczęło falować.

Całe jego ciało odczuło olbrzymią moc energii uwolnionej wewnątrz LHC. Stała wibracja, lekkie mrowienie przeszywało go od pięt aż po podstawę szyi.

Mógł na własne zdumione oczy zobaczyć, jak miliony neutronów ślizgają się wzdłuż stalowych ścian akceleratora z prędkością światła. To było jak olbrzymi strumień mikroskopijnych spadających gwiazd, w ciszy sunących do wnętrza niezgłębionej, nieskończonej ciemności.

Castello poczuł lekkie mdłości i przyjemne zawroty głowy - wszystko przez tę nierealną, pełną mocy scenerię. Zupełnie jakby zawisł na progu nieskończonego i nieważkiego kosmosu.

- Teraz otworzą się wrota, doktorze. - Wydało mu się, że słyszy odległy głos O'Malleya.

Z wnętrza ciemnego tunelu wyłoniła się słaba łuna białego światła. Nagle poświata nabrała intensywności i ruszyła wzdłuż ścian akceleratora, zatrzymując się przed Castello niczym zjawą. Na jego oczach uformowało się coś w rodzaju świetlistej falującej membrany o metalicznych, płynnych refleksach. Jego mózg odtworzył wspomnienie z dzieciństwa - to

było niczym olbrzymia bańka mydlana.

Poruszony O'Malley przyglądał się scenie na monitorach w sali kontroli. Pochylił się w stronę mikrofonu, który łączył go z kabiną.

- Zamknie się za osiem sekund, doktorze - oznajmił.

* * *

Olbrzymia membrana harmonijnie poruszała się przed nim, odbijając świetliste błyski protonów.

Castello zaniknął oczy, zrobił trzy zdecydowane kroki do przodu i przeszedł na drugą stronę lustra.

* * *

- Już go nie ma - powiedział jeden z techników po kilku sekundach niezręcznej ciszy, jakby pragnąc potwierdzić to, co wszyscy inni oglądali na monitorach w sali.

Wtedy gigantyczna migocząca membrana się rozplynęła.

Dyrektor nastawił swój zegarek.

- Aktywujemy wrota za dwie godziny, o szesnastej czterdzieści pięć. Jeśli Castello nie wróci, proszę dezaktywować akcelerator i zamknąć tę część piętra elektrowni zgodnie z poleceniami z góry - zwrócił się do swoich techników całkowicie bezosobowym tonem.

* * *

Lola spacerowała po plaży. Podwinęła rękawy i zawiązała długą jedwabną haftowaną spódnicę, żeby jej nie moczyć ani nie brudzić piaskiem za każdym razem, kiedy się pochylała, aby podnieść jedną ze ślicznych muszelek rozsypanych na ciemnym piasku plaży. Strój był przepiękny. I w jej rozmiarze. Zalety bycia niezbyt wysoką i drobną, tak jak bogata hiszpańska dama, pierwsza właścicielka sukni, którą Hawkins umieścił w łupie z jednej ze swoich karaibskich wypraw. Słuchając chichoczącego Sidiego, zrezygnowała z gorsetu. Nie

potrzebowała go, sukienka dopasowywała się do jej szczupłej talii idealnie. Czowała się w niej piękna. „Staraj się być szczęśliwa, szczęście sprawia, że rozkwitasz”, przypomniała sobie słowa swojej matki. Była szczęśliwa na tej wyspie. Każdy szuka wytrwale swojego miejsca na ziemi, a ona wiedziała, że swoje już odnalazła.

Zacząła pracować w bibliotece i robić pierwsze notatki. Myślała o rodzicach, o rodzeństwie i o swoim aniele, Carlosie. Tęskniła za nimi. Jednak wiedziała, że podjęła właściwą decyzję. Zawsze będzie ich nosiła w sercu, tak jak Camerona, Viriata, nawet niesłuchanego kapitana Medinę, gdziekolwiek się teraz znajdowali.

Głęboko wciągnęła morskie powietrze i zawróciła w kierunku Juliette, która była teraz jej klaczą. Być może dziś po południu pojeżdżą razem z Sidim. Chcieli krok po kroku poznać wyspę, tak jak krok po kroku poznawali siebie nawzajem. Na tę ostatnią myśl okryła się przyjemnym rumieńcem. Dotarła w końcu do Juliette, która nerwowo przebierała kopytami.

- Spokojnie, spokojnie, już jestem. - Poklepała ją po szyi i zaczęła głaskać. - To był tylko spacer, żeby rozprostować nogi, moja śliczna. Teraz wrócimy do domu i w nagrodę dostaniesz ode mnie wielką garść delikatnego owsa.

Zanim dosiadła klaczy, ogarnęła wzrokiem plażę, żegnając się z nią na dzisiaj. I wtedy ją zobaczyła: zbliżającą się do niej postać mnicha.

* * *

Castello ciągle jeszcze dzwoniło w uszach, a klatka piersiowa boleśnie pulsowała. Ale widok tej hiszpańskiej damy spacerującej po plaży przywrócił mu dobry humor graniczący z euforią.

Udało mu się! Udało mu się przenieść w czasie i znajdował się teraz w tysiąc siedemset ósmym roku! Wszystkie jego obliczenia, wszystkie pomiary okazały się prawidłowe.

Ta kobieta w stroju z epoki była potwierdzeniem jego sukcesu. Wystarczyło tylko do niej podejść i zapytać o drogę do Portobello.

* * *

„Jeżeli człowiekowi kiedyś uda się opanować czas, opanuje stworzenie, opanuje wszystko”. Przypomnił sobie zdanie swojego profesora fizyki na Harvardzie. Zdanie, które nosił wyryte w umyśle przez te wszystkie lata. Teraz wiedział, że on, Charles Castello, zdołał opanować czas. Naprawdę Bóg stworzył nas na swój obraz i podobieństwo. Przynajmniej w moim przypadku, pomyślał. Czuł się znakomicie i przepełniała go duma. Bez śladu wstydu. Castello nigdy nie uważał, by pycha była grzechem. Dla niego, przez całe jego życie, była raczej celem.

* * *

Maria Olmedo, szefowa stewardes, była raptem kilka lat starsza od swojego nowego młodego asystenta. Stanowili załogę zaledwie od paru godzin i to był pierwszy lot tego chłopca w jej linii. Ale już za nim przepadała, chłopak miał szczególny magnetyzm. „Carlitos to sama słodycz, zobaczysz”, mówiły jej koleżanki, które już go znały.

- Proponowałaś już coś pasażerowi z klasy biznes, temu o arabskim wyglądzie? - zapytała go.

- Właściwie cały czas coś notuje. Nie chciałem mu przeszkadzać.

- Zaproponuj mu coś do picia - zasugerowała Maria. - Nic alkoholowego, o ile sam nie poprosi - dodała niczym weteranka.

- Nic alkoholowego, jasne - odpowiedział z jednym ze swoich cudownych uśmiechów.

Sanem al-Kassar zamknął notatnik i wyciągnął się zadowolony na przestronnym siedzeniu w pierwszej klasie. Wszystko szło doskonale. Niemal fizycznie odczuwał, jak

pierścień zacieśnia się wokół jego zdobyczy. Ostateczne zwycięstwo należało do niego.

Spojrzał przez okno samolotu i przez chwilę przyglądał się słonecznej tarczy zanurzającej się w oceanie. Jeszcze jeden powód, by czuć się szczęśliwym. Lubił noc. Za pół godziny będą lądować na lotnisku na La Palmie. Już niedługo pozna go „wysłannik” i przy okazji zrobi się to, co zostało do zrobienia z tą chytrą lekarką. W obydwu przypadkach zaledwie ulotny kontakt. Ostami etap.

Zamknął oczy, delektując się chwilą.

Nagle poczuł, jak jeżą mu się włosy na rękach, a z płuc ucieka powietrze.

Kiedy otworzył oczy, z przerażeniem ujrzał lekko nachylającego się nad nim stewarda.

- Życzy pan sobie jeszcze coś do picia, nim wylądujemy? - grzecznie zapytał ten ostatni.

Na twarzy stewarda delikatnie rysowały się wszystkie cechy osoby z zespołem Downa.

* * *

Viriato przyglądał się scenie ze swojego wygodnego miękkiego siedzenia w klasie biznes z przeciwległej strony samolotu.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu zadowolenia, widząc niepokój Sanema w obecności anioła.

Pomyślał, że Lola byłaby uszczęśliwiona i dumna ze swojego brata.

To nie miało być łatwe dla nikogo. Ale źli jeszcze nie wyszli zwycięsko z tej rozgrywki.

O tak, zapowiadała się nie najgorsza walka.

Przyszło mu do głowy zdanie zasłyszane od samego Napoleona, w tamtej tawernie

pod Berezyną.

„Jeśli walczysz, jest szansa, że przegrasz. Ale jeśli nie podejmiesz walki, jesteś przegrany”, wyszeptał do rosyjskiej kelnerki, zanim zaciągnął ją do łóżka. Dziewczyna zapytała go, czy zawsze tyle walczy, żeby zdobyć kobietę.

Oni walczyli, żeby dać ludzkości jeszcze jedną szansę.

Poczuł niemal euforię wobec takiej perspektywy.

Pomyślał, że najlepsza w podróżowaniu w czasie była stopniowo nabywana, bardzo kompletna wizja historii.

No, prawie kompletna.

Podziękowania

Dziękuję Ramónowi Conesie i tym wszystkim, dzięki którym agencja Carmen

Balcells jest wspaniałym domem dla pisarzy; na szczęście i ja znalazłem tam swój pokój.

Dziękuję mojej żonie, Alodii, za przepisanie, jak zwykle, mojego rękopisu (i za wiele więcej).

Podziękowania kieruję również do całego zespołu wydawnictwa Planeta, który pracował z entuzjazmem nad stworzeniem tej książki. Bo ta praca wcale nie jest tak indywidualna, jak się zakłada, i zespół znaczy w niej znacznie więcej, niż zwykło się uważać.

Składam serdeczne podziękowania Anie D’Atri, Marcowi Rocamorze i Sergiowi Álvarezowi. Szczególnie dziękuję Puri Plazie, mojej wydawcy z Planety, z którą tak dobrze się rozumieliśmy.

Dziękuję wszystkim przyjaciołom, którzy zechcieli przeczytać pierwszą wersję książki i podzielili się ze mną swoimi opiniami i krytycznymi uwagami, stając się prawdziwym „laboratorium”, o jakim marzy każdy pisarz. Wśród nich byli: Francisco Vicente Luque, César Macarrón, Zacarías Díaz i Alfonso Romero (moi dwaj aniołowie stróże), Montse de

Paúl, Quino Ayuso, Erie Gancedo, María Olmedo, Víctor Medina, Azucena Alonso, Marta Larripa, Nuria López, Rafael Maté, Miguel Zurita, Javier Terrén, Juan Luis Coghen, Juan Manuel de Simón, Pedro Méndez de Vigo, Antón González, Gabriel Castañón González i Antonio Serrano.

Dziękuję Wyspie Świętego Brendana, która „objawiła” mi się pewnego dnia i pozwoliła się odwiedzić.

Oraz tym wszystkim, którzy w jakimś momencie życia mają odwagę przejść na drugą stronę mgły.

Wszystkie postacie pojawiające się w niniejszej książce są fikcyjne, a wszystkie opisane w niej wydarzenia są owocem wyobraźni autora.

Document Outline

- [Rozdział I](#)
- [Rozdział II](#)
- [Rozdział III](#)
- [Rozdział IV](#)
- [Rozdział V](#)
- [Rozdział VI](#)
- [Rozdział VII](#)
- [Rozdział VIII](#)
- [Rozdział IX](#)
- [Rozdział X](#)
- [Rozdział XI](#)
- [Rozdział XII](#)
- [Rozdział XIII](#)
- [Rozdział XIV](#)
- [Rozdział XV](#)
- [Rozdział XVI](#)
- [Rozdział XVII](#)
- [Rozdział XVIII](#)
- [Rozdział XIX](#)
- [Rozdział XX](#)
- [Rozdział XXI](#)
- [Rozdział XXII](#)
- [Rozdział XXIII](#)
- [Rozdział XXIV](#)
- [Rozdział XXV](#)
- [Rozdział XXVI](#)
- [Rozdział XXVII](#)
- [Rozdział XXVIII](#)
- [Rozdział XXIX](#)
- [Podziękowania](#)